

Zniewolona

Megan Hart
Czarna Owca (2014)

Rating: ★★☆☆☆

Tags: Romans, erotyka

Emmaline, na skutek wypadku, jaki przeżyła w dzieciństwie, cierpi na krótkotrwałe, lecz uciążliwe zaniki pamięci. Choć w rzeczywistości trwają zaledwie kilka minut, w jej głowie zdają się nie mieć końca. Ataki utrudniają jej życie, ale z wiekiem nauczyła się nad nimi panować. Do czasu, gdy na jej drodze pojawia się... Johnny Dallesandro.

Johnny Dallesandro jest cenionym malarzem, który żyje samotnie i świadomie unika popularności. W latach siedemdziesiątych zasłynął dzięki kultowym filmom z gatunku art porno. Jego nagie ciało okrzyknięto wtedy symbolem seksu. Złą sławę zapewnił mu również rozwiązły styl życia, jaki wówczas prowadził.

Podczas ataku dziewczyna przenosi się trzydzieści lat wstecz wprost na imprezę w domu Johnny'ego w czasy, gdy cieszył się on sławą dandysa i satyra. Po nocnej orgii zostaje ulotne wspomnienie żaru ciała, który Emm czuje na własnej skórze nawet po powrocie do rzeczywistości.

źródło opisu: Czarna Owca, 2014

źródło okładki: <http://www.czarnaowca.pl>

CZERWONA
SERIA

Megan Hart
ZNIEWOLONA

Megan Hart

Zniewolona



W pierwszej kolejności dla JNB - Hej,

laska!

Dzięki za nocne maratony w sieci

i nasz zgrany duet rozpalonych entuzjastek.

Dla DPF - za to, że jesteś w stanie ze mną wytrzymać.

I oczywiście dla Joe. Ta książka nie powstałaby bez Ciebie.

Rozdział 1

Pomarańcze

Powietrze przesycił zapach pomarańczy. Instynktownie wsparłam się na najbliższym krześle i obrzuciłam wzrokiem kontuar w poszukiwaniu kosza z owocami. Albo czegoś, czegokolwiek, co wyjaśniłoby, skąd pochodził aromat, który kojarzył się z kawiarnią jak płaszcz Świętego Mikołaja z plażą. Nie spostrzegłam jednak nic, co tłumaczyłoby ten dysonans. Wzięłam głęboki oddech. Już wiele lat temu przekonałam się, że nie ma sensu z tym walczyć. Lepiej po prostu przez to przejść.

Lepiej mieć to za sobą.

Zapach błyskawicznie się ulotnił, przeminął wraz z drżeniem powiek i przyspieszonym tętnem -zastąpił go intensywny aromat kawy i czekolady. Zaciśnęłam mocniej palce na oparciu krzesła, zupełnie niepotrzebnie. Odzyskałam równowagę, rozluźniłam uścisk i ruszyłam dalej w kierunku kawianego kontuaru, by dodać do kawy cukru i śmietanki.

Minęły prawie dwa lata od poprzedniego ataku, który zresztą przebiegł równie łagodnie.

Fakt, że ten ostatni trwał zaledwie ułamek sekundy, nie przyniósł mi jednak wielkiej pociechy.

Przed laty cierpiałam na częste i ciężkie napady amnezji, które bardzo ograniczały moje życie.

Marzyłam w duchu, że wreszcie miną, raz na zawsze.

- Hej, laska! - zawołała Jen, rozsiadając się w boksie tuż przy drzwiach Mokki. Pomachała w moim kierunku. - Tutaj!

Skinęłam, a potem migiem dosypałam cukru i dolałam śmietanki. Sprawnie przedarłam się przez gęstą sieć stolików. Wśliznęłam się do boks i usiadłam naprzeciw niej.

- Hej!

- Co wzięłaś? - Jen zajrzała do mojego kubka, próbując odgadnąć, co jest w środku. Pociągnęła nosem. - German Chocolate?

- Blisko. Czekoladowy Specjał - rzuciłam nazwę jednej z kaw opisanych w karcie. - Z

dodatkiem syropu waniliowego.

- Mniem - cmoknęła. - Brzmi zachęcająco. Teraz moja kolej. Hej, a jakie ciastko wybrałaś?

- Muffina z jagodami. Zastanawiałam się nad czekoladową babeczką, ale w końcu uznałam, że za dużo tego dobrego - odparłam, prezentując ciastko na talerzyku.

- Że niby za dużo czekolady? Nigdy w życiu. Zaraz wracam.

Wymieszałam starannie kawę z syropem, dodatkową porcją cukru i śmietanki, a potem upiłam łyk, rozkoszując się słodyczą, którą większość ludzi uznałaby za przesadną. Jen miała rację. Trzeba było wziąć babeczkę.

To nie był najlepszy moment, by stanąć w kolejce. Poranna krzątanka zaczęła się na dobre.

Klienci ustawili się w laiku rzędach, które ciągnęły się aż do drzwi wejściowych. Jen spojrzała na mnie ze zniecierpliwieniem i ostentacyjnie wzruszyła ramionami. W odpowiedzi posłałam jej pełen współczucia uśmiech.

Gdy wchodziłam do kawiarni, było jeszcze zupełnie pusto, ale teraz ludzie czekali przy barze na swoją kolej i jednocześnie próbowali rezerwować stoliki. Pomachałam do Carlosa, który siedział w zacisznym kącie, ale on ze słuchawkami na uszach wpatrywał się w monitor laptopa. Carlos pisał

powieść. Przesiadywał w Mokce każdego ranka od dziesiątej do jedenastej, przed wyjściem do pracy, a w soboty, tak jak dziś, zostawał dłużej.

lisa, jak zwykle z plecakiem wypchany książkami, usiadła kilka stolików dalej. Kiwnęła do mnie, zupełnie nie zważając na rozpaczliwe gesty Jen nakazujące mi ją zignorować. Lisa sprzedawała produkty spożywcze firmy Spicefully Tasty, żeby opłacić studia prawnicze, i choć ja nigdy nie uważałam jej handlowych podchodów za irytujące, jen nie mogła ich znieść. Dziś jednak Lisa wydawała się skoncentrowana wyłącznie na podręcznikach i jeszcze na dobre nie ściągnęła płaszcza, a już wyciągała pióro, by zapisać coś w swoim notesie.

Byliśmy częstymi bywalcami Mokki i traktowaliśmy to miejsce jak nasz klub. Spotykaliśmy się tu rankiem, przed rozpoczęciem pracy, wieczorem w drodze powrotnej do domu oraz w weekendy, mrużąc oczy przekrwione po minionej nocy. Wypadki do Mokki były jedną z najlepszych form spędzania czasu w tej okolicy i choć przychodziłam tu zaledwie od kilku miesięcy, uwielbiałam to miejsce.

Zanim Jen wróciła do naszego boks, ściskając w dłoniach dużą filiżankę, z której dobywał się aromat mięty i czekolady, oraz talerzyk z lepką, rozlewającą się słodkością, tłum już wyraźnie się przerzedził. Stali klienci zajęli ulubione miejsca, a ci, którzy wpadli po kawę na wynos, już wyszli.

Mokkę wypełniał gwar rozmów i stukanie w klawiaturę. Kawiarniani goście chętnie korzystali z darmowego wi-fi. Lubiłam ten zgiełk. Dawał mi poczucie, że jestem tu i teraz. Właśnie w tej konkretnej chwili.

- Nie próbowała wcisnąć ci najnowszej odmiany pasty kremowo-serowej? Może wreszcie pojęła aluzję. - Jen podała mi widelec i choć początkowo zamierałam odmówić, uległam pokusie i skosztowałam jej czekoladowego brownie.

- Szczerze mówiąc, lubię rzeczy od Spicefully Tasty - stwierdziłam nieco zaczepnie.

- Phi - parsknęła Jen. - Daj spokój!

- Naprawdę! - upierałam się. - Owszem, są drogie, ale bardzo wygodne. Gdybym na poważnie zajmowała się gotowaniem, nie mogłabym się bez nich obyć.

- Nie gadaj. Zamiast wydawać tyle forsy na garść przypraw, lepiej kupić za grosze poszczególne składniki w dyskoncie i samej zmieszać. Nie żebym tak robiła - dodała szybko - ale mogłabym.

- Może w przyszłym miesiącu - pociągnęłam łyk stygnącej kawy, delektując się bogactwem jej smaku. - Kiedy wreszcie opłacę rachunki.

- Będziesz miała ciekawsze rzeczy do roboty. . Och! Co za przystojniak. Wreszcie -Jen ściszyła głos.

Odwrociłam się, podążając za jej wzrokiem. Przed oczami mignął mi najpierw długi, czarny płaszcz i szalik w czerwono-czarne prążki. Ujrzałam mężczyznę, który trzymał pod pachą grubą plik gazet. W erze smartfonów i wszechobecnego internetu było to nader osobliwe zjawisko, więc aż dwa razy musiałam się za nim obejrzeć. Odezwał się do dziewczyny przy barze, która zdawała się go znać. Chwyił pusty kubek i skierował się do długiego kontuaru, na którym stał

samoobsługowy ekspres do kawy.

Musiałam przyznać, że miał naprawdę wspaniały profil. Rozjaśnione słońcem włosy niedbale zmierzwił nad czołem, prosty, niezbyt duży nos. Zmarszczki mimiczne podkreślały oprawę oczu, których koloru nie mogłam dojrzeć, ale zgadywałam, że były niebieskie. W skupieniu napełnił

kubek kawą, zaciskając pełne, choć nie nazbyt pełne usta, a potem odmierzył porcję cukru i śmietanki.

- Kto to jest? - zapytałam.

- Kobieto - powiedziała ściszym, lekko chropawym głosem. - Nie wiesz, kto to jest?

- Gdybym wiedziała, chyba bym nie pytała?

Mężczyzna w czarnym płaszczu przeszedł tak blisko nas, że poczułam jego zapach.

Pomarańcze.

Przymknęłam oczy, gdy dobiegła mnie kolejna fala intensywnej woni. Mocny smak kawy na języku powinien zabić wszystkie inne doznania, ale nie zabił. Powinnam czuć kawę i czekoladę, ale czułam tylko pomarańcze. Znów. Pochyliłam głowę i przycisnęłam opuszki palców do czoła dokładnie między oczami. Ten magiczny zabieg pomagał zazwyczaj na bóle głowy, niestety w ogóle nie działał w przypadku napadów amnezji.

Tym razem jednak, gdy otwierałam oczy, zabrakło znajomej palety kolorów wirujących wokół

granic mojego pola widzenia. Zapach pomarańczy wyraźnie słabł, w miarę jak mężczyzna w czarnym płaszczu się oddalał. Patrzyłam, jak siada przy swoim stoliku, tyłem do nas. Odłożył gazetę, odstawił kubek z kawą i zdjął płaszcz.

- Wszystko w porządku? - Jen pochyliła się, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. - Wiem, że jest piekielnie seksowny i tak dalej, ale do cholery, Emm! Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć.

- Syndrom napięcia przedmiesiączkowego - odparłam. - To mi się zdarza w tych dniach.

- Przesrane. - Jen skrzywiła się.

- Co ty powiesz? - uśmiechnęłam się szeroko na znak, że nic mi nie jest, i dzięki Bogu tak właśnie było. Na szczęście nie była to zapowiedź ataku, jaki przydarzył mi się wcześniej. Poczułam pomarańcze, ponieważ mężczyzna nimi pachniał, a nie z powodu jakichś spartaczonych wyładowań w moim mózgu. -Nieważne. A zatem kto to jest?

- Johnny Dellasandro we własnej osobie.

Moja twarz musiała wyrażać absolutną pustkę, jaką zresztą miałam w głowie, bo Jen wybuchnęła śmiechem.

- *Śmieć? Skóra? Nawiedzony klasztor?* Niebawem, wciąż nic ci to nie mówi?

- Co niby ma mówić? - potrząsnęłam głową.

- Ech, stara, gdzieś ty się chowała? Nie miałaś kablówki w domu?

- Pewnie, że miałam.

- Johnny Dellasandro występował w tych filmach. Pokazywali je często w nocnym paśmie „Tylko dla dorosłych” jako alternatywę dla piżama party.

Matka nigdy nie puszczała mnie na całonocne balangi u znajomych. Za bardzo się o mnie niepokoiła. Pozwalała mi pójść na imprezę, pod warunkiem że osobiście odbierze mnie przed północą. Wolno mi było jednak urządzać takie przyjęcia w domu.

- Pewnie, że pamiętam „Tylko dla dorosłych”, chociaż to było wieki temu.

- *A Puste przestrzenie?*

Mimo że ten tytuł brzmiał bardziej znajomo, wciąż nie wiedziałam, o kim mowa. Wzruszyłam ramionami i znów na niego spojrzałam.

- Nie znam.

Jen westchnęła i zerknęła przez ramię w jego stronę, a potem pochyliła się do mnie i ścisząc głos, zmusiła mnie, bym przysunęła się bliżej.

- Johnny Dellasandro, ten artysta? Na początku lat osiemdziesiątych zasłynął serią portretów *Puste przestrzenie*. Coś w rodzaju odpowiednika *Mony Lisy* Andy’ego Warhola.

Być może w muzeum zwróciłabym uwagę na obrazy Warhola, gdyby stały w jednym rzędzie z van Goghkiem, Dalim i Matisse’em. Ale w innym wypadku...

- To ten facet, co zrobił te puszki z zupą? I Marilyn Monroe?

- Owszem, to był Warhol. Prace Dellasandra nie były aż tak kiczowate, choć trochę bardziej wpisywały się w mainstream. *Puste przestrzenie* były jego przełomowym dziełem.

- Powiedziałaś: „były”. Już nie zajmuje się sztuką? Nachyliła się do mnie jeszcze mocniej, a ja do niej. - Ma galerię sztuki przy głównym pasażu. Błaszany Anioł. Znasz? - ciągnęła.

- Przechodziłam obok, ale nigdy nie zajrzałam do środka.

- To właśnie jego galeria. Wystawia wielu lokalnych artystów, ale sam też wciąż tworzy. Obscuje ze sztuką wyższych lotów niż to - wskazała na ściany kawiarni, które zdobiły prace miejscowych twórców, w tym jej własne. - Od czasu do czasu sprowadza jakieś wielkie nazwisko. Na co dzień jednak działa dyskretnie, bez fajerwerków. Przynajmniej tu w okolicy. Chyba nie mam mu tego za złe.

- Jasne - przyznałam, nie spuszczając z niego wzroku. Przerzucał strony gazety tak wolno, jakby czytał każde słowo. - Zastanawiam się, jakie to

uczucie?

- Co?

- Być sławnym, a potem... już nie.

- Ależ on wciąż jest sławny. Tylko inaczej. Nie wierzę, że nigdy o nim nie słyszałaś. Nawiasem mówiąc, mieszka tu, na tej ulicy, w domu z elewacją z czerwonego piaskowca.

Oderwałam wzrok od Johnny'ego Dellasandra i spojrzałam na przyjaciółkę.

- W którym?

- Którym - Jen wzniosła oczy do nieba. - W tym fajnym.

- O kurde, naprawdę? Rany! - Znów na niego spojrzałam. Niedawno kupiłam taki dom na Drugiej Ulicy. Wciąż wymagał remontu, choć poprzedni właściciel częściowo go odnowił. Jednak ten, o któ-

rym wspomniała Jen, robił imponujące wrażenie: odrestaurowana elewacja, mosiężne elementy orynnowania i wypielęgnowany ogródek otoczony gęstym żywopłotem. - To on tam mieszka?

- W zasadzie jesteście sąsiadami. Nie mogę uwierzyć, że nie wiedziałaś.

- Ledwie go kojarzę - odparłam, choć teraz, kiedy Jen tyle o nim opowiedziała, tytuł *Puste przestrzenie* wydał mi się bardziej znajomy. - O ile pamiętam, pośrednik agencji podczas sprzedaży nie wspominał o bonusie w postaci atrakcyjnego sąsiada.

Jen zaśmiała się.

- Pewnie nie. Dellasandro to raczej dyskretny facet. Kiedyś często tu wpadał, ale ostatnio dawno go nie widziałam. Nie rozmawia wiele z ludźmi. Raczej zamknięty typ.

Dopiłam resztkę kawy i rozważałam w myśli, czy pójść po gratisową dolewkę. Wtedy musiałabym przejść tuż obok niego i wracając, wreszcie zobaczyłabym jego twarz. Jen chyba czytała w moich myślach.

- Warto na niego rzucić okiem - przyznała. - Bóg jeden wie, ile razy każda z nas, obecnych w tej kawiarni, wykonała taką rundkę tylko po to, żeby niemal otrzeć się o jego plecy. Nawet Carlos.

Zresztą wydaje mi się, że on rozmawia tu tylko z Carlosem.

Roześmiałam się.

- Na serio? Dlaczego? Lubi facetów?

- Kto? Carlos?

Mogłabym się założyć, że Carlos nie jest gejem. Zauważyłam, w jaki sposób patrzy na kobiety tyki, kiedy wydawało mu się, że nikt nie widzi.

- Nie. Dellasandro.

- Och, stara -jęknęła Jen.

Podobało mi się, że zwraca się do mnie, jakbyśmy były przyjaciółkami od lat, a nie od kilku miesięcy. Przeprowadzka do Harrisburga nie była dla mnie łatwa. Nowa praca, nowe mieszkanie, nowe życie -przeszłość rzekomo została w tyle, ale czułam, że jeszcze na dobre nie odeszła. Jen była chyba pierwszą osobą, którą tu poznałam, właśnie w Mokce, i z którą od razu się zaprzyjaźniłam.

- O co ci chodzi? - nie przestawałam mu się przyglądać.

Del asandro poślinił palec wskazujący i przerzucił kolejną stronę gazety. To na pewno nie było aż tak seksowne, jak mi się wydawało. Chyba Jen zaraziła mnie swoją ekscytacją i dlatego zrobił na mnie tak duże wrażenie, zdecydowanie za duże, biorąc pod uwagę, że jeszcze kilka minut temu nie wiedziałam o jego istnieniu. Ledwie zerknęłam na jego twarz i przez niespełna kwadrans wpatrywałam się w jego plecy.

- Musisz obejrzeć jego filmy, a sama się przekonasz. Johnny Dellasandro to... wielka legenda.

- Nie może być aż tak wielką legendą, skoro nigdy o nim nie słyszałam.

- Niech będzie - zgodziła się Jen. - Legenda dla specyficznego odbiorcy. Wysublimowanego.

- Chyba nie jestem dostatecznie wysublimowana - zaśmiałam się bez cienia urazy. Kilka razy odwiedziłam Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Z całą pewnością nie byłam specyficznym odbiorcą.

- Żałuj. Poważnie. Założę się, że to właśnie przez nałogowe oglądanie filmów Johnny'ego Dellasandra jestem na wieki wieków stracona dla porządnym facetów.

-Współczuję - odparłam. -Jeżeli w ogóle istnieje coś takiego jak porządny facet, w co śmiem wątpić.

Roześmiała się i wbiła widelec w brownie, jeszcze raz zerkając przez ramię. Uniosła w moją stronę wielki kawał czekoladowej pychotki.

- Wpadnij dziś wieczorem. Mam całą kolekcję jego DVD. A to, czego nie mam, odtworzymy z interftbca.

-Świetnie.

Uśmiechnęła się i włożyła resztę ciastka do ust.

- Stara, wprowadzę cię w świat sztuki przez duże S.

- I on tu mieszka, tak?

- Przecież mówiłam, nie? - Jen znów spojrzała przez ramię.

Jeśli Dellasandro miał świadomość, że jego osobę właśnie poddano skrupulatnej analizie, absolutnie nie dał tego po sobie poznać. Zdawał się na nikogo nie zwracać najmniejszej uwagi. Po prostu czytał gazetę i pił kawę. Od czasu do czasu przerzucał stronę i podkreślał palcem linijki drukowanego tekstu.

-Na początku nie byłam nawet pewna, czy to w ogóle on. Któregoś dnia wpadam do Mokki i kogo widzę: Johnny jebaka Dellasandro. -Jen uśmiechnęła się promiennie, a potem westchnęła z rozkoszą. - Stara, dosłownie poczułam się, jakby był sprawcą orgazmów na odległość.

Na te słowa parsknęłam śmiechem i kawa, którą właśnie przełykałam, zamiast do żołądka, wpadła prosto do płuc. Zachłysnęłam się, zakrztusiłam, a z oczu poleciały mi łzy. Zakryłam dłonią usta, ale nie dało się całkowicie stłumić hałasu. Jen roześmiała się.

- Ręce do góry! Podnieś ręce do góry! To powstrzyma kaszel!

Moja matka zawsze tak powtarzała. Ledwie uniosłam jedną rękę i kaszel zelżał. Ściągnęłam na siebie ciekawskie spojrzenia, ale dzięki Bogu żadne z nich nie należało do Dellasandro.

- Następnym razem mnie uprzedź, zanim powiesz coś w tym stylu.

- W jakim stylu? - Niewinnie zatrzepotała rzęsami. - Chodzi ci o sprawcę orgazmów na odległość?

Znów zachichotałam, tym razem jednak obyło się bez zachłyśnięcia.

- Tak, właśnie o to.

- Uwierz mi - odparła Jen. - Kiedy zobaczysz jego filmy, sama zrozumiesz, w czym rzecz.

- Niech będzie. Przekonałaś mnie. Zresztą nie mam żadnych, pozał się Boże, planów na wieczór. Taka ze mnie frajerka.

- Stara, skoro brak planów na wieczór czyni z człowieka frajera, ja też nim jestem. W

takim razie spędźmy razem frajerski, pozał się Boże, wieczór. Będziemy lizać lody i ogryzać paznokcie przy starych filmach z gatunku art porno.

- Art porno? - Rzuciłam szybkie spojrzenie w stronę Dellasandro, który kończył czytać gazetę.

- Poczekaj, a sama się przekonasz - zapewniła Jen - kiedy wreszcie ujrzysz go w pełnej krasie.

- Nic dziwnego, że z nikim tu nie gada. Gdybym ja słyneła z potrząsania frędzlem, też bym wolała trzymać się z boku, w nadziei że nikt mnie nie rozpozna.

Jen głośno parsknęła, ściągając na siebie więcej ciekawskich spojrzeń niż ja chwilę wcześniej.

Dellasandro wciąż siedział niewzruszony.

- To chyba nie tak. - Jen przeciągnęła palcem po roztopionej czekoladzie, a potem go oblizwała. - To znaczy, nie wydaje mi się, żeby lubił się tym przechwalać, ale na pewno się nie wstydzi. I wcale nie ma czego. W końcu uprawiał sztukę - mówiła teraz poważnie. - Prawdziwą sztukę. On i jego przyjaciele tworzyli grupę artystów znaną jako Enklawa. To właśnie oni zaczęli tworzyć ambitne kino dla masowego odbiorcy. Kręcili filmy artystyczne, które wyświetlano w popularnych salach kinowych, wprawdzie tylko dla dorosłych, ale co z tego.

- No co ty... - Nie wiedziałam wiele o sztuce, ale jej słowa zrobiły na mnie wrażenie.

Poza tym ten facet coś w sobie miał. Może przez ten długi, czarny płaszcz i niedbale zawiązany szal, bo przecież mam słabość do facetów, którzy ubierają się w taki sposób, jakby w ogóle nie obchodziło ich to, co mają na sobie, a mimo to wyglądają cholernie dobrze. A może przez zapach pomarańczy, który roztaczał wokół siebie i którego właściwie nie lubiłam, a nawet nie znosiłam, bo zazwyczaj zwiastował atak. A może był to opóźniony efekt lekkiego napadu amnezji, który jednak przydarzył mi się chwilę wcześniej. Zazwyczaj w pierwszych chwilach po odzyskaniu świadomości ten „prawdziwy” świat odczuwałam ze zdwojoną siłą. Nie wiem dlaczego, ale zwłaszcza gdy doznawałam halucynacji, powrót do rzeczywistości zdawał się bardziej intensywny. Wprawdzie już dawno nie miałam halucynacji ani nawet najdrobniejszych ich zwiastunów, ale i tak ogarnęło mnie to uczucie.

- Emm?

Drgnęłam. Zdałam sobie sprawę, że Jen do mnie mówi. Byłam zupełnie nieobecna, ale tym razem nie mogłam zrzucić winy na zaburzenia funkcjonowania mózgu.

- Przepraszam.

- W takim razie dziś wieczorem? Przygotuję margarity. Zamówimy pizzę - urwała nagle. Na jej twarzy malowała się rozpacz. - Ale obciach, co?

- Wiesz, co to obciach? Odpicować się i sterczeć przy barze w nadziei, że jakiś frajer w prążkowanej koszuli skropionej perfumami Polo zagada do ciebie. To jest obciach.

- Masz rację. Prążkowane koszule za bardzo trącą rocznikiem 2006.

Roześmiałyśmy się. Chodziłam czasem z Jen do okolicznych barów. Koszule w prążki wciąż cieszyły się dużą popularnością, szczególnie wśród

młodych ziomali - takich, co lubują się w kupowaniu kolejek wódki w galaretkach u roznegliżowanych panienek, żeby pokazać, jacy z nich wymiatacze.

Jen zerknęła na zegarek.

- Cholera! Muszę lecieć. Umówiłam się z bratem, że zabierzemy babcię na zakupy do supermar-ketu. Ona ma osiemdziesiąt dwa lata i nie może prowadzić auta ze względu na wzrok. I uwielbia doprowadzać naszą mamę do szaleństwa.

- W takim razie powodzenia - zaśmiałam się.

- Kocham ją, ale taka z niej uparciucha, że bez brata nie dałabym rady. Czyli wieczorem u mnie.

Koło siódmej? Nie możemy zacząć zbyt późno. Mamy sporo filmów do obejrzenia!

Choć nie mogłam sobie wyobrazić, że obejrzymy więcej niż dwa filmy, przytaknęłam.

- Oczywiście. O siódmej u ciebie. Przyniosę przekąski i coś słodkiego.

- Świetnie. Do zobaczenia! - Jen wstała i nachyliła się nade mną. - Radzę ci iść teraz po gratisową dolewkę! Rusz się, zanim on wyjdzie.

Dellasandro złożył gazetę i wstał, by włożyć płaszcz. Nadal nie mogłam zobaczyć jego twarzy.

- A ja radzę ci zaczekać tutaj, jak gdyby nigdy nic, aż on podejdzie do drzwi, i wtedy ruszyć do wyjścia, żeby musiał przytrzymać dla ciebie drzwi - odparłam.

- Świetny plan - przyznała. - Szkoda tylko, że nie mogę tu czekać jak gdyby nigdy nic. Ja spadam, będziesz musiała sama zrealizować swój świetny plan.

Znów się zaśmiałyśmy. Patrzyłam, jak Jen wychodzi z Mokki, a potem odszukałam wzrokiem Dellasandra. Ściskając gazetę pod pachą, odstawił pusty kubek na kontuar i udał się do toalety na tyłach kawiarni. Teraz nadarzyła się dobra okazja, żeby pójść po dolewkę, za którą przecież zapłaci-

łam, ale nie miałam ochoty na więcej kawy. Nie miałam konkretnych planów - w perspektywie tylko cały długi dzień i żadnych pokus, by opuścić to kawiarniane zacisze. Nie przyniosłam jednak ani nic do czytania, ani laptopa, żeby buszować po sieci, a w domu czekało mnie rozpakowywanie pudeł po przeprowadzce i zaległe porządki. No i na pewno wiadomość od matki.

Postawiłam kubek na kontuarze i omiotłam łakomym spojrzeniem ciastka na wystawie. Lepiej sama coś upiekę. Domowe brownie będzie bez dwóch zdań lepsze, mimo że to z Mokki pokrywała gruba na pół cala polewa o smaku krówki, której ja nie umiałam przyrządzić. Zaburczało mi w brzuchu, choć chwilę wcześniej zjadłam muffina. Zły znak.

- Podać coś? - burknęła Milena, chyba najbardziej antypatyczna osoba, jaką w życiu spotkałam.

To imię jakoś do niej nie pasowało.

- Nie, dzięki - nerwowo poprawiłam pasek od torebki na ramieniu. Zrugałam się w duchu, że powinnam jak najszybciej wrócić do domu i zjeść kanapkę z pastą jajeczną albo cokolwiek innego, zanim niebezpiecznie spadnie mi poziom cukru we krwi. Głód nie tylko sprawiał, że czułam się rozdrażniona, ale mógł też wywołać napad amnezji. Po porannym incydencie nie chciałam zrobić nic, co sprowokowałoby następne ataki. Kofeina i cukier skutecznie im zapobiegały, ale pusty żołądek osłabiał zbawienne działanie przesłodzonej kawy.

Dellasandro szedł w kierunku wyjściowych drzwi zaledwie parę kroków za mną. Gdy pchnęłam szklane skrzydło, rozległ się dźwięk miedzianego dzwoneczka i zorientowałam się, że ktoś za mną idzie. Odwróciłam się, jedną ręką wciąż przytrzymując drzwi, żeby nie zatrzasnęły się przed czymś nosem. I wtedy go ujrzałam. Czarny prochowiec, szalik w drobne paski, rozświetlone słońcem włosy.

Wcale nie miał niebieskich oczu.

Tylko piwne, ciemne odcienie zieleni i brązu. Jego twarz była idealna, nawet mimo zmarszczek mimicznych wokół zewnętrznych kątek oczu. Dopiero z bliska spostrzegłam połyskujące, srebrne nitki przy skroniach. Wcześniej wydawało mi się, że dobiega czterdziestki, że dzieli nas zaledwie kilka lat, choć oczywiście, skoro szczyt jego kariery przypadał na lata siedemdziesiąte, musiał być dużo starszy. W życiu bym nie odgadła jego wieku, nawet teraz, kiedy już co nieco o nim wiedziałam. Miał piękne rysy.

Twarz Johnny'ego Dellasandra była dziełem sztuki.

I wtedy puściłam drzwi.

- Rany boskie - syknął i instynktownie odskoczył.

Czysty nowojorski akcent.

Drzwi zatrzasnęły się między nami. Promienie słoneczne odbijały się w dzielącej nas tafli szkła.

Nie widziałam dokładnie jego miny, ale było jasne, że musiałam go nieźle wkurzyć.

Złapałam za klamkę i w tej samej sekundzie on także pchnął drzwi. Pod ich naporem zatoczyłam się lalka kroków w tył.

- O kurczę, przepraszam! - wykrztusiłam.

Nawet na mnie nie spojrzął, tylko wyminał mnie, mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwa.

Rogiem wciśniętej pod pachę gazety trącił moje ramię. Nie zwrócił na to uwagi. Poły jego płaszcz uniosły się od nagłego powiewu wiatru, a ja stałam jak wryta, z trudem łapiąc powietrze.

Zapach pomarańczy.

- Mam! Wszystko u mnie w porządku - zapewniłam, nie dlatego, że wtedy martwiła się mniej, ale dlatego, że gdybym tego nie zrobiła, na pewno martwiłaby się bardziej. - Daję słowo, nic mi nie jest.

- Żałuję, że wyprowadziłaś się tak daleko - głos matki w słuchawce brzmiał niespokojnie.

Zawsze tak brzmiał.

- Czterdzieści minut drogi to wcale nie tak dużo. Zresztą mam teraz bliżej do pracy, no i wspaniałe mieszkanie.

- W wielkim mieście!

- Och, mam! - wybuchnęłam śmiechem, choć wiedziałam, że żarty nie poprawią jej nastroju. -

Harrisburg jest wielkim miastem tylko w teorii.

- I to w śródmieściu! Właśnie mówili w wiadomościach, że zaledwie kilka kilometrów od twego domu doszło do strzelaniny.

- Doprawdy? A w Libanie w zeszłym tygodniu był atak samobójczy - wypaliłam. - Ile to kilometrów od ciebie?

- Emm, nie wygłupiaj się - westchnęła mama.

- Ja się nie wygłupiam, mam. Mam trzydzieści jeden lat. Najwyższy czas na wyprowadzkę.

- Chyba masz rację - westchnęła po raz kolejny. - Nie możesz na zawsze zostać moją małą córeczką.

- Już od dawna nie jestem twoją małą córeczką.

- Po prostu czułabym się spokojniejsza, gdybym wiedziała, że nie jesteś tam sama. Gdybyście tylko ty i Tony...

- Mam - przerwałam jej szybko. - Tony i ja zerwaliśmy i mieliśmy ku temu wiele powodów, prawda? Przestań więc wciąż o nim mówić. Przecież nawet go nie lubiłaś.

- Bo uważałam, że nie będzie umiał odpowiednio się o ciebie zatroszczyć.

Tuż akurat miała rację. I bynajmniej nie chodziło o to, że rzeczywiście wymagałam takiej opieki, jak sądziła. Nie chciało mi się jednak z nią rozmawiać o moim byłym. Nie teraz, a właściwie to nigdy.

- Jak się ma tata? - zmieniłam temat, żeby mogła powiedzieć o kolejnym człowieku w jej życiu, o którego za dużo się martwiła.

- Och, znasz przecież ojca. W kółko mu powtarzam, żeby w końcu poszedł do lekarza i się przeba-dał, ale on nigdy tego nie robi. A przecież ma już pięćdziesiąt dziewięć lat, sama wiesz.

- Mówisz, jakby był już staruszką.

- Nie jest młodzieniaszką - odparła.

Zaśmiałam się i przycisnęłam ramieniem słuchawkę do ucha. Potem otworzyłam duże pudło z książkami, które wstawiłam do jednej z nieużywanych sypialni. Zamierzałam tu urządzić biblioteczkę, nawet już skręciłam i odkurzyłam regały. Teraz wystarczyło tylko poustawiać tomy na półkach. Wiedziałam, że odetchnę z ulgą, kiedy wreszcie uporam się z tym zadaniem, ale z jakiegoś powodu odwlekałam je już od miesięcy.

- Co robisz? - zapytała mama.

- Rozpakowuję pudła z książkami.

- Ojej, ostrożnie, Emm! Możesz wzniecić kurz!

- Mam, ja nie choruję na astmę. - Wyciągnęłam stertę gazet, którą wsunęłam na wierzch kartonowego pudła. Powrzucałam tu książki nie według porządku, w jakim stały na regale, ale w taki sposób, żeby jak najwięcej zmieściło się w kartonie. Wyglądało na to, że tu upchnęłam głównie albumy, które otrzymałam w prezencie albo wypatryłam w sklepach Armii Zbawienia, gdzie sprzedawano używane rzeczy, a część zysku przeznaczano na cele charytatywne. Od zawsze marzyłam, żeby dużo czytać, ale jakoś nigdy nie udało mi się tego zrealizować.

- Wiem. Ale musisz na siebie uważać.

- Mam, proszę. Wystarczy już - teraz ja zaczynałam się irytować.

Matka zawsze była nadopiekuńcza. Kiedy miałam sześć lat, spadłam z drabinki na szkolnym po-dwórku. W tamtych czasach na placach zabaw nie stosowano jeszcze starych opon ani innych miękkich tworzyw dla zwiększenia bezpieczeństwa bawiących się dzieci. Maluchy objęły sobie najczęściej ręce albo nogi. Ja rozbiłam sobie głowę.

Przeleżałam w śpiączce cały tydzień z powodu obrzęku mózgu, któremu lekarze nie byli w stanie zaradzić standardowymi metodami. Moi rodzice już niemal zgodzili się na eksperymentalną operację mózgu, kiedy nagle otworzyłam oczy, usiadłam na łóżku i poprosiłam o lody.

Niedowład czy paraliż, którego spodziewali się lekarze, nigdy nie nastąpił. Ani całkowita utrata pamięci, ani żadne inne typowe symptomy uszkodzenia mózgu. Jeśli już, to miewałam problemy raczej z zapominaniem niż zapamiętywaniem. Nie pozostały żadne trwałe urazy - przynajmniej nie te fizyczne. Musiałam się tylko nauczyć radzić sobie z zaburzeniami świadomości.

Matka i ojciec myśleli już, że mnie stracili. Nic, żadne zatarte wspomnienia wygrzebane z mroku śpiączki nigdy jej nie przekonały, że byłam od tego daleka. Kiedyś, gdy byłam młodsza, raz czy dwa próbowałam ją uspokoić. Nakłonić, żeby choć trochę odpuściła. Nie chciała mnie słuchać. Chyba nie mogłam jej za to winić. Nie miałam przecież pojęcia, co znaczy matczyzna miłość, ani tym bardziej strach przed utratą dziecka.

- Przepraszam - szepnęła.

Przynajmniej wiedziała, kiedy przesadziła. Starła się ze wszystkich sił nie wychować mnie na złąknione i strachliwe dziewczę, chociaż dla niej oznaczało to poobgryzane do krwi paznokcie i cał-

kowitą siwiznę w wieku czterdziestu lat. Pozwalała mi o sobie decydować, mimo że nienawidziła każdej sekundy mojej niezależności.

- Wpadaj do mnie od czasu do czasu - zaproponowałam. - To naprawdę nie jest daleko. Zjemy razem obiad. Tylko ty i ja, taki dziewczyński dzień.

- Och, pewnie. Z przyjemnością - rozpromieniła się.

Sądziłam jednak, że nie skorzysta z zaproszenia. Mama nie cierpiała jeździć samotnie w dalekie trasy. Jeśli rzeczywiście przyjedzie, przyciągnie ze sobą ojca. To nie tak, że nie kocham mojego taty albo nie chcę się z nim spotykać. Pod wieloma względami z nim łatwiej było się dogadać niż z matką, ponieważ bez względu na to, jak wielki niepokój nosił w sercu, zatrzymywał go dla siebie. No ale w jego towarzystwie to nie byłby przecież dziewczyński dzień. Poza tym robił się nieznośny, gdy za długo przebywał z dala od swego rozkładanego fotela, w którym zazwyczaj oglądał sport w telewizji.

A ja przecież nie miałam jeszcze nawet kablówki.

- Widziałam go kilka dni temu, Emm.

Zatrzymałam wzrok na dużym albumie z fotografiami najpiękniejszych katedr, który właśnie wyciągnęłam z pudła. Jeśli miałby stać na regale w pozycji pionowej, trzeba by zmienić wysokość półek. Najlepiej prezentowałby się w jakimś widocznym miejscu, na przykład na stoliku do kawy.

Przerzuciłam kilka kartek, zastanawiając się, czy sprzedać ten egzemplarz na Craigslist.

- Kogo?

- Tony'ego - rzuciła niecierpliwie.

- Na litość boską, mamo!

- Świetnie wyglądał. I pytał o ciebie.

- Nie wątpię - odparłam cierpko.

- Odniosłam wrażenie, że interesowało go, czy... już kogoś poznałaś.

Zastygłam, ściskając w rękę grubą księgę. Ta nosiła tytuł *Kinematografia amerykańska*. Kolejna zdobycz upolowana na wyprzedaży. Miałam słabość do wyprzedaży, a już zwłaszcza wyprzedaży książek. Brałam wszystko, co wpadło mi w ręce, nawet jeśli temat za grosz mnie nie interesował.

Lubiłam wrywać kolorowe ilustracje, oprawiać je i wieszać na ścianie. To chyba dowodzi, że nigdy należycie nie doceniałam sztuki.

- Co by to go miało obchodzić?

-A skąd mogę wiedzieć, Emm? - zamilkła na chwilę. - A masz kogoś?

Właśnie miałam odpowiedzieć, że nie, gdy przed oczami mignął mi czarny płaszcz i szal w paski.

Ziemia zadrżała pod moimi stopami. Mocniej ścisnęłam telefon w spoczonej dłoni. Nagle album wydał

mi się zbyt ciężki i upuściłam go na podłogę.

- Emm?

- W porządku, mamo. Książka wypadła mi z ręki. Żadnych wirujących kolorów, żadnego zapachu cytrusów wręczającego się w nozdrza. Zrobiło mi się trochę niedobrze, ale to chyba na skutek resztek włoskiego dania, które wcześniej zjadłam. Zdaje się, że trochę za długo przeleżało w lodówce.

- Nie byłoby źle, gdybyś kogoś poznała. Powinnaś to zrobić.

- Taa... jeśli poznam jakiegoś faceta, nie omieszkam od razu go powiadomić, że zdaniem mamusi nie nadaję się na singielkę. Wtedy mam randkę murowaną.

- Sarkazm ci nie służy, Emmaline.

Zachichotałam.

- Muszę kończyć, mamo. Chcę rozpakować resztę pudeł i jeszcze zrobić pranie. Wieczorem jestem umówiona z przyjaciółką, Jen.

- Och, to znaczy, że masz przyjaciółkę!

Kocham moją matkę. Naprawdę ją kocham. Ale czasami mam ochotę ją udusić.

- Tak, mamo. Prawdziwą przyjaciółkę.

Tym razem to ona się roześmiała. Jej głos brzmiał radośniej niż na początku rozmowy.

- Cieszę się, że spędzasz czas z przyjaciółką, a nie siedzisz sama w domu. Ja tylko... Martwię się o ciebie, kochanie. I tyle.

- Wiem. I wiem, że już zawsze tak będzie.

Pożegnałyśmy się, zapewniwszy się o wzajemnej miłości. Moi znajomi nigdy nie mówili swoim rodzicom, że ich kochają. Cieszyłam się, że w moim przypadku było inaczej. Nigdy z tego nie wyrosłam, a moja matka bardzo tego pilnowała. Pewnie za każdym razem, gdy rezygnowała z tego wyznania, obawiała się, że właśnie straciła ostatnią szansę, by mnie o tym zapewnić. Mimo to lubiłam ten nasz zwyczaj.

Album, który upuściłam, otworzył się gdzieś pośrodku, rozrywając zszywanie. Westchnęłam ze smutkiem. Pochyliłam się, żeby go podnieść, i zneruchomiałam. Przed moimi oczami widniał tytuł

jednego z rozdziałów: *Ambitne kino lat siedemdziesiątych*. Całą stronę zajmował lśniący, czarno-biały portret nieprawdopodobnie przystojnego mężczyzny, który patrzył prosto w obiektyw.

Johnny Dellasandro. We własnej osobie.

Rozdział 2

- Od czego zaczynamy? Na co masz ochotę? - Jen otworzyła drzwi szafki wypełnionej filmami DVD. Przesunęła rękę po grzbietach okładek i zatrzymała palec na jednej z nich. Spojrzała na mnie znacząco. - Wolisz na początek coś lżejszego czy od razu z grubej rury?

Przyniosłam album *Kinematografia amerykańska*, który leżał teraz przede mną otwarty na stronie z portretem boskiego Dellasandra.

- Z jakiego filmu jest to zdjęcie? Jen przyglądała mu się przez chwilę.

- *Pociąg potępionych*. Ja też rzuciłam okiem.

- To ma być horror?

- Taa... Nie przepadam za tym filmem. W ogóle nie trzyma w napięciu - dodała. - Przynajmniej Johnny się rozbiera.

- Naprawdę? - zdziwiona uniosłam brwi.

- Niestety nie pokazuje wszystkiego - wyszczerzyła zęby w uśmiechu, szukając filmu na półce. -

Wiesz, w latach siedemdziesiątych kręcili dość plastyczne filmy. Sporo w nich krwi. Nie będzie ci to przeszkadzać?

Spędziłam tyle czasu w szpitalach i na izbach przyjęć, że takie rzeczy nie robiły na mnie wrażenia.

-Nie.

- *Pociąg potępionych*. Jest! - Jen wyciągnęła płytę z pudełka i włożyła do odtwarzacza.

Potem chwyciła pilota, włączyła telewizor, odszukała odpowiedni kanał i usiadła obok mnie. - Jakość obrazu pozostawia wiele do życzenia. Znalazłam ten film na wyprzedazy w jakimś markecie.

-Wygląda na to, że jesteś wielką fanką Dellasandra. - Przesunęłam miskę z popcornem i pochyliłam się w kierunku stolika, żeby jeszcze raz przyjrzeć się fotografii w albumie.

Nie wspomniałam Jen o tym, że niemal przywaliłam drzwiami w nos Johnny'ego, ani o tym, że całą godzinę gapiałam się na czarno-biały portret, studiując każdy por, każdą krzywiznę, każdą zmarszczkę na jego twarzy. Miał włosy zebrane do tyłu i związane nisko tuż nad karkiem. Nosił je wtedy dłuższe. Oczywiście wyglądał młodziej, bo przecież zdjęcie zrobiono jakieś trzydzieści lat temu.

Ale wcale nie dużo młodziej.

-Dobrze się trzyma - zauważyła Jen, wpatrując się w fotografię. - Odrobinę nabral ciała, zapracował na kilka zmarszczek więcej. Mimo to wciąż wygląda zakurwiście dobrze. Musisz go koniecznie zobaczyć latem, bez tego długiego płaszcza.

Z głośników popłynęły przerywane takty muzyki, Ułożyłam się wygodnie na sofie, podciągając kolana pod brodę.

- Naprawdę nigdy nie zamieniłaś z nim ani słowa?

- W życiu! Bałabym się.

- Czego? - uśmiechnęłam się.

Jen podkręciła dźwięk pilotem. Na razie na ekranie pojawił się tylko ociekający krwią tytuł, a potem pierwsze ujęcie pociągu mknącego po torach wśród wysokich górskich szczytów.

- Na pewno miałabym jęzorem, aż palnęłabym coś głupiego.

- Przesadzasz.

Roześmiała się i odłożyła pilota, żeby wziąć pełną garść popcornu.

- Poważnie. Kiedyś spotkałam Shane'a Eastona. Kojarzysz go? Wokalista lipstick Guerrillas?

- Aha...

- Grali któregoś razu w Indie Palooza w Hershey. Moja przyjaciółka zdobyła wejściówki za scenę. Występowało chyba z dziesięć czy piętnaście kapel. Był upał jak cholera. Piłyśmy piwo, bo kosztowało półtora dolara, a woda cztery dolce za butelkę. Powiedzmy, że byłam trochę wstawiona.

- No i co mu powiedziałaś?

- Ze dosiadłabym go jak ognistego ogiera. Jeśli dobrze pamiętam.

- O kurczę.

- Tak, wiem - westchnęła przesadnie i otworzyła puszkę dietetycznej coli. - Nie popisałam się wtedy.

- Nie przesadzaj. Mogło być gorzej.

- Nie mogło! Pocieszałam się, że przynajmniej już nigdy w życiu go nie zobaczę, tymczasem wciąż na niego wpadałam, to w kawiarni, to w sklepie - narzekała Jen. - Dlatego wolę trzymać język za zębami, kiedy na horyzoncie pojawia się Johnny Dellasandro.

Pociąg - zgadywałam, że wiózł potępionych -zagwizdał przeraźliwie i już następna scena toczyła się w wagonie restauracyjnym, gdzie siedziało paru podróżnych ubranych w stylu lat siedemdziesiątych. Kobieta z burzą włosów, w beżowym spodniem i olbrzymich okularach, które zasłaniały jej pół twarzy, skinęła na kelnera, by dolał jej wina do kieliszka. Wagon nagle się zakołysał i kelner rozlał wino. Tym kelnerem był Johnny.

- Uważaj, co robisz, głupcze! - Kobieta mówiła z silnym akcentem. Może włoskim? Nie byłam pewna. - Poplamieś mój ulubiony kostium!

- Najmocniej przepraszam - mówił niskim i dźwięcznym głosem z wyraźnym nowojorskim akcentem, który zupełnie nie pasował do filmu.

Zachichotałam. Jen rzuciła mi krótkie spojrzenie.

- Dopiero się rozkręca. Zobaczysz, jak przeleci ją w wagonie sypialnym.

Żartowałyśmy, podjadałyśmy popcorn i piłyśmy colę, od czasu do czasu rzucając komentarze na temat filmu. Zorientowałam się, że pasażerowie zmieniali się w demony, gdy pociąg wjeżdżał do tunelu, który stawał się portalem do piekła. Nie wyjaśniono, dlaczego tak się stało. Może ja tego nie rozumiałam, bo w scenach, gdy mówiono po włosku, pojawiły się fatalnie przetłumaczone angielskie napisy, a Johnny'ego dubbingował wysoki i zniewieściały głos. Z łatwością mogłam więc przeoczyć ważny moment.

Jednak takie drobiazgi nie miały znaczenia. Najmniejszego. Liczyła się krwawa jatka, jak zapowiadała Jen. No i przede wszystkim ucztła dla oka, gdy wreszcie Johnny pozbył się kelnerskiej liberii, by walczyć z demonami w lateksowych maskach. Bez koszuli, umazany krwią wyglądał

zniewalająco. Mimo przylizanej fryzurka.

-Żegnaj. Będziesz się smażyć w piekle!

Klasyczna scena i klasyczny tekst. Do tego głęboki tembr głosu Johnny'ego na tle huku strzelby, z której rozwałał demony w drobny mak. Potem nastąpiła zupełnie absurdalna i potwornie długa scena miłosna, w której on i kobieta w spodniem dokazywali w rytm skocznej muzyczki typowej dla pornoli z lat siedemdziesiątych. Dalej okazało się, że ona zaszła w ciążę i nosiła w brzuchu diabelskie dziecko, które rozdarło jej wnętrzności i próbowało zaatakować własnego ojca.

-To. . Johnny był tym. . diabłem?

Jen parsknęła śmiechem i wygrzebała z miski resztki popcornu.

-Chyba tak! Albo synem diabła, czy coś takiego. Pojawiły się napisy. Dopilałam colę.

- Niesamowite. Zajebiście poruszające. -Wiem, do latu. Oprócz sceny łóżkowej. Mocna, co?

Owszem, robiła wrażenie. Mimo śmiesznej pornomuzyczki, głupawych efektów specjalnych i dekoracji ustawionej tak, by członek Johnny'ego nawet nie mignął przed kamerą, podczas gdy gąszcz włosów łonowych kobiety zakrywał niemal pół ekranu. Mimo to widać było, że całował ją, jakby była najśladszym smakołykiem.

- Nieźle zagrane - stwierdziłam.

Jen prychnęła ostentacyjnie i wstała, żeby wyciągnąć DVD z odtwarzacza.

- Nie wydaje mi się, żeby to była gra. Na pewno jest dużo lepszym twórcą niż aktorem.

Jednak to sposób, jak całuje. . jak pieprzy się w prawie każdym swoim filmie. Moim zdaniem nie chodzi o talent aktorski. On po prostu taki jest. Cały Johnny.

- Kiedy nakręcił te filmy?

Wstałam, żeby rozprostować nogi. Wprawdzie film był dość krótki, bo trwał niewiele ponad godzinę, ale trochę mi się dłużył.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Chyba w latach siedemdziesiątych, a potem zniknął.

Zapał się pod ziemię. Wrócił już jako artysta i z tego, co wiem, zagrał tylko w jednym czy dwóch filmach. Bywał w różnych programach rozrywkowych. Trudno to sobie wyobrazić, ale wystąpił

gościnnie w tym popularnym serialu familijnym...

- *Family Ties*? Tam też kogoś przeleciał?

- Nie inaczej! - Jen parsknęła śmiechem. - Ale nie pokazał małego, więc jeśli chcesz go zobaczyć, musisz obejrzeć to...

Wyciągnęła z półki kolejną płytę, tym razem w czerwono-czarnej okładce, na której widniało tylko jedno słowo. *Śmieć*.

- Nic więcej nie powiem, żeby nie popsuć efektu - zapowiedziała, wkładając płytę do odtwarzacza.

- Brzmi groźniej niż *Pociąg potępionych*.

- Wcale nie - potrząsnęła głową. - Po prostu obejrzj.

I obejrzałyśmy.

W filmie *Śmieć* fabuły prawie w ogóle nie było. Jeśli dobrze zrozumiałam, opowiadał o grupie dziwaków, którzy mieszkali na osiedlu podobnym do tego w serialu *Melrose Place*, takim, jakich wiele w Kalifornii - kilka niewysokich budynków w kolorze morskiej zieleni, a w środku basen. Osiedle nosiło wdzięczną nazwę *Zatoczka*. Zarządzał nim facet, który ważył chyba ze sto czterdzieści kilogramów i chodził w kobiecym przebraniu. Oprócz niego w *Zatoczce* mieszkała uzależniona od heroiny zdzira o imieniu Sheila oraz Henry, umyślowo chory kolekcjoner porcelanowych figurek, a także samotna matka, Becky, i inni, już bezimienni bohaterowie, którzy tylko przechadzali się na dalszym planie w zupełnie niezrozumiałym celu.

A pośród nich - Johnny.

Grał. . Johnny'ego. Męską prostytutkę. Na ramieniu miał prymitywnie, chyba domowym sposobem, wytatuowane własne imię: *Johnny*.

- Ciekawe, czy w każdym filmie tak się nazywa? - zapytałam, ale Jen błyskawicznie mnie uciszyła.

To nie był dobry film, jeśli wziąć pod uwagę scenariusz i grę aktorów. Szczerze mówiąc, miałam wątpliwości, czy w ogóle grają według scenariusza. Odniosłam wrażenie, że cała ekipa improwizuje. Wyglądało to tak, jakby paczka przyjaciół zebrała się w sobotnie popołudnie, by nakręcić film, zaopatrzywszy się wcześniej w kamerę i spory zapas zioła.

- Pewnie tak było - przyznała Jen, gdy przedstawiłam jej moją teorię. - Ale spójrz tylko. Ja jebię!

On ma tyłek jak marzenie.

Johnny był nagi przez większą część filmu. Doszło do jakiegoś strasznego wydarzenia: poronienia czy może przedawkowania. Było ciało w basenie, które potem wylądowało w śmietniku.

Nie umiałabym jednak wyjaśnić, o co chodzi, nawet gdyby ktoś straszyl mnie rozjuszoną tarantulą.

Patrzyłam tylko na Johnny'ego Dellasandra. Na jego pośladki. Umięśnioną klatę. Napakowany kaloryfer. Apetyczne sutki. Był boski. Zbudowany jak Adonis. Muskularny, smukły. . i jakby pozłacany od słońca, w którym połyskiwała jego naga skóra. Owłosienie tylko podkreślało jego męskość. Nie obnosił się z gąszczem, który wymagałby użycia elektrycznej kosiarki, by dobrać się do jego fiuta.

I rzeczywiście. W tym filmie pieprzył się z każdym.

- Popatrz - mruknęła Jen. - Założę się, że on naprawdę się z nią rucha.

Przechyliłam głowę, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Chyba tak. . niesamowite. Stanął mu? O rany. Przecież on ma wzwód! Spójrz!

- Widzę! - zakwiczła Jen, wbijając paznokcie w moje ramię.

Nie ekscytowałam się tak na widok erekcji od czasu gimnazjum, gdy zamknęłam się w garderobie z Kentem Zimmermanem podczas gry w butelkę. Żołądek podchodził mi do gardła, jakbym jechała kolejką górską, żar ogarnął moją pierś, a na policzkach wykwitły mi rumieńce.

- Niesamowite - westchnęłam. - To jest... niebywałe.

- Stara, poczekaj tylko chwilę. I teraz... patrz! Jesssst! - wykrzyknęła Jen i opadła na poduszki. -W całej okazałości.

Zaledwie mignął na ekranie, ale był. Kutas Johnny'ego w pełnej chwale. W tej scenie Johnny szedł i coś mówił. Przez moment wahałam się, czy go słuchać, czy poddać się perwersyjnemu instynktowi i po prostu gapić się na jego fiuta. Penis zwyciężył.

- Co za pała! - w moim głosie słychać było podziw.

- Masz rację. - Jen westchnęła przeciągle. - On jest zakurwiście piękny.

Oderwałam wzrok od telewizora i spojrzałam na nią. W tym momencie na ekranie nie było Johnny'ego, więc nic cennego nie traciłam.

- Nie wierzę, że tak na niego lecis i jeszcze nigdy do niego nie zagadałaś. Chrzańić to, czy palniesz głupotę. Warto spróbować.

Jen potrząsnęła głową i wskazała na ekran.

- I co niby miałabym mu powiedzieć? Cześć, Johnny. Jestem Jen, a tak przy okazji, chciałam ci powiedzieć, że uwielbiam twojego fiuta. Nawet wspomniałam o nim w liście do Świętego Mikołaja.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Myślisz, że byłby niezadowolony?

Spojrzała na mnie wymownie.

- Czy on jest żonaty? - zadałam bardziej praktyczne pytanie.

- Nie wydaje mi się. Szczerze mówiąc, niewiele wiem o jego życiu prywatnym. - Jen teatralnie zmarszczyła brwi.

Znów wybuchnęłam śmiechem, tym razem głośniejszym.

- Ty go prześladujesz. Ale z ciebie natręt.

- Wcale nie - rzuciła we mnie poduszką. - Po prostu doceniam piękno męskiego ciała. Co w tym złego? Zresztą jestem wielką fanką jego twórczości. Nawet kupiłam jedną pracę - dodała ciszej, jakby zdradzała mi sekret.

- Serio?

- Serio - przytaknęła. - Prowadzi fajną galerię. Sztuka na przyzwoitym poziomie w przystępnej cenie. Na tyłach zawsze organizuje alternatywną kolekcję. Kilka lat temu wystawiał

własne dzieła. Rzadko to robi. Zazwyczaj umieszcza je pośród prac innych artystów i nigdy nie robi z nich głównej atrakcji, rozumiesz?

Nigdy nie byłam w galerii sztuki, więc nie bardzo rozumiałam, ale skwapliwie pokiwałam głową.

- Mogę zobaczyć, co u niego kupiłaś?

- Jasne. Trzymam to w... sypialni. Znów się zaśmiałam.

- Dlaczego? Takie sprośne?

Znałam Jen krótko, dopiero od kilku miesięcy, odkąd wprowadziłam się na Drugą Ulicę. Do tej pory nie widziałam, żeby kiedykolwiek była zakłopotana czy skrępowana. Zawsze parła do przodu i między innymi dlatego ją lubiłam. Teraz zaczęła unikać mojego wzroku i wstydliwie chichotać.

Już miałam jej powiedzieć, że jeśli nie ma ochoty, nie będę się upierać.

- Nie, nie jest sprośne - wydusiła wreszcie.

- To chodźmy - wstałam i poszłam za nią w kierunku sypialni.

W mieszkaniu Jen dominował styl Ikea. Dużo prostych, nowoczesnych, starannie dobranych dodatków powiększało niewielką przestrzeń. Sypialnię urządziła podobnie. Na tle przeważającej bieli wyróżniały się wzory w kolorze limetki zdobiące pościel i zasłony. Mieszkanie mieściło się w starym budynku o zaokrąglonych murach. Spore wrażenie robiło duże okno z widokiem na ulicę, sięgające od podłogi po sufit. Na jednej ze ścian wisiało kilka obrazów właścicielki, na innej oprawione reprodukcje, w których nawet ja, artystyczna ignorantka, rozpoznałam *Krzyk* i *Gwiaździstą noc*.

Pośrodku znajdowała się duża, czarno-biała fotografia w cienkiej czerwonej ramce. Artysta grubymi, trójwymiarowymi pociągnięciami pędzla zakreślił zarys budynku, w którym rozpoznałam rezydencję Johna Harrisa na Front Street. Muszę przyznać, że na-ogłądałam się w życiu sporo tego, co ludzie nazywali sztuką, a ja zachodziłam w głowę, dlaczego, do licha. W tym przypadku jednak nie miałam wątpliwości.

- Niesamowite.

- Prawda? - Jen podeszła do fotografii. - Niezłe, co? Patrzysz i wydaje się, że to niby nic takiego, a jednak coś w tym jest...

- Zgadzam się - przyznałam bez wahania. - I w ogóle nie jest sprośne. Zaśmiała się.

- Nie. Choć przyznam, że lubię widzieć właśnie to, gdy rano otwieram oczy. Brzmi pretensjonalnie, co? O rany, wyjątkowo pretensjonalnie.

- Wcale nie. Masz jeszcze jakieś jego prace?

- Nie. Za sztukę trzeba płacić. Choć w jego galerii ceny są dość przystępne.

Nie miałam pojęcia, co kryło się pod dość przystępną ceną, ale chyba okazałabym się zbyt wścib-ska, gdybym o to zapytała.

- Podoba mi się, Jen. On naprawdę ma talent.

- Och, bez wątplenia. I dlatego właśnie nie chcę z nim rozmawiać.

Spojrzałam na nią z uśmiechem.

- Dlaczego? Bo oprócz jego tyłka podziwiasz jeszcze jego talent?

- Chyba tak - zarechotała Jen.

- Nie rozumiem. Uważasz, że jest seksowny, jesteś jego wielką fanką. . dlaczego go nie zagadniesz?

- Bo wolalabym, żeby sam zwrócił uwagę na moje prace. Chciałabym, żeby mnie docenił jako artystkę, ale tak się nigdy nie stanie.

Podeszłam do ściany, na której wisiały jej zdjęcia.

- Dlaczego nie? Jesteś niezła.

- Zapominasz, że zupełnie się nie znasz na sztuce. - W jej tonie nie było słycać złościwości.

Podeszła do mnie, by spojrzeć na swoje dzieła. - Nigdy nie zawisną w muzeum. Nie sądzę, żeby ktoś kiedykolwiek napisał o mnie w Wikipedii.

- Skąd ta pewność? - rzuciłam. - Myślisz, że kiedy Johnny Dellasandro kręcił te filmy, wiedział, że pewnego dnia jego goły zadek będzie się cieszył sławą?

- Boski goły zadek.

- Właśnie. Lepiej obejrzymy coś jeszcze.

Do drugiej nad ranem zdołałyśmy obejrzeć jeszcze tylko jeden film, bo bezustannie włączaliśmy pauzę i kilkakrotnie przewijaliśmy najciekawsze sceny.

- Dlaczego nie zaczęłaś od tego? - żaliłam się po tym, jak trzy razy z rzędu oglądałyśmy scenę, w której Johnny muska ustami nagie kobiece ciało.

Jen mierzyła do mnie z pilota.

- Stara, trzeba sobie dawkować oglądanie tego gówna, bo inaczej tętniak gwarantowany.

Roześmiałam się, mimo że w mojej obecności to nie był trafiony dowcip. W końcu bardzo prawdopodobne, że miałam śmiercionośnego tętniaka. Choć lekarze nie byli tego pewni.

- Puść jeszcze raz.

Przez pół minuty przewijała film, a potem włączyła go od początku. Johnny wciąż nazywał

swoją partnerkę brudną zdiurą. Mówił z tym swoim śmiesznym akcentem, ale mnie wcale nie było do śmiechu.

- Coś tu, kurwa, nie gra - powiedziałam urzeczona sceną, w której Johnny pieścił językiem piersi aktorki, a potem złapał ją za włosy i mocno szarpnął. - Przecież nie powinno mi się to podobać, prawda?

- Cicho, po prostu daj się porwać - skarciła mnie Jen.

Potem znów nazwał dziewczynę brudną zdiurą, zepsuta i wyuzdana. Powiedział, że zasługuje tylko na to, żeby ją porządnie zerznąć. Że ona lubi, jak on ją tak rżnie.

- O rany - wymamrotałam, chowając się w swoich ramionach. - To jest...

- Podniecające, prawda? - pisnęła Jen. - Mimo tych śmiesznych efektów i durnej muzyczki.

- Bardzo podniecające.

Obejrzałyśmy film do końca i znów zupełnie nie miałam pojęcia, o co w nim chodzi.

Wiedziałam tylko, że Johnny przez połowę filmu był nagi i że uprawiał seks z większością bohaterów, bez względu na płeć. Nagle poczułam ogromną potrzebę, by zostać sama.

- Jeszcze jeden? - Jen podniosła się z kanapy, a ja wraz z nią.

- Muszę lecieć. Już późno. Nie zobaczymy go -dodałam - jeśli jutro zaśpimy i spóźnimy się do Mokki.

- Och, Emm. - Jen zamrugnęła powiekami, wyraźnie wzruszona. - Zaraziłam cię, prawda?

- Jeśli to choroba - odparłam - nie chcę znać lekarstwa.

Jen mieszkała niedaleko ode mnie, więc jeśli było jasno i pogoda dopisywała, mogłam bez problemu wracać od niej na piechotę. Jednak w środku zimowej pensylwańskiej nocy wolalabym przejechać te lalka przecznic samochodem. Głównie ze względu na mróz, bo dzielnica była bezpieczna i spokojna. Ktoś zajął mi miejsce do parkowania pod domem, prawdopodobnie narzeczona faceta, który mieszkał naprzeciw mnie. Przekląłam pod nosem. Powieki same mi opadały. Podjechałam do następnej przecznicy, żeby znaleźć wolne miejsce. Miałam nadzieję, że nazajutrz nie znajdę pod wycieraczką karteczki z wyzwiskami. Ponieważ miejsc do parkowania było naprawdę mało, walka o nie bywała brutalna.

Mimo wszystko to nie mógł być przypadek, bo gdy wysiadłam z samochodu, zorientowałam się, że zaparkowałam dokładnie naprzeciw domu

Johnny'ego Dellasandra. Na piętrze paliło się światło.

Domy na tej ulicy miały taki sam rozkład pokoi, więc jeśli tylko nie zrobił gruntownej przebudowy, światło dobiegało z jego sypialni. W swoim mieszkaniu zamierzałam w przyszłości połączyć główną sypialnię z łazienką. On już dawno wyremontował swój dom i zgadywałam, że musiał zastosować podobne rozwiązanie.

Johnny Dellasandro w swojej sypialni. Zastanawiałam się, czy śpi nago. Nie wiedziałam dokładnie, w jaki sposób Jen padła ofiarą sprawy orgazmów na odległość, ale przez chwilę miałam wrażenie, że i mnie to spotka. Poczulałam mrowienie w łechtaczce. Skierowałam się w stronę domu i puściłam wodze fantazji.

Nigdy nie udało mi się zaobserwować żadnej powtarzalności ani konkretnych okoliczności, w których dochodziło do ataku. Wyzwalacze, które zazwyczaj wywołują u ludzi amnezję, migrenę czy napad narkolepsji, w moim przypadku nie miały większego znaczenia. Z jednej strony cieszyłam się, bo oznaczało to, że nie muszę unikać intensywnych emocji ani czekolady, ani wielu innych potencjalnie niebezpiecznych bodźców. Z drugiej strony jednak w ogóle nie byłam w stanie przewidzieć napadu, bo zdarzały się nagle i bez ostrzeżenia. Nie miałam pojęcia, czego powinnam się wystrzeżać.

Od prawie dwóch lat nie miałam ataku. Teraz zapach pomarańczy ostrzegał mnie, że nadchodzi trzeci w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Jestem w łazience. Myję zęby. Wpatruję się we własne odbicie w lustrze, ale widzę twarz Johnny'ego. Kocha się z kobietą, której włosy są w identycznym kolorze jak moje. Ma moje oczy. Na piersiach czuję jego ręce. Na łechtaczce czuję jego język.

Patrzę w lustro i po chwili, jak Alicja... przez..

- Uważaj, co robisz! Wylałeś moją kawę!

Wymawiam te słowa z silnym akcentem, nie swoim głosem, ale wcale się nie wygłupiam. Ten sposób mówienia pasuje do mnie i brzmi seksownie.

- Najmocniej przepraszam. - Kelner dotyka moich ud białym ręcznikiem. Robi to o ułamek sekundy za długo, a palcami muska moje podbrzusze. - Proszę pozwolić mi wyczyścić tę plamę.

- Należy mi się rekompensata. - Ostentacyjnie zarzucam ciemne, gęste włosy za ramię, a potem patrzę mu prosto w oczy.

- Tak, proszę pani? - Młody mężczyzna w kelnerskiej liberii nie jest idiotą.

Wagon kołysze się pod moimi nogami.

- Przyjdź później do mnie. Zastanów się, jak najlepiej zrekompensujesz mi stratę ulubionych spodni.

W odpowiedzi tylko posyła mi uśmiech. Ledwie tknęłam posilek. Już nie mam apetytu. Na pewno nie najedzenie.

W prywatnym przedziale nasłuchuję stukania do drzwi. Wreszcie ktoś puka. Otwieram. To on. Już nie ma na sobie kelnerskiej liberii, ale ciemne spodnie i poźółtką, siemniężną koszulę. Wygląda w niej jak wieśniak, ale zupełnie mi to nie przeszkadza. W końcu wieśniacy są świetnymi kochankami.

- Patrz - odzywam się pierwsza, wskazując palcem ciemną plamę na białych spodniach. Celowo nie zrobiłam nic, żeby ją usunąć. - Widzisz, co narobiłeś, niezdaro?

- Poniosę wszelkie koszty, proszę pani. .

- To nic nie da. Te spodnie zostały uszyte z najlepszego jedwabiu przez mojego osobistego krawca. Są wyjątkowe,

- Co w takim razie? - odpowiada beczelnie.

Długie ciemnoblonde włosy ma związane tuż przy karku. Wplątam w nie palce i powoli je rozwiązuję.

Gęste kosmyki wydają się szorstkie w porównaniu z jedwabiem.

- Wyczyść to - wydaję szybko polecenie.

Wbijają we mnie zimne spojrzenie, wyciąga chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i niedbale popycha mnie kilka kroków w tył, aż uderzam łydkami w krawędź zasłanego na noc łóżka. Wyciera plamę na moich spodniach, nie patrząc mi w oczy. Od jego dotyku przechodzi mnie dreszcz.

- Nie tak - szepczę ochryple. - Zrób to językiem.

Kłęka powoli, jakby na zwolnionych obrotach.

Uśmiecha się, ale spojrzenie ma twarde. Zamyka oczy i przykładają usta do plamy.

Przez delikatną tkaninę wyczuwam ciepło jego oddechu i znów drzę. Kolana uginają się przede mną, więc instynktownie opieram się o ścianę. W opuszkach palców czuję, jak wibruje cały wagon.

Jego ręce wędrują w górę, chwytają moje pośladki i przytrzymują w mocnym uścisku. Podnosi na mnie wzrok. Patrzę w jego twarz, która teraz znajduje się zaledwie centymetr od mojego wżgórka łonowego. Powinien czuć jego zapach.

- Wystarczy? - pyta.

- Nie - rzucam oschle. - Musisz się bardziej postarać.

Zaciska palce wokół plamy i mocnym ruchem szarpie materiał. Jedwab się rwie i nagle stoję naga od pasa w dół. Rozdarte spodnie wiszą w jego

zaciśniętych pięściach. Nie mija sekunda, a jego usta znów wpijają się w moje ciało. Tym razem nagie. Prosto w cipkę. Ssie lechtaczkę, muska ją.

Krzyczę. Daje mi klapsa w tyłek. Nie wiem, czy po to, żebym zamilkła, czy raczej krzyczała głośniej.

Chwilę później leżę na plecach, on pochyla się nade mną i wciska mi w usta kutasa.

- Weź go - rozkazuje. Brutalnie i bezlitośnie. Choć moja szparka pulsuje, odwracam twarz. On chwyta mnie za włosy i mocno przytrzymuje. Potem już łagodniej pociera członkiem moje zaciśnięte usta.

- Weź go.

W końcu biorę.

Całego. Jest gruby i gorący, twardy. Czuję go głęboko w gardle, smakuję zachłannie. Ssę, liżę, ciągnę, a on rżnie mnie w buzię, jakby to była moja pizda, i przysięgam, że nie sposób opisać, ile mam z tego frajdy.

Nawet nie musi dotykać lechtaczki, żeby wezbrało w niej rozkoszne napięcie. Coś jak wyładowanie elektryczne. Jak ogień. Zapamiętałam poruszać biodrami i skomleć z rozkoszy, nie wypuszczając jego fiuta z buzi. Włosy opadają na moją twarz, on je odgarnia, łapie w garść, by nadać wolniejsze tempo.

Chcę, żeby mnie pieścił, choć już nie musi. Dojdę za minutę czy dwie. Dobrze to wiem. Nagle się cofa, odbierając mi tę cudowną zabawkę, i już nie jęczę, lecz wyję.

- Spójrz na siebie - mówi tryumfalnie, lecz z odrobiną czułości w głosie. - Spójrz tylko na siebie. Żebrzesz o niego. Co za szmata.

Podnieca mnie sposób, w jaki to mówi, jak przeciąga sylaby. Nagle zaczynam się zastanawiać, skąd wzięliśmy się w pociągu. Nie mam pojęcia, dlaczego on jest kelnerem, a ja jakąś... hrabiną? Albo księżną? W każdym razie bogatą suką, która ma nadmiar forsy i ostrą chciwość. Jeszcze chwilę wcześniej wydawało mi się, że to się dzieje naprawdę, teraz jednak mam wrażenie, że to urojenia.

Tylko jednego jestem pewna. Nie chcę tego przerywać. Jego dłoń dotyka mojego policzka. Nagle kciuk wślizguje się między moje rozchylone wargi. Ssę go, a potem lekko gryzę. Mężczyzna śmieje się, unosi mnie, jednym ruchem sadza na swym członku, jakbym ważyła tyle co piórko. Teraz nic nas nie dzieli. Jest we mnie, cały.

Kołysze nami pociąg. On nami kołysze. Jego silne ramiona ściskają moją pupę i wprawiają mnie w rytm. Jego usta obejmują moje. Po raz pierwszy się całujemy, więc intensywnie upajam się jego smakiem. Nasze języki splatają się, nasze zęby zderzają. Znów się śmieje.

- Lubisz to.

- Lubię - przyznaję. Już nie mówię z włoskim akcentem.

Patrzę w lustro i nie widzę swojej twarzy. Nawet nie widzę naszego odbicia, gdy tak cudownie się pieprzymy na łóżku w prywatnym przedziale. Lustro wygląda raczej jak okno, tyle że nie widać przez nie krajobrazu, który mijamy. Zamiast gór widzę ściany. Widzę kobietę.

Tą kobietą jestem ja.

Ona tam jest, ja jestem tu; jesteśmy takie same i patrzę w oczy mojego kochanka, tego kelnera, który na imię ma...

- Johnny.

Atak kończy się w chwili, gdy wypowiadam jego imię. Intensywny zapach pomarańczy uporczywie wbija się w moje usta i nozdrza. Pochyliłam się nad umywalkę i piję wodę prosto z kranu.

Prostuję się. Moje serce wali jak szalone. Spojrzenie mam dzikie, a twarz zlaną potem. Spoglądam jeszcze raz w lustro, ale widzę już tylko siebie.

Rozdział 3

Halucynacje nie były dla mnie nowym zjawiskiem. W dzieciństwie, w pierwszych latach po wypadku, miałam poważne problemy z odróżnieniem świata urojonego od tego, w którym żyłam naprawdę. Umiiałam oddzielić sen od jawy, ale nie umiałam dokonać podobnego rozgraniczenia w przypadku zaburzeń świadomości.

Rodzice chodzili ze mną po różnych lekarzach, ale żaden nie potrafił mi pomóc. Ludzki mózg wciąż stanowi *terra incognita*. Raczej nie miałam spektakularnych objawów amnezji, ale podczas najsilniejszych ataków zdarzało się, że traciłam sprawność motoryczną. Nigdy natomiast nie sprawiały mi bólu, nie licząc tych kilku przypadków, gdy potłukłam się podczas upadku.

Po paru latach nauczyłam się wyczuwać moment nadejścia ataku, ale wciąż nie byłam w stanie się zorientować, że w danej chwili przeżywam

halucynacje. Nauczyłam się tylko zapamiętywać to, czego w nich doświadczyłam. Napady miały różną siłę i nie zawsze towarzyszyły im urojenia. Czasem wyłączałam się na kilka sekund, zastygałam w bezruchu, nie mrugając nawet powiekami, a życie wokół mnie toczyło się swoim rytmem i ten, z kim akurat rozmawiałam, miał

wrażenie, że po prostu błędziłam myślami daleko.

Zresztą tak właśnie się czułam. Moje myśli błędziły w nieznanym kierunku, a ciało - fizycznie -

zostawało na miejscu. Nauczyłam się sprytnie włączać z powrotem do rozmowy, zwłaszcza w towarzystwie ludzi, którzy nie znali mnie na tyle dobrze, by zauważyć, że na chwilę odpłynęłam.

Krótko mówiąc, przystosowałam się do takiego życia.

W większości wypadków halucynacje przesycały barwy i dźwięki. Często były wariacją na temat tego, co robiłam w chwili nadejścia ataku. Czasem wydawało mi się, że moja nieobecność ciągnie się godzinami, gdy w rzeczywistości nie było mnie niecałą minutę. Czasem zaniki świadomości trwały dłużej, a mnie zdawało się, że minęło zaledwie kilka sekund.

Nigdy wcześniej, aż do dzisiejszego ranka, nie przeżyłam tak intensywnych, wręcz realnych halucynacji natury erotycznej.

Dlatego potrzebowałam trochę czasu na rekonwalescencję. Weekendowe wylegiwanie się w łóżku do późnego ranka w moim przypadku nie należało do wyjątków, ale włączenie laptopa i zakopanie się wraz z nim w pościeli -już tak. Traktowałam swoją sypialnię jak sanktuarium: miała być miejscem do spania, a nie do pracy. I choć kochałam swój komputer i traktowałam go, jakby był

moim syjamskim bliźniakiem, okrutnie ode mnie oddzielnym, wołałam korzystać z niego w gabinecie albo w salonie. Dziś jednak, siedząc wśród ciepłych poduch, niecierpliwie przesuwalam palcem po gładziku i przeglądałam wyniki internetowej wyszukiwarki.

Bingo. Johnny Dellasandro. Chyba postradałam zmysły.

Prowadził stronę internetową własnej galerii. W notatce biograficznej odniósł się do swej kariery aktorskiej tylko w jednym zdaniu, gdzie nazwał siebie „gwiazdą kina niezależnego”.

Skupiał się raczej na najnowszych osiągnięciach artystycznych. Oprócz tego zamieścił listę zbliżających się imprez i godziny otwarcia galerii. I jeszcze swoją fotografię, na której uśmiecha się i patrzy w obiektyw z takim wyrazem twarzy, jakby chciał zerznąć tego, kto robi mu zdjęcie. .

tubudu. Tylko spokojnie, to moje rozpalone serducho.

Wstawił też trochę innych zdjęć, głównie pamiątkowych: Johnny z burmistrzem, z didżejem miejscowej rozgłośni, dyrektorem muzeum. I jeszcze z celebrytami. Niekończące się rzędkie miniatury zdjęć, które można było powiększyć kliknięciem i zobaczyć go w towarzystwie gwiazd filmu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Gwiazd rocka. Poetów, pisarzy. Same znane twarze. W większości wszyscy patrzyli do obiektywu, ale było kilka niepozowanych ujęć, gdzie osoba, z którą robił sobie zdjęcie, dosłownie pożerała go wzrokiem. Nie zdziwiło mnie to.

Chyba jednak nie wstydził się dawnych lat, gdy kokietował publiczność, potrząsając frędzlem.

Natknęłam się na kilka wywiadów, których udzielił niezbyt utalentowanym blogerom. Typowe.

Gdyby szympansa wyposażyć w komputer, też by blogował. Nie dało się ukryć, że Johnny zdobył

rozdźwięk w hermetycznej grupie odbiorców. Wyglądało na to, że nie żałuje tego, co robił.

Przynajmniej tak deklarował w najnowszych wywiadach i choć na ogół opowiadał w nich o obecnych osiągnięciach artystycznych, zawsze kilka pytań dotyczyło początków jego kariery filmowej.

- Niczego nie żałuję - przekonywał Johnny w krótkiej relacji z ceremonii rozdania nagród, o których nigdy w życiu nie słyszałam.

Obraz był marnej jakości, dźwięk jeszcze gorszy, a ludzie, którzy przechodzili w tle, wyglądali na odrobinę przerażonych. Operator kamery jednocześnie przeprowadzał wywiad. Mikrofon zniekształcał głosy rozmówców, które brzmiały piskliwie i zdecydowanie za głośno. Johnny zdawał się nieco znudzony, ale odpowiedział na kilka pytań.

Poprawiłam poduszki i ułożyłam się wygodniej, wciąż trzymając laptopa na kolanach. W

Wikipedii znalazłam artykuł o Johnnym, z linkami do archiwów gazet i magazynów, które o nim pisały. Mnóstwo recenzji, całe strony i fora dyskusyjne poświęcone jego filmom. linki do stron internetowych miejsc, gdzie wystawiano jego prace. Cały dzień nie wystarczyłoby do gruntownego zapoznania się z tym jednym artykułem w Wikipedii. Gdyby ktoś wrzucił do Google'a moje nazwisko - a robiłam tak kilka razy w miesiącu, żeby sprawdzić, czy coś się zmieniło - znalazłby jedynie listę osiągnięć pewnej kobiety, która nosiła identycznie imię i nazwisko jak ja. Intrygowało mnie więc nie to, że znalazłam tyle informacji na jego temat, ale to, że udało mi się przeżyć ponad trzydzieści lat, nie mając pojęcia o jego istnieniu.

Wyłączyłam komputer i odłożyłam na nocny stolik. Potem przeciągnęłam się i zaczęłam rozmyślać.

Nie ulegało wątpliwości, że się zadurzyłam. I to bardzo. Chyba najbardziej od czasów gimnazjum, gdy zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Na pewno bardziej niż podczas sekretnego romansu z Johnem Cusackiem, do którego doszło w mojej głowie po obejrzeniu filmu *Nic nie mów*. Uczucia wobec Johnny'ego Dellasandra były niejako kombinacją dwóch najmocniejszych zauroczeń w moim życiu: znałam go z filmów, zatem był kimś „niereczywistym”, a jednocześnie mieszkał tuż obok mnie. Pił kawę i nosił szalik w paski. Był w zasięgu ręki.

- Weź się w garść, Emm - zbeształam się w duchu. Wyobraziłam sobie, jak wychodzę z wygrzanej pościeli i rozdygotana biegnę pod prysznic. Nie chciało mi się.

Wołałam zapomnieć o trzech atakach, które zdarzyły się poprzedniego dnia, ale nie mogłam, bo wciąż powracałam myślami do halucynacji, w której Johnny świecił nagim tyłkiem. Dwa ledwie wyczuwalne napady i jeden silniejszy. Żaden z nich nie trwał długo, ale ich częstotliwość mnie zaniepokoiła.

Miałam trzydzieści jeden lat i mieszkalam sama zaledwie od kilku miesięcy. Zawsze szukałam pracy w miejscu, do którego mogłabym dojść na piechotę. Pilnowałam tego z lęku przed dalekimi dojazdami i dlatego, że wcześniej nie wolno mi było prowadzić samochodu. Spędziłam całe życie, starając się uporać z reperkusjami tych kilku ulotnych chwil na placu zabaw, a teraz wreszcie poczułam smak niezależności, która dla moich rówieśników była czymś naturalnym.

Bałam się, że ją utracę.

Wiedziałam, że powinnam zatelefonować do lekarki rodzinnej, doktor Gordon, i opowiedzieć jej, co się wydarzyło. Znała mnie od dzieciństwa. Miałam do niej pełne zaufanie - to ją wypytywałam o pierwszą miesiączkę i antykoncepcję. W tej kwestii jednak nie mogłam się do niej zwrócić. Czułaby się zobowiązana zaraportować o możliwości ataku i co wtedy? Znów cofną mi prawo jazdy, a na to nie mogłam sobie pozwolić. Po prostu nie mogłam.

Zadzwoniłam więc do matki, mimo że rozmawiałam z nią zaledwie wczoraj. Chociaż tak bardzo się cieszyłam, że wreszcie się od niej wyprowadziłam i przestałam jej potrzebować, wciąż była pierwszą osobą, do której mogłam się zwrócić. Telefon w domu moich rodziców nie odpowiadał; dzwoniłam tak długo, aż odezwała się automatyczna sekretarka. Nie zostawiłam żadnej wiadomości. Mama wpadłaby w panikę. Zresztą gdy sprawdzi, że to ja próbowałam się z nią skontaktować, natychmiast oddzwoni. Zastanawiałam się, gdzie też się podziewa w niedzielne przedpołudnie. O tej porze prawie nigdy nie wychodziła z domu. Ja lubiłam spać do późna. Ona wolała zerwać się z rana, by upiec ciasto, wypielić ogródek albo obejrzeć stare filmy w telewizji.

Ojciec w tym czasie majsterkował w garażu.

Tyle razy marzyłam, że - tak jak teraz ~ budzę się we własnym łóżku we własnym domu. I nikogo przy mnie nie ma. Tylko ja. Nie muszę nigdzie wychodzić ani z nikim się kontaktować. Nie muszę nic robić, ewentualnie własne pranie, do którego użyję własnego proszku, a gdy rzeczy wyschną, mogę je złożyć albo zostawić w koszu w zależności od mojego widzimisie. Marzyłam, żeby być samodzielną, dorosłą, a teraz, kiedy to osiągnęłam, nagle zaczęła mi doskwierać potworna samotność.

Wizyta w Mokce stanowiła najlepszy ratunek. W końcu należałam do kawiarnianej paczki.

Miałam tam przyjaciół. Nie *byłam* jeszcze konkretnie umówiona z Jen. Wystarczy krótka wymiana SMS-ów i dowiem się, czy się tam zjawi. Jeśli nie, wezmę laptopa i zajmę zaciszny stolik, by napić się kawy albo herbaty, zjeść muffinka i pogadać na Connexie z przyjaciółmi.

No i może troszkę, ale tak odrobinę, naprawdę tyciutko popatrzę sobie na Johnny'ego Dellasandra.

Jeden SMS do Jen i już znałam plany na dzisiejszy poranek. Za pół godziny w Mokce. W sam raz, by wziąć prysznic, ubrać się i dojść do kawiarni. A wcześniej jeszcze wydepilować nogi, wyregulować brwi i zastanowić się, co na siebie włożyć. Bo, owszem, to było niezwykle ważne.

- Hej, laska, hej! - powitalne okrzyki Jen mnie rozbawiły. Machała do mnie z drugiego końca Mokki. - Zajęłam nam stolik. Co tak długo? Nie mogłaś znaleźć miejsca do parkowania?

- Och, nie. Przyszłam na piechotę. - Wciąż szczękałam zębami. Styczeń w Harrisburgu nie był tak zimny jak na kole podbiegunowym, ale przy takim mrozie nawet niedźwiedziowi polarnemu zmarzłyby jaja.

- Co ty powiesz? Dlaczego? Ach, chodzi o pług śnieżny?

- Cieszę się, że nadążam za tokiem twojego rozumowania. - Najwyraźniej problemy z parkowaniem niewystarczająco utrudniały życie mieszkańcom, dlatego na ulice wypuszczono pług śnieżny, który przejeżdżając jezdnią, jeszcze bardziej zasypywał wolne miejsca i zaparkowane samochody. Kierowcy mieli przez to więcej roboty z odśnieżaniem. Ale nie dlatego przyszłam na piechotę. Zrzuciłam płaszcz i zawiesiłam go na oparciu krzesła, dyskretnie lustrując wzrokiem salę w poszukiwaniu apetycznego, powabnego Johnny'ego Dellasandra. - Ale nie o to chodzi. Po prostu miałam ochotę się przejść.

- Podobno pomaga zimny prysznic, ale to chyba przereklamowane.

Przyłożyłam dłonie do ust i nachuchałam w nie, by się trochę rozgrzać, a potem wcisnęłam się w krzesło.

- Zdaje się, że w końcu będę musiała ruszyć zadek, jeśli nadal będę się raczyć mumnkami na śniadanie.

- Stara - westchnęła Jen. - Nawet mi nie mów.

Przez chwilę w milczeniu kontemplowałyśmy rozmiary naszych tyłków, choć osobiście uważałam, że Jen ma świetną figurę i zupełnie nie powinna się przejmować. Wiedziałam też, że ona myśli tak samo o mnie.

- Ekstra top - powiedziała po chwili. Potem zaśmiała się i ściszyła głos. - Założę się, że jemu też by się podobał.

- Komu?

- Nie udawaj, że nie wiesz!

Spojrzałam na swój sweterek. Był to zwykły sweterek z miękkiej wełny, zapinany na guziczki, ale dość mocno wydekoltowany.

- Ładnie podkreśla obojczyki. Biust wystaje w sam raz. Nie przesadziłam chyba, co?

- Ależ skąd! - zgodziła się Jen. - I świetnie ci w tym kolorze.

- Podobają mi się twoje kolczyki - rozpromieniłam się.

- Skończyłyśmy już te lesbijskie uprzejmości? - Jen wzniosła oczy do nieba. - Czy mam ci jeszcze powiedzieć, że masz przepiękny naszyjnik?

- Ten?

Zapomniałam już, który naszyjnik założyłam. Rzadko zmieniałam biżuterię. Pracowałam w spół-

dzielczym banku kredytowym, gdzie wymagano ode mnie, bym ubierała się elegancko, w ściśle określony sposób, i szczerze mówiąc, miałam już dość codziennego dobierania stroju i dodatków.

Pociągnęłam łańcuszek, żeby go zobaczyć, i wtedy zerwał się, ześlizgując z mojej dłoni.

- Ojej!

- Cholera! - Jen błyskawicznie wyciągnęła dłoń i zdążyła złapać naszyjnik, zanim spadł na podłogę. Podała mi go.

- Niech to szlag. - Przyglądałam mu się. Nie był specjalnie cenny. Zwykły łańcuszek o delikatnym, spiralnym wzorze. Wypatrzyłam go na wyprzedży w moim ulubionym second-handzie.

Ścisnęłam go w pięści. Metal dziwnie rozgrzewał dłoń. - Trudno.

- Spróbuj go naprawić.

- Nie warto. To chyba nawet nie jest prawdziwe złoto.

- Szkoda - powiedziała Jen z uśmiechem. - Mogłabyś go zanieść do skupu i dostać gotówkę!

Kiedyś otrzymałam zaproszenie na przyjęcie, które urządzał sąsiad mojej matki. Pisemnie anonsował, że organizuje zbiórkę złotych plomb.. razem z zębami!

- Obrzydlistwo! - Skrzywiłam się, wsuwając łańcuszek do kieszeni.

Jen roześmiała się i chyba zamierzała coś jeszcze powiedzieć, ale nagle urwała. Patrzyła ponad moim ramieniem, wybałuszając oczy. W pierwszym odruchu chciałam się odwrócić.

Ale nie musiałam. Wiedziałam, że to on. Wyczułam, że to on. Poczułam jego zapach.

Pomarańcze.

Przeszedł obok nas. Rąbkiem płaszcza zawadził o moje ramię i naraz zamieniłam się w piętnastolatkę. Nie zachichotałam na głos tylko dlatego, że potwornie zaschło mi w gardle i nie potrafiłabym wydusić z siebie najmniejszego dźwięku. Jen nie odezwała się słowem. Tylko gapiła się na mnie, wysoko unosząc brwi. Minął nas.

- Wszystko w porządku, Emm? - szepnęła, pochylając się do mnie. - Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Jesteś biała jak kreda!

Wcale się tak nie czułam. Nie czułam się biała, ale rozgrzana do czerwoności. Byłam pewna, że na policzkach wystąpiły mi rumieńce. Próbowałam przełknąć, a potem potrząsnęłam głową. Nie śmiałam nawet podnieść wzroku, w obawie że zobaczę go przy kontuarze.

- W porządku.

- Na pewno? - Jen położyła rękę na mojej dłoni i ścisnęła ją mocno. - Poważnie, Emm, wyglądasz. .

I wtedy właśnie odwrócił się i spojrzał na mnie. Naprawdę na mnie popatrzył. Ani nie zerknął

przez ułamek sekundy, ani nie omiótł spojrzeniem, jakbym była przezroczysta. Ani też nie spojrzał

dwa razy, jakby mój widok przestraszył go do tego stopnia, że musiał rzucić okiem raz jeszcze. Johnny Dellasandro patrzył na mnie i już prawie uniosłam się z krzesła, kiedy nagle dotarło do mnie, że nie mogę tak po prostu wstać i do niego podejść.

Jen spojrzała ukradkiem przez ramię, ale on już się odwrócił, by sięgnąć po talerz z muffinkiem, który podała mu dziewczyna za barem. Nie patrzył już więcej w moją stronę. Zastanawiałam się, jak powiedzieć o tym Jen. *Jeśli* rzeczywiście patrzył, bo w ciągu tych laiku sekund zdążyłam niemal przekonać samą siebie, że tylko mi się zdawało.

- Emm?

- On jest zjebicie piękny - mój głos zabrzmiał dziwnie. Był ochrypły i szorstki. Dało się w nim słyszeć tęsknotę.

- Och, tak. - Jen zmarszczyła brwi i znów na niego spojrzała.

Gdy zajmował stolik na tyłach sali, rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Podniósł wzrok.

Jen i ja również spojrzaliśmy w tę stronę. Do kawiarni weszła kobieta w moim wieku, może rok czy dwa starsza, i skierowała się do tylnej części, nawet nie zatrzymując się przy barze. Ze swojego miejsca mogłam ją z łatwością obserwować. Widziałam, jak staje przy stoliku Johnny'ego i zajmuje krzesło naprzeciw niego. Widziałam, jak pochyla się nad nim, by ucałował ją na powitanie. Żołądek podskoczył mi do gardła, a potem gwałtownie wrócił na swoje miejsce. Dosłownie poszło mi w pięty ukryte w botkach, nad którymi zadręczałam się dobre dwadzieścia minut.

- Oż ty, kurwa - zakląłam żałośnie.

Jen spojrzała na mnie.

- Nie znam jej.

- Ja też nie.

- Przecież ona nawet tu nie bywa - syknęła Jen, wyraźnie urażona. - Rany boskie, przynajmniej mógłby się umówić z kimś stąd!

Nie miałam ochoty na wygłupy, ale nie mogłam opanować śmiechu. Jej podejście było niedorzeczne.

- Idź i wyzwij ją na pojedynek, która z was lepiej zatańczy - poradziłam.

Jen potrząsnęła głową i spojrzała na mnie z powagą.

- Dzięki, ale nie skorzystam.

Już miałam otworzyć usta, by wyjaśnić, że przecież żartuję, ale Jen popatrzyła na Johnny'ego i kobietę, a potem znów na mnie w taki sposób, że zamilkłam. Wcale się nie uśmiechała. Czułam, jak mi się badawczo przygląda. Na policzkach znów wystąpiły mi rumieńce, ale tym razem z innego powodu. Może czułam się winna.

- Nie skorzystam - powtórzyła.

Nagle poczułam, jak wibruje telefon, który wcisnęłam do kieszeni. Wyciągnęłam go.

- To moja mama.

- Odbierz. Pójdę coś zamówić. Chcesz muffinka i kawę z dolewką?

- Tak, dzięki - zaczęłam przekopywać torebkę w poszukiwaniu dziesięciodolarowego banknotu, ale Jen machnęła tylko ręką. Nie mogłam zareagować bardziej stanowczo, bo już dotykałam ekranu aparatu, by rozpocząć rozmowę.

- Cześć, mammo.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. Dlaczego zawsze uważasz, że coś musiało się stać? - Zwykle bardziej zirytowałoby mnie takie pytanie. Dziś jednak ujęła mnie troska, którą usłyszałam w jej głosie.

Ucieszyłam się, że tak mnie kocha.

- Zadzwoiłaś do mnie w niedzielne przedpołudnie. Oto dlaczego sądzę, że coś się stało, Emmaline. Nie uda ci się okłamać własnej matki.

- Och, mammo.

Czasami wyrażała się w taki sposób, jakby była dużo starsza niż w rzeczywistości. Miałam wtedy wrażenie, że zachowywała się raczej jak moja babka niż matka, a przecież wiedziałam i ze zdjęć, i z opowiadań, że była prawdziwym dzieckiem lat sześćdziesiątych. Nie to, co ojciec, który raz do roku, w święta, bywał na lekkim rauszu i kiedyś konspiracyjnym tonem wyznał mi, że opowiada się za legalizacją marihuany.

- Powiesz mi czy nie?

- Wszystko w porządku - zapewniłam ją. Wbiłam wzrok w Johnny'ego, ale on nie zwracał

na nic uwagi. Konwersacja z kobietą zdawała się go pochłaniać. Oboje pochylali się ku sobie w sposób, który mógł oznaczać wyłącznie intymną relację. Odwróciłam głowę, by skoncentrować się na rozmowie telefonicznej. - Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie.

- Twój ojciec i ja wybraliśmy się na śniadanie do Old Country Buffet - powiedziała matka z lekkim zażenowaniem.

- Co? Poszliście na śniadanie?

Jen stała przy barze zaledwie metr od Johnny'e-go, ale nawet nie próbowała niby przypadkiem zerkać w ich stronę ani mimochodem podsłuchać rozmowy. Wnosząc z jego mimiki oraz gestykulacji jego rozmówczynie, byli całkowicie sobą pochłonięci. Nie widziałam jej twarzy, ale język ciała mówił mi wszystko, co chciałam wiedzieć.

- A co? Nie wolno nam? - Głos matki brzmiał nienaturalnie. Odrobinę za szybko ucięła ten temat.

- Ależ oczywiście, że wolno. Mammo, dobrze się czujesz?

- To ja powinnam zadawać ci takie pytania - odparła.

Na to czekałam. Temat, który zawsze będzie wracał jak bumerang. Trzeba było nauczyć się go ignorować. Choć nie chodziło mi o to, żeby udawać, że nic się nie stało.

Przez chwilę rozważałam, czy jej powiedzieć. Nie o seksie w pociągu i o królowej włoskiego kina lat siedemdziesiątych. Byłam pewna, że mama wcale nie chciałaby tego słuchać. Ale o tych dwóch krótkich chwilach, gdy straciłam świadomość, o zapachu pomarańczy. Nie zrobiłam tego jednak. Nie tylko dlatego, że wolałam jej nie martwić. Po prostu nie chciałam jej pokazać, że miała rację.

- Wszystko w porządku, mammo. Mówię poważnie - kłamstwo utknęło mi w gardle.

Błyskawicznie zamrugałam oczami. Cieszyłam się, że dzieli nas odległość stacji przekaźnikowych. W życiu nie usłoby mi to na sucho, gdybyśmy stały twarzą w twarz.

- Gdzie jesteś? Słyszę jakieś hałasy.

- W kawiarni. Mama się roześmiała.

- Znowu? Wkrótce zamienisz się w kubek kawy.

- Zawsze lepiej niż w dynię - odpowiedziałam, patrząc, jak Jen przedziera się do naszego stolika, niosąc dwa talerze i dwa puste kubki. - Ludzie, którzy uwielbiają kawę, twierdzą, że jest dla nich esencją życia. Z dyni zrobisz tylko placek na święta.

- Zupełnie znikowałaś - powiedziała mama z czułością. - Zadzwoń jutro?

- Jasne, mam. Cześć.

Rozłączyłam się w chwili, gdy Jen, która zdążyła już usiąść przy stoliku, przesuwała w moją stronę talerz i kubek.

- Musisz mieć fajną mamę - zauważyła.

- Owszem. Co to jest? Lukier o smaku toffi posypany wiórkami czekoladowo-karmelowymi?

Przecież to nie jest muffin. To nowa para dżinsów w większym rozmiarze.

Jen oblizała opuszki palców.

- On to lubi.

Nie musiałam pytać, o kogo chodzi. Przyszło mi do głowy, że chyba już nigdy nie będę musiała zadawać tego pytania.

- Serio?

- Ale z ciebie natręt - wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Nasza rozmowa zesła z niebezpiecznego tematu. Może dlatego, że Dellasandro siedział

niedaleko i mógł nas usłyszeć. Może dlatego, że rozmawia! z inną kobietą, więc fantazjowanie o nim było żalosne i bezsensowne. A może dlatego, że miałyśmy inne tematy do rozmowy, jak na przykład ja i Jen, nasze ulubione programy telewizyjne i książki, fajny chłopak, który dostarczał pizzę w naszej dzielnicy. Zwykle sprawy, o których rozmawiają przyjaciółki przy kawie. -Zbieram się.

Muszę zrobić pranie i zapłacić rachunki - oznajmiłam, gdy zmiotłam z talerzyka ostatnie okruszki grzesznego muffinka i dopiłam trzeci kubek kawy. Poklepałam się po brzuchu. - Zaraz chyba pękne.

- Cóż za wspaniałe niedzielne przedpołudnie -Jen westchnęła z rozkoszą. - Takie są najlepsze.

Zobaczymy się rano?

- Pewnie tak. Na pewno wpadnę po kawę na wynos. Niby mogę zaparzyć sama w domu, ale..

jakoś nigdy mi nie smakuje. Zresztą to czyste marnotrawstwo: przygotować cały dzbanek i wypić jedną filiżankę.

Jen uśmiechnęła się szeroko i mrugnęła do mnie.

- A tutaj można sobie jeszcze popatrzeć. . Owszem, o to też chodziło.

Jen wyszła z Mokki chwilę przede mną. Przysięgam, nie dlatego, że się ociągałam, usiłując bezskutecznie złowić spojrzenie Johnny'ego. No dobrze, raz na niego zerknęłam, gdy otwierałam frontowe drzwi i zabrzączał dzwonek. Miałam nadzieję, że podniesie wzrok w moją stronę, ale on wciąż był pogrążony w rozmowie z tajemniczą kobietą.

Nie było jeszcze późno - dopiero zdążyłam zapłacić rachunki, zrobić pranie i wysuszyć, złożyć i schować ciuchy do szafy - kiedy przypomniałam sobie o łańcuszku. Przeszukałam wszystkie kieszenie, nawet te w dżinsach, choć byłam pewna, że tam go nie schowałam. Nie było po nim śladu. Najwyraźniej jakimś dziwnym sposobem go zgubiłam.

Tak jak mówiłam Jen, nie była to dla mnie wielka strata. Ani nie był drogi, ani nie miałam do niego sentymentu. Po prostu zachodziłam w głowę, w jaki sposób go zgubiłam. Gubiłam wiele rzeczy. Odkładałam je gdzieś w czasie ataku i potem nie mogłam sobie przypomnieć gdzie. W

podobny sposób zdobywałam też wiele przedmiotów. Kiedyś po napadzie amnezji wyszłam ze sklepu, ściskając w dłoni roczny zapas balsamów do ust, które zapewne wyciągnęłam z pojemnika wystawowego. Wstydziłam się przyznać matce, że je ukradłam. Co rusz znajdowałam jeden w kieszeni płaszcza albo w torebce. Prześladowały mnie latami.

Jednak tego łańcuszka nie zgubiłam podczas ataku. Byłam tego niemal pewna. Z Mokki poszłam prosto do domu. Wiał tak silny wiatr, że czułam, jak zamierzają mi włoski w nosie. Może więc umknął mi zapach pomarańczy. Z drugiej strony mogłam dostać ataku bez ostrzeżenia. Ludzie cierpiący na amnezję często nie zauważali znaków ostrzegających przed napadem ani nie pamiętali, co się z nimi w tym czasie działo.

Kiedy to sobie uzmysłowiłam, wytrzeźwiałam szybko jak dzieciak za kierownicą na widok policjanta nakazującego mu zatrzymać wóz, którym właśnie wracał z balu maturalnego.

Zaczęłam histerycznie mrugać w nadziei, że dzięki temu trikowi powstrzymam łzy, które nagle nabiegły mi do oczu. Wzięłam długi, głęboki oddech. Potem jeszcze jeden. Wdech i wydech.

Przy trzecim udało mi się trochę uspokoić. Ale tylko trochę, bo wciąż czułam rozkołatane serce i zwinięty w kłębek żołądek.

Kilka lat temu, gdy wreszcie zrozumiałam, że tradycyjne metody leczenia zawiodły, przerzuciłam się na medycynę alternatywną. Miałam już dość nakłuwania igłami i łykania proszków, których efekty uboczne przynosiły więcej szkody niż pożytku. Nie warto było zawracać sobie tym głowy. Chociaż akupunktura wobec mojego przypadku pozostawała tak samo bezradna jak medycyna zachodnia, wolałam z niej korzystać niż dzień po dniu faszerować organizm toksyczną chemią. Terapia wyobrazeniowa i medytacje nie pomagały mi pozbyć się lęków, ale stosowanie tych technik na pewno wprawiało mnie w lepszy nastrój. Metodą prób i błędów doszłam do wniosku, że ataki nasilają się i mają zdecydowanie intensywniejszy przebieg, gdy jestem przemęczona, przewrażliwiona, pobudzona i podenerwowana, i jeszcze cały szereg innych „prze-

" i „po". Wtedy podjęłam decyzję, że włączam medytacje do codziennego pakietu ćwiczeń zapobiegawczo-relaksacyjnych.

Nowe podejście przyniosło niesamowite efekty. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie miałam ani jednego napadu amnezji w ciągu ostatnich dwóch lat. To znaczy... nie miałam do niedawna.

Jednak nawet te trzy ostatnie były tak lekkie, nieznaczące...

- Cholera - przeklełam, a głos, który z siebie wydobyłam, był ochryply i wyraźnie napięty.

Spojrzałam w lustro: blade policzki, podkrążone oczy, usta jak dwie kreski zasznurowane od powstrzymywania łez. Ataki nigdy nie sprawiały mi bólu, ale to, że je w ogóle miałam, bolało, i to bardzo.

Wzięłam kolejny długi wdech i jeszcze dłuższy wydech. Potem błyskawicznie wskoczyłam w spodenki od piżamy z miękkiej bawełny i koszulkę z podobizną Berta i Erniego. Kupiłam ją w parku rozrywki Ulicy Sezamkowej, który zwiedzałam z wycieczką szkolną. Koszulka na lata gdzieś się zawieruszyła i odnalazłam ją dopiero niedawno, tuż po przeprowadzce. Była odrobinę za ciasna, ale i tak bardzo ją lubiłam. Przypominała mi rodzinny dom.

Usiadłam po turecku na łóżku. Nie dysponowałam profesjonalną matą ani tym bardziej ołtarzykiem. Nawet nie zapaliłam kadzidełek. Nie traktowałam medytacji jako lekarstwa dla ducha, ale coś, co fizycznie oddziałuje na mój organizm. Kiedyś dużo czytałam o biofeedbacku. Wątpiłam, czy kiedykolwiek uda mi się kontrolować pracę serca albo oddziaływać na fale mózgowie w sposób, jaki opanowali zawodowi jogini. Jednak wierzyłam, że regularne medytacje mogą zdziałać cuda.

Oparłam ręce na kolanach, spodami dłoni do góry, i złączyłam kciuki z opuszkami palców.

Przymknęłam oczy. Nie recytowałam ani *Om mani padme kum*, ani żadnej innej znanej mantry.

Wypracowałam sobie własną formułkę, która najlepiej oddziaływała na moje ciało.

- Schabowy na maśle z ziemniakami. Schabowy na maśle z ziemniakami. Mniam.

Wymawiałam te słowa z namaszczeniem na jak najdłuższym wydechu. Z każdym wdechem próbowałam powstrzymać się od sprawdzania, czy przypadkiem nie wyczuję w powietrzu pomarańczowej nuty. Po dłuższej niż zwykle chwili udało mi się uspokoić. Wreszcie poczułam, jak mięśnie się rozluźniają, a serce zwalnia, wybijając regularny rytm.

Opadłam na poduszki. Wszystkie zupełnie nowiuśkie. Koldra też, podobnie jak materac i łóżko. Moje nowe łóżko, którego z nikim jeszcze nie dzieliłam. Wyprostowałam nogi i przeciągnęłam się, wciąż przymykając powieki. Rozkołysałam się na miękkim materacu, rozluźniłam, zrelaksowałam. Rękami instynktownie dotknęłam brzucha, potem ud. I piersi.

Rozmyślałam o Johnnym. Przypominałam sobie każdy detal jego twarzy, którą uważnie studiowałam, przesiadując w Mokce, i każdy fragment ciała, które podziwiałam na filmach u Jen oraz na fotografiach w internecie. Miał dwa wgłębienia symetrycznie umiejscowione w dolnej części pleców i jeden dołek na lewym policzku, tuż przy kąciku ust. Miałam ochotę je lizać.

Podciągnąwszy wysoko koszulkę, muskałam palcami nagą skórę brzucha. Usłyszałam swój przyspieszony oddech. Zazwyczaj nie potrzebowałam żadnych wizualnych podnieć, gdy chciałam sprawić sobie przyjemność. Porno było w porządku, nie przeszkadzało mi, ale szczególnie mnie przekonywało. Nawet filmy kręcone specjalnie dla kobiet nie bardzo na mnie działały. Bardziej kręciły mnie powieści erotyczne i muzyka.

Teraz jednak zupełnie obezwładniała mnie uroda Johnny'ego. Złociste brwi lekko uniesione nad zniewalająco orzechowymi oczami. Usta, odrobinę zacięte, gładko przechodzące w charakterystyczny uśmiech. Widziałam na filmach, jak się uśmiechał. Jeszcze nigdy w rzeczywistości.

- Johnny - szepnęłam. Spodziewałam się, że będę zakłopotana, wymawiając na głos jego imię, ale poczułam tylko żar rozpalający moje ciało.

Nawet jego imię wydawało mi się seksowne. Takie chłopiące. Brzmiało bardziej jak ksywa niż imię dla dojrzałego faceta, który - jak właśnie sobie uświadomiłam - był w wieku mojego ojca.

Jęknęłam i zakryłam dłonią oczy.

Jednak nawet to mnie nie powstrzymało i wciąż o nim myślałam. Mimo że on i moi rodzice byli równoletkami, nie miałam problemu, by wyobrazić go sobie w roli kochanka. Nigdy nie miałam jazdy na starszych facetów. Bez skrepowania taksowałam spojrzeniem młodszych ode mnie. Mój bank sąsiedował z kampusem uniwersyteckim. Razem z koleżankami z pracy podczas przerwy na lunch przyglądałyśmy się poządlawie studentom zmierzającym na wykłady. Wiek Johnny'ego nie miał dla mnie znaczenia, ale zdawałam sobie sprawę, że był dla mnie „za stary”.

Tymczasem moje ciało podpowiadało coś zupełnie innego.

Przesunęłam dłoń niżej, do zagłębienia między udami, i przycisnęłam ją do wzgórką łonowego.

Powoli głaskałam się przez cienki materiał piżamy, aż wreszcie włożyłam rękę pod spodenki. To miała być moja przyjemność. Własnoręczna robota.

Oczywiście fantazjowałam o Johnnym. Pojedyncze kadry przeplatały się z całymi scenami z filmów, a w tle rozbrzmiewał jego głos. Wyobrażałam sobie, jak wypowiada moje imię. Czy wystękałby je, jak na filmie, gdy pieprzył tę aktorkę, z którą miał dziecko? Czy wyszeptałby, wpijając sprężysty język w środek mojej cipki, którą teraz bawiły się moje palce?

Pragnęłam go rozebrać. Zdjąć z niego ten długi, czarny płaszcz, a potem szalik i przewiązać nim jego oczy. On by się śmiał i cierpliwie czekał, aż rozepnę jego koszulę i zrzucę ją na ziemię.

Odepnę guzik u spodni, potem rozprek i popatrzę, jak nogawki spodni zsuwają się wzdłuż jego długich, umięśnionych ud. Miałam ochotę uklęknąć przed nim i otrzeć się o jego miękkie włosy, złote i ciemniejsze niż te na głowie. Miałam ochotę wziąć jego słodkiego, dużego fiuta do ust i ssać, aż stwardnieje tak bardzo, że już nie będzie się mieścił w mojej buzi.

Przyspieszyłam ruchy ręki. Poczułam, że zwilgotniała mi cipka. Na moment włożyłam w nią palec, żeby go zwilżyć, i dalej przeciągałam pieścizoty. Drugą ręką chwyciłam pierś i pocierałam sutek. Kochałam się i wyobrażałam sobie Johnny'ego. Jego oczy, nos, uszy, usta. Apetyczne sutki.

Pragnęłam je lizać i przygryzać. Pragnęłam usłyszeć, jak powtarza moje imię i prosi, żebym dała mu się rznąć.

- Och tak - mruknełam.

Wyprężyłam plecy, biodra przesuwając do przodu w rytm słodkiego dotyku mojej ręki. Czułam, że orgazm nie nadchodzi, lecz galopuje. Nie robiłam tego od dawna. Ostatni raz uprawiałam seks trzy miesiące temu. Nie chciałam teraz o tym myśleć. Chciałam myśleć o Johnnym.

- Emm - powiedział wprost do mojego ucha, ale wcale się nie przestraszyłam. Nie otwierałam oczu. Poczułam zapach pomarańczy i poddałam mu się.

Wymacałam krawędź wezgłowia i chwyciłam je z całej siły. Drewno zaskrzygotało pod moimi palcami. Ześlizgiwały się z mokrej powierzchni, ale trzymałam mocno. Materac ugiął się pod jego ciężarem. Pocałował mnie.

Rozchylił szeroko usta, słodkawe i zmysłowe. Smakował tak, jak sobie wyobrażałam; kwintesencja smaku, jakiego zawsze pragnęłam i jaki zawsze kochałam. Wciągałam i delikatnie ssalam jego język. Nasze zęby zderzyły się i poczułam iskry przebiegające po moich plecach.

Roześmiałam się. Moje powieki drgnęły i w tej samej chwili usłyszałam ostrzeżenie. - Ani się waż -

szeptnął, więc posłusznie je zacisnęłam.

Wtedy wezbrała wilgoć w mojej cipce i jęknęłam. Wypowiedziałam jego imię, niskim i natarczywym głosem. Śmiał się ze mnie, tak jak w mojej fantazji. Muskał mnie ustami przez cienką bawełnę piżamy. lizał techtaczkę, a delikatny materiał tylko potęgował przyjemność.

Chciałam poczuć, jak skóra ociera się o skórę. Chciałam go poczuć w sobie, jak wchodzi głęboko aż po jądra. Chciałam, żeby mnie wreszcie zerznął, więc wbiłam paznokcie w jego plecy i ponaglałam go. Na próżno. Pocałunkiem i pieszczotą doprowadził mnie do orgazmu, kurewsko mocnego orgazmu.

Wypełniła mnie fala rozkoszy. Przeszywającej. Elektryzującej. Szarpnęła moim ciałem, puściłam więc drewniane wezgłowie, żeby wpleść palce w cudowne, gęste włosy.

Wyswobodziłam się z jego uścisku. Słyszałam jego głos szepczący czułe słówka. Jednak gdy wyciągnęłam do niego ręce, poczułam tylko własne ciało wyprężone w upojnym akcie. Otworzyłam oczy.

Chciałam krzyczeć, ale z gardła dobył się tylko jęk zawodu.

Przełknęłam z trudem ślinę i poczułam jego smak.

Byłam sama.

Rozdział 4

Wyglądałam jak czarownica. Włosy w strąkach, worki pod oczami, krosty na twarzy. Wyszedłam z domu, nie

zważając, że włożyłam skarpety nie do pary. Miałam nadzieję, że dopóki nie zacznę ostentacyjnie podwijać spodni, nikt nie zwróci uwagi na tę pomyłkę. Fatalnie spałam. Przez całą noc męczyły mnie okropne sny, które niewiele miały wspólnego z halucynacjami podczas ostatniego napadu amnezji.

Siedziałam przy biurku, ściskając w dłoniach kubek stygnącej kawy, i bezmyślnie gapiałam się w monitor komputera. Po wyjściu z banku miałam się udać na umówioną wizytę u specjalisty od akupunktury i w ciągu ostatniej godziny pracy nawet nie chciało mi się udawać, że wykonuję ważne obowiązki. Na szczęście nie goniły mnie żadne palące terminy. Gdy przyjmowałam tę posadę, spodziewałam się, że spadnie na mnie wiele zajęć, ale w porównaniu do poprzedniej pracy na stanowisku kasjerki, a potem asystentki dyrektora banku, tutaj tylko odcinałam kupony.

Przejrzałam skrzynkę mailową. Oprócz wiadomości z głupawymi dowcipami i zdjęciami dziwacznych znaków drogowych, które wysłała mi matka, odebrałam maila od Jen. W temacie napisała krótko: „Przeczytaj to”.

Gdy otwierałam wiadomość, czułam się trochę jak Alicja, która dostała radę od Gąsienicy.

Wiadomość zawierała link do bloga specjalizującego się w mrocznych horrorach. Znalazłam tam cały artykuł poświęcony filmom Johnny'ego, nawet tym, które horrorami nie były. Zaskoczyła mnie informacja, że nakręcił zaledwie piętnaście filmów, bo czytając o nim w internecie, odniosłam wrażenie, że było ich dużo więcej. Przeczytawszy dokładnie notatkę, zorientowałam się, że wiele z tych filmów zostało na nowo zmontowanych albo ukazało się pod innym tytułem lub w innej wersji językowej. Artykuł zawierał listę wszystkich tytułów wraz z linkami do oddzielnych stron, na których znajdowały się kadry, klipy i notatki dla bardziej zainteresowanych. Był też link do sklepu internetowego. Niektóre filmy można było kupić za grosze. Inne natomiast...

- Rany - mruknełam z podziwem.

Sto siedemdziesiąt pięć dolarów za zupełnie nieznaną wersję dubbingowaną. Plus dostawa. Zwilżyłam językiem usta, porównując tę cenę z trzycyfrową sumą (nie licząc tego, co po przecinku) na moim rachunku.

Wysłałam SMS-a do Jen: „175 dolców za film z J.D. Dasz wiarę?”.

Odpisała natychmiast: „Jasne. Który?”.

„Sto księżycówwpełni”,

„Kurde blaszka! Bierz to. Nikt nie ma *Stu księżyców*”.

Chwilę później wysłała wiadomość o treści: „(!)”.

Chwilę mi zajęło, zanim zorientowałam się, o co jej chodzi. Wreszcie parsknęłam śmiechem.

Rzecz dotyczyła wypinania gołych tyłków, a nie ciał niebieskich. Nieźle.

„Widziałas to?” - wystukałam na klawiaturze.

„Nigdy. Nawet na pirackich klipach”.

„Bierzemy?”.

Jaja sobie robisz? JASNE!!!”.

Sto siedemdziesiąt pięć dolców to dużo albo mało. Zależy. Na przykład gdyby tyle zapłacić za naprawę samochodu, to nie byłoby drogo, chociaż z drugiej strony tanio też nie. Taka cena byłaby w sam raz za mały telewizor, o wiele za duża za parę butów i śmiesznie mała za tydzień wakacji nad morzem.

Trzeba uczciwie przyznać, że była od chuja duża za płytę DVD.

Kliknęłam na „Dodaj do koszyka”. Strona się zawiesiła i serce podskoczyło mi do gardła. Zielony pasek wypełniający prostokątną ramkę w dolnym rogu ekranu zatrzymał się dosłownie milimetr przed końcem. Kliknęłam. Potem jeszcze raz. Bez efektu.

Minęły chyba ze dwie długie, stresujące minuty i wreszcie dotarło do mnie, że muszę kliknąć na „Mój koszyk”, żeby sprawdzić jego zawartość. Doliczyłam koszty dostawy, również porażająco wysokie, i inne opłaty dodatkowe. Gdy wstukiwałam numer karty kredytowej, nie miałam odwagi spojrzeć na ostateczną sumę. Strona wyglądała na zupełnie niezabezpieczoną. Ryzykowałam swoje dane osobowe, żeby zdobyć coś, co zapewne okaże się głównianą kopią jakiejś marnej produkcji.

Wydrukowałam paragon z transakcji, upewniłam się, że kopia zamówienia dotarła do mojej skrzynki, i dopiero wtedy zdecydowałam się opuścić stronę.

Rozparłam się w fotelu. Serce wciąż waliło mi mocno, a na dłoni czułam kropelki potu.

Miałam wrażenie, jakbym właśnie przebiegła milę, ścigana przez rozwścieczone psy. Albo zombi.

Albo jeszcze gorzej. Psie zombi. Czułam się wypluta, podenerwowana i jeszcze coś. Chyba niezdrowo podniecona. Napisałam do Jen.

„Kupiłam.”

„Pierdolisz?!”.

„Nie. Kiedy robimy dziewczyński wieczór?”.

„Niespodzianka. Zadzwoń, kiedy przyjdzie dostawa”.

Odpisałam, że nie omieszkam, i wrzuciłam telefon do torebki. Zaczęłam się zbierać do wyjścia. Dziesięć minut później wchodziłam już do centrum medycyny alternatywnej.

Wspomnę tylko, że z domu rodziców potrzebowałam czterdziestu pięciu minut, by tam się dostać. Kolejne pięć minut i już leżałam w zacisznym gabinecie z miękką poduszką pod głową.

Lubiłam różne gatunki muzyczne, ale tak zwana muzyka spa nie należała do moich ulubionych. Owszem, relaksowałam się przy niej, przy łagodnych dzwoneczkach i drewnianych instrumentach. W końcu o to chodziło. O uspokojenie pacjenta. Próbowałam, naprawdę się starałam, ale im bardziej usiłowałam oczyścić głowę z myśli, tym szybciej do mnie wracały.

Wiedziałam, że zabiegi pomogą mimo gonitwy myśli, które wirowały w mojej głowie jak rozpędzone koło z chomikiem w środku. Nie miałam ochoty tu siedzieć w takim stanie. Byłam spięta, niespokojna i obolała. Marzyłam o tym, żeby się zrelaksować na leżance i żeby igły zrobiły swoje... Znów zaczęłam się zamartwiać, co będzie, jeśli tym razem zabieg nie pomoże. I znów mój mózg zaczyna szwankować, i zmysły wzroku, słuchu, węchu i dotyku będą odbierać bodźce, których nigdy nie było. Albo gorzej. Znów będę miała dziury w pamięci i nie będę pamiętać, co się ze mną działo. Nie byłam pewna, co jest gorsze: przeżywanie zdarzeń, które nie miały miejsca, czy niepamiętanie tych, do których naprawdę doszło.

Wśród łagodnych dźwięków fletu i monotonnego szumu wody usłyszałam nagle jakiś niski dźwięk, jakby zawroscenie. Zawsze sądziłam, że w takich miejscach celowo wybiera się muzykę bez wokalu. Teraz jednak wyraźnie go słyszałam. Skutecznie przeszkadzał mi w koncentracji.

Wiolonczela, chropawy kobiecy głos, delikatne szarpanie strun.

A potem, chociaż zawsze wyraźnie podkreślałam, że nie życzę sobie żadnej formy aromaterapii podczas zabiegu, poczułam... intensywny zapach pomarańczy.

- Och nie - wymamrotałam, trzymając się rozpaczliwie świadomości każdą posiadaną komórką mózgową.

Kiedy zaczęły się pierwsze napady amnezji, w ogóle nie potrafiłam określić momentu ich nadejścia. W miarę upływu lat nauczyłam się je przewidywać z niewielkim zapasem czasu.

Bywało, że naprawdę niewielkim, ale na ogół wystarczającym, by się przygotować. Nigdy nie opanowałam sztuki opóźniania ataków. Zresztą nauczyłam się, że lepiej nie stosować takich technik, bo wtedy ataki trwały dłużej i były zdecydowanie silniejsze, a po zakończeniu napadu było mi trudniej dojść do siebie. Ale teraz, w tej sytuacji, nie umiałam w najmniejszym stopniu zapanować nad ciałem. To było najgorsze, co mogło mi się

przydarzyć. Przechodzić napad amnezji tutaj i teraz, z wklutymi w obojczyki i piszczyle igłami, które miały regulować moje *qi* i utrzymywać mnie w centrum świata. Napięłam mięśnie, skutecznie oddalając się od celu, w którym tu przyszłam.

Niewiele mogłam poradzić. Wokół mnie unosił się zapach pomarańczy. Zamknęłam oczy, naprężyłam ciało i czekałam, aż świat wokół mnie zacznie się zmieniać albo po prostu zrobi się czarny. Chwyciłam ręką krawędź leżanki. Igły w moim ciele przesunęły się i boleśnie zakłuły.

Nic się nie wydarzyło.

Mocno zacisnęłam powieki i moje zmysły się wyostrzyły. Usłyszałam skrzypnięcie kół, ciche kliknięcie zamka w drzwiach. Otworzyłam oczy i zwróciłam głowę w stronę, skąd dobiegał dźwięk.

Ujrzałam doktor Gupta. Przywitała mnie uśmiechem, a potem poklepała w ramię.

- Przepraszam, że tak późno usuwam igły, Emm - powiedziała. - Mieliśmy mały wypadek w recepcji. Zrobił się niezły bałagan, ale już sprzątamy. Uważaj proszę przy wyjściu.

Wyciągnęła igły ze skóry i wrzuciła do czerwonych pojemników oznaczonych symbolem zagrożenia biologicznego. Potem chwyciła mnie za ramię i pomogła mi usiąść. Podała mi papierowy kubek z wodą.

- Jak się czujesz?

Nie chciałam mówić o napadzie amnezji, który udało mi się zwalczyć. Wzięłam głęboki oddech. Zapach pomarańczy osłabł, ale nie zniknął zupełnie. Do ust nabiegła mi ślina i skrzywiłam się na wspomnienie cytrusowego smaku. Od lat nie jadłam pomarańczy. Nie znosiłam ich, więc to smakowe doznanie było zupełnie niezwykłe. Zazwyczaj czułam zapach pomarańczy, lecz nigdy ich smak.

- Zmęczona - odpowiedziałam.

- Tak powinno być. Kręci ci się w głowie? Wypij trochę wody.

Wypiłam pospiesznie, by pozbyć się natrętnego smaku cytrusów. Doktor Gupta wzięła ode mnie kubek i wrzuciła do śmieci. Potem złapała mnie za łokieć i pomogła mi wstać z leżanki.

Poczekaliśmy kilka sekund, bo z doświadczenia wiedziałam, że w pierwszych sekundach po zabiegu podłoga wiruje pod stopami. Dziś tak się nie stało, ale i tak odpoczywałam odrobinę dłużej niż zwykle.

- Emm, na pewno wszystko w porządku? - dopytywała się doktor Gupta, filigranowa brunetka o dużych, czarnych oczach. Przypominała mi bohatera komiksu *Dondi*.

- Jasne, że tak! - Posłałam jej najbardziej promienny uśmiech, na jaki było mnie stać.

Nie wyglądała na przekonaną. Podała mi kolejny kubek z wodą.

- Pij jeszcze. Okropnie pobladłaś. Następnym razem skupimy się na Ming Men zamiast Shen Men. Oprócz zabiegów relaksacyjnych zrobimy coś na pobudzenie.

Już trzeci rok przychodziłam na akupunkturę, ale bynajmniej nie stałam się ekspertem w tej dziedzinie. Byłam zwolenniczką szkoły: „Nie obchodzi mnie, co to jest, ważne, że działa”. Nie interesowała mnie ani istota, ani filozofia tej metody.

- Jasne - przytaknęłam.

Roześmiała się.

- Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda? Dobre, jeśli działa?

- Tak. - Wlałam w siebie kolejny kubek. Poziom wody w przełyku sięgał już trzonowców.

Znów poklepała mnie w ramię.

-Zobaczymy się za miesiąc. Chyba że będziesz chciała wcześniej.

Zostawiła mnie samą w gabinecie, żebym mogła się ubrać. Z głośników sączyła się cicha muzyka i zdałam sobie sprawę, że powinnam się czuć zrelaksowana. Tymczasem byłam nabuzowana. Naelektryzowana. Czułam się zresztą całkiem nieźle, wcale nie jak po ataku, gdy na ogół ogarniało mnie zmęczenie i senność.

Kłuło mnie w klatce piersiowej. Nie było we mnie niepokoju. Raczej wyczekiwanie. I żadnego bólu. Zresztą moim napadom amnezji nigdy nie towarzyszył ból.

Kiedy wyszłam z gabinetu, znów zaskoczył mnie zapach pomarańczy. Zatrzymałam się, objęłam ramionami, zacisnęłam szczęki.. i spostrzegłam wózek sprzątaczkowy, a w nim pojemnik z płynem o zapachu cytrusowym, z otwartą nakrętką. Podłoga wciąż błyszczała idealną czystością.

Kobieta przy wózku spojrzała na mnie i uśmiechnęła się przepaszająco.

- Wylał się prawie cały płyn - wyjaśniła, ściskając w ręce mop. - Ale już powycierałam. Proszę przejść, śmiało.

Nie miała bladego pojęcia, dlaczego się śmieję, ale też się uśmiechnęła. Miałam ochotę przybić z nią piątkę, ale się powstrzymałam. Uśmiech nie schodził mi z twarzy, gdy zatrzymałam się przy recepcji, żeby zapłacić za wizytę i zarezerwować następną.

- I to najbardziej lubię w tej robocie - powiedziała Peta, recepcjonistka.

- Przyjmowanie pieniędzy?

- Nie - potrząsnęła głową. - Lubię patrzeć, jak ludzie przychodzą tu cierpiący, a wychodzą zadowoleni.

Zastygłam z książeczką czekową w dłoni.

- Ładnie powiedziane.

Na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Może powinnam to zamieścić na plakacie motywacyjnym?

- Może. Ale to... chyba prawda? - Ulżyło mi, kiedy przekonałam się, że zapach pomarańczy nie zwiastował napadu amnezji.

-Owszem. Trzymaj się, Emm. Do zobaczenia w przyszłym miesiącu.

Pomachałam jej na do widzenia i wyszłam sprężystym krokiem. Usiadłam za kierownicą i z przyzwyczajenia wzięłam kilka głębokich wdechów. Gdy istnieje poważne ryzyko, że człowiek może dostać drgawek za kółkiem i spowodować wypadek, automatycznie odbiera mu się prawo jazdy.

Dlatego doceniałam możliwość samodzielnego prowadzenia auta. Teraz jednak, wyjeżdżając z parkingu, zdałam sobie sprawę, że sensoryjne bóle w moim brzuchu wcale nie ustąpiły, tylko chwilowo osłabły.

Może zaszkodziły mi tacos, które zjadłam wczoraj na kolację? Może za dużo kawy na pusty żołądek? Chwyciłam mocniej kierownicę i spojrzałam we wsteczne lustro. Oczy trochę szkliste, ale nie zestresowane. Żrenice w normie. Pole widzenia wyostrzone. Nie czułam nic poza własnymi perfumami, którymi skropiłam szalik.

Mimo to jechałam wolno. Ostrożnie. Nie ryzykowałam ani przy żółtym świetle, ani na podporządkowanej. Kiedy wreszcie znalazłam się na swojej ulicy, bolały mnie palce od ściskania kierownicy i kark od napinania mięśni.

- Skurwiel - burknęłam, gdy spostrzegłam, że ktoś znów zajął moje miejsce. Muszę koniecznie zorganizować kilka turystycznych krzesełek i rozkładać je na swoim stanowisku parkingowym, tak jak robili to sąsiedzi.

Jechałam dalej wzdłuż ulicy, aż wreszcie znalazłam wolne miejsce. Niedawno przejeżdżał tędy pług i zasypał świeżym śniegiem czyjeś odśnieżone stanowisko. Zazwyczaj parkował tu niebieski SUV ale teraz się tu nie mieścił. Zauważyłam, że zaparkował przy sąsiedniej przecznicy, dlatego bez poczucia winy zajęłam to miejsce swoim o wiele mniejszym autem. Taka karma, pomyślałam.

Z radością odkryłam, że po raz kolejny zaparkowałam przed domem Johnny'ego. To był miły bonus, który wprawił mnie w tak dobry nastrój, że aż zanuciłam pod nosem. Po wyjściu z samochodu przystanąłam na chwilę, żeby popatrzeć na jego dom. Kiedy ostatnio czułam się tak dobrze?

Odpowiedź brzmiała: nigdy. Wiele razy byłam zakochana. W gimnazjum byłam przekonana, że umrę, jeśli niejaki Steve Houseman, student, nie odwzajemni moich uczuć. Nie umarłam. Wieczorami patrzyłam w gwiazdy i marzyłam, by spojrzał na mnie jak na kobietę z krwi i kości, a nie gimnazjalną siksę. Nie czułam się jednak nawet w połowie tak uskrzydłona jak teraz.

Na chodniku zalegał śnieg, ale odcinek przed domem Johnny'ego był odśnieżony i posypany solą. Niestety inni mieszkańcy nie byli tak obowiązkowi. Usilnie starałam się zajrzeć w okna jego mieszkania i jednocześnie zrobić to w miarę dyskretnie, by nie wyjść na wścibską sąsiadkę. W ogóle nie zwracałam uwagi, którędy idę. Nagle postawiłam stopę na oblodzonym kawałku betonu i poślizgnęłam się. Machałam rękami, by utrzymać równowagę. Na próżno. Nigdy nie byłam gimnastyczką, ale wyszedł mi całkiem zgrabny szpagat. Choć podarłam rajstopy, sapnęłam z wdzięczności, że zdecydowałam się włożyć tego dnia spódnice.

Skupiłam wszystkie siły, by nie paść twarzą w brudną zaspę. Jakiś mężczyzna właśnie przekroczył jezdnię i wszedł na chodnik tuż przede mną. Kątem oka zauważyłam czarny płaszcz i szalik w paski. Zdażyłam tylko pomyśleć: *Ja pierdole, to on*, i wtedy znów się poślizgnęłam.

Zderzyliśmy się tak mocno, że instynktownie zacisnęłam szczęki. Ugryzłam się w język i poczułam smak krwi. Spojrzałam w twarz Johnny'ego, w jego orzechowe oczy. Był tak blisko, że mogłam policzyć jego rzęsy. Nie miałam pojęcia, że tuż pod okiem miał pieprzyk.

Chwycił mnie za ramiona.

Poczułam pomarańcze i osunęłam się na śnieg.

Rozdział 5

- Cześć, kociaku.

Mężczyzna mocno chwycił mnie za ramię, gdy potknęłam się o wystającą płytkę chodnika.

Niewiele brakowało, a leżałabym jak długa. Patrzyłam na pęknięty kawał betonu i zachodziłam w głowę, co też mi tu nie pasuje.

Wreszcie do mnie dotarło. Cholera, przecież to lato. A facet naprzeciw mnie to Johnny. Tyle że młody.

- Nic ci nie jest? Nastukałaś się czy co? - Roześmiał się i potrząsnął głową, by odgarnąć włosy z twarzy. - Przepraszam. Mocno się uderzyłaś?

Scena, w której Dorotka wychodzi z czarno-białego domu i w chwale technicoloru wkracza do kraju Manczkinów, jest jedną z najwspanialszych w dziejach kinach. Teraz czułam się właśnie jak Dorotka. Stałam z wybaluszonymi oczyma i rozdziawioną buzią. Kolana mi się trzęsły.

Rozejrzałam się, by zobaczyć, jak bardzo zmienił się świat wokół mnie. Instynktownie uchyliłam się w obawie, że zaraz zawali się na mnie budynek. Upadłabym, gdyby Johnny znów mnie nie podtrzymał.

- Spokojnie, maleńka - powiedział łagodnie i poprowadził mnie do schodów przed gankiem.

Usiedliśmy na rozgrzanym od słońca betonie. Chwytał moją dłoń.

Kolory wydawały się tak jasne. Z oddali dobiegały jednostajne, mocne rytmy disco.

Rozpoznałam w nich piosenkę, którą przed laty lubiła nucić moja matka. Obok nas przemknęła na wrotkach dziewczyna, ubrana w krótkie spodenki i top bez ramiączek, z łatwością omijając dziurę, w którą chwilę wcześniej wpadłam. Jej długie włosy załopotwały jak wielki kawał błyszczącego jedwabiu.

W wąskiej uliczce, gdzie stały auta w różnych odcieniach zieleni i brązu, zadudniła śmieciarka.

Na jej boku dostrzegłam napis „Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania w Nowym Jorku”. Z trudem przełknęłam ślinę, która nagle napłynęła mi do ust.

Skwar. Upał. A ja drżałam, wręcz szczękałam zębami, mimo że moje pośladki palił rozgrzany beton. Niechcący otarłam się o niego gołymi łydkami w podartych rajstopach i syknęłam z bólu.

- Spokojnie - powtórzył Johnny łagodnie.

Wcale nie czułam pomarańczy, tylko spaliny i lekki smród, dobiegający ze studzienki w bocznej alejce albo ze śmietników stojących wzdłuż chodnika. Pachniało spalonym od słońca betonem.

Pachniało też nim.

Bez zastanowienia pochyliłam się, by dotknąć nosem jego szyi, i wzięłam długi, głęboki oddech.

Jego włosy łaskotały mnie w policzki. Pachniał tak, jak powinien pachnieć mężczyzna - nie wodą kolońską, ale czystą skórą. Odrobiną letniego potu, świeżym powietrzem. Pachniał lepiej, niż sobie wyobrażałam, a wyobrażałam sobie, że pachnie zajebiście fajnie.

- Hej - powiedział czule.

Cofnęłam się i zamrugałam oczami. Żar na moich policzkach nie miał nic wspólnego z upałem. Powąchałam go, jak pies badający terytorium. Podczas halucynacji zdarzało się wiele irracjonalnych rzeczy. Często zachowywałam się tak, jak nigdy nie zachowałabym się w prawdziwym świecie. W życiu nie czułam się tak zakłopotana jak teraz.

- Przepraszam - wydukałam. Próbowałam się od niego odsunąć, ale przytrzymał mnie mocno za rękę.

- Bez przesady. Jak masz na imię?

W rzeczywistości był nawet piękniejszy niż na zdjęciach. Wiem, że to niesprawiedliwe porównać młodego Johnny'ego do tego starszego, ale nie mogłam się powstrzymać. Młody Johnny wciąż się do mnie uśmiechał, podczas gdy starszy nie uczynił tego ani razu.

- Chyba masz jakieś imię? - Przechylił głowę, patrząc na mnie przez długie, jedwabiste kosmyki, które uparcie opadały mu na oczy.

- Emm - odpowiedziałam. - Mam na imię Emm.

- Johnny - powiedział i uniósł nasze ręce, potrząsnął nimi w powietrzu, a potem złożył je na swoich udach.

Dotknęłam jego skóry. Zadrżałam. Zaczęłam głęboko oddychać. Już wiedziałam, że to napad amnezji. To była tylko uluda, a gdzieś w innym świecie straciłam świadomość.

- Och, Johnny - jęknęłam i przymknęłam oczy. - Johnny.

Chodziło mi o tego w czarnym, zimowym płaszczu. Tego, na którego wpadłam i przed którym teraz najwyraźniej robiłam z siebie idiotkę.

- Tak, to ja. - Przysunął się bliżej. Nasze uda się stykały. - Nie znam cię, ale zdaje się, że ty znasz mnie. Jak to możliwe?

Przecież mam atak, strofowałam się w duchu. To nie dzieje się naprawdę. Mimo starań mogłam odczuwać wyłącznie to, co działo się teraz. To miejsce. Mężczyznę, który siedział u mego boku.

Poza tym nie odbierałam żadnych innych sygnałów, choć wiedziałam, że jest gdzieś prawdziwy świat, do którego mogłabym wrócić, gdyby tylko mój mózg mi na to pozwolił.

Nie chciałam wracać. Zdałam sobie z tego sprawę, patrząc na uśmiech Johnny'ego. To do mnie się uśmiechał. Patrzył na mnie zniewalająco. Zatrzymał wzrok na dłużej na moich piersiach, potem ustach. Zwiłzył językiem wargi.

- Nie jesteś zbyt wygadana, co?

- Po prostu. . to jest trochę. . - dukałam. Zaśmiał się i pogłaskał kciukiem wierzch mojej dłoni.

- Musiałaś wziąć zajebisty towar. Lepiej uważaj. To nie jest bezpieczna okolica. Mieszkam tu, ale nigdy cię nie spotkałem, Wprowadziłaś się niedawno?

- Tylko przechodziłam.

To nie było kłamstwo.

- Wejdz do środka. Są u mnie przyjaciele. Mamy małą imprezkę. Chodź - mówił takim tonem, jakby trzeba mnie było namawiać. - Zabawisz się. Obiecuję.

Wstał i pociągnął mnie za sobą. Ziemia się nie zakołysała. Nie zawirowało mi w głowie.

Poszłabym dokądkolwiek, jeśli tylko Johnny trzymałby mnie za rękę.

Mieszkał w Nowym Jorku lat siedemdziesiątych, w kamienicy z elewacją z brunatnego piaskowca, podobnej do tych we współczesnym Harrisburgu. Ta jednak musiała być sporo nowsza, chociaż z zewnątrz wcale nie było tego widać. W środku tak bardzo przypominała mój dom, że aż musiałam powstrzymać okrzyk zdziwienia, gdy weszliśmy do holu. Naprzeciw nas pięły się w górę schody, a pod nimi biegł korytarz prowadzący do kuchni. Po lewej za zasłoną z koralików znajdował się salon,

Z piętra dobiegała głośna muzyka. Słyszałam jakieś głosy. W powietrzu unosił się zapach marihuany. - Chodź. - Johnny pociągnął mnie w kierunku kuchni, gdzie wokół drewnianego stołu siedziało kilka kobiet i mężczyzn, a reszta stała, opierając się o blat. Wszyscy przyglądali się mężczyźnie, który gotował coś w wielkim garnku. - Głodna? Candy coś wykombinuje.

Słyszając swoje imię, mężczyzna odwrócił głowę

i wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu, pokazując rząd równych białych zębów. Skinął głową po królewsku, kołysząc fryzurą afro niczym władca pozdrawiający poddanego. Chochła w jego dłoni błyszczała jak berło.

- Witaj, siostrze. Mamy dosyć jedzenia dla wszystkich.

Byłam głodna jak wilk. Burczało mi w brzuchu. Nigdy wcześniej nie czułam głodu w czasie halucynacji. Oczywiście jadłam w nich i piłam, ale nigdy z potrzeby. Jedną rękę wciąż miałam uwięzioną w uścisku Johnny'ego, a drugą przyłożyłam do brzucha.

Spojrzałam na znajomą fakturę materiału, który wyczułam pod palcami. Wciąż miałam na sobie zimowy płaszcz. Nic dziwnego, że było mi tak gorąco. Nic dziwnego, że każdy mi się przyglądał.

- Zdejmij to - zaproponował Johnny.

Skinęłam głową i pozwoliłam, by pomógł mi ściągnąć płaszcz. Być może w tych latach siedemdziesiątych ruchy feministyczne rosły w siłę, ale Johnny był dżentelmenem. Powiesił mój płaszcz na wieszaku stojącym za drzwiami i objął mnie w pasie. Wszyscy w kuchni uważnie mi się przyglądali.

- To jest Emm - powiedział Johnny lekkim tonem, jakby bezustannie przyprowadzał do domu nieznanym. Pewnie tak było. - To jest Wanda, Paul, Ed, Bellina i Candy przy garach.

Przywitalicie się.

Przywitali się chórem, a ja gapiłam się i próbowałam trzymać język za zębami. Nie kojarzyłam Wandy, nawet z nazwiska, ale Bellina Cassidy była dramatopisarką, której sztuki wystawiano na Broadwayu w obsadzie złożonej z najznakomitszych nazwisk teatru. Edgar D'Onofrio był znanym poetą, pod koniec lat siedemdziesiątych popełnił samobójstwo. Paul to chyba Paul Smiths, fotograf i reżyser, który wyreżyserował kilka pierwszych filmów Johnny'ego. A Candy...

- Candy Applegate?

Candy spojrzał z uśmiechem. - To ja.

- Prowadzisz restaurację - oznajmiłam. - I ten program kulinarny w telewizji.

W kuchni rozległ się gromki śmiech. Patrzyłam na Enklawę. Oblizalam usta i poczułam smak potu.

- Nie. To nie ja. - Candy potrząsnęła głową i zanurzył chochlę w garnku, z którego pysznie pachniało. - To jakiś inny Candy.

- Przecież to ty - upierałam się, ale szybko zamilkłam, żeby nie powiedzieć za dużo.

Halucynacje różniły się od snów, które czasem udawało mi się kontrolować. Nigdy nie umiałam nadać biegu wydarzeniom, które miały miejsce w mojej głowie podczas ataków.

Dlatego niekiedy bywały bardziej przerażające od koszmarów. Najczęściej jednak, podobnie jak i teraz, musiałam tylko pamiętać, że nie mam żadnego wpływu na wydarzenia i że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Mogłabym im powiedzieć, że znam ich przyszłość, ale wtedy mieliby mnie za jeszcze większą wariatkę niż do tej pory.

I tak Johnny uważnie mi się przyglądał.

- Daj jej coś do żarcia.

- Nie martw się. Nakarmię ją - zapewnił Candy.

Rozdał gorące miski pikantnej mieszanki warzywnej. Zjedliśmy ją z aromatycznym, lepkiem ryżem, a resztki sosu zebraliśmy domowej roboty chlebem. Kosztowałam wszystkiego dwa razy, nie z głodu, ale dlatego, że było takie smaczne.

Wszyscy dużo jedli. Śmiali się i żartowali. Rozmawialiśmy o sztuce, polityce i muzyce, którą znałam tylko z lekcji historii albo z rozgłośni promujących muzykę klasyczną. Rzucali nazwiskami: Jagger, Bowie, Lennon. Jedli rękami ze wspólnej miski. Jeden drugiemu przekazywał fikfę,

nie zwracając sobie głowy wyjaśnianiem, co jest w środku. Ja też zapaliłam; w końcu wiedziałam, że to nie dzieje się naprawdę.

Johnny nie spuszczał ze mnie wzroku. Ja też go obserwowałam. Nie zapytałam nawet, który to rok. Wiedziałam, że w tej rzeczywistości czas nie miał specjalnego znaczenia. Z długości włosów Johnny'ego wnioskowałam, że musiał mieć dwadzieścia cztery lata. To oznaczało, że byłam od niego starsza o jakieś siedem lat. Chyba mu to nie przeszkadzało.

Mnie tym bardziej nie.

Jedzenie i rozmowy, przerywane wybuchami śmiechu. Ktoś przyniósł gitarę i zaczął grać.

Wszyscy śpiewali. Byłam zaskoczona, że znam słowa piosenki. Coś o kwiatach, żołnierzach i śmierci.

Potem zaśpiewali *Puffthe Magic Dragon*. Nie miałam pojęcia, że to o marihuanie.

W czasie imprezy ludzie wciąż zmieniali miejsca przy stole. W końcu wyłądownałam obok Johnny'ego, Nasze uda znów się stykały. Nasze ramiona ocierały się, kiedy Johnny pochylał się nad stołem, by sięgnąć po kromkę chleba upieczzonego przez Candy'ego albo by napęlić mój kieliszek mocnym czerwonym winem, od którego w prawdziwym życiu stroniłam.

Johnny spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się. Pocałowałam go. Ledwie musnęłam ustami. Miał ciepły, przyjemny oddech. Uśmiechnął się znów i objął mnie za szyję.

Nikt tego nie zauważył albo nikogo to nie obchodziło. Myślę, że wszyscy byli już pijani albo upaleni.

Ed oparł głowę na blacie stołu i chrapał. Johnny ścisnął moje udo pod stołem.

- Zabierz mnie stąd - szepnęłam do niego.

Spojrzał na mnie zaintrygowany. Potem pokiwał głową. Chwycił mnie za rękę i bez słowa wyprowadził z kuchni. Nawet się za siebie nie obejrzałam. Weszliśmy na górę wąskimi schodami, mocno ściskając się za ręce. Wolną dłonią przytrzymałam się poręczy. Spojrzałam w dół, a potem w górę na piętro. Johnny trzymał mnie mocno. Kręciło mi się w głowie od jedzenia i tego, co było w fifce. Posłusznie szłam za nim.

Na górze, w korytarzu, przejęłam inicjatywę. Pocałowałam go. Potem przycisnęłam do ściany i włożyłam nogę między jego uda, przyciskając ją mocno do jego krocza. Coś dużego i metalowego wpijało się w mój brzuch. Chyba sprzączka od paska. Oparłam ręce na jego torsie ukrytym pod koszulą ze śliskiego materiału w paskudne wzory. Całowałam go długo i powoli.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, gdy na moment przerwałam pocałunek.

- Kim jesteś?

- Emm - mój głos brzmiał bardziej ochryple niż zwykle. Oblizalam wargi i poczułam jego smak.

- Emm - powtórzył Johnny, jakby rozważał tę odpowiedź. - Tak masz na imię. Ale kim jesteś?

- Nikim - odpowiedziałam.

Nasze ciała lgnęły do siebie. Zacisnął dłonie na moich biodrach. Z parteru dobiegły nas odgłosy muzyki i śmiechu. Poczułam ostry zapach ziola. Tutaj, na górze, było cicho.

Za długo to trwało. W każdej chwili mogłam zacząć znikać z tego świata, by obudzić się w prawdziwej rzeczywistości. Leżąc na kolanach, albo gorzej, twarzą do ziemi. A może nie obudzę się wcale?

Pierwsze drzwi po lewej stronie korytarza były uchylone i z łatwością dostrzegłam, że za nimi znajduje się sypialnia. Chwyciłam go za rękę i pociągnęłam w tę stronę. Pchnęłam drzwi i zaprowadziłam go prosto do łóżka przykrytego pomarańczowym kocem. Moja babcia miała podobny.

Usiadłam na łóżku i próbowałam rozstawić nogi. Moja spódnica, stanowczo za długa na te lata, zaplątała się między łydkami. Podciągałam ją powoli i patrzęłam, jak Johnny mnie obserwuje.

Podkasałam wysoko spódnice i wycelowałam w niego palcem.

- Chodź do mnie.

Johnny uśmiechał się i rozpinął koszulę. Rzucił ją na podłogę i podczołgał się do mnie.

Przywarliśmy do siebie ustami, nasze języki ślizgały się po sobie. Rozłożyłam szeroko uda i przyciągnęłam go prosto do cipki.

Potem przewróciłam go na plecy i dosiadłam okrakiem. Wczepił palce w moje pończochy i jednym ruchem je zerwał. Dzieliły mnie od niego już tylko dżinsy.

- Zablokowany fiut - wymamrotałam, szarpiąc jego rozporek.

- Co? - Johnny się roześmiał.

- Twoje dżinsy. Blokują mi fiuta. Ściągnij je. Znów się zaśmiał. Ten jego śmiech. Chciałam go pożreć. Jego usta. Jego całego. On był pode mną nagi, a ja wciąż ubrana. Pochyliłam się nad nim i moje włosy opadły, zakrywając nasze twarze. Obsypałam jego ciało pocałunkami.

Nie protestował, gdy go całowałam, ssałam i lizalam. Nie protestował, gdy uniosłam spódnice i odsunęłam majtki, żeby wślizgnąć się na jego kutasa. Nie protestował, gdy pieprzyłam go w szaleńczym tempie, zlana potem. Oboje byliśmy skoncentrowani. Nie odzywaliśmy się, nawet nie całowaliśmy. Nieposkromiona namiętność wzbierała w nas uparcie i wreszcie eksplodowała.

Zaprotestował, gdy wstałam, by odejść, ale wtedy było już za późno. Kolory pobladły, a kształty się rozmazały. Trzęsąc się jeszcze po orgazmie,

pocałowała go na pożegnanie. Johnny jęknął

zawiedziony, a ja wycofałam się i zamknęłam za sobą drzwi.

Obudziłam się.

Rozdział 6

Bolały mnie kolana. Czułam ostre klucie w ranie. Krew sączyła się z otartej w kilku miejscach skóry. Moje rajstopy rzeczywiście były podarte, ale od upadku, a nie od namiętych igraszek z Johnnym, gołym jak go Pan Bóg stworzył Trzymał mnie jedną ręką za łokieć, drugą ścisnął moje biodro.

- Nic ci nie jest?

Mrugałam oczami, starając się odzyskać kontrolę nad ciałem. Wiedziałam, gdzie jestem.

Wiedziałam, kim on jest. A co najważniejsze, wiedziałam, który to rok.

- Wszystko w porządku. Tylko poślizgnęłam się na lodzie. Przepraszam. Uderzyłam cię?

Moje pełne animuszu wyjaśnienia chyba go nie przekonały. Ciekawe, jak długo byłam nieświadoma? Dziwnym trafem nie miałam okazji, by tuż przed atakiem zerknąć na zegarek.

- Trzeba uważać - ostrzegł mnie stanowczo.

Wciąż czułam jego smak. Smak jego ust i ciała. Przełknęłam zachłannie ślinę. Staliśmy zbyt blisko siebie jak na parę nieznajomych, a przecież byliśmy nieznajomymi. Puścił moje biodro, ale wciąż trzymał mnie za łokieć. Dziękowałam mu za to w duchu, bo moje nogi nagle osłabły i zaczęły drżeć.

- Wyglądasz jak czarownica. Chodź - wycedził.

W innym wypadku szydziłabym z silnego akcentu, ale w ustach Johnny'ego ta uwaga zabrzmiała podniecająco. Nie umiałam wydusić z siebie ani słowa. Pociągnął mnie w kierunku schodów przed gankiem. Po chwili weszliśmy do środka i tym oto sposobem wyładowałam w domu Johnny'ego Dellasandra.

Przepięknie zaaranżował wnętrze. Zresztą tego właśnie się spodziewałam. Stałam na drewnianym parkiecie i dopiero teraz zauważyłam, że z mojego płaszcza kapie woda. Nie zwróciłam wcześniej uwagi, że mam zupełnie mokre nogi. Patrzyłam na buty i rosnącą wokół mnie kałużę błota, a potem spojrzałam na niego.

- O rany. Przepraszam.

Johnny zawiesił na mosiężnym wieszaku długi czarny płaszcz i prążkowany szalik. Potem zlustrował mnie wzrokiem. Poczułam się jak ostatnia kretyńska.

- Chodź do kuchni. Dam ci pić. Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

Byłam blada jak ściana. Dygotałam. Rzeczywiście musiałam przypominać czarownicę.

- Dzięki.

- Wejdz. - Johnny wykonał gest, jakby chciał odpędzić kury, i ruszył za mną korytarzem w kierunku kuchni. - Zaparzę ci herbaty. Chyba że wolisz coś mocniejszego?

- Wystarczy herbata. Dzięki. - Usiadłam na wskazanym krześle. Stół nie mógł być taki sam jak ten, który wykreowała moja wyobraźnia, a jednak wyglądał identycznie.

Bywało, że po ataku czułam się chora i rozbita. Ten stan zazwyczaj szybko mijał. Teraz oddychałam powoli i płytko. Przelykałam powietrze, starając się uspokoić żołądek, który podchodził mi do gardła.

Johnny w milczeniu krzątał się po kuchni. Napełnił czajnik wodą i postawił na palniku. Próbował

zapalić ogień, ale z kuchenki tylko poszły iskry. Pomajstrował przy palniku i nagle buchnął wielki niebieski płomień.

- Cholera - zaklął pod nosem.

Mielenie jęzorem. Tak to nazwała Jen. Śmiałam się z niej wtedy, ale teraz dobrze ją rozumiałam.

Mocno zacisnęłam szczęki, żeby nie wypłuć z siebie najbardziej bezsensownych i dziwacznych myśli, które bombardowały mój umysł. Na próżno.

- Masz piękny dom.

Johnny chrząknął, wyciągnął z szafki dwa kubki i postawił na blacie. Otworzył puszkę z napisem „Herbata” i włożył kilka liści do drucianego pojemniczka. Z innego kredensu wyciągnął gliniany imbryk.

- Włożyłeś w niego sporo pracy - ciągnęłam.

Mój tata zwykł mawiać, że tylko idiota odzywa się po to, żeby przerwać ciszę. Chyba nie byłby teraz ze mnie dumny. Zdaje się, że i Johnny'emu nie zaimponowałam.

- Od dawna tu mieszkasz?

- Piętnaście lat - Johnny w końcu się odezwał, ale zanim to zrobił, wlał wrzątek do imbryka i postawił go na stole. Przykrył go dzierganym ocieplaczem, a obok ustawił kubka. Podeszedł do lodówki i wyciągnął mleczko.

Johnny zaparzył dla mnie herbatę. Było to chyba bardziej absurdalne niż podróż w czasie w lata siedemdziesiąte. Siedziałam z rękami złożonymi na kolanach i przyglądałam się, jak siada naprzeciw mnie i nalewa herbatę do kubków. Dosypał do jednego trzy łyżeczki cukru, sownicie dołął śmietanki, a potem przesunął go w moją stronę. Chwyciłam kubek, ale nie śmiałam podnieść go do ust, w obawie że rozleję i znów narobię sobie obciachu.

- Ale ładny - zaczęłam. - To znaczy, chodzi mi odom.

Spojrzał na mnie.

- Pij.

Podmuchałam w gorący napar, a potem upiłam mały łyżeczek. Herbata smakowała doskonale, właśnie taką przyrządziłabym sobie sama. Ukoila żołądek, który po krótkiej chwili zaburczał.

Johnny nie zdążył nawet umoczyć ust. Wstał i podeszedł do blatu. Z pojemnika na chleb wyjął

paczkę ciasteczek z czekoladą i rzucił na stół.

- Potrzeba ci więcej cukru.

- Nic mi nie jest, naprawdę.

Wyciągnął z paczki ciasteczko i położył przede mną.

- Zjedz.

Zjadłabym, gdyby powiedział to z uśmiechem albo gdyby przynajmniej odrobinę mnie zachęcił.

To były moje ulubione ciasteczka. Zresztą byłam głodna i naprawdę potrzebowałam cukru. Ale ta jego mina i ta maniera! Zachowywał się jak stary zrzęda.

- Nie, dzięki.

Johnny wzruszył ramionami i wyciągnął z paczki kolejne ciasteczko. Przez chwilę obracał je w palcach jak magik koncentrujący się przed sztuką z monetą. Gapił się w ciasteczko, a potem spojrzał

na mnie. Wreszcie ugryzł kawałek. Kiedy zlizywał okruszki z ust, musiałam się skoncentrować na kubku z herbatą, który ścisnęłam w rękach. Napar zdrzął w moich dłoniach jak szklanka wody w *Parku jurajskim* zapowiadająca nadejście tyranozaura. A przecież nie było żadnego dinozaura w pobliżu.

- Jak chcesz - odparł.

Wykazałabym się głupotą, gdybym nie zjadła tego ciasteczka, więc po chwili zniknęło w moich ustach. Poczułam, jak słodycz eksploduje na języku, i choć mógł to być efekt placebo, mój żołądek od razu się uspokoił i przestało mi się kręcić w głowie. Zlizalam czekoladę z palców i wzięłam spory łyk herbaty.

Atak najwyraźniej minął, skoro smak Johnny'e-go zastąpił aromat herbaty i czekolady. Wcale nie chciałam zapomnieć tych doznań, ale wyślizgiwały się z mojej pamięci jak garść spaghetti z sosem.

Westchnęłam i zjadłam kolejne ciasteczko, gdy znów przesunął paczkę w moją stronę.

- Niezbyt smaczne. - Nie zabrzmiało to jak przeprosiny, raczej jak stwierdzenie faktu. - Domowe są lepsze.

- Domowe jest zawsze lepsze - przyznałam. - Ale trzeba brać, co dają, nie?

- Taa - nawet nie wysilił się na uśmiech. Rozparł się na swoim krześle i przyglądał mi się obojętnie. Na jego wąskich ustach nie zawitał nawet cień uśmiechu. - Odzyskałaś rumieńce.

- Owszem, czuję się dużo lepiej. Dzięki. Tego mi było trzeba - przyznałam, wskazując na paczkę z ciastkami. Miałam nadzieję, że na zębach nie rozmazała mi się czekolada.

- Tak, wiem. Czyli już wszystko w porządku?

Pokiwałam głową.

- Taa. . dzięki. Dziękuję.

Johnny popatrzył ostentacyjnie na zegarek.

- Mieszkaś w pobliżu?

- Tak. Wprowadziłam się tu kilka miesięcy temu. Tuż obok - dodałam. - Numer czterdzieści trzy.

Mielenie jęzorem. Niewiele brakowało, a padłabym ofiarą tej przypadłości. Na szczęście Johnny powstrzymał mnie, zanim zdążyłam chlapanąć coś w stylu: „Wpadnij do mnie i będziemy się rżnąć tak długo, aż zobaczymy gwiazdy”. Jego ton i poza nie pozostawiały żadnych złudzeń co do mojego rychłego wyjścia.

Zatrzymałam się w proggu.

- Dzięki, panie Dellasandro.

Wiem, że by mnie pocałował. Albo ja pocałowałabym jego. Potem przycisnąłby mnie do ściany i włożył rękę pod spódnicę. I pieprzylibyśmy się na schodach...

- Uważaj na siebie - rzucił na do widzenia i zatrasnął mi drzwi przed nosem.

Nawet nie zapytał, jak mam na imię.

- Nie wierzę. - Jen była jednocześnie przerażona i zafascynowana. - Zaprosił cię do domu? I poczęstował ciasteczkami? Ożeż, stara. . Czy poprosił cię też, żebyś usiadła mu na kolanach?

-Nie, do kurwy nędzy. Niestety nie.

- Jasne, że oczywiście, - Potrząsnęła głową i sięgnęła po spódnicę wiszącą na wieszaku. - Co o tym myślisz?

- Paskudnie brzydka. - Musnęłam palcami poliestera w kolorze zielono-pomarańczowym. - A mimo to interesująca.

- Wiem przecież. A to? - zaprezentowała sukienkę, którą uszyto, jakby miała być koszulą i spódnicą w jednym. - I jeszcze do tego pasek.

- I tylko za połowę ceny - dodałam, rzuciwszy okiem na metkę. W sklepach Armii Zbawienia w środy były przeceny. Jen i ja wpadałyśmy tam co tydzień. - Gdzie będziesz w tym chodzić?

-Och. Chyba do pracy. A do tego super fajne botki. Może trochę skróć spódnicę.

Fantastyczne rękawki.

Rękawki były naprawdę fajne. Luźne i bufiaste, ściągane przy nadgarstkach. Ja nie wyglądałabym w tym najlepiej, ale Jen bardzo pasował taki styl.

- Prawdziwa bohema.

- Tak sądzisz? - Przyłożyła sukienkę do ciała. -Tak, chyba masz rację.

Wrzuciła ją do wózka i dalej przesuwaliśmy się wzdłuż wieszaków z ubraniami. Jak zwykle w środy w sklepie roilo się od klientów. Nasz wózek miał rozklekotane kółka, dlatego ciężko było nim manewrować. Musiałyśmy sobie radzić we dwie. Wypatrzyłam czarną jedwabną sukienkę z dużym dekoltem, rozkloszowaną u dołu. Do tego błyszcząca broszka w cenie! Za pięć dolców, po pięćdziesięcioprocentowej obniżce. Nie mogłam się oprzeć i wrzuciłam kieckę do koszyka, mimo że nie miałam pojęcia, gdzie będę w niej chodzić.

- Fajna - rzuciła Jen. - Opowiedz mi jeszcze o Johnnym. Jaki ma dom? Dobierał się do ciebie?

- Przepiękny. Bynajmniej. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie stamtąd wyjdę.

- Dupek. - Jen ściągnęła z wieszaka błękitną sukienkę bez rękawów. - Fantastyczny odcień.

- Owszem. Chyba jednak nie powinnam się dziwić. W końcu niemal zmiotłam go z chodnika jak jakieś bezwładne monstrum.

- Udało ci się nie zapytać, czy możesz ugryźć go w tę bajeczną dupę?

- Przynajmniej tyle. Słuchaj, idę do działu z koszulkami - nie mogłam już patrzeć na sukienki.

Koniec tego będzie taki, że wydam dwadzieścia dolców na wdżianka spod znaku vintage, których nigdy nie włożę.

Opracowałam pewną teorię w kwestii zakupów w secondhandach. Spędziłam wiele godzin, łąząc po sklepach w poszukiwaniu konkretnej rzeczy, i nigdy nie wychodziłam z pustymi rękami. Z jakiegoś powodu za każdym razem, gdy szukam czegoś w takim sklepie, udaje mi się to znaleźć. Kiedy zamarzyłam o szmaragdowym kardiganie, znalazłam idealny w sklepie Armii Zbawienia, choć akurat był to niemodny kolor. Kiedy potrzebowałam dzinsowej kurtki, bo swoją zostawiłam w hotelu, znalazłam ich dziesięć na wyprzedaży zorganizowanej przez lokalny kościół. Myślę, że w grę wchodzi wyższa świadomość. A może to kwestia szczególnej percepcji, dzięki której oczy widzą więcej w odpowiednim miejscu i w odpowiednim momencie.

Weźmy na przykład koszulkę, którą właśnie trzymałam w rękach. Jasna bawełna, wyblakła od setki prań. Mój wzrok przyciągnęła niezwykła miękkość materiału. W ogóle nie szukałam koszulki, wyciągnęłam ją z kosza ze względu na tkaninę, ale to nadruk widniejący z przodu ubrania przykuł

moją uwagę.

Był to plakat jednego z filmów Johnny'ego. Angielski tytuł brzmiał *Tańczący z diabłem*, ale zdjęcia kręcono we Włoszech. Zapamiętałam ten charakterystyczny obrazek, gdy buszowałam po internecie. Johnny na motocyklu, w czarnej skórzanej kurtce, włosy odgarnięte przez wiatr, papieros w ustach. W stylu Jamesa Deana. Sam seks. I do tego unikat.

Na metce widniała cena w wysokości jednego dolara, w promocji jedyne pięćdziesiąt centów.

Ten zakup w jakimś stopniu rekompensowałby okazałą sumę, którą wydałam na DVD. Mimo to wahałam się, czy wrzucić ciuch z powrotem do kosza, czy popędzić z nim do kasy, zmiatając z powierzchni każdego, kto stanąłby na mojej drodze, Percepcja czy wyższa świadomość? Co kazało mi położyć rękę na tej koszulce akurat teraz?

Gdybym tu przysła kilka tygodni wcześniej, porzuciłabym ją dla Inianej koszuli, na której wciąż wisały oryginalne metki. Zmiałam koszulkę w zaciśniętej pięści.

Świat wokół mnie lekko zawirował.

- Hej, co znalazłaś? - Jen zerknęła mi przez ramię.

Wszystko ucichło. Ani śladu pomarańczowego aromatu. Żadnych rozmazanych krawędzi pola widzenia. Zero napadu amnezji. Wypuściłam oddech, który na chwilę wstrzymałam, i rozpostarałam koszulkę.

Oczy wyszły jej z orbit.

- Ja pierdołę. Przecież to *Tańczący z diabłem!* Na zasranej koszulce?

Spojrzałam na rozpostarty ciuch.

- Tak!

- Stara - Jen zrobiła uroczystą minę. - Chyba rzuciłaś urok na Johnny'ego. O w mordę! Ta koszulka wygląda na oryginalną. A nie tak, jakby ktoś w domu przyprasował nadruk żelazkiem. Nigdy nie widziałam, żeby je reklamowali. Pokaż metkę.

Spojrzała. Prychnęła i wyduła usta, a potem oddała mi ją z szacunkiem.

- Metka wygląda na starą. Myślę, że to oryginalna koszulka promocyjna.

- Możliwe - przycisnęłam koszulkę do piersi. - Biorę ją.

- Jasne. Nie masz innego wyjścia. Prawdopodobnie to gówno jest wiele warte. -Jen skwapliwie pokiwała głową. - Ale chyba nie zamierzasz jej sprzedać? Wiem! Będziesz w niej spała, co?

Wybuchłam śmiechem.

- Mowa!

- Johnny na twoich cyckach - powiedziała Jen rozmarzonym głosem. - Zazdroszczę.

Po zdobyciu takiego trofeum wiedziałam, że nie znajdę już nic, co mogłoby je przebić. Dlatego zapłaciłyśmy i udałyśmy się na parking. Zapadła noc.

W powietrzu pachniało śniegiem. Jen opowiadała mi jakąś historię, że dokądś wyszła podczas weekendu, że kogoś spotkała. Nie byłam w stanie skupić się na jej słowach. Koszulka w plastikowej torebce ciążyła mi w rękę, bynajmniej nie ze względu na swoją wagę.

Jen machnęła na pożegnanie i wsiadła do wozu. Chwilę później ja znalazłam się w moim.

Wciągałam do płuc zimne powietrze, powoli, oddech za oddechem. Próbowałam się upewnić, że nie wyczuwam pomarańczy; udało mi się tylko zidentyfikować smród starych frytek dobywający się z zatłuszczonej torebki na tylnym siedzeniu. Wszystkie kształty były ostre, nierozwiązane, nie licząc kropli wody wyciekającej spod wycieraczki na przedniej szybie.

Gdy dotarłam do domu, palce bolały mnie od ściskania kierownicy. Rozbolała mnie też głowa od koncentrowania się na prowadzeniu auta. O dziwo moje stare miejsce parkingowe było wolne, choć w duchu przyznałam, że polubiłam parkować przed domem Johnny'ego.

Już w domu wrzuciłam wszystkie zakupy do pralki. Na bok odłożyłam rzeczy, które wymagały czyszczenia chemicznego. Przytrzymałam koszulkę w dłoniach. Widać było, że już wiele razy ją prano, a nadruk z przodu odrobinę wyblakł. Na pewno można było ją prać w pralce, ale wyciągnęłam miednicę spod umywalki i wyprałam koszulkę w delikatnym płynie, wypłukałam w letniej wodzie, delikatnie wyęłam w rękę, a potem rozłożyłam na suszarce.

Za dużo cackania się z jedną koszulką, zrugałam się w duchu. Miałam jeszcze sporo czasu, by przełączyć pranie w tryb suszenia, poszłam więc do kuchni coś zjeść. Za każdym razem, gdy mijam

łam drzwi kuchni, mój wzrok bezwiednie wędrował w kierunku suszarki.

Śnił mi się tej nocy, ale to były zwyczajne sny. Bezsensowne, dziwne, urwane, pozbawione logiki zdarzenia, tak inne od tych, które przeżywałam podczas halucynacji. Nie zdawałam sobie sprawy, że to tylko sen, nawet gdy mnie pocałował. Nawet gdy powiedział mi, żebym spadała. To przemieniał się w obecnego Johnny'ego, to w tego sprzed lat, a potem jego miejsce zajął aktor, którego nazwiska nie znałam, ale którego tuż przed zaśnięciem widziałam w telewizji w reklamie.

Obudziłam się i pełna niepokoju pobiegłam po ciemku do suszarni. Chwytałam koszulkę, była już sucha i trochę sztywna. Pachniała czystością. Zabrałam ją ze sobą do łóżka i przytuliłam mocno do piersi, tak jak w dzieciństwie przytulałam pluszowego misia. Może i potem śniłam dalej, ale nic nie zapamiętałam.

Rozdział 7

Nazajutrz nie widziałam Jen w Mokce. Tego ranka i bez niej było tu dość tłoczno. Miałam zaledwie kilka minut, żeby zamówić muffinka i kawę, ale gdy spostrzegłam długą kolejkę do baru, zaczęłam kalkulować, czy nie bezpieczniej będzie zrezygnować ze stania. Kiedy wreszcie dotarło do mnie, że jednak ryzykuję spóźnienie do pracy, okazało się, że właśnie dotarłam do kasy.

Modliłam się w duchu, by nie było porannych korków.

Nie muszę dodawać, że moje myśli wciąż krążyły wokół Johnny'ego. Całkowicie zawładnął

moim umysłem. Dlatego gdy odwróciłam się od baru, trzymając w rękach muffinka, kubek z kawą i pobrzękujące kluczyki od wozu, musiałam kilkakrotnie zamrużyć powiekami, by się przekonać, czy wzrok mnie nie myli. A jednak widziałam na własne oczy, jak stał przed stojakiem z gazetami i szukał „New York Ti-mesa”. Gdy do niego podeszłam, właśnie wyciągał najświeższy numer.

- Cześć - rzuciłam krótko.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie znużonego spojrzenia i ostentacyjnego braku zainteresowania. Johnny nie raczył mnie zaszczycić nawet skinieniem głowy, tylko bez słowa mnie wyminął i podszedł do baru. Poczułam się, jakby co najmniej wymierzył mi siarczysty policzek. Na mojej twarzy musiało się malować święte oburzenie, lśniące jaskrawo jak neony nocą, bo Carlos, wychyliwszy głowę zza komputera, posłał mi pełne współczucia spojrzenie. Siedział tu dziś od wczesnego ranka.

- Hej, nie przejmuj się - odezwał się cicho, gdy Johnny w rozchełstanym płaszczu przedzierał

się przez tłum klientów w kierunku drzwi. - On tak zawsze. Chyba nie lubi, jak mu się nadskakuje.

- Nie nadskakuję mu. Na miłość boską - zmarszczyłam brwi, obserwując Johnny'ego przez szybę. -Próbowałam tylko być miłą.

Carlos wzruszył ramionami.

- Czy ja coś mówię? Ciągle zaczepiają go zdrowo szurnięte fanki. Po prostu woli zachować dystans.

- Nie jestem - powiedziałam twardo - zdrowo szurniętą fanką.

Uniósł brew i uśmiechnął się kwaśno.

- Doprawdy? Ty i Jen patrzycie na niego tak wygłodniałym wzrokiem, jakby był pozycją w tutejszej karcie deserów.

Oblał mnie mocny rumieniec.

- O Boże. To aż tak widać?

- Nie martw się, on chyba nic nie zauważył. Po prostu jest nieufny. Widziałem, jak laski dosłownie zdzierały z siebie ubrania, żeby dostać się do niego w publicznym miejscu w biały dzień! - Carlos potrząsał głową, jakby nie mógł się zdecydować, czy ta myśl bardziej go irytuje, czy podnieca. - I mówię o starych laskach, Emm, Grubo po pięćdziesiątce.

Ty w porównaniu z nimi jesteś młodą, seksowną laseczką.

- No coś ty, przestań, ale dzięki. - Po czarnym płaszczu Johnny'ego nie było już śladu.

Pociągnęłam łyk kawy i spojrzałam na Carlosa. - Jen twierdzi, że wobec ciebie był miły.

- Bo miał pewność, że nie zamierzam go wyruchać. A nawet gdybym chciał, to na pewno nie z powodu jakichś romantycznych zaszłości sprzed lat.

- Dlaczego nie? - Wiedziałam, że Johnny przed laty miewał przeróżne przygody seksualne, w rozmaitych konfiguracjach, choć nigdy nie przyznał, że jest gejem ani że ma skłonności biseksualne. W wywiadach nazywał siebie „hetero o szerokich horyzontach”.

- Kto wie? Może w ogóle nie czuje z naszej strony zagrożenia. Nas, facetów, łatwiej zniechęcić.

A może miał dobry dzień. Nie mam pojęcia.

Zabolały mnie słowa Carlosa, chyba dlatego, że były tak bliskie prawdy.

- Przecież nie mówię, że się w nim zakochałam. Zresztą w zeszłym tygodniu wpadłam na niego przypadkiem na ulicy i sam zaprosił mnie do siebie na herbatę, - Na herbatę? Nie chrzań - powiedział drwiąco i machnął ręką.

- Serio - zaperzyłam się. Nie wzięłam tekturowej osłonki na kubek i kawa zaczynała parzyć mi dłoni. Chwyciłam kubek drugą ręką, niemal zgniatając muffinka w papierowej torebce. - Siedziałam w jego kuchni i piłam jego herbatę, a dziś nawet nie może odpowiedzieć mi „cześć”? Zachował się jak... jak ostatni palant, i tyle.

Carlos wzruszył ramionami i znów zaczął się gapić w laptopa.

- Facet najwyraźniej ma swoje powody. Na pocieszenie powiem ci, że postępuje tak ze wszystkimi.

Poczułam się jeszcze gorzej. Nie chciałam, żeby Johnny traktował mnie jak wszystkich.

Pragnęłam być... wyjątkowa.

- Na razie - krzyknął za mną Carlos, choć odeszłam od stolika bez pożegnania. - Nie przejmuj się, Emm!

Ja jednak nie umiałam się nie przejmować. Nie smakowała mi kawa, bo z tego wszystkiego zapomniałam dorzucić porcję cukru i śmietanki ekstra, którą zawsze obowiązkowo dodawałam. Zajrzałam do papierowej torebki i odkryłam, że muffin zupełnie się zgniółł i pokruszył. Na dodatek byłam spóźniona do pracy.

- A przecież tylko chciałam się przywitać - burknęłam pod nosem.

Myślałam o tym przez cały dzień, gdy siedziałam w biurze przed komputerem, wpisując dane do tabelki, odpowiadając na maile i odbierając telefony. Robota paliła mi się w rękach, ale dzielnie gasiłam wszystkie ognie. Prawdopodobnie wzniciłam też kilka nowych - byłam zbyt rozkojarzona, by je zauważyć.

Karierę w bankowości wybrałam trochę przypadkiem. Studiowałam w Lebanon Valley College w swoim rodzinnym mieście. Dzięki temu mogłam wciąż mieszkać w domu rodziców. Annville jest małym miasteczkiem, które od północy i południa odcinają od świata wiejskie farmy, ale od wschodu i zachodu hula wiatr odnowy z pobliskich metropolii. Nie mogłam przebierać wśród ofert pracy.

Przed wszystkim siedziba firmy, w której miałam pracować, musiała znajdować się w pobliżu domu moich rodziców, w odległości, którą można było pokonać na piechotę. Pizzeria, stacja benzynowa, kino... i wreszcie bank. W banku zaproponowano mi najlepsze godziny pracy, najlepszą pensję i najlepsze bonusy. I co najważniejsze, nie byłam zależna od rodziców w kwestii dojazdów.

Pracowałam tam przez całe studia i nawet później, gdy życie utrudniał mi brak prawa jazdy.

Po kilku latach awansowałam na menedżera. Lubiłam tę pracę. Lubiłam liczby. Jeszcze bardziej lubiłam nową posadę w spółdzielczym banku kredytowym stanu Pensylwania.

Dziś jednak nie mogłam tego powiedzieć.

Odczytywałam minuty do wyjścia. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie znajdę się w domu i sprawdzę, czy doszło już zamówione przeze mnie DVD - *Sto księżyców w pełni*. Niestety okazało się, że skrzynka jest pusta. Szczerze mówiąc, dwa razy sprawdziłam, czy przesyłka przypadkiem nie wpadła gdzieś głębiej do skrzynki. Wreszcie, zrezygnowana, otworzyłam drzwi i weszłam do wychłodzonego, pogrążonego w mroku domu.

Nie znalazłam też żadnych wiadomości na sekretarce automatycznej. Właściwie rzadko ktoś mi je zostawiał. Znajomi dzwonili na telefon domowy, a jeśli nie odbierałam, dzwonili na komórkę.

Najwyraźniej dziś nikt się mną nie interesował.

Wzięłam długi gorący prysznic. Stałam w kabinie ze spuszczoną głową, a strumień parującej wody oblewał moją szyję i plecy. Od stresu rozboleł mnie kark. Napięte do granic mięśnie wołały o masaż. Przydałyby się silne męskie dłonie. Niestety miałam pecha, bo te akurat były poza moim zasięgiem. No chyba że bym za nie zapłaciła. Ostrze żyletki, którą przesuwalam po nagich łydkach, nieprzyjemnie kłuło moją skórę.

I w ten sposób znów zaczęłam rozmyślać o Johnnym.

Z czym, do cholery, miał problem? Rozumiem, że to może być nieco irytujące, gdy obce osoby, przypadkiem spotkane w kawiarni, komplementują jego genitalia. Wprawdzie rzekomo nie wstydział

się swojej przeszłości, a nawet jeśli, to przecież zakończyła się dobre trzydzieści lat temu. Szanowałam go za to, że nie chciał odcinać kuponów od kariery filmowej, którą zrobił wiele lat temu, i rozumiałam, że nie życzył sobie, by podziwiano go za ciało, które nie było już przecież takie młode. Ale nie mogłam pojąć, dlaczego mnie splawił. Jakby nigdy w życiu nie zaparzył dla mnie herbaty, i to w mój ulubiony sposób, ani nie poczęstował mnie ciasteczkami z własnego kredensu. Wykazał się porażającą bezczelnością. Aż trudno było uwierzyć, że jest aż tak wielkim złamasem. Chyba byłam w nim za bardzo zakochana, żeby to dostrzec.

Johnny nie miał pojęcia o naszych - moich i Jen - nocnych maratonach filmowych. Nie wiedział o napadach amnezji i snach. I bez względu na to, jak obcesowo obchodzili się z nim zdrowo szurnięte fanki, ja do nich nie należałam. Nie miało znaczenia ani to, co o nim myślałam, ani to, co działo się w mojej podświadomości, bo ani jedno, ani drugie nie przekładało się na moje zachowanie. Wkurzało mnie, że wrzucił mnie do jednego worka ze zdrowo szurniętymi fankami, które ostentacyjnie nękały go w Mokce. Hej, przecież nie wprowadziłam się tu, na tę ulicę, by być bliżej niego. No kurwa mać. Po prostu byliśmy

sąsiadami.

Gdy przypominałam sobie o czekoladowych ciasteczkach, zaczęło mi burczeć w brzuchu. Jak on to powiedział? Że domowe lepsze? Czy nie byłoby miło, gdybym tak po sąsiedzku poczęstowała go ciasteczkami własnej roboty?

Kilka minut później rozłożyłam na blacie kuchennym cały arsenał przyborów do pieczenia.

Kupiłam ten dom częściowo przez kuchnię, którą odnowili poprzedni właściciele - nie tylko odmalowali ją w moich ulubionych kolorach i wyposażyli w sprzęt kuchenny najlepszej jakości, lecz także wstawili wyspę, dzięki której było więcej miejsca zarówno do gotowania, jak i spożywania posiłków. Dlatego nie potrzebowałam stołu.

Przygotowałam wszystkie potrzebne składniki. Miałam nawet makutę i zestaw miarek.

Brakowało mi tylko przepisu. Dobrego przepisu. A nie było lepszego od starej receptury mojej babci.

Przechowywałam jej fragmenty w moim mózgu, dziurawym jak wyborny szwajcarski ser, ale nigdy samodzielnie - od początku do końca - nie piekłam ciasteczek z czekoladą według jej przepisu.

Już trzymałam telefon przy uchu, już wybierałam numer mojej matki, gdy zdałam sobie sprawę, że nie rozmawiałam z nią od trzech dni. Dosłownie

trzech. Jeśli dobrze pamiętałam, nigdy nie zdarzyło się, żebyśmy tak długo nie miały kontaktu. Jeśli ja do niej nie telefonowałam, wtedy robiła to ona i zostawiała wiadomości na sekretarce, póki nie odzwoniłam.

Odebrała, zanim zdążyłam się nad tym porządnie zastanowić.

- Halo.

- Mamo. To ja, Emm - poczułam się zobowiązana przedstawić, jakby wydała na świat więcej niż jedną córkę.

- Emmaline. Cześć. Co słyhać?

Nie zapytała mnie, czy wszystko w porządku. Poczułam jednocześnie ulgę i niepokój.

- Potrzebny mi przepis babci na ciasteczka z czekoladą.

- Zamierzasz piec?

- No cóż. . Na to wygląda.. - zaśmiałam się. - Po co by mi był przepis, gdybym nie zamierzała piec?

- Całe wieki nie piekłam tych ciasteczek - wyjaśniła matka.

Przerwałam wsypywanie mąki do puszki, której nigdy wcześniej nie używałam.

- Naprawdę? Jak to możliwe?

- Po prostu. . twój ojciec i ja próbujemy ograniczyć słodczyce. Wiesz, trzeba dbać o sylwetkę.

- Aha - zupełnie o tym zapomniałam. Matka kilka razy w roku zmuszała ojca do stosowania diety i równie często zarzekała się, że uczyni to samo, ale oboje lubili jedzenie, w przeciwieństwie do gimnastyki, a ja niestety odziedziczyłam po nich to zamiłowanie. - I jak wam idzie?

- Och, znasz przecież ojca. Twierdzi, że trzyma się diety, ale ja wiem, że podjada burgery i frytki.

- Może by nie podjadał, gdybyś od czasu do czasu upiekła mu ciasteczka - podsunęłam i obie zachichotałyśmy, bo wiedziałyśmy, że nie ma siły, która zmusiłaby ojca do zastąpienia frytek i burgerów ciasteczkami, choćby były najpyszniejsze na świecie.

- Mam! - Głos matki zabrzmiał tryumfująco. - Włożyłam go do książki kucharskiej, którą dostałam od cioci Min w prezencie gwiazdkowym.

- Której książki? Tej z niskokalorycznymi wypiekami?

- Właśnie tej.

- Mamo, dlaczego akurat tam schowałaś przepis na ciasteczka z czekoladą?

- Ponieważ - odparła matka takim tonem, jakby usłyszała kompletnie niedorzeczne pytanie -

wiedziała, że tu na pewno nie zajrzę.

Wybuchłyśmy śmiechem. Spędziłyśmy razem wiele wieczorów, mieszając i wałkując ciasto na placki z owocami lub warzywne zapiekanki. Moja matka świetnie radzi sobie w kuchni i wiele się od niej nauczyłam, mimo że teraz prawie w ogóle nie gotowałam. Brakowało mi tego. Brakowało mi jej.

Tęskniłam za starymi czasami.

- Emm, ty się chyba nie przeziębiłaś? Albo, broń Boże, nie złapałaś grypy. Powinnaś łykać to. . jak to się nazywa? Twój kuzyn mi o tym wspominał. Coś oscylującego. Jak wentylator.

Chodziło jej o oscil um.

- Nic mi nie jest. Od czego mam zacząć?

Znów mnie zatkało, bo nie ciągnęła wątku choroby. Moja matka *nigdy* nie odpuszczała. Gdy tylko natrafiła na drobny trop wskazujący, że coś mi dolega, trzymała się go uparcie, jak szczeniaczek szarpiący stary kapeć.

- Masz wszystkie składniki?

- Owszem.

- Tłuszcz do pieczenia? - Głos matki brzmiał podejrzliwie. - Jajka?

- Tak, matko.

- Jako że nie da się upiec ciasteczek bez jajek, prawda, Emmaline?

Kiedyś próbowałam tego dokonać.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz.

- Nigdy - potwierdziła głosem pełnym czułości.

Stłumiłam kichnięcie, ale wcześniej zakryłam dłonią słuchawkę. Nie chciałam, żeby się o mnie martwiła. Z drugiej strony jej troska sprawiała mi przyjemność.

Pokrótkie wyjaśniła mi, jak odmierzyć składniki i jak je poprawnie wymieszać. Raz po raz przekazywała mi najnowsze plotki i historyjki na temat krewnych i sąsiadów. Dla odmiany spróbowałam skupić uwagę na nie swoich sąsiadach. Opowiedziała mi, co słysząc u moich starych przyjaciół ze szkoły, których spotkała przypadkiem, a z którymi ja *nie* rozmawiałam od lat, nie licząc grzecznościowych postów na Connexie.

- Masz lepszy kontakt z moimi znajomymi niż ja - zauważyłam, wybierając ostatnią łyżkę ciasta z makułki, by starannie ułożyć je na blasze. Chwilę później wkładałam blachę do lśniącego czystością piekarnika, który wprawiliby w zakłopotanie niejednego szefa kuchni. Zlizalam resztki ciasta z łyżki.

- Złapiesz salmonellę - przestrzegła mnie matka.

- Skąd wiedziałaś?

- Znam cię od urodzenia, Emmaline. W końcu jestem twoją matką. Och, muszę już kończyć. Zaczyna się mój ulubiony program. Cześć, Emm. Kocham cię.

Rozłączyła się tak szybko, że nawet nie zdążyłam zapytać, o jaki program jej chodzi. Fakt, że nie wiedziałam, co lubi oglądać w telewizji, dowodził jedynie, jak wiele się między nami zmieniło, odkąd wyprowadziłam się z domu. I tak powinno być, powtarzałam sobie, ustawiając zegar w piekarniku. Ostatnie miesiące, które spędziłam w domu - między dniem, w którym podjęłam decyzję o wyprowadzce, a dniem, gdy wreszcie do niej doszło - były okropne.

Większość znajomych matek i córek miało okres kłótni za sobą. Córki dorosły i uniezależniły się od matek. Wyjechały na uczelnie. Wyprowadziły się z rodzinnych domów. Stały się kobietami. Ja dorastałam pod czujnym okiem matki, i to nadopiekuńczej. Irytowało mnie to, choć rozumiałam, że nie ma innego wyjścia. Z czasem napady amnezji osłabły i gdy nie miałam ich od ponad roku, lekarze pozwolili mi prowadzić samochód. Wówczas obawy i lęki mojej matki, zamiast zmaleć, wyraźnie wzrosły. Nie miałam do niej pretensji. Doskonale rozumiałam, dlaczego się denerwuje. Trzeba było otwarcie przyznać, że w wyniku urazu mózgu, którego doznałam w dzieciństwie, stałam się osobą niepełnosprawną. Lekarze nie znali na to żadnego lekarstwa, potrafili jedynie doraźnie leczyć objawy. Nie pozostawało rai nic innego, jak tylko trzymać kciuki i modlić się. Nie pozostawało mi nic oprócz nadziei.

Mimo to przyjąłam nową posadę w banku spółdzielczym, choć nie byłam jeszcze gotowa na przeprowadzkę do własnego mieszkania. Życie w domu rodzinnym stało się nie do zniesienia.

Matka nie była przekonana do mojej decyzji. Wciąż na mnie krzyczała i zamartwiała się niemal do szaleństwa. Klóciłyśmy się bardziej i częściej niż w czasach mojego dojrzewania. Czasami kładłam się spać tak wściekła, że aż się ze mnie kurzyło, a rano budziłam się wciąż zdenerwowana. Mogę się tylko domyślać, jak ona przeżywała te dni. Wahala się, czy pozwolić mi odejść, a ja obawiałam się, że nigdy nie uda mi się stanąć na własnych nogach. Było mnie stać na własne lokum jedynie dzięki temu, że przez tyle lat mieszkałam z rodzicami i w przeciwieństwie do moich rówieśników nie musiałam wydawać pieniędzy na czynsz ani wynajem. Teraz, gdy piekłam ciasteczka we własnym domu, który w dużej mierze zawdzięczałam rodzicom, miałam ochotę oddzwonić do matki i przeprosić ją za to, że byłam taka niezdolna.

Zamiast tego jednak zlizalam resztki ciasta z łyżki, otwarcie rzucając wyzwanie salmonelli.

Słodka masa smakowała wybornie, niczym zakazany owoc. Tym gestem wyraziłam bunt wobec wszelkich przestróg i ograniczeń, którymi zasypywała mnie matka. I jeszcze wobec jawnej prawdy, że dzinsy z każdym dniem coraz mocniej opinały moje biodra. Buntownicza z drewnianą łyżką.

Tymczasem ciasteczka dopiekały się w piekarniku, a w mojej kuchni roznosił się wspaniały zapach czekolady. Poczulałam, jak burczy mi w żołądku. Wzięłam tyk imbirowego piwa i wyłożyłam ciastka na przepiękny talerz w drobne malowane różyczki, z pozłacanym brzegiem. Kupiłam go w sklepie Armii Zbawienia za grosze. Sprzedałabym na eBayu sto razy drożej. Ten zakup stanowił

kolejny dowód mojej teorii na temat secondhandów. Szukałam w nich również wyposażenia domu.

Pewnego razu natknęłam się na całe pudło niedopasowanej, ale kompletnej zastawy stołowej.

Miałam całą kolekcję talerzy. Mogłam bez wahania ten jeden poświęcić. Z drugiej strony osoba obdarowana ciasteczkami w tak ślicznym naczyniu musiała się poczuć zobowiązana, by mi je oddać.

Doprawdy, czasem bywałam przebiegłą lisicą.

- Cześć - urwałam szybko, gdy otworzyły się drzwi domu Johnny'ego i ujrzałam w nich kobietę.

Starsza pani przez chwilę wpatrywała się we mnie z kwaśną miną. W końcu się odezwała, mocno potrząsając głową.

- Domyślałam się, że przyszedł do niego.

- Hm. Johnny Dellasandro?

- Ten gość, co tu mieszka? - Mówiła z prowincjonalnym akcentem, który razi! w „wielkim mieście”. Mnie nie przeszkadzał, bo nasłuchiwałam się go sporo w rodzinnych stronach. - Wejdz.

Przekroczyłam próg domu i starannie wytarłam buty w wycieraczkę, by znów nie zabrudzić śniegiem drewnianej podłogi. Potem wysoko uniosłam podbródek oraz talerz pełen ciasteczek przykrytych czerwoną serwetką, którą kupiłam na poświęconej wyprzedaży.

Kobieta patrzyła to na ciasteczka, to na mnie.

- Sama je dla niego upiekłaś?

- Tak. Jest w domu?

- To jego ulubione ciasteczka. - Uśmiechnęła się i od razu przeistoczyła z obmierzłego gloma w rozpromienioną dobrą macochę z bajki. - Wejdz do środka, no już ci. Jest na gorze. Maluje.

Zawołam go.

- Dzięki. - Żołądek podchodził mi do gardła, mimo to ruszyłam za nią w kierunku kuchni.

Otworzyła drzwi, które w moim mieszkaniu prowadziły do garderoby, ale tutaj do tylnych schodów.

- Johnny! - wrzasnęła. Jej głos odbił się echem, lecz nikt nie odpowiedział. Spojrzała na mnie.

Wciąż stałam w zapiętym po szyję płaszczu, w rękach trzymając talerz z ciastkami. Wzruszyła ramionami. - Johnny Dellasandro! - Bez odpowiedzi. Westchnęła i ciężkim krokiem wspięła się na pierwszy stopień schodków, które pięły się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Oparła dłoń o framugę, pochyliła się do przodu i pisnęła tak głośno, że instynktownie cofnęłam się o krok. - To powinno go ściągnąć na dół - pokiwała głową, uśmiechając się szeroko. Potem otrzepała ręce, jakby właśnie wykonała kawał dobrej roboty. - Kiedy maluje, zatyka sobie uszy stoperami.

- Nie chciałam przeszkadzać.

Już podczas ostatniej wizyty ostro mnie przećwiczył. Tym bardziej teraz mogłam sobie wyobrazić jego reakcję, skoro odrywałam go od pracy.

Machnęła rękami.

- Phi. Pracuje już cały dzień. Przyda mu się przerwa. I ciasteczka od ładnej dziewczyny.

Uśmiechnęłam się.

- Naprawdę wolałabym mu nie przeszkadzać.

Obydwie spojrzałyśmy na schody, z których dobiegło głucho dudnienie. Najpierw zobaczyłam jego białe stopy. Odruchowo podkurczyłam palce u nóg. Potem ujrzałam postrzępione nogawki startych dżinsów. Wreszcie znalazł się na ostatnim stopniu i stanął w drzwiach. Wyglądał na skonsternowanego.

- Co się tak drzesz? - odezwał się z tym swoim akcentem, leniwie przeciągając sylaby.

- Masz gościa. Rany boskie, Johnny, włóż coś na siebie. - Kobieta westchnęła i oparła ręce na biodrach, potrząsając głową z dezaprobatą.

Sprzeciw, wykrzyknęłam w duchu, ze wszystkich sił starając się na niego nie patrzeć. Z drugiej strony nie wiedziałam, gdzie skierować wzrok, jeśli nie na te boskie sutki. O kurwa, niezły kaloryfer.

Nie był młody, ale superwysportowany. Na pewno miał lepszą sylwetkę niż niejeden z moich byłych.

- Cześć! - powiedziałam. Cieszyłam się, że ani nie zadrżał mi głos, ani się nie zająknęłam. Nie mogłam nic poradzić na rumieńce, ale pomyślałam, że czerwień na policzkach nie musi być oznaką wstydu - w końcu na zewnątrz był siarczysty mróz.

- Ona ci przyniosła ciasteczka, ośle. A ty - zwróciła się do mnie - zdejmij płaszcz i siadaj.

Po tonie wnosiłam, że przywykła do wydawania poleceń. Ja jednak wolałam zaczekać, aż gospodarz domu wejdzie do kuchni. Dopiero wtedy usiadłam, wciąż nie zdejmując płaszcza.

Johnny zerknął na mnie przez ramię i podszedł do innych drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do garderoby. Ściągnął z wieszaka bluzę z kapturem i włożył. Żalowałam z całego serca, ale z drugiej strony odetchnęłam z ulgą, bo teraz łatwiej było mi się skupić na własnych myślach.

- Wreszcie mogę sobie pójść. Obiad jest w piekarniku, a zakupy w szafkach. Rachunki położyłam na biurku. Resztę poczty zostawiłam w koszyku - oznajmiła kobieta.

-Dziękuję, pani Espenhade.

Znów machnęła rękami.

- Za to mi płacisz, nie? Przyjdę tu w piątek, żeby posprzątać. Nie zapomnij o tym.

- Będę w domu - odpowiedział, patrząc na mnie.

- Nie obchodzi mnie, czy tu będziesz, czy nie. Może lepiej wyjdź, wtedy uda mi się więcej zrobić - zarechotała z uciechą i znów potrząsnęła głową. Poklepała mnie w ramię, przechodząc za krzesłem, na którym siedziałam. - Pilnuj, żeby nie zjadł wszystkich sam.

- Dobranoc, pani Espenhade - zawołał za nią Johnny, ale ona w odpowiedzi tylko trzasnęła frontowymi drzwiami.

- Cześć - rzuciłam w głuchą ciszę, która zapadła po jej wyjściu. - Przyniosłam ciasteczka. Z

czekoladą. Domowej roboty.

- Po co?

- Bo są smaczne. - Uśmiechnęłam się.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Nie popatrzył na ciasteczka. Ani nie usiadł. Stał oparty o blat, krzyżując ramiona na piersi.

Zgrzałam się, siedząc w kuchni w zimowym płaszczu. Szalik drapał mnie w szyję. Jednak nie śmiałam go ściągnąć. Pani Espenhade okazała mi gościnność. W odróżnieniu od Johnny'ego.

- Po co mi je przyniosłaś?

- Żeby ci podziękować za pomoc. I za herbatę. I za gówniane ciasteczka z paczki.

Wiedziałam, że umiem upiec lepsze - z każdym zdaniem mówiłam coraz głośniejsze. Wolałam się liczyć ze słowami, żeby nie wypaść zbyt wojowniczo.

Coś błysnęło w jego spojrzeniu. Ledwie dostrzegalne emocje przemknęły po jego obojętnej twarzy.

- W porządku. Zjem później.

Znów zamierzał odprawić mnie z kwitkiem. Tym razem poczułam się naprawdę dotknięta, bo przecież osobiście przyniosłam mu prezent. Nie wiedzieć czemu przyszło mi do głowy, że w takim wypadku potraktuje mnie inaczej. Wstałam od stołu.

- Mieszkam tu niedaleko, na tej samej ulicy - powiedziałam nieco za głośno. Zbyt wyzywająco.

Znów coś drgnęło w jego spojrzeniu. -Naprawdę? To fajna ulica. Mieszka tu sporo ludzi.

Zacisnęłam usta.

- Zdaje się, że masz rację.

Zapadła niezręczna cisza. Słyszałam bicie swojego serca, odgłos własnego urywanego oddechu.

Nerwy miałam napięte jak struny w gitarze. Ruszyłam w kierunku wyjścia, ale jeszcze przystanęłam i wykrzyknęłam:

- W swojej kuchni mam wyspę! I nie fatyguj się. Wiem, gdzie są drzwi - dodałam, zadartszy wysoko głowę w geście, który dla niego nie znaczył nic, a dla mnie wszystko.

- Odprowadzę cię - powiedział.

- Naprawdę, nie trzeba. Poradzę sobie - odwróciłam się na pięcie i poszłam korytarzem do drzwi.

Johnny poczłapał za mną, plaskając bosymi stopami po drewnianym parkiecie. Do drzwi dotarł w tej samej chwili co ja. Może dlatego, że miał dłuższe nogi. A może dlatego, że chociaż mnie obraził, to właśnie ja ociągałam się w nadziei, że jeszcze zdecyduje się okazać mi choćby minimum zainteresowania. Choćby i ochłap jakiś. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, tak się zezłościłam, że chwyciłam klamkę i pociągnęłam z całej siły, nie zdając sobie sprawy, że drzwi są zamknięte. Moje wielkie wyjście zamieniło się w żart. Wydałam z siebie wściekły pomruk.

Odwróciłam się i popatrzyłam na niego.

- Mówiłam przecież, że znam drogę.

Johnny spojrzał mi w oczy, potem sięgnął do klamki za moimi plecami. Zatrzepotałam nerwowo rękami, czując jego bliskość. Czułam jego oddech na włosach, czułam ciepło jego ciała. Nie byłam aż tak wściekła, by zignorować dreszcz przebiegający przez moje ciało. Nienawidziłam siebie za to. Nie mogłam znieść myśli, że on widzi pożądanie malujące się na mojej twarzy. I niewiele mnie obchodziło, że do tego przywykłam. Boja nie przywykłam.

- Proszę - powiedział i przekręcił zamek w drzwiach. Nie odsunął się, tylko zastygł w tej pozycji przez sekundę, która dla mnie zdawała się nie mieć końca. Potem cofnął się i zrobił mi miejsce, żebyśmy mogła swobodnie przejść.

- Te ciasteczka są pyszne ~ burknęłam na pożegnanie. - Jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Najwyraźniej żadnego - dodałam twardo.

Drgnął.

- Nie wątpię, że będą mi smakować.

- W takim razie smacznego. - Otworzyłam drzwi.

Do wnętrza wpadło zimne powietrze, tak zimne, że do oczu napłynęły mi łzy. A może wcale nie z tego powodu. Zebrałam się w sobie i zmusiłam do wyjścia. Głowę uniosłam wysoko i zeszałam po schodach wprost na starannie odśnieżony i wysypany solą chodnik.

Gdy zdałam sobie sprawę, że nie usłyszałam trzasku zamykanych drzwi, odwróciłam się.

Widziałam sylwetkę Johnnynego stojącego w drzwiach w złotej poświacie. Jedną rękę opierał o framugę, drugą o wypięte biodro. Musiało mu być zimno, gdy stał boso i w samej bluzie, wciąż niedopiętej. Ale nie schował się w ciepłym wnętrzu domu.

- Wiesz co - zaczęłam. - Myślałam, że unikasz ludzi, bo się trochę wstydzisz, bo wolisz zachować dystans.

Przechylił głowę.

- Taa...?

Oparłam ręce na biodrach.

- Taa... Rozumiem, że ludzie bywają upierdliwi jak wrzód na dupie, kiedy próbujesz w spokoju napić się kawy i zjeść muffina, a oni namolnie skaczą wokół ciebie.

- Taa... wyjątkowo bolesny wrzód na dupie - wycedził.

Zmrużyłam oczy, usiłując odczytać uczucia z jego twarzy.

- Ale wiesz, co ci powiem?

- Co? - dopytywał się Johnny, a minę miał taką, jakby się cholernie dobrze bawił.

- Myślę, że tu wcale nie chodzi o to, że się wstydzisz albo że ludzie męczą cię swoim zachowaniem, ale o to, i nie bójmy się tego powiedzieć głośno, że większość ludzi nawet nie ma pojęcia, kim jesteś. Albo gównem ich to obchodzi.

Na te słowa szybko uniósł i opuścił ramiona. Nie wiem, czy się zaśmiał, czy tylko wzdrygnął. -A ty?

- Ja wiem, kim jesteś - odpowiedziałam.

- Taa... Ale czy cię to obchodzi? Odwróciłam się i zacisnęłam pięści. Potem znów na niego spojrzałam i zmusiłam się do odpowiedzi.

- Tak, obchodzi.

- Dlaczego?

Nie wiedziałam dlaczego. Chodziło o coś więcej niż jego tyłek, niż jego twarz. Nie chodziło nawet o talent ani o przebrzmiałą sławę. Ani o dom czy pieniądze. Ani nawet o czarny płaszcz i ten prążkowany szalik, który mi się podobał.

Chodziło o gorączkę lata. O jego smak, którego przecież nie mogłam znać. O tę chwilę, gdy czułam jego włosy pod palcami, gdy czułam jego kutasa głęboko we mnie. Chodziło o tembr jego głosu, gdy w ekstazie wymawiał moje imię.

Chodziło o zapach pomarańczy.

Rozdział 9

Już prawie doszłam do domu, kiedy znów mnie dopadło. Stałam przed drzwiami i nerwowo przekręcałam klucz w zamku. Nie miałam zwyczaju się modlić, ale teraz mamrotałam pod nosem do jakiejś wyższej instancji, która zechciałaby mnie wysłuchać, żebym przynajmniej zdążyła wejść do środka, zanim zupełnie pociemnieje mi przed oczyma.

Otworzyłam drzwi.

Co jak co, ale na pewno nic nie pociemniało.

Oślepił mnie jaskrawy blask słońca. Zasłoniłam oczy rękami i poślizgnęłam się, ale nie na lodzie, lecz na wypolerowanej woskiem podłodze. Wciągnęłam do płuc gorące powietrze i spadła na mnie lawina dźwięków i zapachów. Silna woń trawki i szczypiący w nozdrza dym z papierosów stłumiły aromat pomarańczy. Słyszałam śmiech, muzykę i płacz dziecka. Zamrugałam i przetarłam oczy.

Znów przeszłam na drugą stronę lustra, ale tym razem prosto do domu Johnny'ego. Z tyłu za mną zaskrzypiały szeroko otwarte drzwi. Czy w ogóle zapukałam? Nikt nie odpowiedział. Chyba nikt nawet nie zauważył, że weszłam.

Na sekundę zamknęłam oczy, żeby przyzwyczaić wzrok do nowych okoliczności. Potem błyskawicznie zdjęłam płaszcz i powiesiłam go na wieszaku razem z apaszką. Nastroszyłam odrobinę włosy. Zerknęłam na swoje ubranie - lekko rozszerzane dżinsy i rozpinana bluzka.

Nie przeszłoby w letniej kolekcji z lat siedemdziesiątych. Pod spodem miałam koszulkę na ramiączkach. Zdjęłam ją szybko, nasłuchując głosów dobiegających z kuchni. Po chwili wahania zdjęłam również stanik i wcisnęłam obie rzeczy do rękawa płaszcza. Dziwnie się czułam bez biustonosza. Sutki ocierały się o cienki materiał bluzki. Czułam się wolna i trochę zawstydzona.

Do przedpokoju wpełzło dziecko w pełnej pieluszce i białych śpioszkach. Chłopiec albo dziewczynka: nie byłam w stanie rozpoznać płci. Za nim weszła roześmiana kobieta o ciemnych włosach sięgających pasa. Miała na sobie krótkie spodnie z jasnożółtego frotte. Od samego patrzenia bolały mnie oczy. Porwała dziecko na ręce i zaczęła łaskotać je w brzusek, aż zaniósł się śmiechem. Czułam się przyłapaną na gorącym uczynku.

- O, hej - rzuciła obojętnie, gdy mnie wreszcie zauważyła. - Kim jesteś?

- Emm.

- Sandy. - Wsparała dziecko na biodrze i na powitanie wyciągnęła do mnie wiotką dłoń. - Ale morowo.

Nie byłam pewna, czy to miało być pozdrowienie, komentarz na temat mojego stroju czy tylko filozoficzna sentencja.

- Hm. Szukam Johnny'ego.

- Taaa... w dechę. Jest tam, w kuchni, no wiesz. Chyba że wisi ci kasę albo coś w tym rodzaju.

Miała dziwny, nosowy głos i taki sam akcent jak on. Tyle że u niej nie brzmiał tak czarująco.

- Dzięki - powiedziałam, lecz nie ruszyłam się z miejsca. Wolałam nie przepychać się obok niej, zwłaszcza że obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem.

- Mówiłaś, że jak ci na imię?

- Emm.

- Emm - powtórzyła, zastanawiając się przez chwilę. - Nie spotkałyśmy się wcześniej, co nie?

- Nie. Nie wydaje mi się.

Wzruszyła ramionami i podrzuciła na biodrze wyrwającego się malucha. W powietrzu rozniósł

się smród brudnej pieluchy. Cofnęłam się instynktownie. Sandy zmarszczyła nos.

- Rany. To dziecko na okrągło je, śpi i sra. Muszę ją wykąpać, - Sandy wyminęła mnie i weszła na schody, czule paplając do małej.

Słyszałam łomot własnego serca. Na dłoniach wyczułam pot. Weszłam do kuchni. Na widok Johnny'ego uśmiechnęłam się niecierpliwie. Siedział na parapecie, pił piwo z brązowej butelki. W ręce trzymał papierosa. Włosy zaczesał do tyłu i przewiązał czerwoną bandaną. Był tak piękny, że nie mogłam od niego oderwać wzroku.

Gdy mnie zauważył, przestał się śmiać i od razu zeskoczył z parapetu. Odstawił piwo i wrzucił

papierosa do butelki. Zapadła cisza. Wszyscy się odwrócili, żeby na mnie spojrzeć. Candy tym razem nie stał przy garach. Bellinę otaczał wianuszek nieznanymi mi ludźmi. Ed przerwał wypowiedź i wpatrywał się we mnie przenikliwie. Potem ostentacyjnie odwrócił się do kobiety, z którą rozmawiał.

Na mnie jego obecność nie zrobiła takiego wrażenia.

- Johnny - zawołałam, tracąc oddech.

- Emm. - Podszedł bliżej i patrzył na mnie tak, jakby nikogo innego nie było w kuchni.

Położył dłonie na mojej szyi i pocałował mnie. Smakował piwem i papierosami. Dziwnym trafem ta mieszanka zapachów mnie nie odpychała. Wręcz przeciwnie. Włożył mi język do ust i powoli mnie pieścił. Kolana mi zmiękły. Nie obchodziło mnie, że nie jesteśmy sami. Nie obchodziło mnie, że rękami ugniatał mój tyłek ani że przyciskał mnie do siebie z całych sił.

- Hej - wysapał, przerywając pocałunek.

Staliśmy twarzą w twarz. Patrzyłam mu w oczy i miałam wrażenie, że zaraz się w nich zatracę.

Czas stanął w miejscu. Johnny uśmiechnął się do mnie, a ja do niego.

- Wróciłaś - powiedział. - Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

Nie miałam na to dobrej odpowiedzi, więc pocałowałam go jeszcze raz.

- Cieszysz się, że mnie widzisz?

- Też mi, kurwa, pytanie. Ostatnio wybiegłaś stąd tak szybko, że nie zdążyłem wziąć twojego numeru.

- Och... - zawahałam się. Pozostali wrócili do rozmów i nie zwracali na nas uwagi. - Raczej nie mam numeru.

Johnny wzruszył ramionami.

- Nasz też niedawno odłączyli. Paul mówi, że włączymy go za kasę z następnej chałtury.

- Jeżeli nie masz telefonu - wyszeptalam mu do ucha - to jak chciałeś do mnie zadzwonić? – Podłoga kołysała się pode mną.

Johnny napierał na mnie ciałem.

- Budka telefoniczna na końcu ulicy.

- Aha.

Oczywiście. Budki telefoniczne. Trochę oszołomiona chwyciłam go za ramię, żeby uniknąć kołysania. Przypomniał mi się serial telewizyjny *Życie na Marsie*, o glinie, który zostaje postrzelony, zapada w śpiączkę i budzi się w latach siedemdziesiątych. Ja nie byłam w śpiączce. . nie całkiem. Nie wiedziałam, ile mam czasu. Rozejrzałam się dokoła, ale nikt nie zwracał na nas uwagi.

Wszyscy mieli własne sprawy. I dobrze. Nie potrzebowałam ich. Potrzebowałam wyłącznie Johnny'ego.

- Zabierz mnie na górę - szepnęłam do niego i lekko przygryzłam jego ucho.

- Chcesz się stąd zmyć? Ale klawo.

Parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. „Klawo” zabrzmiało uroczo, jak tekst wyjęty wprost z komedi z lat siedemdziesiątych. To było takie... seksowne. I spontaniczne. Johnny zachowywał się tak swobodnie i naturalnie.

- Jesteś inny - powiedziałam do niego w korytarzu, kiedy złapaliśmy się za ręce.

- Niż kto? - Spojrzał na mnie.

- Nieważne. - Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że był inny niż on sam. - Podobasz mi się.

Szeroki uśmiech rozświetlił mu twarz. Oparł ręce na poręczy i zwinnie wskoczył na schody.

- Gdzie się podziewałaś tak w ogóle? Wszędzie cię szukałem. Nie mieszkasz w pobliżu, prawda? Jak długo zostaniesz?

- Chwilę - odpowiedziałam.

Staliśmy na schodach i całowaliśmy się. Wsunęłam palce w jego jedwabiste włosy. Rozwiązałam bandanę. Długie kosmyki opadły mu na oczy i załaskotały mnie w twarz.

- Jesteś wyjątkowa, wiesz - powiedział Johnny niskim, intrygującym głosem.

Pamiętałam, gdzie była jego sypialnia, ale zatrzymałam się w drzwiach, widząc, jak wychodzi z niej Sandy z dzieckiem na ręku. Przystanęła i spojrzała na nas obojętnie. Wzruszyła ramionami, a potem pokazała dziecko Johnny'emu.

- Wykąpałam ją i tak dalej. Teraz dam jej butelkę.

Owinął ręce wokół mojej talii i przycisnął mnie mocno do siebie.

- Super.

Sandy ściągnęła usta i lekko potrząsnęła głową.

- Na razie.

Już w środku, za zamkniętymi drzwiami, popchnęłam go na łóżko. Padł na sprężysty materac i wsparł się na łokciach, żeby na mnie patrzeć. Zdjęłam bluzkę i stałam przed nim, wypinając obnażone piersi. Szarpnęłam suwak dżinsów, zrzuciłam buty i zdjęłam spodnie razem z majtkami. Stałam przed nim zupełnie naga.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak piękna jak w tym momencie, gdy patrzył na mnie pożądlivym wzrokiem. Nigdy wcześniej, ale zawsze, zawsze potem. Gdy na mnie patrzył, nie zastanawiałam się, czy może tu i ówdzie jestem zbyt zaokrąglona ani czy moje piersi są idealne.

Chciałam tylko, żeby je chwycił i pocierał sutki, aż stwardnieją. W tamtych czasach kobiety mogły mieć normalne wymiary.

Drobny szczegół odróżniał mnie od kobiet z tamtej epoki. Johnny nie odrywał wzroku od mojej cipki, którą ogoliłam raptem kilka nocy wcześniej. Nie zupełnie, bo nie cierpiałam wyglądać jak mała dziewczynka. Jestem kobietą, a kobiety mają tam włosy. Przycięłam je króciutko i zostawiłam pasek, raczej dla wygody niż z powodu mody, bo miałam dostać okres za parę dni.

Johnny przetarł ręką usta, rozmazując na nich resztki śliny. Usiadł na brzegu łóżka. Jego twarz znajdowała się na idealnej wysokości. Podeszłam i stanęłam pomiędzy jego nogami. Rękami chwycił

mnie za pośladki i podniósł na mnie wzrok. Oczy mu zabłyśły.

Pijany, pomyślałam. Ale nie od piwa, które pił w kuchni. Pijany od miłości.

Przesunęłam rękę po jego głowie i zanurzyłam palce w jego włosach. Złapałam je w garść i pociągnęłam, żeby odchylił głowę do tyłu.

- Johnny - powiedziałam tylko po to, żeby wymówić jego imię.

- Taaaa, kochanie - głos miał niski i gardłowy. Seksowny.

- Johnny, Johnny, Johnny... - śmiałam się i mocniej pociągnęłam go za włosy.

Roześmiał się. Głaskał moją dupę, dotczki na plecach i górne partie ud.

- Tak, Emm. Jestem tutaj.

- A ja tutaj.

- Widzę.

Puściłam jego włosy. Otarł się twarzą o moje piersi i odszukał ustami sutki. Delikatnie je ssał, najpierw jeden, potem drugi. Uniósł głowę i spojrzał na mnie, kiedy cicho jęknęłam.

- Lubisz to - powiedział.

- Tak.

Nagle przypomniałam sobie, że w jednym z filmów słyszałam już, jak zadaje to pytanie.

Poczułam, że moja szparka pulsuje.

- Czy to oznacza, że jestem kurwą?

Wymówiłam to słowo z akcentem charakterystycznym dla środkowej Pensylwanii, jakim zawsze mówiłam, z twardym r. Zupełnie inaczej niż on. Johnny przestał miętosić moje piersi i znów na mnie spojrzał.

- Kim? - Zmarszczył brwi.

- Kurwą - wychrypiałam, bo moje podniecenie sięgało zenitu.

- Kurwą?

Kurwa mać. Jego akcent wywołał sylwestrową eksplozję fajerwerków w mojej cipce. Przygryzłam dolną wargę, ale nie umiałam uspokoić oddechu.

- Boże.

Parsknął śmiechem. Wyglądał na skonsternowanego. Przerwał na chwilę pieszczoty.

- Myślisz, że jesteś kurwą?

- Rany. Dlaczego to brzmi tak kurewsko seksownie? - wysapałam, wsłuchując się w jego akcent.

Johnny zamrugał, pochylił głowę i ramiona zadrżały mu od śmiechu.

- To cię kręci?

- Tak. Powiedz to jeszcze raz - poprosiłam.

Przestał się śmiać i spojrzał na mnie. Dostrzegłam cień w jego orzechowych oczach. Obliznął

usta i przetarł je wierzchem dłoni. Zniżył głos.

- Chcesz być moją kurwą?

Nie chciałam być niczyją kurwą. Po prostu chciałam usłyszeć, jak to mówi. Chciałam widzieć jego dzikie od żądz spojrzenie. Zacisnęłam pięść na jego włosach. Tym razem syknął z bólu. Mocno chwycił mnie za biodra.

- Lubisz takie rzeczy?

- Tylko z tobą.

Był silniejszy, niż sądziłam. W pół sekundy znalazłam się na łóżku. Leżałam na plecach, z rękami nad głową uwięzionymi w jego uścisku. On leżał

nade mną i patrzył mi w oczy. Powoli ocierał udem o moją gołą pizdę. Szorstki materiał jego spodni budził we mnie rozkoszne dreszcze.

A może to jego oczy, jego usta. Jego głos.

- Lubisz to?

- Lubię.

Przesunął udo nieco wyżej.

- Wilgotniejesz dla mnie?

- Tak - wydyszałam.

Nigdy tak otwarcie nie mówiłam o tych sprawach, ale szybko sobie przypominałam, że to nie działa się naprawdę. To była fantazja. Wytwór mojej wyobraźni. Spartaczone wyładowania neuronów w moim mózgu.

Johnny wolną ręką, którą nie ścisnął moich nadgarstków, rozpiął pasek od spodni. Uniósł się lekko. Wypięłam biodra, czekając, aż we mnie wejdzie, ale nie zrobił tego. Całował moje ciało, piersi i brzuch. Wsunął ręce pod moje pośladki, uniósł je i polizał łechtaczkę, a potem wpił się w nią ustami i delikatnie ssał.

Zadrżałam i wymówiłam jego imię. Nie odpowiedział, zupełnie zaabsorbowany moją szparką.

Takiej sceny nie widziałam nigdy w żadnym z jego filmów.

Wprawdzie były w nich aluzje do miłości oralnej. Zbliżenie kamery na kobiety wijące się z rozkoszy, gdy lizał ich skórę. Ujęcia, w których trzymał głowę w wysokości kobiecej talii, a potem zdjęcia kobiecych twarzy wykrzywionych w ekstazie. Wszystkie wykrzykiwały jego imię. Ale nigdy nie pokazano, jak ssał je i lizał między nogami. Nie widziałam wcześniej żadnych obrazów, które teraz mogłabym przywołać.

Byłam tylko ja.

Robił to z zamkniętymi oczami. Cicho pomrukiwał. Jak mężczyzna kosztujący dania, które w zupełności zaspokajają jego głód. Smakował moją cipkę, aż wreszcie wsunął w nią palec. Potem dwa.

Krzyknęłam.

- Ja pierdolę, ale jesteś mokra - wymamrotał.

Dreszcz rozkoszy przeszył moje ciało. Żar zalewał moje piersi, szyję i policzki. Paliły mnie jego usta. Elektryzujące. Kołysałam rytmicznie biodrami. Nie byłam w stanie leżeć bez ruchu.

Nie zauważyłam nawet, kiedy zdjął dżinsy. Pocałował mnie w usta i poczułam swój smak.

Zabrakło mi tchu, gdy we mnie wszedł. Rozchyliłam usta i mocno wciągnęłam do płuc jego oddech.

Johnny wtulił twarz w moją szyję i wszedł we mnie głębiej. Zatrzymał się w tej pozycji i uniósł się na rękach, by spojrzeć mi w oczy. Uśmiechnęłam się i przyciągnęłam go do siebie, znów go całując.

- Jesteś wyjątkowa - wyszeptał i zaczął się miarowo poruszać.

Było inaczej niż za pierwszym razem, kiedy ja byłam na górze i oboje kołysaliśmy się w szaleńczym tempie. Tym razem było wolniej. Tym razem kochaliśmy się w nieskończoność.

Nigdy nie mogłam dojść w pozycji na misjonarza. Zawsze musiałam sobie pomóc ręką. Ale nigdy nie byłam z mężczyzną takim jak Johnny. Z każdym pchnięciem subtelnie skręcał biodra, by pocierać mnie właśnie tam, gdzie trzeba. I cały czas mnie całował. O Boże, jak on mnie całował.

Słodko i miękko, potem mocniej. Pieścił język i przygryzał usta. Odchodziłam od zmysłów i całkowicie oddałam się rozkoszy.

Wtedy doszłam po raz pierwszy. Przez moje ciało powoli przetoczyły się fale orgazmu. Potem drugi raz, kiedy obrócił mnie tak, że leżałam na plecach, a on pode mną na boku i pieprzył mnie w takiej pozycji. I jeszcze raz, kiedy siedziałam na jego kolanach, a on, oparty o zagłówek łóżka, uderzał biodrami o moje uda. Dygotałam na całym ciele pokrytym jego i moim potem. Zapach seksu przesycił powietrze.

Szczytował we mnie. Głośno postękiwał. Przesunął dłoń po moich mokrych od potu plecach.

Odgarnął splątane kosmyki klejące się do policzków. Odetchnął i przytulił mnie mocno.

- Johnny, ja... ojej!

- Jezu, Sandy - warknął Johnny, nie zadając sobie trudu, by przykryć nas prześcieradłem, mimo że próbowałam schować się za nim. - Co ci, kurwa, mówiłem? Ze trzeba pukać przed wejściem!

- Przepraszam! Chciałam tylko wziąć torebkę! Rany, Johnny, przecież mogłeś zamknąć drzwi.

Sandy prychnęła i podeszła do komody, żeby zabrać wielką słomianą torbę z bambusowymi rączkami. Kiedy zarzuciła ją na ramię, zawartość głośno brzęknęła.

- Idę.

- Kto zajmuje się dziećmi? - Johnny wciąż trzymał mnie w objęciach.

- Zadzwoń do matki, żeby wpadła ją zabrać. - Sandy zerknęła na mnie. - Mówiłaś, że jak ci na imię?

- Wypierdalaj stąd, Sandy. Jezu Chryste! - zawołał Johnny.

Ruszył się, jakby zamierzał zepchnąć mnie z kolan i wstać, ale Sandy odskoczyła do tyłu z rękami do góry.

- Dobra, dobra! Jezu! Wyluzuj, człowieku. Nie przeszkadzam.

- Wynocha.

Sandy wyszła, zamykając za sobą drzwi. Nie poruszyłam się. Nie byłam pewna, czy mogę się ruszyć. Johnny popatrzył na mnie.

- Przepraszam - powiedział. - Skończona idiotka.

Ruszyłam się wreszcie. Czulałam się lepka i mokra. Nie użyliśmy prezerwatywy. Bardziej się dziwiłam, że moja wyobraźnia tak bardzo dba o szczegóły, niż że pieprzyłam się bez gumki.

Opadłam na materac obok niego. Wcześniej nie zwracałam sobie głowy Sandy. Zwłaszcza gdy Johnny był przy mnie. Ale spojrzenie, które mi rzuciła, mówiło wszystko.

- Czyli Sandy?

- Tak? - Johnny sięgnął po paczkę papierosów leżącą na nocnej szafce. Poczęstował mnie, ale tylko wzruszyła ramionami i potrząsnęłam głową. Zapalił papierosa i zaciągnął się mocno, a potem wydmuchnął dym. - Co z nią?

- Coś was łączy?

- To moja była. - Johnny wzruszył ramionami i pochylił się, żeby mnie pocałować. - Nie przejmuj się.

- Zaczekaj. - Zmarszczyłam brwi i położyłam rękę na jego nagim torsie. - Twoja była... żona?

- Taaa... Rozstaliśmy się jakiś czas temu, ale jeszcze nie podpisaliśmy papierów. Teraz wpada czasami, żeby pokazać dzieciaka.

- Zaczekaj - powtórzyłam. Bolała mnie głowa. Tym razem wzięłam papierosa, którego mi zaferował, i zaciągnęłam się. Paliłam tylko kilka razy w życiu. Cudem udało mi się nie umrzeć od kaszlu. - Ona jest twoją żoną. To było twoje dziecko?

- Taaa. . To Kimmy, moja córka.

- Musieliście zerwać niedawno - zauważyłam. - Ile mała ma? Dziesięć miesięcy?

- Coś koło tego - znów się zaciągnął i zmierzył mnie wzrokiem poprzez kłęby dymu. - Masz z tym problem? Nie jesteśmy już razem. Jest luz. Ona robi swoje, a ja swoje.

Nie byłam pewna, czy rzeczywiście luz, ale co mogłam powiedzieć? Weszłam tu prosto z ulicy i zaciągnęłam go do łóżka w jego domu pełnym obcych ludzi, w czasach, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie. Wzruszyła ramionami. Moi rodzice nawet się jeszcze nie spotkali, nie wspominając o spółdzeniu mnie, a Johnny już zdążył się ożenić i zrobić dziecko. Jego córka była starsza ode mnie.

- Hej, dobrze się czujesz? - Odgarnął mi włosy na plecy, które już nieco wyschły od potu.

- Tak. Świetnie. Wszystko w porządku.

Nie mogłam nawet być zazdrosna o byłą żonę, a jedynie poirytowana, że mój umysł karmi mnie takimi pierdołami.

- No to super. - Wyglądało na to, że wystarczyła mu ta odpowiedź. Zaciągnął się papierosem, westchnął i oparł o zagłówek. Zerknął na mnie. - Nie uciekniesz tym razem.

Rozejrzałam się dokoła i wzięłam głęboki oddech, ale poczułam tylko seks i papierosy.

- Nie. Ale może powinnam już sobie pójść?

Uśmiechnął się i pochylił nade mną leniwie.

- Ani mi się waż. Zostajesz tutaj. Candy coś ugotuje. Później wpadnie Paul. Właśnie pracuje nad projektem. Musisz zostać.

Poprawiłam poduszki, zupełnie wygniecione i splaszczone, bo w końcu w tych czasach nie znali jeszcze pianki pamięciowej, i ułożyłam się obok niego.

- Co to za projekt?

- Artystyczny. Lubisz sztukę, Emm?

- Ja... Jasne. - To wcale nie było kłamstwo. Byłam przekonana, że uwielbiałabym sztukę, gdybym tylko potrafiła ją docenić.

Johnny zaśmiał się i zgasił papierosa w popielniczce, która stała na nocnej szafce. Objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie, żebym oparła głowę na jego piersi, najlepszej poduszce na świecie.

- Jaką sztukę lubisz?

- Och, chyba van Gogha. Dalego. Prychnął.

- Tych gości.

- A ty jaką? - Spojrzałam na niego. Wzruszył ramionami.

- Najpierw muszę zobaczyć, dopiero potem powiem, czy mi się podoba. Tak czy inaczej Paul nie robi takich rzeczy. Nie maluje ani nic takiego. Ma kamerę wideo. Kręci nowy film. Obiecałem, że mu pomogę.

Paul i Johnny zrobili ze trzy albo cztery takie filmy. Mało w nich było akcji, chyba jeszcze mniej niż w zagranicznych horrorach. Znalazłam w internecie ich fragmenty. Niektórych nawet nie wydano na DVD.

- Wiem. Widziałam. Uniósł głowę zaciekawiony.

- Widziałaś jego filmy? No i jak? Git?

- Nie... Miałam na myśli... Nieważne, co miałam na myśli.

- Jesteś wyjątkowa - powtórzył. - Tylko nie mogę skumać, z jakiej bajki się wzięłaś?

- Nie mam bajki.

Pocałował mnie i popatrzył mi w oczy, jakby próbował z nich wyczytać moje sekrety. Odwróciłam głowę,

- O czym jest ten film, Johnny?

Znowu wzruszył ramionami i ziewnął.

- Nie czaję za cholere. Obiecałem tylko, że pomogę, rozumiesz? Pomogę mu w tej robocie.

On ma kamerę i kasę. Ma też w zanadru jakiegoś bogatego skurczybyka, który mówi, że puści to w kinach.

Dzięki temu mogłam się mniej więcej zorientować, który mamy rok. Paul nakręcił pierwszy film w 1976. Jeśli dobrze pamiętałam, nakręcili wszystkie filmy w niewiele ponad rok.

Johnny pogładził mnie po włosach.

- Paul jest artystą.

- Ty też.

- Ja? - wybuchnął śmiechem. - Nie umiem narysować nic, co przedstawiałoby jakąś wartość.

Śpiewać też nie umiem. Nie potrafię nawet dobrze grać. Tylko dobrze pozuję do zdjęć.

Zaśmiałam się łagodnie.

- Jesteś piękny.

Johnny prychnął.

- Jasne. Uroda nie jest najważniejsza. Ale przynajmniej pozwala opłacić rachunki. I zawsze to lepsze od kradzieży samochodów.

- Nie będziesz tego robił całe życie - odpowiedziałam.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko tykanie zegara. Wpatrywał się we mnie intensywnie.

Wsunął rękę pod moje włosy i masował mnie po karku.

- Wiem o tym - powiedział. - Takich rzeczy nie można za długo robić, bo człowiek skończy na ulicy.

- Nie skończysz na ulicy - zapewniłam go.

- A ty co, wróżka?

- Tak jakby.

Chwyciłam jego dłoń i prześledziłam linie papilarne. Nie miałam bladego pojęcia o chiromancji ani kartach, ale znałam jego przyszłość.

- Widzę sławę i pieniądze.

- To dobrze. Bardzo dobrze.

Johnny pochylił się i przyjrzał swojej dłoni, starając się dostrzec to, czego ja przecież nie widziałam.

- I.. miłość - wyrwało mi się. Spojrzał na mnie badawczo.

- Na serio? Widzisz miłość?

- Tak, widzę miłość - powtórzyłam rozmarzonym głosem. Wprawdzie udawałam, że czytam z jego ręki, ale przecież mówiłam prawdę. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Starłam się z całej siły zostać w tym miejscu i czasie. Może tylko tyle mogłam mieć.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Powoli i słodko.

- Lubię ten odgłos.

Całowaliśmy się przez chwilę bez pośpiechu. Wylegiwaliśmy się w łóżku, wokół nas walały się wymięte poduszki i prześcieradła. Jak w jednej ze scen z jego filmów. Stał mu. Tym razem niespieszno nam było do seksu. I tak było dobrze. Może trochę inaczej niż zwykle, trochę dziwnie, ale przyjemnie. Wystarczyło nam, że byliśmy tutaj razem spleceni w uścisku, jakby cały świat do nas należał, jakby czas stanął w miejscu.

Ale, oczywiście, nie dla mnie. Przede wszystkim strasznie chciało mi się sikać. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się to podczas napadu amnezji. Ze śmiechem wyswobodziłam się z silnego uścisku kochanka. Wysłałam z łóżka i na bosaka poszłam do łazienki.

Przy drzwiach odwróciłam się, żeby na niego popatrzeć. Posłałam mu pocałunek. Gdy weszłam do środka, zatoczyłam się i wylądowałam na podłodze w holu mojego mieszkania. Byłam naga.

Rozdział 10

Telefon dzwonił natarczywie i ostro. Trzęsłam się, aż mi zęby szczękały. Gęsia skórka jak alfabet Braille'a pokryła moje ciało. Wstałam. Podłoga natychmiast zakolysała się pod moimi stopami. Żołądek podszedł mi do gardła.

Doczołgałam się z przedpokoju do kuchni, wyrwałam telefon z bazy i rozdygotaną dłonią przytrzymałam przy uchu.

- Halo?

- Cześć, kochanie. Tu mama. Słuchaj, zastanawiałam się, czy masz jeszcze tę czarną sukienkę, którą kilka lat temu kupiliśmy ci na święta? Chciałam ją pożyczyć.

Zaschło mi gardło. Z trudem przełknęłam ślinę. Czasami po ataku dopadał mnie rozstrój żołądka albo ostry ból głowy, ale nie było porównania z tym, co działo się teraz. Koszmar.

- Mamo?

- Sprawdziłam w twojej szafie, ale nie znalazłam. Pomyślałam, że może zabrałaś ją ze sobą.

Oparłam się plecami o ścianę i zsunęłam na zimną posadzkę, od której zamarzał mi tyłek. Podciągnęłam kolana do klatki piersiowej, objęłam je mocno ramionami i puściłam głowę. Barkiem przyciskałam telefon do ucha. Zanim byłam w stanie odpowiedzieć, musiałam znów przełknąć ślinę.

- Tak. Chyba ją mam. W pudłach, których jeszcze nie rozpakowałam.

- Mogłabyś sprawdzić?

- W tej chwili?

- Jak będziesz miała okazję - powiedziała.

- Oczywiście - mój głos brzmiał ochryple. Odchrząknęłam. - Poszukam.

- Dobrze. A poza tym co tam interesującego u was, w wielkim mieście?

Przestało wirować mi w żołądku, a ból głowy zelżał. Wciąż było mi potwornie zimno, ale nie byłam jeszcze gotowa się ruszyć.

- Nic. Wszystko po staremu. Naprawdę, nic.

- Może wpadniesz w przyszłym tygodniu? Z sukienką - zaproponowała. - Zjadłybyśmy obiad, obejrzały nowy film z Ewanem McGregorem. Słyszałam, że pokazuje w nim tyłek.

Zaśmiałam się szczerze, choć z bólem.

- Przecież on pokazuje tyłek w każdym filmie. - Muszę lecieć. Tata czeka. Na razie, skarbie.

Kocham cię.

I najzwyczajniej w świecie się rozłączyła. Matka nigdy nie odkładała słuchawki, nie upewniwszy się, że nie stało się nic złego. Zawsze musiała się odrobinę pomartwić.

Wreszcie wstałam z podłogi. Odłożyłam słuchawkę. Poszłam na górę, by wziąć prysznic.

Puściłam najgorętszą wodę, jaką byłam w stanie znieść. Parzyła, ale wcześniej tak zmarzłam, że teraz łaknęłam gorąca. Zatarłam ręce, potem kucnęłam na środku kabiny, a strumień ciepłej wody uderzał

mnie po plecach, aż w końcu przestałam się trząść. Stałam tam tak długo, że woda zrobiła się letnia.

Po wyjściu z łazienki poczułam się na tyle dobrze, że owinąwszy się grubym szlafrokiem, zeszłam do kuchni coś zjeść. Tost z dżemem i herbata. Posiłek chorego. Nie czułam się źle. Już mnie nie bolało. Cholera. Prawie zapomniałam, jakie to uczucie wylądować na czworakach, nago, w progu własnego mieszkania.

Kiedy już zaspokoiliam głód, przeszukałam przedpokój. Nie było śladu po ubraniach. Nieśmiało otworzyłam drzwi wejściowe i wyjrzałam, ale przecież gdybym jakimś cudem biegała golusienką po okolicy, nie zostawiłabym ciuchów starannie złożonych na ganku. Dom Johnny'ego opuściłam zaraz po ósmej wieczorem. Telefon pokazywał, że mama dzwoniła o ósmej siedemnaście. Biorąc pod uwagę, że droga do domu powinna mi zająć mniej niż pięć minut, atak musiał trwać niecałe dziesięć.

Nie aż tak długo, żeby narobić sobie poważnych kłopotów czy zapaść się gdzieś daleko. Jednak gdy przeszukałam pobliskie krzewy, znalazłam jedynie gnijące liście, których nie przykrył śnieg.

Weszłam do domu frontowymi drzwiami, a następna rzecz, którą pamiętałam, to że leżałam nago w przedpokoju. Stałam teraz w korytarzu, a szlafrok włóki się po ziemi. Rozejrzałam się. Po prawej oficjalny salon, z którego prawie nie korzystałam, na wprost mnie schody i korytarz prowadzący do kuchni, po drugiej stronie jadalnia. Ile mogło trwać zdarzenie ubrania, przejście do innego pomieszczenia i powrót do drzwi wejściowych? I po co miałabym to robić?

Na studiach miałam kolegę, który lubił sobie wypić. Nie mdlał ani nie tracił przytomności, tylko urywał mu się film. Normalnie stał i rozmawiał zupełnie logicznie, ale potem nic nie pamiętał. Po prostu nagle tracił świadomość. Podobnie było w przypadku moich napadów amnezji. Tyle że trwały kilka sekund, a ja w tym czasie często przeżywałam sugestywne, wspaniałe fantazje, choć wiedziałam, że jednocześnie reaguję na otoczenie.

Nigdy, o ile pamiętałam, nie traciłam świadomości na dłużej niż minutę lub dwie, jednocześnie utrzymując pozory przytomności. W tych sytuacjach umiałam odpowiadać na proste pytania i towarzyszące mi osoby nie zdawały sobie sprawy, że coś się ze mną dzieje. Jednak w konwersacjach wymagających bardziej skomplikowanych odpowiedzi niż „tak”, „nie” lub „aha” prawda szybko wychodziła na jaw. Z całą pewnością nigdy podczas ataku nie wykonywałam żadnych czynności dłużej niż parę minut, a nawet jeśli, ograniczały się one do siedzenia czy zrobienia kilku kroków.

Policzyłam kroki i minuty, które dzielą drzwi wejściowe od salonu i z powrotem. Od kuchni. Od sypialni. Nigdzie nie było ciuchów ani żadnych śladów wskazujących, że do tego miejsca dotoczyło się moje bezwładne ciało.

Wróciłam na ganek i obejrzałam chodnik w nadziei, że znajdę (czy raczej że akurat w tym miejscu nie znajdę - nie mogłam się zdecydować, co gorsze) stertę ubrań rozrzuconych pod latarnią.

Spostrzegłam jedynie Joego. Koleś mieszkał z żoną przy sąsiedniej ulicy i często spacerował z psem po okolicy. Pomachał mi plastikowym woreczkiem. Owinęłam się szczelniej szlafrokiem i kiwnęłam na powitanie. Zimne powietrze wysysało ciepło z mojego mieszkania. Byłam boso, więc nie mogłam podejść i się przywitać. Musiałam wrzeszczeć. -Cześć!

- Cześć, Emm. Jak leci? - Joe wyglądał na zmarzniętego.

Pies, Rechot, zatrzymał się, żeby obwąchać mój trawnik, i podniósł nogę na zaniedbany krzak.

Nie robiło mi to różnicy. Nawet jeśli jego pies zrobił kupę na mojej trawie, Joe zawsze ją zbierał.

- W porządku. Eeee... łąziłeś tu? Przed chwilą?

Joe popatrzył na psa, potem znów na mnie.

- Znaczy z Rechotem?

- Tak. Tu w okolicy?

- No... teraz właśnie wracam do domu. Czemu?

- Widziałeś... mnie?

Joe przez kilka sekund nie odpowiadał. Moje policzki płonęły, rozgrzane do czerwoności mimo mrozu.

- A powinienem?

Zaśmiałam się nienaturalnie.

- Skąd! Zastanawiałam się tylko, czy widziałeś

mnie jakoś niedawno w innym miejscu niż mój dom.

Joe znowu się zawahał.

- Czy ty się dobrze czujesz?

- Ależ oczywiście, oczywiście.

Posłałam mu słodki uśmiech, jakbym uwielbiała sterczeć w drzwiach w szlafroku i na bosaka, w mroźny zimowy wieczór, i zaczepiać przechodzących mężczyzn.

- Poszłam się przejść. Wydawało mi się, że was widziałam, ale jak pomachałam, to okazało się, że... to nie wy.

- Oj. - Joe szarpnęła smyczą, żeby powstrzymać psa od wejścia na trawnik sąsiadki, której przeszkadzało nawet kilka kropel moczu. - Nie. To nie byłam ja. Za zimno na długie wypady.

- Słusznie. To musiał być ktoś inny. Przepraszam!

- Nie szkodzi. Dobranoc. - Joe pomachał i ruszył dalej.

- Branoc - odkrzyknęłam i zamknęłam drzwi.

Bank spółdzielczy prowadził wspólną politykę jednodniowego urlopu na żądanie. I choć nie cierpiałam w ten sposób marnotrawić czasu, który mogłabym spędzić na plaży, następnego dnia zadzwoniłam do pracy, twierdząc, że mam grypę. Rzeczywiście czułam się źle i obolała, ale na pewno nie chora. Moje myśli uparcie krążyły wokół poprzedniej nocy. Uważałam się za szczęściarę, bo nawet najcięższe z ataków amnezji nie wyrządzały mi szkody. Byłyby niebezpieczne, gdybym na przykład straciła przytomność podczas prowadzenia samochodu, dlatego przez większą część dorosłego życia nie miałam prawa jazdy. Nieważne, jak często traciłam świadomość, żadne badania nigdy nie wykazały, że mój stan się pogarsza. Mimo całej tony dokumentacji, badań i raportów pozostawałam medyczną zagadką, pacjentem bez diagnozy. Mój mózg wykazywał sporadyczną, nie-regularną i nieprzewidywalną aktywność, którą dało się kontrolować za pomocą leków i medycyny niekonwencjonalnej. Nikt jednak nigdy nie stwierdził, że jest ze mną gorzej.

Co się zmieniło? Czy chodziło o stres związany z przeprowadzką? Może pękł mi skrzep albo tętniak? Zadrżałam ze strachu i schowałam się głębiej pod kołdrę. Chyba czułabym, gdyby coś takiego się stało, nie? Chybaby mnie bolało?

Może zaraz stracę świadomość i nigdy jej nie odzyskam?

Co za przesada! Zachowuję się jak własna matka. Zmusiłam się do wyjścia z łóżka i poszłam pod prysznic, gdzie znów zużyłam całą gorącą wodę. Potem wpakowałam w siebie suchego tosta i miseczkę zupy, jak przystało na chorą, choć przecież wcale nie byłam chora. Potem odgrzałam makaron z serem z zapasów, które dostałam od mamy. Wreszcie, z żołądkiem pełnym węglowodanów i tłuszczu, poczułam się odrobinę lepiej.

Wiedziałam, że powinnam zadzwonić do doktor Gordon i zapisać się na badania. Ale wiedziałam też, że bez względu na wyniki będzie zobowiązana wysłać oficjalny raport. Na rok odbiorą mi prawo jazdy. Zdawałam sobie sprawę, że nie informować jej to żenada, zwłaszcza że do pracy i innych ważnych miejsc mogłam jeździć transportem publicznym. Dzięki, święty Wicie, patronie epileptyków.

Tylko że ja nie miałam epilepsji. Nie wiedziałam, co mam.

W tygodniu rzadko bywałam w domu, dlatego przestraszyły mnie szmery dochodzące zza drzwi.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że dobiegały ze skrzynki pocztowej. Otworzyłam drzwi i na chodniku pod domem dostrzegłam listonoszkę. Wyciągnęłam żółte awizo ze skrzynki i zamasyście zamachałam.

- Cześć! - zawołałam.

- Jesteś w domu? - Uśmiechnęła się. - Szczęściara. Mam dla ciebie paczkę, ale nie mieści się w skrzynce. Już miałam ją zabrać z powrotem na pocztę.

- Szczęściara ze mnie - potwierdziłam, podając jej awizo. Oddała mi paczkę. Dużą kopertę z nieznanym mi adresem zwrotnym. - Dzięki.

Zamknęłam drzwi i błyskawicznie rozerwałam kopertę. Na moje ręce wypadło DVD. *Sto księżyców w pełni*. Ścisnęło mnie w żołądku. Jakbym zjeżdżała w dół kolejką górską. Obejrzałam okładkę, którą ktoś skserował w słabej jakości i na beznadziejnym papierze. Odwróciłam pudełko.

Zdjęcia i tekst nieco wyblakłe i niewyraźne. W środku znajdowała się srebrna płyta z amatorsko wydrukowaną nalepką.

Klops.

Nie przyglądałam się uważnie płycie przed zakupem. Jen twierdziła, że ten film był naprawdę rzadki i trudny do zdobycia. Nie podobało mi się, że kupiłam piracką kopię, ale teraz było już za późno. Miałam tylko nadzieję, że zadziała w moim odtwarzaczu.

Powinnam zadzwonić do Jen. Przecież jej obiecałam. Ale Jen była teraz w pracy, a ja sama w domu. W końcu od tego jest chorobowe, żeby przez cały dzień leżeć w łóżku i oglądać filmy na DVD.

Nie było mowy, żebym czekała z obejrzeniem tego filmu do wieczora. Palił mnie w ręce. Zresztą nie ulegało wątpliwości, że będę go chciała obejrzeć co najmniej dwa razy. A Jen wcale nie musiała wiedzieć, że to mój drugi seans. Cholera jasna. Na pewno zrozumie. Przecież ona widziała wszystkie filmy Johny'ego, zanim mnie zaraziła swą pasją.

W sypialni podłączyłam odtwarzacz, który w poprzednie święta dostałam w prezencie gwiazdkowym od rodziców. Wiedzieli, że w nowym mieszkaniu będę potrzebować sprzętów domowych, i w ten sposób chcieli uczcić moją wyprawę. Skończyło się na tym, że zabrałam również ich stary odtwarzacz, bo z kolei ja im kupiłam Bluraya. We własnym domu zamierzałam oglądać telewizję w salonie, jak dorosła kobieta, a nie jakaś pierdoła zalegająca na strychu u swoich rodziców.

Teraz nie czułam się pierdołą. Powiało raczej dekadencją. Właścicielka dwóch odtwarzaczy DVD

i dwóch telewizorów przesiaduje w domu w środku tygodnia, wylegując się w łóżku i oglądając niezależne kino. Nijak się to miało do zeszłego roku, kiedy zakradałam się do swojego pokoju po godzinie policyjnej wyznaczonej przez matkę, a mój chłopak nie mógł do mnie przychodzić na noc.

Teraz miałam własny kąpiel i nie miałam chłopaka, ale uważałam, że to dobra wymiana.

Przyniosłam sobie lody o smaku mocno czekoladowej krowki i z pilotem w ręku wsunęłam się pod ciepłą kołdrę. Przez chwilę mościłam się na miękkich poduchach.

Wcisnęłam play.

Znałam ten dom. Znałam tę kuchnię. Znałam tych ludzi. Candy, Bellina, Ed, nawet Paul. I Johnny, o rany, Johnny, w podkoszulku i dżinsach o niemodnym dziś kroju, w których powinien wyglądać groteskowo, ale tak dobrze leżały mu na tyłku, że musiałam je docenić.

Wszyscy siedzieli przy stole, palili i rozmawiali. Kamera pokazywała ich po kolei. Najazd na twarz i cięcie. Potem kolejna twarz i znów cięcie. Dźwięk był okropny, muzyka kiepska i niesynchronizowana. Miałam wrażenie, że nagrywali scenę raz, ale z różnych punktów widzenia. Ruchowi

kamery towarzyszyły urywki rozmów. Przynajmniej była jakaś fabuła, czy raczej pozory fabuły, choć wszyscy mówili sztucznymi zdaniami, które zupełnie nie brzmiały jak prawdziwa konwersacja.

Włączyłam pauzę. Lody topiły mi się w buzi. Odłożyłam miseczkę na szafkę i podkręciłam głośność. Rozpoznałam tych ludzi, bo znałam ich z internetu. To jasne, no nie? Widziałam fotosy właśnie z tego filmu. A mój umysł wymyślił resztę. Nie mogłam więc wiedzieć, jak się zachowywali, znać ich głosów, poza głosem Johnny'ego.

Przyjrzałam się tej scenie uważnie. Nie poznawałam zegara na ścianie, nie wiedziałam, że było aż tyle szafek, ale przecież ich nie liczyłam, prawda? Podczas halucynacji skupiałam się na Johnnym, bo to na nim zależało mi najbardziej. Cała reszta była...

- Cholera - wymamrotałam. - Cholera, cholera, cholera. Gdzie ja to widziałam?

Włączyłam film i wyskoczyłam z łóżka po komputer. Szybko odnalazłam stronę, na której zamówiłam DVD. Z jednym okiem wlepionym w telewizor, a drugim w ekran monitora przesuwiałam strony wypełnione koszmarne jaskrawym tekstem na ciemnym tle i mrugającymi gifami.

Uważałam, żeby nie patrzeć na nie zbyt długo, bo mogły wywołać atak nawet u kogoś, kto nie miał defektu mózgu.

Według jednej ze stron *Sto księżycówwpełni* było żelaznym punktem programów puszcanych w paśmie nocnym w latach osiemdziesiątych, takich jak „Tylko dla dorosłych”, który oglądałam w czasie piżama party u moich koleżanek. Nie potrafiłam sobie jednak przypomnieć żadnego z filmów Johnny'ego. Znów zatrzymałam film, porównując scenę z fotosem na stronie internetowej. Znałam ten stół, tę kuchnię, tych ludzi. Oczywiście, że tak. Widziałam ich już wcześniej, ale nie pamiętałam kiedy.

Wypuściłam powietrze z płuc, nie zdając sobie nawet sprawy, że wstrzymałam oddech.

Poczułam zapach czekolady. Najwyraźniej mój umysł pozbierał szczątki wspomnień i doświadczeń, by utkać z nich fantazję. Oto co musiało się stać. Te fantazje nie różniły się bardzo od innych. Były po prostu bardziej realistyczne, bo leciałam na Johnny'ego. Po prostu tak bardzo go pragnęłam. I tyle.

Oczywiście to wciąż nie wyjaśniało, jakim cudem wylądowałam nago na podłodze we własnym domu, ale teraz nie chciało mi się o tym myśleć. Odłożyłam laptopa i skupiłam się na filmie.

Johnny wyszedł z kuchni do ogrodu z basenem. Rozebrał się - do rosołu - i wystawił twarz do słońca, które pozłacało jego skórę.

Kamera zakurwiście go kochała. Jakby sama chciała się z nim kurwić. Ten, kto to kręcił, patrzył na ciało Johnny'ego oczyma kochanka skupiającego wzrok na tych miejscach, które ja pragnęłam całować, przygryzać, ssać i lizać - naprawdę, a nie w wyobraźni. Johnny przepłynął basen.

Ciało odsłonięte w krystalicznie czystej wodzie, nogi w ruchu, mięśnie napięte.

Ta część filmu wydawała się lepiej zmontowana. Ujęcia były mniej chaotyczne, bardziej płynne.

Johnny w zwolnionym tempie wyszedł z wody i potrząsnął głową, odrzucając włosy do tyłu.

Poderwałam się do niego i cicho jęknęłam. Zawstydziałabym się tej reakcji, gdybym nie była sama.

W następnej minucie zmarszczyłam brwi. Na brzegu basenu, w kusej koszulce i majtkach, czekała na niego Sandy. Podciągnęła rąbek koszulki do góry, odsłaniając brzuch, który - jak złośliwie zauważyłam - bynajmniej nie był płaski i jędrny. Ja też tak podciągałam koszulkę, kiedy byłam rozbrzykanym dzieckiem, ale nigdy jako kobieta. Przypomniałam sobie, że ten film miał co najmniej trzydzieści lat. Rzucanie niewybrednych komentarzy pod adresem kobiety, której cycki z pewnością sięgały teraz okolic pępka, kiedyś zemści się na mnie z nawiązką.

- Cześć, Johnny - powiedziała Sandy tym samym nosowym tonem, który znałam z moich fantazji.

Ja jebię, ale irytujący głosik. Dlaczego spośród tylu detali mój mózg zapamiętał akurat to? Coś za coś, pomyślałam, rozpamiętując wciąż scenę, gdzie Johnny wsparł się na brzegu basenu i podciągnął

na wyprostowanych rękach, żeby wyjść z wody.

- Hej - odpowiedział Johnny.

- Chodź. Chcę z tobą pogadać.

Johnny nie ruszył się, tylko patrzył na nią, mrużąc oczy osłepione słońcem.

- Czego chcesz?

- Cho no tu. - Wyciągnęła rękę, żeby pobawić się jego włosami. Niby wiedziałam, że to tylko film, ale ucieszyłam się, kiedy się cofnął.

- Zostaw mnie - syknął. Szarpnął ciałem, gdy znów próbowała go dotknąć. Ale gdy zwinnie oplotła jego ciało rękami i nogami, a palcami zaczęła szczytać jego sutki, nie oponował tak bardzo.

- Powiedziałem zostaw.

- Nie.

Szamotali się przez chwilę. Ona nie dawała za wygraną, a on jej nie powstrzymywał. Gdy jej dłoń powędrowała niżej, klepnął w nią i przytrzymał przy brzuchu. Śmiała się i kąsała jego szyję. Nawet się nie uśmiechnął. Patrzył kamiennym wzrokiem, a krople migoczącej w słońcu wody ciekły mu po skroniach i policzkach.

- Przy tobie czuję się taka seksowna, Johnny Tak jak teraz.

- To się ciesz - wycedził niewzruszony.

Nie uległ jej. Ani kiedy go lizała, ani kiedy szczypała jego sutki, ani nawet kiedy zsunęła rękę tak nisko, że nie uchwyciła tego kamera.

- Powiedziałem nie. - Johnny wykrzywił się z niesmakiem, tak samo jak ja przed telewizorem.

Wreszcie ją odepchnął. Wstał, podszedł do krzesła i chwycił ręcznik.

Przygnębiła mnie ta scena. To, że Sandy była jego żoną, czy też była żoną, wszystko jedno, tylko pogłębiało mój żal. Wyglądało na to, że byłam zazdrosna. Roześmiałam się w głos, jednak mój śmiech zabrzmiał sztucznie i niepewnie. Byłam zazdrosna o coś, co zdarzyło się w filmie nakręconym przed moimi narodzinami.

- Co za żenada - powiedziałam do siebie.

Ale tak naprawdę wcale tak nie myślałam. Patrzyłam na tych dwoje na ekranie i czułam się jak w ósmej klasie, kiedy chłopak, na którego leciałam, poprosił do tańca inną dziewczynę.

Miałam ochotę przewinąć tę scenę. Nawet oglądając gołą dupę Johnny'ego, nie byłam w stanie zapomnieć o nieprzyjemnym, przyprawiającym o mdłości skurczu w żołądku.

Lody się roztopiły. Zrobiło mi się gorąco i kołdra stała się za ciężka. Skopałam ją w nogi łóżka i chwyciłam pilota, żeby przewinąć film. I znów to się stało.

Straciłam świadomość.

Rozdział 11

- Cześć! - rozległ się głos Johnny'ego. Rozejrzałam się dokoła i z zaskoczeniem stwierdziłam, że znalazłam się przy żywopłocie jego ogródka. - Dokąd tym razem uciekniesz?

Gdybym otworzyła usta, z mojego gardła wydobyłby się bełkot, dlatego zacisnęłam mocniej wargi i wykrzywiłam je w uśmiechu. Miałam nadzieję, że prezentował się naturalnie. Johnny w podkoszulku i dżinsach, z mokrymi włosami, które związał niedbale przy karku, wydawał mi się dziwnie znajomy. Podszedł do mnie i lekko się uśmiechnął.

- Minęliście się z Paulem - powiedział. - Właśnie wyszedł. Jutro znów tu przyjdzie, bo musi nakręcić jeszcze kilka scen.

Nie odezwałam się. Johnny przytulił mnie i pocałował. Potem owinał kosmyk moich włosów wokół palca, szarpnął i przyciągnął mnie do siebie jeszcze bliżej. Nawet wtedy nie mogłam wydusić ani jednego słowa.

- O co chodzi? Wściekłaś się? Chyba nie o tę scenę przy basenie? To dla mnie nie ma znaczenia.

Po prostu kręciliśmy film.

Film. Basen. Oglądałam ten fragment filmu, w którym Sandy czule go obejmowała.

- Ta scena z Sandy? - wreszcie odzyskałam mowę.

- No.., Ale to był tylko... Posłuchaj, ona wciąż czuje do mnie miętę, ale to nie ma żadnego znaczenia. Zwykła słabość, rozumiesz?

- Rozumiem. - Naprawdę rozumiałam. Ja też miałam słabość do Johnny'ego.

- Mieliśmy to zrobić na potrzeby filmu, i tyle. Ona chciała pójść na całość, żeby scena wypadła naturalnie, ale poinformowałam ją i Paula, że się na to nie piszę, rozumiesz? Na pewno nie z nią.

Szkoda, że ciebie nie było. - Uśmiechnął się szeroko. - Dzięki mnie byłabyś sławna.

- Jak... jak długo mnie nie było?

Johnny wzruszył ramionami.

- Kilka godzin? Ach, byłbym zapomniat, Emm. Wiesz, że kiedy ostatnio zniknęłaś, znalazłem twoje ciuchy. Jak to możliwe? - Zmierzył mnie wzrokiem i wykrzywił usta w grymasie. - Coś ty na siebie włożyła?

Spojrzałam na ponaciągane spodnie od dresu i obcisłą koszulkę z Batmanem. Zwykły strój, jaki człowiek wkłada, gdy siedzi w domu na chorobowym. Wcześniej wzięłam prysznic, ale nawet nie wysuszyłam włosów i wokół mojej twarzy wisały długie wilgotne strąki.

- Pocałuj mnie - powiedziałam, nie siląc się na odpowiedź. - Po prostu pocałuj.

I pocałował. Jego pocałunek był miękki i słodki. Całował mnie długo i leniwie - właśnie tak, jak pragnęłam. Właśnie tak, jak sobie wyobrażałam, że pocałowałby mnie w prawdziwym świecie, gdyby tylko udało mi się go do tego namówić. Cofnęłam się o krok, bo zdałam sobie sprawę, że wyglądam na na-ćpaną, że mam szkliste spojrzenie, że jestem pijana z miłości.

Johnny przechylił głowę, by mi się przyjrzeć, i zmrużył oczy.

- Emm?

Świat znów zakotyłał się pod moimi stopami. Dosłownie się wymykał, jak śpiewał Paul Simon w *Slip sliding away*, ale do kurwy nędzy, wątpię, żeby coś takiego przydarzyło mu się naprawdę. Czy w tym roku ta piosenka już była? Nie miałam pojęcia.

- Pocałuj mnie, Johnny - szepnęłam.

I znów pocałował, potem jeszcze raz, i jeszcze, a świat wokół mnie zaczął wirować z prędkością światła. Jego ręce pieściły moje ciało, wślizgnęły się pod koszulkę i dotykały nagich piersi i sutków.

Całowaliśmy się w ogrodzie, jak para kochanków ukrywająca się w krzakach przed spojrzeniami ciekawskich.

Poczułam chlor zmieszany z zapachem jego skóry i jeszcze jakiś tropikalny aromat. Może olejek do opalania. Poczułam woń świeżo złamanych gałązek i liści, gdy nasze ciała wgniotyły się w żywopłot.

Nagle w lawinie tych zapachów wyczułam pomarańcze. Do gardła napłynęła mi gorzka ślina i poczułam mdłości.

- Muszę iść - wymamrotałam. Nie byłam w stanie dłużej znieść tego stanu.

- Wrócisz, prawda? Obiecujesz? - Johnny chwycił moje włosy, zacisnął je mocno w pięści i pociągnął, jakby trzymał mnie na smyczy.

- Obiecuję! Wróć. Na pewno.

- W porządku - powiedział Johnny i znów mnie pocałował. - W takim razie do zobaczenia?

- Do zobaczenia. Tak, tak, tak, Johnny.

Wyswobodziłam się z jego uścisku, mimo że tylko on pozwalał mi zachować równowagę.

Uśmiechnęłam się i skinęłam dłonią na pożegnanie. Odwróciłam się i przeszłam przez ogródek wprost na chodnik przed jego domem.

Przetarłam oczy.

Leżałam w łóżku w swojej sypialni. Telewizor wciąż był włączony. Wciąż rozgrywała się ta sama scena. Moje sutki sterczały, a łechtaczka pulsowała. Na chwilę straciłam oddech i opadłam na poduszkę.

Objęłam dłońmi piersi, ale nie było już na nich ciepła jego dotyku. Wyobraziłam sobie, że mnie całuje, pieści. Moje ciało zareagowało natychmiast.

Wsunęłam rękę w majtki i dotknęłam cipki. Była mokra, pusta i wygłodniała. Pocierałam ją opuszkami palców i od razu nabrzmiała. Instynktownie uniosłam biodra, nie przestając się pieścić.

Nagle przerwałam, wlepiłam wzrok w sufit. Zamiast niego powinnam przecież widzieć nad sobą twarz Johnny'ego. Ale nie widziałam. I nigdy nie zobaczę.

- Cholerna mózgownica. To niesprawiedliwe.

Oblizalam usta i próbowałam sobie wyobrazić, jak on smakuje. Spojrzałam w ekran telewizora.

Johnny leżał na brzuchu, zupełnie nagi. Miał zamknięte oczy. Spał. Sądząc po tym, jak drżały jego powieki, śnił. Nagle jęknął.

Kurwa. Jego jęk przeszył mnie jak sztylet. Było w nim ryle samo seksu i pożądania co w jęku, który właśnie wydobył się z mojego gardła. W filmie Johnny śnił, ale ja byłam przytomna. I bynajmniej nie przechodziłam żadnego ataku. Naprawdę dotykałam palcami łechtaczki.

Wzbierała we mnie rozkosz. Mięśnie brzucha naprawdę się napinały. Wymięte prześcieradła, ciepła wilgoć od pieszczot własnych palców. To wszystko działało się naprawdę. I wreszcie orgazm.

Prawdziwy orgazm.

Wyściubiłam nos z domu dopiero po piątej. W końcu wzięłam dzień wolny od pracy z powodu złego samopoczucia. Uznałam jednak, że po tej godzinie rozbijanie się po mieście nie będzie już tak bezczelne. Szybki spacer do Mokki rozruszał mnie na dobre, a mroźne powietrze poprawiło krążenie. Pożyteczne efekty tego wysiłku zamierzałam zniszczyć z pełną premedytacją, zamawiając w kawiarni ciacho i kawowy ulepek. Nie przejmowałam się tym. Potrzebowałam cukru i kofeiny.

- Cześć - zerknęłam na Carlosa. - Nigdy stąd nie wychodzisz?

- Darmowy internet - wyjaśnił. - Dzięki temu oszczędzam pięćdziesiąt dolców miesięcznie. Z

nawiązką wystarcza na kawę i pączki.

- Najwyraźniej pijesz za mało kawy i zjadasz za mało pączków.

Wzruszył ramionami i wskazał na laptopa.

- Kiedy wreszcie sprzedam moją powieść, wszystkim stawiam latte.

- Trzymam cię za słowo. - Ściągnęłam rękawiczki i wcisnęłam je do kieszeni żakietu, który zupełnie się nie nadawał na taki mróz, ale... zgubiłam przecież płaszcz i ulubioną parę dżinsów.

Rozejrzałam się po pustej kawiarni. - Był tu ktoś dzisiaj?

- Na pewno nie twój boyfriend, jeśli na to liczyłeś. - Carlos uśmiechnął się z przekąsem.

Zignorowałam zaczepkę. -A Jen?

- Nie widziałem jej. Wydawało mi się, że to ty jesteś jej przyjaciółką, nie ja.

Energicznym ruchem wyciągnęłam telefon i napisałam do Jen SMS-a z pytaniem, czy wpadnie dzisiaj do Mokki.

- A ty *wogóle* masz jakichś przyjaciół?

- Jednego, ale prawdziwego. - Tym razem Carlos uśmiechnął się trochę cieplej.

W odwecie posłałam mu cierpki uśmiech i ruszyłam w kierunku kontuaru, by zamówić latte na bazie pełnotłustego mleka, z podwójną porcją białej czekolady, przyozdobioną świąteczną laseczką z cukru, oraz kawałek torciku kawowego. Niemal słyszałam, jak pękają szwy w moich najluźniejszych portkach, ale tym również się nie przejmowałam. Wiedziałam z doświadczenia, że cukier i kofeina pomagają mi przewyciężyć napady amnezji. Z przyjemnością spełniałam własne zachcianki, chociaż ceną była kilkugodzinna przebieżka na siłowni.

Z kubkiem kawy w jednej ręce i talerzykiem z ciastkiem w drugiej skierowałam się do stolika w głębi sali. Nagle usłyszałam dzwonek komórki schowanej w kieszeni żakietu.

Odmówiłam modlitwę dziękczynną do świętego patrona telefonów komórkowych - jeśli taki w ogóle istniał - że nie wcisnęłam ukochanego iPhone'a do kieszeni dżinsów, które gdzieś się zawieruszyły. Dotknęłam palcem ekranu, żeby odczytać wiadomość. Jen była w drodze.

Zastanawiałam się, co jej powiedzieć o *Stu księżycach wpełni*. Nie byłam w stanie oglądać tego po raz drugi. Może po prostu pożyczyć jej płytę.

Upiłam łyk gorącej, słodkiej kawy i zebrałam palcem odrobinę cukru z cynamonem z torcika kawowego. Lubiłam obserwować ludzi. Mokka nadawała się do tego idealnie. Mieściła się przy tętniącej życiem ulicy w sercu dzielnicy mieszkalnej. W tłumie, który przewijał się za szybą wystawową, podziwiałam chyba pełny przekrój społeczeństwa: młodzi i starzy, hipsterzy i eleganckie lafiryndy w panterkach z ustami wymalowanymi jaskrawoczerwoną szminką. Zauważyłam kilka znajomych twarzy, które zapamiętałam z lokalnych imprez. Wbrew temu, co sądziła moja matka, Harrisburg był małą miejsciną.

Wreszcie zjawiała się Jen. Miała zarumienione policzki, błyszczące oczy i szeroki uśmiech, który musiałam odwzajemnić. Pochłonawszy cały torcik i połowę kawy, poczułam, że ta spora dawka cukru mnie rozgrzała. Zdażyłam już zapomnieć o zapachu pomarańczy. Wszystko było w idealnym porządku. Świat nie kołysał się pode mną ani się nie wymykał. Niestety nie było Johnny'ego.

Z całych sił pragnęłam, żeby tu był. Nawet gdybym na jego widok od razu miała odpłynąć.

Poruszyło mnie to spostrzeżenie, choć z drugiej strony wcale nie byłam zaskoczona, że takie pomysły przychodzą mi do głowy.

- Co słychać? - zapytała Jen.

Wstałam, żeby ją przytulić, tak jak to robią prawdziwe przyjaciółki.

- Co jest? Jesteś jakaś rozbita?

- Ja? Nie... nic mi nie jest. Po prostu trochę zmęczona. Nie byłam dziś w pracy.

Jen zrobiła krok w tył.

- Ejże! To chyba nie grypa? - zapytała, wykrzywiając twarz.

- Nie.

Nachyliła się do mnie.

- Czyżby nadeszły te dni?

Zaśmiałam się.

- Nie. Jestem tylko zmęczona. Miałam okropny ból głowy. Chyba potrzebowałam wolnego dnia dla higieny psychicznej.

- Stara, mnie też by się przydał. Spędziłam cały dzień z przedszkolakami. Cały dzień pośród zasmarkanych nosków i zasranych gatek.

- I ty to mówisz? A ja myślałam, że nasza młodzież jest we właściwych rękach.

Potrząsnęła głową.

- Co też, kurwa, sobie wyobrażałam, przyjmując tę pracę? Godziny mi odpowiadały. Poza tym lubię dzieci. Cholera jasna, wręcz kocham swoich bratanków i bratanice. Ale ponieważ uważam, że moja macica zeschnie na wiór, zanim uda mi się spotkać kogoś, z kim będę mogła mieć własne..

- Co ty wygadujesz? Rany boskie! Ile ty masz lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć?

- Emm, po dwudziestym piątym roku życia kobieta ma już z górki - oznajmiła Jen uroczyście i przez moment byłam przekonana, że mówi poważnie. Wreszcie parsknęłam śmiechem.

- O kurde! Dzięk! Co w takim razie ja mam powiedzieć?

Machnęła ręką.

- Ach, ty nie masz się czym martwić!

- Że niby jak na staruszkę nieźle się trzymam?

- Ile masz lat? - Zrzuciła płaszcz z ramion i powiesiła go na oparciu krzesła. Jeszcze nie usiadła.

- W tym roku kończę trzydzieści dwa.

- Och - zatroskała się przez chwilę. - Zawsze zostaje adopcja.

- Suka - zawołałam za nią, gdy ruszyła w stronę baru, żeby złożyć zamówienie.

Wróciła kilka minut później z kubkiem kawy w ręku. Przyjrzała mi się badawczo.

- Wiesz przecież, że żartowałam.

- Wiem. Chyba jednak nie jest mi dane mieć dzieci. Zresztą niech i tak będzie.

- Poważnie mówisz? - Podmuchała na kawę, żeby nieco ostygła, i upiła mały łyżeczek.

Skrzywiła się, gdy sparzyła sobie język.

- Poważnie. - Nie wspomniałam jej o mojej neurologicznej skazie. To nie było najlepsze miejsce i czas, żeby opowiadać o takich rzeczach. - W każdym razie tę decyzję mam z głowy.

- Nigdy nie wiadomo. Może jutro spotkasz księcia z bajki.

- A może ty go spotkasz. Nigdy nie wiadomo.

Rozejrzała się dokoła i zmarszczyła brwi.

- Wątpię jednak, by miało dojść do tego spotkania tutaj.

Roześmiałyśmy się i równocześnie obejrzałyśmy na dźwięk dzwonka wiszącego u drzwi wejściowych. Zamarłam. Śmiech Jen zamienił się w rozkoszne westchnienie. Spojrzałam na Jen, ona na mnie, a potem błyskawicznie odwróciłam wzrok, żeby powstrzymać się od śmiechu.

Johnny przeszedł tak blisko, że połę jego płaszcza na ułamek sekundy zaczepiły o nasz stół.

Zdażyłam dotknąć miękkiej wełny. Jen spostrzegła ten gest i zmierzyła mnie wzrokiem. Wzruszyłam ramionami.

- Wpadłaś jak śliwka w kompot - powiedziała. - Dużo gorszy przypadek niż mój.

- Przyszło dziś DVD - ściszyłam głos, bo dobrze wiedziałam, że stoi zaledwie kilka stóp ode mnie. Po incydencie z ciastkami, gdy tak okropnie mnie potraktował, nie chciałam, żeby usłyszał, że o nim mówię. To by go tylko utwierdziło w przekonaniu, że jestem zdrowo szurniętą fanką.

- *Sto księżyców?* Cii! - Jen natychmiast uciszyła samą siebie, choć jej okrzyk zniknął w kawiamianym gwarze. - Ożeż w mordę! Kiedy mogę wpaść i obejrzeć? Och, poczekaj. Ty już to widziałaś, prawda?

- Wybacz - przyznałam. - Nie miałam wyjścia.

- Och, stara. Nic nie szkodzi. - Jen uniosła kubek w moją stronę. - Zrobiłabym to samo. A zatem jak wrażenia? Ciężko zdobyć ten film, musi być niesamowity.

- Myślę, że. . - prawdę mówiąc, niewiele z niego zapamiętałam. - Gdybym była krytykiem filmowym, miałabym zapewne wiele do powiedzenia na temat ładunku artystycznego obrazu oraz kondycji kinematografii jako takiej. Może nawet wskazałabym na problemy egzystencjalne młodzieży w nowoczesnym społeczeństwie.

- I takie tam farmazony - przytaknęła gorliwie Jen. - Oto dlaczego się przyjaźnimy.

- A tak poważnie - ciągnęłam - był podobny do poprzednich, które mi pokazałaś, tylko było mniej momentów.

Jen ściszyła głos i strzeliła oczami w stronę Johnny'ego, który zdażył już przynieść swoją kawę do stolika w przeciwległej części sali, ale w zasięgu mojego wzroku. - Zdradź przynajmniej, czy pojawia się nagi?

- Nagusieńki.

- W talom razie warto obejrzeć ten film - podsumowała Jen. - Goły Johnny Dellasandro zawsze jest zajebisty.

- Jego żona też tam występuje. Była żona.

- Która?

- A miał więcej niż jedną?

- Chyba ze trzy, może cztery - zastanowiła się, rzucając mu kolejne ukradkowe spojrzenie.

Musiał zauważyć, że o nim rozmawiamy, albo przynajmniej, że go obserwujemy. Nie dało się tego przegapić. Zachowywałyśmy się gorzej niż para rozchichotanych uczennic przerzucających się niewybrednymi uwagami na temat przystojnego nauczyciela, który przyszedł do ich klasy na zastępstwo.

- Jak mogłam przeoczyć tak istotną wiadomość?

- Może dlatego, że google'owałam tylko zdjęcia jego fiuta?

Rzuciłam w nią chusteczką.

- Ciiiiszej!

Jen ukryła twarz w dłoniach, by stłumić śmiech.

- Przepraszam!

- Teraz już nie jest żonaty, prawda?

- Chyba nie.

- Spotyka się z kimś? - dopytywałam.

Jen uniosła brwi.

- Doprawdy, moje zachowania prześladowcze mają jakieś granice. Ale nie sądzę, żeby się z kimś spotykał. A jeśli tak, to na pewno nie przychodzi z nią do Mokki. Chociaż w zeszłym tygodniu przyprowadził tę laskę. Widziałam ją tutaj już kilka razy.

- Niech to... - Wyglądałam na szczerze rozgoryczoną i nawet nie zamierzałam tego ukrywać.

- Och, ty moje biedaczysko - powiedziała Jen ze współczuciem.

Polizałam palec, żeby zebrać resztki cukru z cynamonem.

- Żałosne, nie? - westchnęłam, marszcząc czoło.

- Weź ty z nim porozmawiaj. Przywitaj się czy coś.

Westchnęłam ciężko. Zaryzykowałam i rzuciłam błyskawiczne spojrzenie w stronę Johnny'ego, ale ten zdawał się zupełnie pochłonięty lekturą książki. Z daleka nie mogłam dojrzeć tytułu.

- Jeśli mam być szczerą, to już zrobiłam coś w tym stylu.

- I?

Spojrzałam na nią i wypaliłam:

- Przyniosłam ciasteczka, żeby podziękować mu za pomoc, gdy poślizgnęłam się na lodzie przed jego domem.

- *Przeleciałaś go!* - wykrzyknęła Jen i jak na komendę w naszą stronę spojrzeli goście przy sąsiednich stolikach. Dzięki Bogu nie on. Jen ściszyła głos. - *Przeleciałaś Johnny'ego Del asandra?*

- Nie! Nie, nie. - Czułam, jak palą mnie policzki. - Tak po prawdzie, to nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Przyniosłam mu ciasteczka, a on nawet ich nie spróbował. Okazał się totalnym złamasem.

- Nie wierzę. - Osunęła się na krzesło, jakby nagle opadła z sił. - To znaczy, zawsze zadzierał

nosa, ale żeby być złamasem? Zawiódł mnie. Czyżbyś się otwarcie domagała, żeby ci zrobił minetę, albo czegoś równie niezręcznego? Ja bym pewnie coś takiego palnęła.

- Absolutnie nie. Tylko upiekłam dla niego ciasteczka, bo wspomniał kiedyś, że lubi ciasteczka domowej roboty.

Jen obruszyła się.

- A kto nie lubi?

- Najwyraźniej Johnny Dellasandro nie lubi. Albo nie lubi wypieków mojej roboty. A jeśli nie chciał

nawet skosztować moich ciasteczek, szczerze wątpię, żeby dał się namówić do skosztowania mojej pipki.

Jen roześmiała się rubasznie i ja też, chociaż nawet się nie siliłam na dowcip. Chichotałyśmy tak długo, że wreszcie Johnny odwrócił głowę w naszą stronę. Nasze spojrzenia się skrzyżowały, jego chłodne, a moje, jak się domyślałam, roześmiane. Jeszcze wczoraj od tego wzroku wytrzeźwiałabym w sekundę, ale nie dziś. Chrząnić go, pomyślałam sobie. Nie mam zamiaru udawać, że się speszyłam.

- Muszę lecieć. Zabieram babcię do fryzjera. -Śmiech Jen przeszedł w głębokie westchnienie.

Wstała od stolika. - Kiedy mogę do ciebie wpaść, żeby obejrzeć film?

- W czwartek?

- Pasuje. Chcesz obejrzeć jeszcze raz?

Nie byłam do końca przekonana, ale i tak pokiwałam głową, -Ba!

- Fajnie. Do zobaczenia w czwartek. – Zaśmiała się, potrząsnęła głową z niedowierzaniem i wychodząc, mruknęła pod nosem: - Ciasteczka!

Siedziałam przy stoliku jeszcze kilka minut dłużej, zbierając się w sobie, by stawić czoło mroźnej pogodzie. Zrobiło się ciemno. Weszłam jeszcze do łazienki. Gdy wychodziłam, Johnny'ego już nie było. Nie zaszedł jednak daleko. Stał na zewnątrz pod drzwiami Mokki i zapalał

papierosa.

Na jego widok zatrzymałam się. Prawie rzuciłam „cześć”, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam. Potem zastanowiłam się jeszcze raz. Przecież powiedziałabym „cześć” do sąsiada, którego mijalabym na ulicy. Chyba nie powinnam traktować Johnny'ego w uprzywilejowany sposób, ani lepiej, ani gorzej.

-Cześć - powiedziałam jak gdyby nigdy nic.

Skinął i wydmuchał z ust cienki pasek dymu, który natychmiast rozproszył się w powietrzu. Zapach papierosa wgrzył się w moje nozdrza. Zawsze to miłszy aromat niż woń pomarańczy. Jeszcze raz zerknęłam w jego stronę. Cały czas wierzyłam, że uda mi się powstrzymać od wślizgnięcia się w jego objęcia i zrobienia z siebie jeszcze większej idiotki. Choć muszę przyznać, że kiedy z zimna zaczęłam szczekać zębami, ciężko mi było nie patrzeć w jego przytulne ramiona.

Szliśmy w tym samym kierunku. W milczeniu maszerowaliśmy ramię w ramię. To były najdłuższe trzy przecznice, jakie w życiu przyszło mi przemierzyć. I chyba pobiłam też rekord zmarznięcia.

Ale Bóg mi świadkiem, chciałam, żeby ten marsz trwał wiecznie.

Kiedy jednak doszliśmy do mojego domu, dygotałam z zimna. Zacisnęłam mocno szczęki, żeby nie klekotać zębami. Mój nos zamienił się w sopol. Palce skostniały. Skręciłam w stronę schodów prowadzących do moich drzwi, przekonana, że Johnny uczyni to samo i bez słowa pójdzie za mną, tak jak szedł całą drogą z Mokki.

- Przydałby ci się lepszy płaszcz. Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

- Co takiego?

Dopalił papierosa i wymierzył we mnie niedopałkiem.

- Twoja kurtka nie nadaje się na taki mróz. Przydałoby ci się coś cieplejszego.

- Ja. . eee. . gdzieś zapodziałam zimowy płaszcz -odparłam.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

- Taa?

- Taa...

- Spraw sobie nowy - mruknął.

I tyle. Patrzyłam, jak szedł chodnikiem w kierunku swego domu. Nie obejrzał się za siebie. Ani razu.

Rozdział 12

Czyli jednak się nie oświadczył. Gdy kładłam się do łóżka, wciąż czułam łomotanie serca i szum w głowie. Spałam twardo, bez snów, i obudziłam się wypoczęta. Żadnych dziwnych zapachów, żadnych wirujących kształtów. Od tygodni nie czułam się tak dobrze, choć pewnie nawet nie zauważałabym różnicy, gdybym tak histerycznie nie wsłuchiwała się w swój organizm.

Po pracy znalazłam sukienkę, o którą prosiła mnie mama, i postanowiłam, że do niej wpadnę.

Harrisburg był oddalony od Annville zaledwie o czterdzieści minut jazdy i nie miałam nic lepszego do roboty. Ani gorszego. Bo tak naprawdę... chciałam zobaczyć mamę. Po tym, co się stało, miałam ochotę posiedzieć w kuchni, przy starym stole, i napić się gorącej czekolady. Chciałam poczuć, choć przez chwilę, że ktoś się o mnie troszczy.

Kiedy dojechałam na miejsce, zastałam dom pusty i ciemny. Na podjeździe nie było samochodu.

Weszłam na ganek. Czułam się jak gość, choć otworzyłam drzwi własnymi kluczami.

- Halo...

Cisza. Spojrzałam na zegarek, było trochę po siódmej. Niby wcześniej, ale dla moich rodziców to jak północ. Wrzuciłam klucze do torebki, którą z przyzwyczajenia położyłam na krześle w korytarzu, choć mama zawsze powtarzała, żebym odkładała rzeczy na miejsce. Zresztą teraz nie miałam tu swojego miejsca.

To już nie był mój dom.

- Mamo? Tato? - Powiesiłam na wieszaku czarną sukienkę, zapakowaną w foliowy pokrowiec po ostatnim czyszczeniu w pralni. - Jest tam kto?

Usłyszałam pisk opon. Ktoś wjechał na podjazd. Chwilę później podniosła się brama garażowa.

Weszłam do kuchni w tej samej chwili, gdy mama pojawiła się w drzwiach prowadzących od garażu.

Na mój widok wykrzyknęła głośno. Ja też.

- Emmaline!

- Mamo! - Roześmiałam się. - Nie widziałaś mojego wozu przed domem?

- Nie spodziewałam się ciebie - odparła, trzymając się ręką za serce i głośno dysząc. -

Śmiertelnie mnie przestraszyłaś.

- Przepraszam - powiedziałam. Podeszłam, żeby ją uściskać. W tym momencie do kuchni wszedł

ojciec.

- Cześć, tato!

Przywitał mnie przelotnym buziakiem. Potem poszedł do sypialni, zupełnie jakby moja wizyta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Rany, uwielbiam mojego tatę! Mama odsunęła się ode mnie na długość ramion, zlustrowała mnie wzrokiem od góry do dołu i oświadczyła: - Schudłaś.

- Chciałabym. Ale ty naprawdę zeszczuplałaś. - Ostatni raz widziałam ją jakiś miesiąc temu i od tej pory zdecydowanie straciła na wadze. Miała na sobie dres. U jej stóp leżała sportowa torba. -

Chodzisz na siłownię?

Mama popatrzyła najpierw na torbę i dres, a potem na mnie.

- Tak. Tata i ja doszliśmy do wniosku, że trzeba zadbać o kondycję.

Mama nigdy nie była gruba, co najwyżej uroczo pulchna. Miała obfite biodra i pełne piersi.

Dziwnie było patrzeć na jej zapadnięte policzki. Wcześniej obawiałam się, że nie uda jej się wbić w sukienkę, którą jej wiozę, ale teraz pomyślałam, że może być na nią za duża.

- Kurczę! - zawołałam. - Powinam brać z ciebie przykład.

To było ulubione zdanie mamy, zupełnie jakbym ją słyszała. Mama roześmiała się i mocno mnie przytuliła. Zamknęłam oczy i przylgnęłam do niej z równą siłą.

- O, moja mała córeczko, tęskniłam za tobą.

- Mamo - zachnęłam się, ale zrobiłam to z przyzwyczajenia.

- Co cię sprowadza? - zapytała, gdy już skończyłyśmy obsypywać się czułościami.

- Przywiozłam ci sukienkę.

- Ach, tak! - Rozpromieniła się. - Wezmę szybki prysznic i zaraz ją przymierzę. Jadłaś już? Dla nas z tatą mam sałatkę, ale powinnaś coś jeszcze znaleźć w lodówce.

- Dzięki, nie jestem głodna.

Wyciągnęłam z lodówki mleko, ale w szafce nie było czekolady w proszku. Spojrzałam na stół

i zauważyłam, że jest nowy. W identycznym kształcie i rozmiarze jak poprzedni, ale zdecydowanie inny. Odstawiłam mleko z powrotem do lodówki i ciężko usiadłam na krześle, które też było nowe.

- I jak? - Mama weszła do kuchni, nieśmiało prezentując nową sukienkę. Leżała na niej idealnie, może tylko w biuście była odrobinę za szeroka. Mama obróciła się powoli.

- Wyglądasz świetnie.

- Naprawdę? - zapytała, macając się po dekolcie, który jak na jej gust był chyba za głęboki. -

Nie za bardzo wycięte?

- Wcale nie. Upniesz włosy wysoko, założysz ładny łańcuszek i będzie super. Tylko włóż inne buty. -Wskazałam na jej wełniane kapcioszki i obie się uśmiechnęłyśmy.

- Rzeczywiście. Ale tym zajmę się później.

Mama wygładziła sukienkę na brzuchu i zaczęła się obracać w prawo i w lewo, żeby jak najlepiej obejrzeć swoje odbicie w lustrze zawieszonym na drzwiach do piwnicy.

- Dobrze, że nie muszę już kupować sukienki.

- A po co ci ona? - zapytałam, spodziewając się, że idzie na wesele albo inną imprezę.

- Ach... - Mama przygryzła na chwilę dolną wargę, a potem spojrzała na mnie błyszczącymi oczyma. ~ Tata zabiera mnie w rejs statkiem z okazji naszej rocznicy.

- Co? - Szczęka dosłownie opadła mi z wrażenia.

- A tak. I ma tam być uroczysta kolacja. Ta sukienka będzie w sam raz.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Rejs statkiem? Ty z tatą?

- Owszem. Rejs na Alaskę!

Nawet nie na Karaiby, które przynajmniej były bliżej.

- Rety, mamó. Super 1

- Ostatni raz wybraliśmy się tylko we dwoje... chyba w podróż poślubną.

Przeze mnie. Nigdy tego nie powiedziała i wiem, że wiele osób nie rusza się nigdzie bez dzieci, dopóki są małe. Ale moi rodzice utknęli w domu na znacznie dłużej. Wszyscy ich znajomi już od dawna wyjeżdżali na weekendy we dwoje. I w rejsy statkiem.

Nagle poczułam, że ściska mnie w gardle i zaraz się rozplaczę. Nie chciałam, żeby mama widziała moje łzy.

- Zapowiada się niezła zabawa. Kiedy wyjeżdżacie?

- Dopiero w marcu. Dlatego właśnie zapisaliśmy się na siłownię. Kojarzysz Mariannę Jarvis?

Powiedziała nam, że na takim rejsie okropnie się tyje. Człowiek podobno wraca o pięć kilo grubszy.

Dlatego uznałam, że powinniśmy trochę schudnąć przed wyjazdem ~ wyjaśniła i znów wygładziła przód sukienki.

- Na pewno będziecie się świetnie bawić. A ty wyglądasz wspaniale.

Mama przyjrzała mi się badawczo.

- U ciebie wszystko w porządku?

Nie ma czekolady w proszku. Stół jest nowy. Mama w wieczorowej sukience wygląda młodziej i ładniej niż kiedykolwiek wcześniej. Wszystkie te zmiany zaszyły tu od czasu, kiedy się wyprowadziłam, i nie chciałam psuć jej radości swoimi lękami.

- Zawsze mnie o to pytasz. A co ja wtedy odpowiadam?

- Ze wszystko w porządku.

- No właśnie. Wszystko w porządku.

- To dobrze. Pójdę się przebrać. Zostaniesz jeszcze? Podgrzeję ci coś do jedzenia.

- Chciałabym zabrać trochę rzeczy z piwnicy, jeśli nie masz nic przeciwko.

Mama rzuciła mi rozbawione spojrzenie.

- Bierz, co chcesz, kochanie. To wciąż jest twój dom. I zawsze będzie.

Pędem zbiegam do piwnicy. Z całej siły wbijałam paznokcie w dłonie, starając się powstrzymać łzy. Mój ukochany fotel, który tu zostawiłam podczas wyprowadzki, wciąż stał na swoim miejscu.

Zapadłam się w nim, zatykając usta dłonią, żeby nie wydostał się z nich nawet najmniejszy dźwięk.

Szlochałam, ale sama nie wiedziałam, z jakiego powodu. Przecież pragnęłam niezależności. Dlaczego w takim razie teraz czuję się porzucona?

Nie chciałam się tak zupełnie rozkleić. Moja reakcja była histeryczna i egoistyczna. No i głupia.

Do tego jeszcze oszukiwałam matkę, ale dobrze wiedziałam, że jeśli jej powiem o atakach, to nie pozwoli mi się stąd ruszyć, dopóki nie umówię się na wizytę u lekarza. A nawet i wtedy może mnie nie wypuścić.

Miałam ochotę o wszystkim jej opowiedzieć. Pragnęłam, żeby mnie utuliła. Ale z drugiej strony nie mogłam puścić pary z ust, bo znałam jej reakcję.

Nie mogłam zjeść ciastka i mieć ciastka. Miałam trzydzieści dwa lata - najwyższy czas, żebym sama radziła sobie z problemami.

W piwnicy wciąż stało kilka plastikowych pojemników z moimi rupieciami. Stare kalendarzyki, albumy ze zdjęciami, wyświechtane lalki i różne inne drobiazgi. Nie przypuszczałam, że będę chciała jeszcze kiedykolwiek je oglądać. Ale gdy rozpakowywałam się w nowym mieszkaniu, od razu o nich pomyślałam. Wiem, że to głupie tęsknić za starą przyjaciółką lalką Mandy, która siedziała na półce z książkami przez wszystkie lata, gdy tu mieszkałam. Celowo nie zabrałam starych zabawek, bo pragnęłam mieć dorosły dom. Ale wyraźnie mi brakowało tych skrawków dzieciństwa.

Wyciągnęłam z kąta pojemniki i otworzyłam każdy z nich, by się upewnić, że zawierają to, o co mi chodzi. Nie chciałam przypadkiem zabrać mamie jej bombek na choinkę. Wszystkie rzeczy były na swoim miejscu. Dokładnie tak, jak je ułożyłam, wyprowadzając się miesiąc temu. W trzecim, ostatnim pojemniku, na samym wierzchu...

- Mamo? - zawołałam, wspinając się po schodach do kuchni. Stała tam ubrana w swoje zwykłe ciuchy, dżinsy i sweter. W rękę trzymała patelnię. - Ty to włożyłaś do mojego pudełka?

- Georgette? Tak, ja. Znalazłam ją wciśniętą za fotel, gdy robiłam porządki w piwnicy.

Pomyślałam, że pewnie chciałabyś ją mieć.

Trzymałam w ręku pluszowego misia koalę, który wielkością idealnie pasował do mojej dłoni.

Georgetta. Jej futerko było w kilku miejscach wytarte, a jedno oko starannie przyklejone, po tym jak kiedyś odpadło i zgubiło się na cały długi dzień. Dostałam ją od dziadka, gdy po wypadku leżałam w szpitalu. Wciąż pamiętam, jak się obudziłam i zobaczyłam ją obok siebie na kołdrze. Moja nowa zabawka, którą od razu pokochałam bardziej niż wszystkie inne.

- Nie mogę uwierzyć, że o niej zapomniałam - powiedziałam i przycisnęłam misia do piersi.

- Możesz ją zabrać.

- Tak zrobię.

W samochodzie posadziłam Georgette na siedzeniu pasażera. Wsiadając z wozu, włożyłam ją do kieszeni starego płaszcza, który wzięłam z domu rodziców, bo jak dotąd nie udało mi się odnaleźć mojego. Potem wyjęłam z bagażnika jeden pojemnik z rzeczami i ruszyłam w kierunku wejściowych drzwi.

Pod drzwiami znalazłam paczkę. Papierową torbę ze sklepu spożywczego. Postawiłam pojemnik na ziemi i zaczęłam szukać klucza, trącając stopą zawiniątko. Zapomniałam wymienić żarówkę nad wejściem i w półmroku nie widziałam dobrze zawartości. Otworzyłam drzwi. Plastikowy pojemnik postawiłam na wycieraczkę, żeby nie zabrudzić śniegiem podłogi. A potem sięgnęłam po papierową torbę.

W środku był mój płaszcz.

Mało tego. Były tam też inne moje ciuchy, starannie złożone. Stanik, majtki, skarpetki, bluzka.

Ulubione dżinsy. Brakowało tylko botków. Przetrzęsłam torbę w poszukiwaniu liściku.

- Cholera - zakląłam i nabrałam powietrza w płuca. - Cholera, cholera, cholera.

Ktoś się nade mną zlitował. Ale kto? Dokąd mnie poniosło, naga i nieprzytomna? I co robiłam?

Próbowałam się wczuć w każdą komórkę swojego ciała, jakby one mogły mi wyjaśnić, w jakie tarapaty się wpakowałam. Miałam na studiach koleżankę, która zawsze przed imprezą wkładała sobie tampon. Nawet jeśli nie miała okresu. Mówiła, że jeśli zauważy jego brak, będzie wiedziała, że coś się zdarzyło, nawet jeśli tego nie zapamięta. Nigdy nie stosowałam tej sztuczki, ale czułam przeszywające skurcze macicy, gdy wyobrażałam sobie, co się mogło wydarzyć w czasie mojego ataku.

Wyciągnęłam ubrania z torby i poczułam zapach cedru. Ze starannie złożonej bluzki wysunęła się karteczka i powoli opadała na podłogę, niesiona podmuchami powietrza napływającego z otwartych drzwi. Zamknęłam je, a potem podniosłam kartkę. Był to kwitek z pralni. Wyblakły i pożółkły, musiał

być dość stary. Widniało na nim nazwisko.

- Cholera, cholera, cholera - powiedziałam na głos i zacisnęłam oczy w nadziei, że gdy znów je otworzę, okaże się, że to tylko moja wyobraźnia. Otworzyłam. Spojrzałam. - Cholera!

Na kwitku było nazwisko Johnny'ego. Co za przesrane życie! Zmięłam kartkę w dłoni. Po chwili zastanowienia rozprostowałam ją i schowałam do kieszeni.

Rozległ się dźwięk komórki. Dzwoniła Jen.

- Cześć, stara!

- Cześć - powiedziała. - Słuchaj, nie obraż się, ale wolałabym przełożyć nasze spotkanie.

Strasznie mi głupio, ale... trafiła mi się interesująca randka.

Nie żeby spotkanie z tobą nie było interesujące, ale rozumiesz... - dodała niepewnie.

- Jasne, nie ma sprawy. - Roześmiałam się. - Z kim ta randka?

- Ma na imię Jared - odpowiedziała. - I wyobraź sobie, że jest dyrektorem domu pogrzebowego.

- O kurde. No, ale przynajmniej ma pracę, a nie jak ten mój ostatni, pożałuj się Boże, chłopak.

- No! - zachichotała Jen. - Wiesz, mieliśmy się spotkać w piątek wieczorem, ale zadzwonił z pytaniem, czy możemy to przenieść na czwartek.

- Nigdy o nim nie wspomniałaś - zauważyłam, wsuwając ubranie z powrotem do sklepowej torby.

Cieszyłam się, że je odzyskałam, ale nie byłam jeszcze gotowa zmierzyć się z tym, co się stało. -

Gdzie go poznałaś?

- Wstyd się przyznać.

- Stara, od kiedy wstydzisz się takich rzeczy? - roześmiałam się.

- Poznaliśmy się na pogrzebie. Kilka miesięcy temu umarła siostra mojej babci, Hettie. Jared obsługiwał jej pogrzeb.

- Zapropozował ci randkę podczas ceremonii pogrzebowej twojej ciotecznej babki?

Romantycznie!

Poszłam do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Wzięłam ze sobą Georgette i posadziłam ją na kuchennym stole.

- Nie. Nie wtedy. Skontaktowałam się z nim przez Connex. Jego dom pogrzebowy ma tam swój fan page.

- Co? - Kompletnie mnie zatkało. - Chyba żartujesz?

- Bynajmniej. Nie jest tak źle, jak myślisz. To raczej strona informacyjna. Choć to rzeczywiście trochę dziwne być fanem domu pogrzebowego. W każdym razie tak nawiązaliśmy kontakt. I szybko zaproponował mi randkę.

- Może i ja powinnam częściej zaglądać na Connex - rzuciłam bez przekonania, bo ten portal był

strasliwym pożeraczem czasu. Nawet dla kogoś takiego jak ja, kto nie prowadził intensywnego życia towarzyskiego.

- Jared jest taki słodki. I taki zabawny - dodała podekscytowana.

- W takim razie baw się dobrze w czwartek i nic się nie martw. Zresztą mówiłam ci, że ten film jest słaby.

- Niemożliwe. Nie ma słabych filmów z Johnnym - odparła bez przekonania.

Jared musi być naprawdę słodki, pomyślałam bez cienia zazdrości.

- Nie gniewasz się? Na pewno? Wiesz, że żaden facet nie jest tego wart i takie tam.

- Przestań. Dobrze, że choć jedna z nas ma jakiś ruch w interesie.

- To tylko randka - odparła, ale w jej głosie słychać było podniecenie.

- Baw się dobrze - powiedziałam po raz kolejny. - A w piątek czekam na szczegółową relację.

- Obowiązkowo.

Rozłączyłyśmy się dokładnie w chwili, gdy czajnik zaczął gwizdać. Zalałam wrzątkiem herbatę i poszłam po pudła do samochodu. Ulicą przemknął samochód i zaparkował przed domem Johny'ego.

Przekładałam rzeczy w bagażniku, obserwując, kto z niego wysiadzie.

Oczywiście, Johnny. I kobieta, którą widziałam z nim w kawiarni. Trzymał ją mocno za ramię, żeby się nie poślizgnęła. Potem czule objął. Targnęła mną zupełnie nieuzasadniona zazdrość.

Trzasnęłam klapą bagażnika z taką siłą, że huk metalu uderzającego o metal rozniósł się po całej ulicy.

Oboje się odwrócili. Udawałam, że jestem pochłonięta dźwiganiem pudeł.

Nie należał do mnie. Nie byliśmy kochankami. Do diabła, nie byliśmy nawet przyjaciółmi.

Mimo to przeklinałam pod nosem, wypakowując w domu rzeczy, które przywiozłam od rodziców. Na półce ustawiłam dziecięce książeczki, a obrazek w złotej ramce, który namalowała w dzieciństwie, powiesiłam na ścianie w salonie. Przystanąłam na chwilę, żeby na niego popatrzeć.

Prezentował się całkiem nieźle. Pewnie dlatego matka go oprawiła. Znać w nim było rękę artystki.

Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

W prawym dolnym rogu widniały moje inicjały: E.M.M. - Emmaline Marie Moser.

Uśmiechnęłam się, jak zawsze, kiedy widziałam swoje imiona i nazwisko zapisane w ten sposób.

Miałam sprytnych rodziców.

Obrazek przedstawiał dom, przed którym stali mężczyzna i kobieta. Ona była księżniczką lub panną młodą, a może jedną i drugą jednocześnie. Miała na sobie różową sukienkę z falbanami, welon, a do tego bukiet kwiatów. Trzymała za rękę stojącego obok mężczyznę. Oboje uśmiechali się od ucha do ucha.

Mężczyzna przypominał bardziej księcia niż pana młodego, bo nie miał na sobie smokingu, tylko długi czarny płaszcz i prążkowany szal.

Jeszcze raz spojrzałam na rysunek. Długi czarny płaszcz i szal w prążki. Poczułam skurcz żołądka. Sięgnęłam po obrazek. Porysowane, zakurzone szkło, ramka obita na rogach. To był mój dom. Ten dom. Wysoki i wąski. Trzy okna po jednej stronie drzwi wejściowych i jedno po drugiej. Niech będzie. To mógł być jakikolwiek dom, ale wyglądał jak mój. A potem zobaczyłam wehikuł TARDIS.

Niebieski cień, który w pierwszej chwili przeoczyłam, bo częściowo zasłaniały go drzewa. Och.

- Cześć, doktorku. - Znów dotknęłam narysowanej postaci. Tajemnica wyjaśniona. Jako dziecko byłam wielbicielką serialowego Doktora Who. Z całym szacunkiem dla wszystkich późniejszych, Tom Baker na zawsze pozostanie moim jedynym doktorem.

- Wariatka. - Uśmiechnęłam się na wspomnienie siebie jako ośmiolatki i powiesiłam obrazek na ścianie.

Wciąż jeszcze pozostawała do wyjaśnienia sprawa ubrania. Tak bardzo zaprzętała mój umysł, że w banku nie mogłam się skupić na pracy, bo wciąż wymyślałam coraz to gorsze scenariusze.

Jakkolwiek patrzeć, to, co zrobiłam, nie było nielegalne. Całe szczęście, że nie pokazywali mnie w wieczornych wiadomościach ani na YouTube. Ani, dzięki Bogu, na YouPorn.

Z drugiej strony wtedy przynajmniej dowiedziałabym się, co zaszło.

Nie miałam wyjścia. Musiałam zapytać Johnny'ego. Oddał mi ubranie, więc nie udawał, że nic się nie wydarzyło. Cokolwiek to było.

Do dupy z takim życiem.

Tym razem nie poszłam do jego domu z talerzem ciastek. Nie miałam pojęcia, czy zaproponowanie rozejmu będzie właściwe, i nie chciałam znów mu się narzucać. Poszłam więc do jego galerii.

Galeria Blaszyński przy Fond Street zajmowała część jednej ze starych kamienic przekształconych na biura. W środku zastałam całkiem sporo ludzi. Był czwartkowy wieczór, więc wydało mi się to dziwne. Z drugiej strony nie powinnam zakładać, że skoro ja nie mam zamiłowania do sztuki, to reszta świata też nie. Zwiedzający przechadzali się wśród rozwieszonych obrazów i rozstawionych dokoła rzeźb. Trzymali w rękach kieliszki wina oraz talerzyki z serem i winogronami i cicho rozmawiali. W tle sączyła się spokojna muzyka.

Świetnie. Wprosiłam się na przyjęcie. Po chwili jednak zorientowałam się, że to zwykłe czwartkowe spotkanie. Podśledzałam rozmowę jednej z par, która w zeszłym tygodniu kupiła tu prezent znajomym na parapetówkę. Tym razem szukali czegoś na upominek urodzinowy.

Powoli przechadzałam się po salach. Nieco odrapane ściany w kolorze złamanej bieli i cienkie zwiewne tkaniny w oknach tworzyły fantastyczny nastrój. Jasne, drobne światełka zawieszane na drzewkach w doniczkach i pod sufitem odbijały się w błyszczącej podłodze z lakierowanego drewna.

- Cudowne miejsce - zagadnęłam starszą parę, która wyglądała jak żywcem wyjęta z magazynu o modzie. Cieszyłam się, że przyszłam tu prosto z pracy. Przynajmniej zamiast dżinsów i kozaków miałam na sobie spódnice i buty na obcasach.

- Owszem. To niebywałe, jak Johnny zmienił to miejsce - odparła kobieta. - Proszę tylko spojrzeć na te prace. Niewiarygodne, że w Harrisburgu można odnaleźć takie talenty. Kto by przypuszczał!

- Tym się głównie zajmuje? - zapytałam, bo przypominałam sobie, że Jen o tym mówiła.

- Tak. Ale sam też tworzy. Zapewne zna pani jego prace? - Kobieta uniosła w moją stronę kieliszek wina.

- Oczywiście - zapewniłam gorliwie.

Szczerze mówiąc, podczas mojego internetowego śledztwa najmniej zainteresowała mnie jego kariera artystyczna. Niewiele na ten temat wiedziałam.

- To ogromne szczęście, że mamy w swoim mieście mistrza tego formatu. A do tego jeszcze wspiera

lokalnych artystów. - Kobieta pochyliła się w moją stronę. Była już nieco wstawiona. - I co za przystojniak, prawda?

Odsunęłam się nieco.

- Zgadza się. Wie pani może, czy on tu teraz jest?

- W czwartki Johnny zawsze tu jest. To jego miejsce - odpowiedziała, jakbym była jakąś pieprzoną debilką.

Może i byłam debilką, ale na pewno nie zamierzałam być tchórzem. Podziękowałam swojej rozmówczyni i ruszyłam na obchód galerii. Wreszcie go znalazłam. Stał na samym końcu ostatniej sali i rozmawiał z grupką wielbicieli sztuki. Sądząc po wyglądzie, musieli być artystami.

Johnny uśmiecha! się, nawet śmiał i... och, ależ był piękny. Pożądanie ścisnęło mnie w dołku.

Potulnie zniosłam ten ostry i gwałtowny skurcz, jakbym na niego zasługiwała. Oparłam się o framugę i patrzyłam, jak Johnny rozmawia z ludźmi. Poczułam zazdrość. Tym razem nie seksualną. Nawet jeśli z kimś flirtował, robił to na tyle subtelnie, że niczego nie dostrzegłam. Po prostu zachowywał się, jakby bardzo lubił tych ludzi, i zapragnęłam być jedną z nich.

Odwrocił wzrok. Zobaczył mnie. Nie przestał się śmiać. Nie pomachał do mnie, ale też nie sprawiał wrażenia, że chce się mnie pozbyć. Minę miał taką, jakby od dawna się mnie spodziewał.

Przyglądałam się pracom wiszącym na ścianach, czekając, aż wszyscy wielbiciele złożą mu hołd i wyjdą. W końcu zostaliśmy tylko my dwoje. Poczułam, że stanął za moimi plecami. Odwróciłam się do niego. Przez długą chwilę panowała cisza; udawałam, że podziwiam obrazy. Starłam się wydusić z siebie choć słowo.

- Podoba ci się? - zapytał Johnny.

Zerknęłam na niego kątem oka. Nie byłam na tyle odważna, by spojrzeć mu prosto w twarz.

- Ładny.

- Ładny? Cholera, sztuka nie ma być ładna. Sztuka ma poruszać odbiorcę.

- Przepraszam, nie znam się na sztuce. - Wreszcie na niego spojrzałam. Johnny się roześmiał, ale nie był niegrzeczny.

- A na czym tu się znać? Myślisz, że trzeba mieć dyplom albo nosić beret, żeby rozumieć sztukę?

Nic z tego. Musisz ją po prostu czuć.

- Obawiam się, że ten obraz nie budzi we mnie uczuć - odparłam po chwili.

- We mnie też nie - przyznał Johnny. - Powiesiłem go, bo ten dzieciak potrzebuje kasy, żeby zapłacić za szkołę, a ludzie lubią takie rzeczy.

Zaśmiałam się.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Staliśmy dłuższą chwilę, przyglądając się pracy.

- Chciałam ci podziękować za ubranie - wydukałam.

Johnny nie odpowiedział. W tej sali muzyka grała ciszej. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegał

gwar rozmów i stukanie obcasów na drewnianej posadzce, Tu wciąż byliśmy sami.

- Mówiłem ci. Zrobiło się zimno. Potrzebowałaś lepszego płaszcza.

- Johnny...

Spostrzegłam błysk w jego oku, ale nie zamierzałam się do niego zwracać per panie Dellasandro.

- Nic się nie stało. Nie martw się.

- Gdzie je znalazłeś? - Zrobiłam dwa kroki do przodu i zauważyłam, że on cofnął się tylko o jeden. Nie chciałam, żeby ktokolwiek nas usłyszał. Pragnęłam być bliżej Johnny'ego.

- Zostawiłaś je u mnie w domu - odparł.

Ścisnęło mnie w żołądku i z trudem przełknęłam ślinę.

- O cholera. Jak to się stało? Co ja zrobiłam? To znaczy... Boże, co za obciach. To jest...

Zanim się zorientowałam, Johnny złapał mnie za łokieć i wyprowadził przez wąskie drzwi prosto do niewielkiego gabinetu, gdzie kazał mi usiąść na krześle. Następnie przygiął moją głowę do kolan i podsunął papierowy kubek z wodą.

- Oddychaj - powiedział. - I jeśli masz zamiar rzygać, zrób to do śmietnika.

Nie chciałam rzygać, ale świat wokół mnie zawirował w niepokojący sposób. Nie zrobiło mi się ciemno przed oczami. Poczułam raczej kołysanie w głowie. Zupełnie jakbym za długo kręciła się na karuzeli. Napiałam się wody i wzięłam głęboki oddech.

- Jesteś blada jak ściana. Napij się jeszcze.

- Przepraszam, ale muszę to wiedzieć - powiedziałam, przełykając wodę.

- Nic nie pamiętasz?

Zauważyłam, że w chwilach zdenerwowania miał mocniejszy akcent. Gubił wtedy r na końcu wyrazów.

- Nie. - Potrząsnęłam głową.

Johnny potarł ręką twarz, a potem złapał się za grzbiet nosa. Usiadł na brzegu niewielkiego biurka. Wystarczająco blisko, żebym mogła dotknąć jego kolan. Nie zrobiłam tego jednak.

- Czy stało się coś... złego? - Tak się zdenerwowałam, że nawet nie zauważyłam własnych łez. -

Proszę, Johnny. Proszę, powiedz mi, że to nie było nic złego.

- Ejże - odparł. - Nie płacz.

Jego dotyk był ciepły i tak dobrze mi znany. Podobnie jak każdy gest, choć przecież pamiętałam je jedynie ze swoich fantazji. Nie obchodziło mnie, że wykorzystuję jego współczucie. Przyłgnęłam do niego, przyciskając policzek do jego koszuli. Słyszałam bicie jego serca. Uspokoiliam się.

Johnny głaskał mnie po plecach i włosach.

- Ciii, nie stało się nic złego.

Przeszedł mnie dreszcz ulgi. Zamknęłam oczy.

- Przepraszam za to, cokolwiek to było.

Johnny nic nie odpowiedział, ale wciąż trzymał mnie w objęciach. Czułam jego przyspieszone tętno.

Dłonią zataczał kółka na moich plecach i moje serce też zabiło szybciej.

Wzięłam głęboki oddech. Moje napady amnezji nie były żadną tajemnicą, po prostu nie opowiadałam o nich na prawo i lewo. Nie wspominałam o nich nawet Jen, a przecież stała się moją najlepszą przyjaciółką. Jemu jednak musiałam wszystko wyjaśnić. Nawet jeśli wiedziałam, że potem będzie na mnie patrzył z litością, którą tak ciężko było mi znieść.

- Kiedy miałam sześć lat, upadłam na placu zabaw i uderzyłam się w głowę. Tak mocno, że straciłam przytomność. Byłam w śpiączce przez tydzień. - Jego ręka zastygła, ale nie odsunął się ode mnie. Poczułam, jak napiął mięśnie, jak serce zaczęło mu gwałtowniej bić, ale nie odezwał się ani słowem. - Doznałam uszkodzenia mózgu, które na szczęście nie spowodowało utraty funkcji motorycznych ani żadnych innych. Została mi tylko skłonność do... zaćmień. Miewam coś na kształt zaników świadomości.

- O cholera. Jak to się stało? Co ja zrobiłam? To znaczy... Boże, co za obciach. To jest. .

Zanim się zorientowałam, Johnny złapał mnie za łokieć i wyprowadził przez wąskie drzwi prosto do niewielkiego gabinetu, gdzie kazał mi usiąść na krześle. Następnie przygiął moją głowę do kolan i podsunął papierowy kubek z wodą.

- Oddychaj - powiedział. - I jeśli masz zamiar rzygać, zrób to do śmietnika.

Nie chciałam rzygać, ale świat wokół mnie zawirował w niepokojący sposób. Nie zrobiło mi się ciemno przed oczami. Poczułam raczej kołysanie w głowie. Zupełnie jakbym za długo kręciła się na karuzeli. Napiłam się wody i wzięłam głęboki oddech.

- Jesteś blada jak ściana. Napij się jeszcze.

- Przepraszam, ale muszę to wiedzieć - powiedziałam, przetykając wodę.

- Nic nie pamiętasz?

Zauważyłam, że w chwilach zdenerwowania miał mocniejszy akcent. Gubił wtedy r na końcu wyrazów.

- Nie. - Potrząsnęłam głową.

Johnny potarł ręką twarz, a potem złapał się za grzbiet nosa. Usiadł na brzegu niewielkiego biurka. Wystarczająco blisko, żebym mogła dotknąć jego kolan. Nie robiłam tego jednak.

- Czy stało się coś.. złego? - Tak się zdenerwowałam, że nawet nie zauważyłam własnych łez.

- Proszę, Johnny. Proszę, powiedz mi, że to nie było nic złego.

- Ejże - odparł. - Nie płacz.

Jego dotyk był ciepły i tak dobrze mi znany. Podobnie jak każdy gest, choć przecież pamiętałam je jedynie ze swoich fantazji. Nie obchodziło mnie, że wykorzystuję jego współczucie.

Przyłgnęłam do niego, przyciskając policzek do jego koszuli. Słyszałam bicie jego serca.

Uspokoiliam się.

Johnny głaskał mnie po plecach i włosach.

- Ciii, nie stało się nic złego.

Przeszedł mnie dreszcz ulgi. Zamknęłam oczy.

- Przepraszam za to, cokolwiek to było.

Johnny nic nie odpowiedział, ale wciąż trzymał mnie w objęciach. Czułam jego przyspieszone tętno. Dłonią zataczał kółka na moich plecach i moje serce też zabiło szybciej.

Wzięłam głęboki oddech. Moje napady amnezji nie były żadną tajemnicą, po prostu nie opowiadałam o nich na prawo i lewo. Nie wspominałam o nich nawet Jen, a przecież stała się moją najlepszą przyjaciółką. Jemu jednak musiałam wszystko wyjaśnić. Nawet jeśli wiedziałam, że potem będzie na mnie patrzył z litością, którą tak ciężko było mi znieść.

- Kiedy miałam sześć lat, upadłam na placu zabaw i uderzyłam się w głowę. Tak mocno, że straciłam przytomność. Byłam w śpiączce przez tydzień. - Jego ręka zastygła, ale nie odsunął się ode mnie. Poczułam, jak napiął mięśnie, jak serce zaczęło mu gwałtowniej bić, ale nie odezwał się ani słowem. - Doznałam uszkodzenia mózgu, które na szczęście nie spowodowało utraty funkcji motorycznych ani żadnych innych. Została mi tylko skłonność do... zaćmień. Miewam coś na kształt zaników świadomości.

Zazwyczaj trwają kilka sekund, ale zdarzają się też kilkuminutowe.

- Przejściowe ataki amnezji - powiedział Johnny. Odsunęłam się zaskoczona i spojrzałam na niego. -Co?

- Przejściowe ataki amnezji - powtórzył.

- Tak. Skąd wiesz?

- Wiem wiele rzeczy - odparł.

Przytuliłam się do niego, bo wciąż mnie obejmował. Za nic nie chciałam przerwać tego uścisku.

Brzuchem dotykałam sprzączki jego paska. Dosłownie miękły mi kolana.

-Nazywam to napadami amnezji, choć medycyna zdiagnozowała je jako swoiste ataki epilepsji.

Już od dawna ich nie miałam. Powróciły lalka tygodni temu. Tamtego wieczoru w twoim domu.

- Zupełnie odjechałaś - powiedział Johnny. -Twoja twarz stała się pusta.

- O Boże -jęknęłam. - Co za wstyd. I co jeszcze robiłam? Jak to się skończyło?

- Nie przejmuj się - przerwał mi Johnny z błyskiem w orzechowych oczach. - Mówiłem ci już, że nic złego się nie stało. Zresztą nic na to poradzisz.

Jeszcze mi tego brakowało, żeby teraz patrzył na mnie jak na jakieś medyczne kuriozum.

Nienormalną. Niepełnosprawną.

- Nie, ale...

-Dlatego nie przejmuj się. Nie ma sprawy.

Nie pozwolił mi odejść. Wbił we mnie wzrok. Wydawało mi się, że znam to intensywne spojrzenie, ale oglądanie go na ekranie było nieporównywalne z doświadczeniem go na własnej skórze.

Oboje oddychaliśmy szybciej. Pierś przy piersi, ja w jego ramionach. Stałam na palcach, żeby dosięgnąć ustami jego warg.

Pocałowałam go.

Zaledwie musnęłam. Nie starczyło mi odwagi, by zrobić coś więcej. Dlatego gdy rozchylił wargi i przyciągnął mnie do siebie mocniej, z mojej piersi wydobył się stłumiony okrzyk. Nasze języki się spotkały i po chwili zaczęły się gładzić. Ziemia zakolysała się pode mną, więc przytrzymałam się go, żeby nie upaść.

Przynajmniej tak mi się wydawało. W następnej sekundzie znalazłam się kilka kroków od niego. Usta wciąż miałam wilgotne od pocałunku, a serce waliło mi tak, że aż grzmiało mi w uszach, jakbym słyszała burzę z piorunami. Johnny nie miał wiele miejsca na ucieczkę, więc odchylił się w stronę biurka, żeby utrzymać bezpieczną odległość.

Zaskomlałam, gdy wypuścił mnie z objęć.

Był to najbardziej idiotyczny i zawstydzający dźwięk, jaki mogłam z siebie wydobyć. Jedno upokorzenie więcej. Zasłoniłam ręką usta. Oczy miałam otwarte i dobrze widziałam tę cholerną scenę.

Johnny wzdrygnął się i odsunął ode mnie.

- Wyjdź. Wynoś się stąd.

- Ale...

- Emm - powiedziałam i od razu zamilkłam ze zdziwienia. - Wyjdź stąd. Proszę.

Wyszłam. Potykając się, zrobiłam dwa kroki w tył i przekroczyłam próg. Stałam bez słowa za drzwiami, które zatrzasnęły mi przed nosem. Nogi się pode mną ugiwały. Na ustach wciąż czułam jego smak.

Serce waliło mi jak młotem. Myślałam, że zaraz zemdleję. Odwróciłam się na pięcie i na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Wiedział, jak mam na imię.

Rozdział 13

Euforia trwała jakieś trzydzieści siedem sekund. Mniej więcej tyle czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że to ja go pocałowałam, a on mnie odepchnął. Na szczęście nikt nie był

świadkiem mojego wyjścia z galerii, bo czułam się tak, jakby ktoś odbił na moim czole pieczętkę z napisem „odmowa”. Opuściłam Blaszanego Anioła, nawet nie patrząc na inne dzieła.

W poniedziałek Johnny nie przyszedł do Mokki.

Ani we wtorek.

Ani w środę.

Gdy nie pojawił się nawet w czwartek, zaczęłam podejrzewać, że wystraszyłam go na dobre.

Wolałam nie mówić Jen o całym zajściu. Chyba obawiałam się, że odbierze ten pocałunek jako zamach na coś, o co ona starała się jako pierwsza. A może nie chciałam się otwarcie przyznać, że dostałam kosza. Jen od razu się domyśliła, że coś ukrywam. Dobrzy przyjaciele już tak mają.

- No dobra - powiedziała, wpatrując się w zamówione przez nas kanapki, które nawet w połowie nie wyglądały tak smakowicie jak poranna oferta słodkich wypieków. - Wyduś to wreszcie. O co chodzi?

- Dlaczego uważasz, że w ogóle o coś... chodzi? - Obejrzałam ze wszystkich stron rozmiękłego croissantu i wyciągnęłam z niego zwiędły listek sałaty lodowej. - Spójrz tylko na to, ale syf. Do takiego sandwicza nadaje się tylko młoda cykorja.

- No jasne. - Jen starannie odrywała skórkę z tostu zwanego w Mokce PB & J dla dorosłych.

Intrygowało mnie, co się kryje pod tą tajemniczą nazwą.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyjąkałam wreszcie - ale boję się, że to nas poróżni.

- Stara... - ciężko westchnęła Jen. - O co, do licha, ci chodzi?

- Wiesz...

Patrzyła na mnie wyczekująco. Próbowałam, naprawdę próbowałam ze wszystkich sił, ale to było zbyt trudne. Niektórych rzeczy nie da się powiedzieć nawet prawdziwym przyjaciółom.

Dotknęła mej dłoni.

-Czy to naprawdę taka straszna wiadomość? Powiedz mi, Emm. Tak szczerze. Jesteś chora czy co?

Mocno ścisnęłam ją za rękę. Tak bardzo pragnęłam wyznać jej całą prawdę - o moim pochrzanionym mózgu, napadach amnezji, a nawet o tym, że nie wiem, jaki cudem znalazłam się zupełnie naga we własnym mieszkaniu. Ale nie umiałam. Wiedziałam, że Jen wszystko zrozumie, a już na pewno moje zaniki świadomości, ale nie chciałam, żeby współczucie wpłynęło na jej reakcję.

- Nie. To nie to.

- W takim razie co?

- Po prostu zrobiłam coś, co ci się nie spodoba.

- Wrzuciłaś moje gołe fotki na Connexa albo coś w tym rodzaju?

Roześmiałam się.

- Nie. Nigdy w życiu.

- Wobec tego nic mnie nie ruszy, cokolwiek to jest. - Jen wyswobodziła dłoń z mojego uścisku, sięgnęła po kanapkę i ugryzła spory kęs. - Psiakrew. Zwykle masło orzechowe z dżemem, a kosztuje tyle co pięćdziesiąt zwykłych PB & J dla dzieci. To chyba przez tę cenę nazwali je „dla dorosłych”. Trzeba było wziąć bagietkę z indykiem.

- Pocałowałam go - wypaliłam wreszcie.

Widziałam, jak zadrzała jej krtąń. Wreszcie przełknęła, a potem przepłukała gardło solidnym łykiem mleka i wydusiła.

- Kogo?

Zdaje się, że moja mina mówiła wszystko, bo wytrzeszczyła oczy.

- Owszem - przyznałam, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. - Okazałam się skończoną idiotką.

- Kiedy? Gdzie? Jak do tego doszło? O mój Boże. No i jak było, mów! - kwik, jaki z siebie wydała, przyciągnął spojrzenia kawiarnianych gości.

Dałam jej ręką znak, żeby umilkła. Ściszone głosem opowiedziałam jej całą historię, pomijając fragment z halucynacjami. Słuchała jak zaczarowana, nie przerywała mi, tylko od czasu do czasu kiwała \$ową. Gdy dotarłam do końca opowieści, od razu wbiłam zęby w kanapkę, żeby nie powiedzieć choćby słowa za dużo.

- Och, stara - westchnęła Jen. - To jakiś totalnie popaprany skecz.

- Wiem - przyznałam żałośnie. - I na dodatek ta kanapka nadaje się tylko do tego, żeby wsadzić ją sobie w tyłek.

Roześmiała się.

- Masz rację. To chyba ostatnie miejsce na świecie, gdzie ludzie umawiają się, żeby zjeść coś konkretnego.

- Na to wygląda. Chyba chciałam tu przyjść, bo. . Sama wiesz dlaczego.

- Wiem. - Zlizala z kciuka rozmazany dżem. - To nie twoja wina. To znaczy, wiem, że cię wzięło na poważnie, ale nie sądziłam, że aż tak.

- Przecież nic nas nie łączy - zaproponowałam.

- Doprawdy?

- On mnie odtrącił. Jeśli kobieta wrywa się do pocałunku, a facet ją odtrąca, to znaczy, że na nią nie leci.

- Niekoniecznie - upierała się Jen. - Może miał jakiś powód, o którym nie masz pojęcia.

Powiedzmy, że ma dziewczynę.

- To byłoby jeszcze gorsze, niż gdyby po prostu na mnie nie leciał - zachnęłam się.

- Tak sądzisz? - Jen nie wydawała się przekonana.

- Właśnie tak. Jeśli na mnie nie leci, a na pewno nie leci, mogę sobie po prostu odpuścić. Jeśli jednak za mną szaleje, ale nie może ze mną być, bo akurat jest w związku z kimś innym...

- Rozumiem cię - odparła. - To byłaby mega-skucha.

Uśmiechnęłam się, bo poczułam ulgę, kiedy wyznałam jej całą historię.

- Szkoda tylko, że zupełnie nieprawdopodobna, Odepchnął mnie, jakby sączył mi się z ust śmiertelnie trujący jad. Cholernie żenująca sytuacja.

-Fakt. Totalna żenada - przytaknęła Jen.

Patrzyłyśmy na siebie przez dłuższą chwilę i w końcu parsknęłyśmy śmiechem. Odprężyłam się.

Śmiech był dużo lepszym lekarstwem niż jakiegokolwiek słowa współczucia czy pocieszenia.

- Nie jesteś na mnie wkurzona? - zapytałam.

- Niby dlaczego, do licha? - Jen wydawała się odrobinę zakłopotana.

-Wiesz przecież. Bo to. . Johnny.

Znów się zaśmiała.

- Przecież nie rzucił mnie dla ciebie ani nic z tych rzeczy. Nie zamierzam wynajmować wojowników ninja, żeby pocięli twoją ulubioną parę dżinsów.

- Ale najpierw był twój.

-Czy my chodzimy do podstawówki? Stara. . -słowa Jen zabrzmiały poważnie - pewnie mnie ostro zrugasz, a już na pewno mi nie uwierzysz, ale uważam, że on cię lubi.

-Zapomnij.

Pokiwała głową.

- Tak właśnie sędzę. Serio. Byłam tu któregoś dnia w zeszłym tygodniu. Ciebie akurat nie było. Wszedł. Rozejrzał się. Popatrzył w moją stronę, ale miałam wrażenie, że widzi tylko puste miejsce naprzeciwko mnie. Wiesz, o co chodzi?

-Oszałałaś! Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - Przed chwilą udało mi się pozbyć poczucia winy za to, że napastowałam obiekt jej westchnień, a teraz znów czułam się winna za ten oskarżycielski ton w głosie.

- Przypomniałam sobie o tym dopiero po twojej opowieści. Teraz to nabrało sensu.

- Powiedziałaś ci, że mnie odepchnął, gdy go pocałowałam, a ty przypominałaś sobie, że wypatrywał mnie w Mokce? - Zwiesiłam głowę. - Przykro mi, ale to bez sensu.

- Poczekaj. Co dokładnie wydarzyło się przed pocałunkiem?

Przywołałam w pamięci obraz, gdy mnie przytulał i głaskał po głowie.

-Nic. Po prostu był miły.

- Uważasz, że faceci są mili tak po prostu?

- Może niektórzy. Och, Boże! - Poczułam, jak przewraca mi się w żołądku. Ukryłam twarz w dłoniach.

-Ciii... przestań. Nic się nie stało, naprawdę, stara. - Szturchała mnie w ramię tak długo, aż wreszcie na nią spojrzałam.

Nie umiałam się jej jednak przyznać, że przecież wyruchałam Johnny'ego na wszelkie możliwe sposoby. Oczywiście w swojej głowie. I że było słodko i ostro. Bosko. I że teraz się zamartwiam, bo może moje fantazje wyszły na jaw przez te głupie dziwactwa, jakie wyczyniało moje ciało podczas napadów amnezji.

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Jen błyskawicznie spojrzała przez moje ramię. Nawet nie musiałam odwracać głowy, żeby sprawdzić, kto wszedł. Wystarczył mi widok jej wybałuszonych oczu, a potem spojrzenie, jakim mnie obdarzyła, i sztywny uśmiech, który wykrzywił jej usta. W jednej chwili mnie zmroziło i przymknęłam oczy. Słyszałam odgłos butów na posadzce. Czektałam, aż jego płaszcz muśnie moje ramię, gdy będzie nas mijał. Otworzyłam oczy.

Johnny stał przy naszym stoliku i patrzył na nas z góry.

- Dziewczęta - przywitał się, skinąwszy głową, a potem ruszył w stronę baru.

Po raz pierwszy w życiu dotarło do mnie, że uprzejmości mogą być dużo trudniejsze do zniesienia niż ostentacyjne ignorowanie.

- Nie wierzę! - szepnęła Jen. - Prawie z nikim tu nie rozmawia.

- Dziewczęta - powtórzyłam za nim podenerwowana. Wlepiłam w niego wzrok, choć nawet nie zerknął w naszą stronę, gdy stał w kolejce do baru. - Dziewczęta? Jakbyśmy miały po dwanaście lat!

Jen zachichotała.

- W końcu jesteśmy od niego dużo młodsze.

Zakryłam dłonią twarz, by stłumić jęk.

- Dziewczęta! Chyba zaraz włożę podkolanówki i zaplotę warkoczyki.

- Może ma jazdę na szkolne wdzianka - zażartowała Jen.

- Ohyda. - Spojrzałam na nią przez palce, a potem zerknęłam na Johnny'ego, który zmierzał

do jednego z boksów w głębi sali. Oczywiście usiadł plecami do nas. Przynajmniej nie musiałam uważać, by nasze spojrzenia się nie skrzyżowały.

- Nigdy wcześniej nie powiedział mi nawet „cześć”. - Jen uniosła brwi ze zdziwienia. - A teraz „dziewczęta”. Wyraźnie użył liczby mnogiej, choć patrzył tylko na ciebie.

Nie chciałam sobie robić cienia nadziei.

- Daj spokój. Przed jego domem zupełnie odleciałam, potem napastowałam go w jego własnej galerii. Pewnie sobie wykombinował, że lepiej mi rzucić jakiś ochłap na pożarcie, zanim go skonsumuję w całości.

Jen roześmiała się na całe gardło.

- To dobre.

- Mówię poważnie!

Znów zadźwięczał dzwonek u drzwi i chwilę później Johnny nie siedział już w swoim boksie sam.

Dołączyła do niego kobieta; ta sama, z którą spotykał się tu wcześniej. Atrakcyjna, elegancka i..

wyjątkowo wściekła. Nie zamówiła nic przy barze, tylko usiadła naprzeciw niego i zaczęła powoli ściągać skórzane rękawiczki, wlepiając w niego kwaśne spojrzenie, które nic nie ujęło z jej niebywałej urody.

Gdy przechodziła obok naszego stolika, Jen obrzuciła ją wzrokiem, a potem dyskretnie się obejrzała, żeby sprawdzić, gdzie usiadzie.

- Wygląda na to, że ma słabość do młodszych lasek - zauważyła. - Choć trzeba przyznać, że w porównaniu z nią jesteśmy dziewczętami.

- Wcale nie jest od nas dużo starsza.

- Jakieś siedem albo osiem lat. Może nawet dziesięć, jeśli odrobinę poprawiła się chirurgicznie, a na pewno to zrobiła. Mówię ci, stara, te ciuchy zdradzają, że ją stać.

Krytykowanie wyglądu kobiety, która spotykała się bądź też nie spotykała z mężczyzną, za którym szalałam do tego stopnia, że niemal mi odbiło, bynajmniej nie przyniosło mi ulgi.

- Zresztą to nie ma znaczenia. Jeśli są razem, niech będą razem. To i tak nic nie zmieni, ani na lepsze, ani na gorsze.

- Na gorsze też nie? - zapytała znacząco. - Przed chwilą twierdziłaś, że byłoby fatalnie, gdyby się okazało, że kogoś ma.

- Owszem, ale tylko wtedy, gdyby tak naprawdę chciał być ze mną, ale nie mógł ze względu na inną kobietę.

- Wiesz, co ci powiem? - westchnęła Jen, odsuwając talerz. - Za dużo kombinujesz. Po prostu kup butelkę wina, jakieś czekoladowe pychotki i złóż mu wizytę. Ładnie się ubierz, ale bez przesady. Rozumiesz, o co chodzi. Przepróż go za to, do czego doszło albo nie doszło, i zobaczymy, co się wydarzy.

Prychnęłam ostentacyjnie.

- To ma być rada? Może jednak lepiej sobie odpuszczę.

- Dlaczego?

- Już raz przyszedłam z przeprosinami. Sama widzisz, dokąd mnie to zaprowadziło.

- Ale z ciebie pesymistka!

Tym razem to ja spojrzałam na nią znacząco. Jen wzruszyła ramionami, potem znów zerknęła przez ramię i pochyliła się nade mną.

- Ja ci tylko dobrze radzę - wyszeptwała.

- Zrobiłam z siebie totalną idiotkę. Już mi wystarczy. Teraz zamierzam go ukać. Zawsze i wszędzie.

- W takim razie powodzenia. - Jeszcze raz spojrzała przez ramię, a potem na mnie, ze zdziwienia wysoko unosząc brwi.

Johnny wstał od stolika, jego towarzysząca również. Jak przystało na dżentelmena zaczął i ruszył za nią w kierunku wyjścia. Gdy nas mijali, ona nie zaszczyliła nas nawet krótkim spojrzeniem, on jednak na chwilę się zatrzymał. Tym razem się nie odezwał, tylko patrzył mi w oczy. Miałam wrażenie, że ta chwila trwała tyle co powstanie wszechświata w Wielkim Wybuchu. Innymi słowy, ułamek sekundy. Potem poszedł w kierunku drzwi, zostawiając mnie bez tchu, ale za to z bólem brzucha i nieskrywaną tęsknotą w spojrzeniu.

- Och, stara - powiedziała Jen ze współczuciem. - Ale się wpakowałaś.

Ledwie przekroczyłam próg domu, zapach pomarańczy uderzył we mnie z siłą tsunami. Nigdy wcześniej nie czułam tak silnej ani tak natrętnej woni. Może nie był to najpaskudniejszy zapach na świecie, ale tak uparcie wciskał się w moje nozdrza, że zatoczyłam się bezwładnie.

Łzawiły mi oczy. Wyciągnęłam rękę, na ślepo szukając jakiegoś oparcia. Moje palce ześlizgiwały się po drewnianej poręczy. Potknęłam się i przycisnęłam rękę do nosa i ust, bo nie byłam już w stanie znieść tego smrodu. Czułam go jednak na całej skórze.

Odsunęłam rękę od twarzy i z obrzydzeniem zaczęłam ją wycierać o ubranie, ale to tylko wzmogło wszechobecny odór cytrusów. Ohyda. Nie umiałam się go pozbyć. Nie tylko unosił się wokół mnie; był we mnie i na mnie. Pokrywał moje ciało.

Był mną.

Świat zakolysał się, a ja wraz z nim. Upadłam na kolana i wsparłam się rękami o podłogę.

Poczułam się, jakbym spadła z karuzeli albo huśtawki i boleśnie wylądowała na ziemi... jakbym...

Jakbym się zapadała.

Rozdział 14

- Cześć.

Rozległ się cichy głos. Zamrugałam oczami. Usłyszałam znajomy tembr, poczułam znajomy dotyk. Ktoś ścisnął mnie za ramię. Wiedziałam, że to Johnny, jeszcze zanim otworzyłam oczy.

- Cześć - odpowiedziałam, mrużąc oczy w blasku letniego słońca.

Panował nieznośny upał. Wokół mnie dryfowało tysiące zapachów, ale żaden nie przypominał

pomarańczy. Wzięłam parę głębokich wdechów, usiłując ukryć drżenie ciała, chociaż nie wiem, po co się tak starałam. Niby co Johnny mógłby zrobić, gdybym zaczęła się miotać po ziemi i bełkotać w niezrozumiałym języku, gdybym zaczęła się zachowywać jak wariatka?

Trzymał w ręce papierową torbę z zakupami, a drugą zasłaniał oczy przed słońcem.

- W samą porę. Jest impreza.

Jego głos zabrzmiał trochę oficjalnie, nieufnie, jakby wolał zachować dystans. Patrzył na mnie z ukosa.

- Świetnie! - ucieszyłam się, może nawet trochę za bardzo.

- Wejdiesz? - Wsparł torbę na biodrze, zasłaniając twarz. Zmierzył mnie wzrokiem. - Może zdejmij ten płaszcz?

Nic dziwnego, że byłam złana potem. Miałam na sobie zimowy płaszcz, jednak nie ten, który najbardziej lubiłam i który najlepiej na mnie leżał. Choć Johnny mi go oddał, nie mogłam się zmusić, by go włożyć. Klasyczny przepis na to, jak robić z igły widły. Miałam też na sobie szalik i rękawiczki do kompletu.

- Racja - zaśmiałam się nerwowo. - Założę się, że zachodzisz w głowę, po co to na siebie włożyłam.

- Nie, wcale nie.

Staliśmy w milczeniu, a ja czułam, jak po plecach spływają mi krople potu. Johnny odsunął rękę od twarzy. Skąpany w promieniach gorącego słońca zalśnił niczym diament. Zbyt jasny i zbyt piękny, by na niego bezkarnie patrzeć.

- Chodź do środka. Dam ci coś do picia, zanim padniesz z tego upału. Rany - westchnął. - No już, chodź, Emm.

Ruszyłam za nim korytarzem w kierunku kuchni. Tym razem panowały tu cisza i spokój. Było dość chłodno, mimo że nie działała klimatyzacja. Orzeźwiająca bryza wpadała przez otwarte okna.

Nagle przypomniałam sobie, że w latach siedemdziesiątych, zapewne z powodu kryzysu energetycznego, klimatyzacja była nie lada luksusem i nawet ci, którzy mogli sobie na nią pozwolić, nie zawsze ją włączali. Niebawem, że mój umysł zadbał o takie detale.

Johnny wypakował zakupy z torby, a ja zdjęłam płaszcz i od razu poczułam ulgę. Rozpięłam perłowe guziczki swojej bluzki w drobną kratkę i podwinęłam rękawy. Otarłam twarz, zebrałam nad karkiem ciężkie od potu włosy. Żałowałam, że nie mam gumki ani klamry.

- Masz. - Johnny podał mi klamrę ze skóry ozdobioną dwoma ćwiekami.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- Co to ma być?

- Przecież to twoje - odparł. - Przyda ci się.

Nigdy w życiu nie widziałam tak dziwacznej klamry. Przyjrzałam jej się z bliska. Wykonano ją z miękkiej skóry, na której widniał wzorek przedstawiający kwiaty i winorośl. Znowu spojrzałam na John-ny'ego.

- To moje?

- Tak. - Johnny wzruszył ramionami. - Zostawiłaś ją ostatnim razem.

- Jesteś pewien? Bo wiesz...

Nie chciałam zakładać tej klamry, zwłaszcza jeśli należała do innej osoby. Jednak marzyłam, żeby wreszcie spiąć włosy i odsłonić szyję.

- Jestem absolutnie pewien. - Johnny ponownie wzruszył ramionami. - Jak nie chcesz, to nie zakładaj.

Przypomniałam sobie, że do kieszeni włożyłam gumkę.

- To mi wystarczy. - Błyskawicznie związałam nią włosy.

- Jak chcesz. - Potrząsnął głową, ale wreszcie się uśmiechnął.

Oparł się o blat i patrzył, jak upinam włosy. Dziś znowu związał włosy bandanką. Pewnie z tego samego powodu co ja. Lubiłam, gdy włosy opadały mu na oczy, choć on zapewne nie bardzo.

- O której zaczyna się impreza? - zapytałam po długiej chwili milczenia.

- Przecież tu non stop trwa impreza - roześmiał się.

Nie podał mi nic do picia, a tak bardzo chciało mi się pić. Zupełnie zaschło mi w gardle. Kropelki potu na skórze zaczynały wysychać. Serce, które jeszcze przed chwilą biło spokojnym rytmem, zaczęło mocno kołatać.

- Chodź do mnie - powiedział Johnny.

Wstałam i powoli, jakbym przedzierała się przez gęste od upału powietrze, ruszyłam w jego stronę. Po chwili spijałam z jego ust pocałunki, jakbym piła wodę, która wcale nie gasiła pragnienia. Johnny zacisnął palce na moich ramionach, tuż nad łokciami. Ten zwykły gest sprawił, że ośladnęła mną żądza.

Od razu stanęły mi sutki, twarde aż do bólu. Między udami poczułam natarczywe pulsowanie.

Johnny przerwał pocałunki, ale nie wypuszczał mnie z objęć.

- Jak to się dzieje, że ciągle odchodzisz, a ja nie wiem, czy w ogóle wrócisz?

Choć znałam odpowiedź, potrząsnęłam głową i odparłam: - Nie wiem.

Zwilżył językiem usta, wciąż wpatrując się w moje wargi. Po chwili znowu je całował. Tym razem łagodnie, delikatnie smakował mnie językiem, a ręką objął za szyję. Wpasował swoje ciało w moje.

Przyłgnęliśmy do siebie. Wsunęłam dłoń pod jego koszulkę i powoli Radziłam boski tors. Pod wpływem mojego dotyku napiął mięśnie. Roześmiał się cicho.

- Chyba zaraz oszaleję - szepnął.

Na moment przestałam go pieścić. Chwyciłam dłońmi jego twarz i spojrzałam mu głęboko w oczy, jakbym czegoś w nich szukała, choć nie miałam pojęcia czego.

- Naprawdę?

- Naprawdę! Za każdym razem, kiedy znikasz, boję się, że już nigdy cię nie zobaczę. A ja pragnę być z tobą, Emm. Nie obchodzi mnie, czy...

- Czy co? - dopytywałam się. - Czy co, Johnny? Co chcesz powiedzieć?

- Nie obchodzi mnie, czy to się skończy. Chcę tylko jak najwięcej z tego mieć.

Zatrzepotałam nerwowo rękami. Pocałowałam go i jeszcze raz spojrzałam mu prosto w oczy.

- Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że...?

- Bo ty tak powiedziałaś - odparł Johnny. - Pewnie nie pamiętasz. Tak samo jak nie pamiętasz, że zostawiłaś tu klamrę do włosów. Ale tak właśnie powiedziałaś.

Zrobiłam krok do tyłu, ale Johnny jedną ręką mocno chwycił mnie za nadgarstek, a drugą za biodro. Byłam mu za to wdzięczna, bo inaczej osunęłabym się na brudną kuchenną posadzkę. Johnny mnie przytulił. Wspierał podbródek na mojej głowie i objął mnie mocno, jakby nigdy nie zamierzał

mnie wypuścić.

W ten sam sposób zatrzymał mnie wtedy w galerii. Tyle że teraz zrobił to bez zażenowania. Już wiedziałam, że wystarczy, bym uniosła twarz, a całowałby mnie długo, namiętnie i niespiesznie, i na pewno by mnie nie odepchnął. Zadrzałam.

To nie działo się naprawdę. Musiałam ciągle odchodzić. Nasz związek po prostu nie mógł

trwać.

Taka była prawda. Nie mogłam sobie jednak wyobrazić, że mu to mówię. Po co tłumaczyć zjawie ze snu, że nie jest prawdziwa? Zdawałam sobie sprawę, że to tylko dysfunkcja mojego mózgu. Po prostu impuls wędrujący od jednej komórki nerwowej do drugiej zboczył z toru jak wykolejony pociąg. Wiedziałam, że to nie dzieje się naprawdę, że najpewniej leżę teraz na podłodze w holu swojego mieszkania i jeśli będę miała szczęście, to właśnie tam odzyskam świadomość, a nie w obcym domu, w dodatku na golasa.

A potem zrozumiałam coś jeszcze. Nie chciałam tego stracić. Nie wracać do świata, w którym Johnny mnie odtrąca albo jeszcze gorzej, w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Pragnęłam tego, co działo się tu i teraz. Pragnęłam świata, w którym mnie kochał.

- Nigdzie się nie wybieram - powiedziałam, wpijając się ustami w jego usta.

- Odejdiesz. Zawsze odchodzisz - mruknął, nie przerywając pocałunku.

- W takim razie nacieszmy się sobą - wyszeptalam.

- Aha - wymamrotał niewyraźnie.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zerznął mnie na kuchennym stole, ale zanim zdążyliśmy się do tego zabrać, otworzyły się drzwi i do kuchni wparował Candy z zakupami, a za nim Bellina i Ed dźwigający butelki wina.

- Patrzcie, patrzcie - zawołała Bellina głosem ochryłym od papierosów. Obrzuciła mnie ciekawskim spojrzeniem. - Nie chcieliśmy przeszkadzać.

Nie powiedziała tego złośliwie. Uśmiechnęłam się, wciąż całując Johnny'ego. Potem z ociąganiem wypuściłam go z objęć.

- Cześć, Bellina.

- No dalej, do roboty. Candy kupił pełno pysznego jedzenia. Urządzimy wielkie przyjęcie -

zawołał Ed. Wyglądał, jakby już zdążył się naćpać.

- Wreszcie jakaś imprezka w moim domu. - Johnny nie był ani trochę wkurzony. - Klawo, że wpadliście.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Nawet mnie rozbawił ten żart. Dom rzeczywiście należał do Johnny'ego, ale tamci chyba też tu mieszkali. Jak w komunie.

Zabraliśmy się do rozpakowywania zakupów. Po kolei wyciągaliśmy produkty i każdy budził

moje zdziwienie. Puszki bez uchwytów do otwierania; marki, o których nigdy nie słyszałam.

Wszyscy się śmiali i wyglądali. I ja też. Gdy jednak patrzyłam na rzeczy wyciągane z toreb albo stojące w szafkach czy w lodówce, dosłownie odbierało mi mowę.

W życiu bym się tak nie panoszyła w cudzym domu, ale tutaj chyba nikt nie przywiązywał wagi do kwestii własności i prywatności. Otwierałam więc po kolei szafki i oglądałam pudełka, torebki i puszki. Wsunęłam szufladę, żeby obejrzeć srebrne sztuce. Przyglądałam się wciśniętym byle jak na półkę pojemnikom firmy Tupperware. Pozostali obserwowali mnie ukradkiem.

Zerknęłam na wiszący na ścianie kalendarz.

- Tyle tu tego - powiedziałam głośno, nie przejmując się, co sobie o mnie pomyślą.

Bo co też takiego mogli pomyśleć? Nic. Myśleli tylko to, co kazałam im myśleć. Robili tylko to, co kazałam im robić. Ci ludzie byli marionetkami w moim teatrze. Gapiłam się na nich, a pot spływał

mi po plecach. Cała się trzęsłam.

Johnny złapał mnie za rękę. Jego widok i dotyk przynosiły mi ukojenie. Jego uśmiech sprawiał, że o wszystkim zapomniałam.

- Chodźmy na górę - powiedział. - Chodź, kociaku.

- Emm, uważaj! Będzie ci chciał pokazać swoje rysunki - zarechotał Ed, przygotowując skręta.

- Emm, no jak? - Johnny pociągnął mnie za rękę, nie spuszczając ze mnie wzroku. - Idziemy na górę?

- Tak. - Tylko tyle zdołałam z siebie wydusić.

Nie obchodziło mnie, że wszyscy się na mnie gapią. Nie obchodziło mnie, co sobie o mnie pomyślą. Chciałam tylko iść z Johnnym na górę.

Chciałam rozebrać go do naga i całować od stóp do głów, nie pomijając najmniejszego skrawka jego ciała. Pragnęłam, żeby wszedł we mnie mocno, żebyśmy się kochali bez pamięci, aż oboje z rozkoszy padniemy bez sił i złani potem.

Kiedy mieszkaliśmy z rodzicami, miałam niewiele obowiązków. Matka mimo moich protestów robiła za mnie wszystko, nawet pranie. Wprawdzie dawałam im pieniądze na rachunki, ale nie traciłam czasu na ich płacenie. Nie gotowałam ani nie robiłam zakupów, chyba że wspólnie z mamą, a to nie wymagało ode mnie zbytniego wysiłku. W domu rodzinnym miałam dużo więcej wolnego czasu niż po przeprowadzce do własnego mieszkania. Nagle musiałam znaleźć czas na pranie, sprzątanie czy choćby wyjęcie nowej rolki papieru toaletowego. Nie zamieniłabym tego jednak na nic w świecie, choć musiałam porzucić dawne nawyki, którymi wypełniałam czas.

Jednym z nich była gra w The Sims. Spędzałam przed komputerem wiele godzin, zagubiona w wirtualnym świecie. Obserwowałam życie swoich bohaterów: jak pracują, śpią, jedzą, zakochują się w sobie, pobierają, rodzą dzieci, a nawet... jak umierają. W tamtym świecie byłam bogiem, najczęściej łaskawym, ale nie zawsze. Najlepsi wymiatacze grali ośmioma Simami na raz; mnie udawało się utrzymać zaledwie trzech szczęśliwych Simów, którym potrafiłam zapewnić wszystko, czego potrzebowali. Chyba nie byłam dobrym bogiem.

Nagle poczułam się źle. Dopadł mnie potworny ból głowy. Za dużo ludzi, za dużo przedmiotów.

Nie miałam ochoty bawić się w aktorkę i udawać, że świetnie się tu czuję.

- No chodź - powtórzył Johnny. Uśmiechnął się, w jego oczach widziałam blask. Ostentacyjnie zignorował pogwizdywania i sprośne komentarze przyjaciół. - Pokażę ci swoje rysunki.

Nie kłamał. Gdy weszliśmy do sypialni, wyciągnął z szuflady oprawiony w skórę szkicownik. Ze środka wyjął kilka prac wykonanych ołówkiem. Nie znałam jego rysunków na tyle, żeby się zorientować, czy to znane szkice.

- Masz talent - powiedziałam szczerze. Nawet ja umiałam to dostrzec.

- Przesadzasz. To tylko bazgroły.

Johnny wyciągnął się na łóżku obok mnie. Siedziałam po turecku i przerzucałam kartki szkicownika. Pomiędzy niektórymi stronami znajdowały się fotografie. Wyjęłam jedną, która przemawiała do mnie o wiele bardziej niż rysunki.

- Fajny zadek - zażartowałam, wymachując przed nim zdjęciem.

Johnny się roześmiał. Leżał tuż obok mnie z rękami założonymi za głowę.

- Ten zadek zarobił na czynsz za ten dom, i to na parę ładnych miesięcy.

Na czarno-białej fotografii Johnny pozował zupełnie nago. Wyglądał jak rzymski posąg.

Brakowało tylko liścia figowego. Piękny profil, prosta sylwetka i fantastyczny tyłek. Johnny w pełnej krasie, Johnny, który nic nie ukrywał.

- Powinieneś uważać na te zdjęcia. - Nagle zauważyłam podpis w rogu odbitki. - O szlag, są pod-pisane?

- Tak. Paul je zrobił.

Tak właśnie podejrzewałam. Pierwszą fotkę widziałam w internecie, a drugą w wersji z mocnym ziarnem, ale żadna z reprodukcji nie oddawała prawdziwego piękna oryginału. Potem znalazłam cały stos innych zdjęć, z których większości wcześniej nie widziałam. Wszystkie błyszczały i większość była podpisana.

Uważnie oglądałam jedno po drugim. Widziałam na nich więcej niż jego ciało. Owszem, może i stylizacje były trochę przesłodzone, ale wszystkie ujęcia miały to coś. To nie były laurki ani porno dla gejów, chociaż właśnie na takich stronach widziałam niektóre z nich. Staralam się je uporządkować. Te zdjęcia zdawały się opowiadać jakąś historię.

- Powinieneś je przechowywać w bezpiecznym miejscu - powiedziałam, patrząc na fotografię, której cena na aukcji internetowej dochodziła do czterech tysięcy dolarów. - Zwłaszcza te z autografem.

Johnny wsparł się na łokciu.

- Po co? Przecież nie są nic warte. Zrobiłem je, bo Paul mnie o to poprosił. Zapłacił mi lalka setek i cała historia. Nawet ich nigdzie nie wykorzystał.

Na odwrocie ostatniego zdjęcia dostrzegłam kilka linijek wiersza. Przypominałam sobie, dlaczego sprzedano je za taką sumę.

- Ed to napisał?

- Tak, on zawsze wypisuje jakieś farmazony.

Dzieło zawsze zyskuje na wartości po śmierci artysty. Ed D'Onofrio popełnił samobójstwo. Podciął

sobie żyły, a potem utopił się w basenie. Po jego śmierci Enklawa się rozpadła. Jej członkowie poszli własnymi drogami; jedni odnieśli sukces, a inni nic nie osiągnęli.

Spojrzałam na Johnny'ego i poczułam ucisk w gardle. Szukając w internecie informacji na jego temat, dowiedziałam się czegoś jeszcze. Po śmierci Eda i rozpadzie Enklawy Johnny przeżył

załamanie.

Niektórzy mówili, że po prostu zaszył się gdzieś na czas żałoby. Inni twierdzili, że poszedł o krok dalej. Uzależnił się od heroiny, trafił na odwyk i do psychiatrika. Podobno wyszedł czysty i zupełnie normalny. Potem poświęcił się sztuce. Tworzył takie dzieła, że krytycy sikali w majtki. Nie znalazłam żadnego potwierdzenia, że był na odwyku i w zakładzie. Tylko jedno było pewne: po tej przerwie stał

się prawdziwym artystą.

Johnny schował zdjęcia do albumu i odłożył go na bok. Wziął mnie w ramiona.

- Nie zwracaj sobie tym teraz głowy.

W rzeczywistym świecie flirt nie należał do moich mocnych stron. Nie miałam jednak oporów, by zagadnąć faceta, który mi się podobał. Mój problem polegał na tym, że byłam zbyt bezpośrednia, zbyt praktyczna i szczerą. W przeciwieństwie do swoich przyjaciółek unikałam subtelnych niedomówień i sekretów w rozmowach z potencjalnym kochankiem. Oczywiście ten feler nie powstrzymywał mnie przed umawianiem się na randki, ale nie raz moja skłonność do gry w otwarte karty wpędziła mnie w tarapaty. W romansach szczerść nie była skuteczną polityką.

W tym świecie, w którym Johnny nosił długie włosy, a jego twarz była wolna od zmarszczek, nagle odkryłam w sobie talent do uwodzenia. Uśmiechnęłam się kusząco, uniósłam nieznacznie brew i lekko rozchyliłam usta. Moje powłóczyście spojrzenie iskrzyło od seksu.

- Czym w takim razie mam się zająć? – Nawet mój głos stał się nagle namiętny.

- Mną.

- Och, doprawdy? Tobą?

Chwytał moją rękę, położył na swoim kroczu i powoli poruszał nią po twardniejącym kutasie.

- Tak, mną. I to właśnie w tym miejscu.

Roześmiałam się. Przysunęłam się bliżej i popchnęłam go na łóżko. Usiadłam na nim okrakiem, wygięłam mu ręce nad głowę i mocno przycisnęłam do łóżka. Pochyliłam się nad nim i szybko cofnęłam, gdy tylko uniósł głowę, by mnie pocałować. Jęknął ze złością.

- Nie - szepnęłam. - Nie tak szybko.

Johnny opadł na pościel. Jego oczy błyszczały.

Nie próbował się wyrwać, choć wiem, że mógłby to zrobić jednym ruchem.

- Co ze mną zrobisz?

- A co chciałbyś, żebym zrobiła?

- Co tylko zechcesz. - Johnny uśmiechnął się bezwstydnie. - Wszystko, na co masz ochotę.

Przechyliłam głowę, przyjrzałam mu się uważnie i zerknęłam na album, który odłożył na bok.

Puściłam jego ręce i usiadłam.

- Chcę, żebyś mi pozował.

Uśmiech zastygł na jego twarzy. Wyglądał na zaskoczonego. -Co?

- Tak jak na tych fotografiach, Johnny. Chcę, żebyś dla mnie pozował.

- Będziesz mnie fotografować? - zapytał rozbawiony.

- Nie. Nie mam aparatu.

- Będziesz mnie rysować? Wybuchnęłam śmiechem.

- O nie. Nie ma mowy.

- Będziesz na mnie po prostu patrzeć?

- Aha. - Serce zabiło mi szybciej. - Może coś więcej.

Johnny podniósł się z szerokim uśmiechem i stanął obok łóżka. Najpierw zdjął koszulę.

Pewnym ruchem przeciągnął ją przez głowę i rzucił na ziemię. Był w tym dobry. Przeturlałam się na brzuch, podparłam rękami brodę i zaczęłam mu się przyglądać.

- No, dalej - zawołałam.

Johnny powoli dotykał swojego torsu.

- Jesteś pewna?

- Taa... - chciałam odpowiedzieć, ale zamiast tego z mojego gardła wyrwał się pisk, gdy złapał palcami sutki.

- Lubisz to?

- Uwielbiam - pokiwałam głową.

Polizał palce i obrysował nimi brodawki, a potem przesunął ręce w dół brzucha.

- To też?

- Też - wyszeptalam.

Uśmiech na jego twarzy stawał się coraz szerszy, a spojrzenie coraz gorętsze. Jego dłonie zatrzymały się na pasku od spodni. Zaczął go powoli rozpinać. Wysunął pas ze szlufek i rozciągał raz po raz z trzaskiem.

- Lubisz to, co?

- Uwielbiam - powtórzyłam szybko.

- Lubisz skórzane gadżety?

- O tak, Johnny - zapewniłam rozgorączkowana, wsłuchując się w jego zniewalający akcent.

Odrzucił pasek i nie przestając się we mnie wpatrywać, rozpiął guzik dżinsów. Potem rozprek.

Zsunął spodnie z nagich bioder i ud. Nie miał na sobie bielizny. Jego członek, gruby i już na wpół

twardy, zakołysał się między nogami, gdy zsuwał z nich nogawki. Potem się wyprostował, piękny i nagi. Pragnęłam go i czułam to każdą komórką swojego ciała.

- Zrób pozę. - To było żądanie, ale zabrzmiało jak usprawiedliwienie.

I zrobił. Wypiął biodra do przodu, zgął ramiona i spojrzał na mnie spode łba. Napięte mięśnie zadrgały pod opaloną skórą. Stał do mnie tyłem. Ujrzałam boskie pośladki i słodkie zagłębienia tuż nad nimi.

Usiadłam na łóżku.

- Obróć się, powoli.

Posłusznie się odwrócił. Wstałam z łóżka. Stałam przed nim zupełnie ubrana.

Wpatrywaliśmy się w siebie. Nie uśmiechaliśmy się. Jakby to była najpoważniejsza sprawa na świecie. To już nie była zwykła zabawa ani gra. Nic innego dla nas nie istniało.

Dotykałam jego bioder tak delikatnie, że ledwie to czuł. Zadrżał. Drobne włoski pokrywające jego skórę podniosły się. Poczułam bijące od niego ciepło. Przesuwałam dłońmi po jego torsie i brzuchu, nasze ciała niemal się stykały. Dzielili je zaledwie ułamki milimetrów.

- Emm.

- Ciii...

Muskałam palcami jego plecy, ramiona, pośladki. Potem uda, słodką i delikatną skórę za kolanami. Łydki. Ukłękłam.

Najpierw złapałam go za kostki. Jęknął. Zaczęłam go mocno pieścić, łydki, kolana, uda, aż prawie dosięgałam jego pośladków.

Jego kutas był już zupełnie twardy. Miałam go teraz tuż przy buzi. Chciałam go posmakować.

Wciąż trzymałam Johnny'ego w mocnym uścisku, choć wcale nie miał zamiaru ruszać się z miejsca. Wtuliłam twarz w jego ciało. Wylizałam jego jądra, potem nasadę fiuta. Drgnął mocno i złapał mnie za włosy, ale się nie poruszył.

Wzięłam go powoli do ust, delektując się każdym milimetrem. Delikatnie ssałam. Potem chwyciłam go w dłonie. Miarowo wkładałam go do buzi i wyciągałam, obejmując wygodniałymi ustami. Zaciśnął mocniej pięści na moich włosach. Nie mógł już dłużej tłumić pojękiwań.

Przerwałam na chwilę i spojrzałam mu w oczy.

- Lubisz to?

Uśmiechnął się, słysząc, że powtarzam jego pytanie. Puścił moje włosy i głaskał mnie czule po policzkach i po szyi.

- Lubię.

- To dobrze. - Pochyliłam się i rozkoszowałam tym, jak pieprzył mnie w usta.

To było słodkie, rozkoszne. Nawet nie sam akt, ale Johnny i to, jak się poruszał, jak wymawiał

moje imię, jakbym była najcenniejszym podarkiem, jaki kiedykolwiek otrzymał.

Wiedziałałam, że niejedna już mu obciągała, może nawet zręcznie i lepiej. Ale gdy na niego patrzyłam, widziałam rozkosz, i tylko to się liczyło. Nie traktował tego aktu jak czegoś oczywistego i zwyczajnego. W jego spojrzeniu widać było zdumienie, jakby to był sen. Czysta fantazja.

A nie rzeczywistość.

Doszedł w moich ustach. Bez najmniejszego oporu przełknęłam jego nasienie. Zabawne, że tutaj, z nim, to tak gładko działało.

Zadrżały mu powieki. Wyszeptał moje imię. Instynktownie wypiął do przodu biodra i pulsującego kutasa. A najdziwniejsze było to, że ja też miałam orgazm. Fale rozkoszy powoli, jedna po drugiej, przelewały się przez moje ciało. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam.

Zaczęłam się śmiać.

Śmiałam się, choć od klęczenia zupełnie zdrętwiały mi nogi. W ustach wciąż czułam jego smak. Znów wtuliłam twarz w jego ciało, obsypując pocałunkami jego fiuta, który teraz zawisł między jego udami.

- Emm, Emm, Emm - powtarzał.

- Lubię słyszeć, jak wymawiasz moje imię - szeptałam w jego rozchylone usta.

- Emm.

Pchnął mnie na łóżko, ale nie zdążył się mną zająć, bo drzwi otworzyły się z hukiem. Do sypialni wparowała Sandy. Już od progu zaczęła paplać. Zupełnie jej nie wzruszyło, że widzi nas nagich w łóżku.

- Posłuchaj, Johnny. Musimy porozmawiać - oznajmiła, opierając rękę na biodrze.

- Sandy! - ryknął Johnny, jakby nagle stracił cierpliwość. - Wypierdalaj stąd. Rany boskie!

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę kasy.

- Co? Znowu? A gdzie się podziało dwieście dolarów, które ci dałem w zeszłym miesiącu?

- Może. . poczekam za drzwiami - zaproponowałam i już miałam czmychnąć, ale Johnny złapał mnie za nadgarstek.

- Ty masz zostać - powiedział stanowczym tonem. - A ty wyjdź - zwrócił się do Sandy.

Skrzyżowała ręce na piersiach i zrobiła nadąsaną minę.

- Właśnie że nie.

- Rany, Sandy, doigrasz się.

- Widzisz? - zwróciła się do mnie. - Tego już za wiele. Straszy mnie. Co z niego za mężczyzna, do diabła! Straszy matkę własnego dziecka? Dawaj kasę i sobie pójdę.

- Na co ci ta forsa? Przecież mieszkasz z matką. Daję ci pieniądze na Kimmy. Tylko mi nie mów, że już wszystko wydałaś. Czy ten dzieciak potrzebuje połączonych pieluszek?

- Muszę mieć tę kasę. - Sandy taksowała mnie spojrzeniem. - Jest mi potrzebna.

- Na co?

- Na. . skrobankę - wydusiła wreszcie. Uniosła wysoko brodę, wyraźnie powstrzymując uśmiech.

Powinłam wyjść. Nie czułam zazdrości - jak mogłabym być zazdrosna o coś, co było wytworem mojej wyobraźni? A jednak spór między nimi zupełnie mnie nie dotyczył. Nie chciałam w nim brać udziału. Podeszłam do drzwi. Nie umiałam kontrolować tego, co się tu działo. Jakbym zgubiła sznurki wprawiające w ruch marionetki w moim teatrze. Pomyślałam sobie, że to, czego nie zobaczę, wcale się nie stanie.

Johnny przytrzymał mnie za ramię, ale zwolnił uścisk, gdy próbowałam się wyrwać.

-Emm, nie odchodź.

Zerknęłam na niego przez ramię.

- Nie, skarbie. Musisz to załatwić.

Miałam wrażenie, że tak właśnie powinnam odpowiedzieć. Jego oczy zabłyśły. Uśmiechnął się i pozwolił mi odejść. Minęłam Sandy, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Kobiety wiedzą, jak najlepiej okazać sobie niechęć. Nie byłam o nią zazdrosna, po prostu wolałam ją zbyć.

Wyszłam z sypialni.

I wylądowałam w swoim salonie.

Rozdział 15

Tym razem przynajmniej nie byłam naga.

Oddychałam z trudem. Miałam wrażenie, że mój żołądek wywinął się na drugą stronę. Głowa bolała mnie tak bardzo, że z mojego gardła wydobywał się bezustanny jęk. Doczołgałam się do sofy, wspięłam się na nią i mocno przycisnęłam do brzucha poduszkę. Na szczęście zawroty głowy minęły, ale dopiero po kilku minutach doszłam do siebie.

Powoli usiadłam.

- O w mordę.

Mój głos zabrzmiał mizernie. Tak też się czułam. Nawet nie fizycznie, bo w ciągu tych paru chwil po ataku zdołałam odzyskać siły. Do tej pory napady amnezji nie wpływały tak bardzo na moje samopoczucie. Dopiero w ostatnim czasie zaczęły mnie męczyć okropne bóle głowy i żołądka. Teraz jednak bałam się, że w moim mózgu zaszła jakaś potężna reakcja i że w każdej chwili mogę się zapaść w nicość. .

Z całej duszy pragnęłam, żeby ataki wciąż trwały.

Przede wszystkim dlatego, że przenosiłam się do świata, w którym interesował się mną Johnny Dellasandro. I dlatego, że nie musiałam się przejmować takimi rzeczami jak prezerwatywy, ciąża czy owłosione nogi. Ani płaceniem rachunków, ani gimnastyką.

A już najbardziej podobało mi się to, że Johnny pieścił mnie palcami i językiem, że wkładał

we mnie swojego fantastycznego kutasa, a także to, że ja mogłam go dotykać i całować, a on pragnął

tego tak samo mocno jak ja.

W tej chwili jednak myślałam tylko o tym, żeby wziąć prysznic. Długo stałam pod strumieniem gorącej wody, która wcale nie przyniosła mi upragnionego ukojenia. Potem uczesałam włosy i wklepałam w twarz krem. Włożyłam cienką koszulkę sięgającą połowy uda, która mocno opinała się na wszystkich krągłościach, co lustro podkreślało z uporem maniaka. Przyglądałam się swojemu odbiciu, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Próbowałam wygładzić rękami brzuch, biodra i podnieść biust. W przeciwieństwie do moich koleżanek nigdy nie kultywowałam nienawiści wobec własnego ciała, którą zaszczepiała w nas, kobietach noszących normalne rozmiary ubrań, telewizja i kino.

- Więcej ćwicz - łąjałam się w duchu, wciągając brzuch i policzki, by uzyskać efekt cienia wyszczuplającego twarz. I tak wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Nawet gdybym się za siebie wzięła, i tak nie zrezygnowałabym z muffinków w Mokce ani dodatkowych łyżeczek cukru do kawy.

Cukier i kofeina zawsze mi pomagały. W odróżnieniu od lekarstw.

Z mokrych włosów sączyły się kropelki wody, przynosząc mi przyjemne orzeźwienie.

Zarzucałam na siebie bluzę Lebanon Valley College, a na stopy wciągnęłam parę grubych podkolanówek w paski i zeszłam na dół, żeby przyrządzić sobie czekoladę na gorąco. W

perspektywie miałam cichy wieczór w domu: łóżko, książka, a może nawet film na laptopie.

Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Najpierw w ogóle nie wierzyłam własnym uszom i próbowałam sobie wmówić, że to dzwonek w domu sąsiadów, choć nigdy wcześniej nie zdarzyła mi się taka pomyłka. Gdy dzwonek rozległ się po raz drugi, a zaraz potem pukanie do drzwi, wyciągnęłam telefon z bazy i mocno ścisnęłam go w dłoni, by w razie potrzeby od razu dzwonić na 112.

Najwyraźniej ostatnio oglądałam za dużo horrorów.

Nie miałam w drzwiach wizjera ani żadnych fantastycznych szybek. Było tylko to irytujące i zupełnie bezużyteczne podłużne okienko nad wejściem. Przyrzekłam sobie, że naprawię to niedopatrzenie najszybciej, jak się da. Oczywiście ta solenna obietnica na niewiele się zdała, gdy tak stałam w korytarzu z mokrymi włosami, bez majtek, a nieznajomy uparcie pukał do moich drzwi wśród ciemnej nocy napierającej na niepotrzebne podłużne okienko nad wejściem.

Znów rozległo się stukanie. Ściskając telefon w dłoni, poluzowałam łańcuch zabezpieczający, przekręciłam klucz w zamku i lekko uchyliłam drzwi, a zaraz potem szarpnęłam nimi, by otworzyły się na oścież.

- Cześć - powiedział Johnny. Wyglądał cholernie pociągająco w długim czarnym płaszczu i prążkowanym szaliku, w który od razu miałam ochotę się wtulić.

- Cześć - odparłam, a mój głos zabrzmiał pewniej, niż się spodziewałam.

Patrzyliśmy na siebie, ale żadne z nas nie uczyniło najmniejszego gestu.

- Mogę wejść? Strasznie zimno na zewnątrz.

- Taa. . Tak! Oczywiście! Jasne, że tak. - Cofnęłam się do środka, żeby zrobić mu miejsce.

Wszedł razem z podmuchem lodowatego powietrza. Szybko zamknęłam drzwi.

- Wiem, że jest późno. . - zaczął Johnny.

- Nie, nie jest późno. Po prostu wcześniej robi się ciemno. Na pewno nie jest za późno. Na pewno. -Wreszcie udało mi się przymknąć.

Dlaczego wobec prawdziwego Johnny'ego nie umiałam się zachowywać tak samo jak wobec jego odpowiednika z moich fantazji? Co się stało z tym wampem, z tą lwicą salonową, która zawsze panuje nad sytuacją? Zamiast tego tylko stałam i gapiłam się na niego, tak mocno pocierając paluchem w pasiastej podkolanówce o terakotę, że niemal starłam z niej wzorek.

- Oż kurczę. No nie - mamrotałam pod nosem.

- Mogę zdjąć płaszcz?

- Ależ oczywiście. Już go wieszam - wzięłam płaszcz z jego rąk, ale nie było wolnego wieszaka. Nie wiedziałam, co zrobić. Patrzyliśmy w milczeniu na jego płaszcz złożony na moich rękach. W końcu powiesiłam go na poręczy schodów, starannie, żeby przypadkiem nie zsunął się na podłogę.

- Wejdiesz? Właśnie robiłam sobie. . gorącą czekoladę. - Rozległ się gwizd czajnika.

Przyszło mi do głowy, że czekolada na gorąco to tego rodzaju napój, jaki piją prawdziwe dziewczęta. Próbowałam odgadnąć z wyrazu jego twarzy, co sobie pomyślał, ale nie dostrzegłam nic oprócz urody, której czas nie naruszył. Zastanawiałam się, czy nie powinnam mu zaproponować

czegoś bardziej ekstrawaganckiego. Może likier albo jakiś wypasiony drink, który przyrządziłabym na szybko, udając, że zawsze tak robię, i używając do tego specjalistycznych narzędzi kuchennych i egzotycznych składników, które akurat przypadkiem miałabym pod ręką.

- Jasne. Z przyjemnością. Dzięki.

Stał i czekał, aż go zaprowadzę. Odwróciłam się więc i ruszyłam pierwsza w kierunku kuchni, zastanawiając się, czy moja koszulka nie jest jednak zbyt krótka i czy nie wystają mi pośladki, choć teraz niewiele mogłam na to poradzić. No i czy patrzy na nie, jeśli rzeczywiście wystają.

- Czuj się jak u siebie. - Wskazałam na rząd stołków barowych wzdłuż wyspy kuchennej, która napawała mnie dumą. ~ A może masz ochotę na coś innego? Mogę ci zaproponować...

ee... sok albo... piwo?

- W taką pogodę gorąca czekolada będzie idealna.

- Taa, oziębiło się, nie?

Wyciągnęłam z szafki mleko w proszku i kakao. Cukier. Wanilię. Pianki z cukru. Wiórki czekoladowe.

Johnny obserwował, jak rozkładałam wszystkie składniki na blacie.

- Profesjonalny zestaw.

Fajnie było się do niego uśmiechać i jakimś sposobem uśmiech rozładował napięcie.

- Mówię na to specjał macho. Choć tak między nami, nie jestem macho. I ten specjał wcale nie jest taki specjalny... - I znów mielenie jęzorem. Chrząknęłam i spróbowałam jeszcze raz. -

Chodzi o to, że tak jest szybciej i łatwiej niż gotować zwykłe mleko - wyjaśniłam. - I nie cierpię kożucha. A jak jeszcze do tego przestygnie, ohyda. Ale jeśli użyjesz mleka w proszku, kakao będzie tak samo aksamitne jak ze zwykłego mleka, tyle że bez tłustych farfocli.

- A reszta składników?

- A reszta... - odparłam z uśmiechem - to ekstrabonus.

Johnny też się uśmiechnął, ale bardzo powoli, jakby usiłował sobie przypomnieć, jak to się robi.

- Zapowiada się nieźle.

Podaliśmy mu wielki kubek ozdobiony trupią czaszką, a sama wzięłam swój ulubiony wielgachny kubek z rysunkiem przedstawiającym TARDIS. Wymieszałam kakao w szklanej misce ze specjalnym uchwytem i dzióbkiem oraz sprytnie pomyślaną plastikową pokrywką. Użyłam nawet wymyślonej trze-paczki.

Johnny obserwował mnie w milczeniu. Udawałam, że tego nie widzę. Udawałam też, że wcale nie jestem taka niezdarna i specjalnie rzucam przyborami kuchennymi, kiedy pod jego spojrzeniem wypadały mi z rąk.

Wlałam gorące kakao do kubków, podałam mu pianki z cukru i czekoladowe wiórki.

- Proszę. Twój ekstrabonus.

- Chyba bez bonusów będzie smaczniejsze.

- Naprawdę? - zdziwiłam się, wrzucając trzy pianki do kubka. Natychmiast się rozpuściły i zamieniły w białą słodką pychotkę. Wsypałam pełną garść czekoladowych wiórków. -

Teraz to jest smaczne.

Johnny wziął jedną piankę i kilka czekoladowych wiórków i wrzucił do kubka.

- Cholera.

- Nie, nie, nie. Teraz będzie lepsze. - Pociągnęłam łyk i patrzyłam na niego przez mgielkę parującej czekolady. - Zasmakuj ci, zobaczysz.

Podniósł kubek i zamoczył usta. Potem pokiwał głową z uznaniem.

- Tak, dobre.

Cieszyłam się, że dzieli nas wyspa. Oparłam się o nią biodrem i powoli sączyłam kakao.

Oboje zachowywaliśmy się tak, jakby gorący napój pochłonął naszą uwagę do tego stopnia, że odjęło nam mowę. Po chwili nawet zaczęłam dmuchać w swój kubek, żeby nie sparzyć ust. Nigdy tego nie robiłam, bo brakowało mi cierpliwości, i zazwyczaj parzyłam sobie język.

- Tak - powiedział Johnny po kilku minutach niezręcznego milczenia przerywanego jedynie odgłosami dmuchania, a potem przełykania.

Czekałam, co powie, ale zamilkł. Odłożył kubek i oparł dłonie o blat wyspy. Spojrzał na mnie, ale nie tak jak w moich fantazjach, jakby nie umiał pojąć ogromu szczęścia, które na niego spadło, gdy mnie zdobył. Teraz patrzył na mnie tak, jakby to mnie nie pojmował.

- Tak? - Udawałam spokój i opanowanie, ale miałam wrażenie, że mój żołądek wywijał pajacyki.

- Otóż powinienem był wcześniej przeprowadzić tę rozmowę.

Nie umiałam powstrzymać śmiechu. Najpierw cicho zachichotałam, potem głośniejsze i jeszcze głośniejsze, aż wreszcie musiałam zakryć dłonią usta, żeby nie rechotać na całe gardło. Zdołałam tylko kwiknąć:

- Naprawdę?

Tyle razy widziałam jego uśmiech na fotografiach, w filmach i w tych magicznych chwilach, kiedy traciłam świadomość. Teraz wyglądał tak samo, może odrobinę inaczej. Zmieszał się lekko.

- Taa... naprawdę.

Opanowałam śmiech. Mięśnie brzucha wciąż mnie bolały, ale w całkiem przyjemny sposób.

Otarłam kąciki oczu.

- W takim razie mów.

- Pomyślałem, że musimy omówić to, co wydarzyło się w galerii.

To mnie trochę otrzeźwiło. -Aha.

- I że powinnaś wiedzieć, dlaczego nic z tego nie będzie.

Owszem, słyszałam to zdanie już wiele razy. Zresztą nie raz sama je wypowiadałam, ale zupełnie nie brałam pod uwagę, że padnie teraz z jego ust. Odłożyłam kubek i dokładnie oblizałam usta. Chciałam mieć pewność, że gdy będę mu patrzeć prosto w oczy, mojej wargi nie będzie zdobił czekoladowy wąsik.

- Z czego nic nie będzie, jeśli mógłbyś uściślić?

Wciąż trzymał ręce na blacie.

- Chodzi mi o nas. - Jego palce delikatnie zadrżały.

- Aha. - Nie byłam dobra we flirtowaniu, a już na pewno nie w udawaniu braku zainteresowania. - Dlaczego nie?

Johnny mrugnął, a potem na jego twarzy zajaśniał szeroki uśmiech.

- Emm.

Gdy wymówił moje imię, zaparło mi dech w piersiach. Miałam ochotę zamknąć oczy i podryfować na fali tego dźwięku, na tej pojedynczej sylabie. Nie zrobiłam tego jednak.

Wpatrywałam się w niego tak samo jak on we mnie.

- Johnny. - Nie umiałam ukryć tęsknoty w głosie. Zresztą nie chciałam, nawet gdybym umiała.

Usłyszałam jego stłumione westchnienie. Przeszył mnie dreszcz, silny i niespodziewany.

Wpatrywałam się w niego intensywnie. Chwilę później stwardniały mi sutki. Między udami poczułam wyraźne drganie. Na szczęście wcześniej odłożyłam kubek, bo teraz na pewno wypadłby mi z ręki. Musiałam się oprzeć rękami o blat, żeby opanować drżenie kolan. Niebawem intensywnie uczucie! Wręcz wszechogarniające.

- Muszę już iść - oznajmił Johnny, zanim zdążyłam odzyskać przytomność umysłu po czułym westchnieniu, które z siebie wydał.

Już wstawał ze stołka, kiedy obeszłam wyspę i stanęłam tuż przed nim.

- Zaczekaj.

Usiadł z powrotem, jakbym go popchnęła, choć nawet nie zdążyłam go dotknąć. Jeszcze nie.

- Emm...

- Ożeż kurwa, jak ja uwielbiam, kiedy wymawiasz moje imię - szepnęłam bez namysłu.

Znów usłyszałam, jak cicho mruknął. Poruszał nerwowo grdyką. Miał zamglone spojrzenie.

Widziałam, jak szybko pulsowały mu żyły.

Dzieliło nas pięć, może sześć kroków. Zrobiłam trzy wprzód. Moje stopy ślizgały się na woskowanej podłodze. Rąbek koszulki uniósł się wyzywająco. Pragnęłam poczuć jego zapach.

Nawet się nie zastanawiałam, jak wytłumaczyć, że tak nagle do niego podeszłam. Nic mnie to nie obchodziło.

- Emm - powiedział znów, ale tym razem nie zabrzmiało to ani jak ostrzeżenie, ani jak protest.

Raczej zaproszenie.

Podeszłam jeszcze bliżej. Wyprostował się. Stołek był na tyle wysoki, że kiedy wślizgnęłam się między jego rozchylone kolana, mocno ścisnął moje biodra. Nachyliłam się, na wpół przymykając oczy, i rozchyliłam usta. Oddychałam głośno. Johnny nawet nie drgnął, zastygł zimny i twardy jak głaz.

Otworzyłam oczy. Stałam tak blisko, że widziałam plamki na jego tęczęwkach. Ależ miał gęste rzęsy! Spozstrzegłam malutki kawałek pianki

cukrowej w kąciku jego ust.

Ale nie pocałowałam go.

To on mnie pocałował.

Oboje rozchyliłiśmy szeroko usta i spragnieni wpiliśmy się w siebie. Nasze języki się ocierały, zęby zderzały się raz po raz. To było niesamowite. Objął mnie za kark i pociągnął delikatnie za włosy. Oddychałam ciężko z nagłego pożądania. Czułam swój przerywany oddech na jego skórze.

Smakował tak zajebiście, że miałam ochotę go zjeść.

Stółek zakolysał się niebezpiecznie, gdy usiadłam na nim okrakiem, ale Johnny szybko złapał

mnie za pośladki i wsparł się nogami o podłogę, żeby nie stracić równowagi. Zadarł do góry moją koszulkę. Czułam na brzuchu chłód klamry jego paska i jego sztywne dżinsy. Kiedy dotknął mojego nagiego ciała, znowu jęknął, tym razem głośniejszym, i przerwał pocałunek, by wymówić moje imię.

Złapałam go za podbródek i spojrzałam mu w oczy. Nasze usta wciąż były tak blisko siebie, że z każdym słowem moje wargi dotykały jego ust.

- A z tego nic nie będzie?

Złapał mnie drugą ręką za pupę i czule ją pieścił. Stółek znów się zakolysał, ale nie przejęłam się tym. Zacisnęłam uda na jego biodrach i dotknęłam palcem jego warg.

Polizął go, a potem chwilę ssał i delikatnie przygryzł.

- Nic. Nieważne. Nie mogę się skupić, kiedy siedzisz mi na kolanach.

- Jak ci się nie podoba, mogę ci usiąść na twarzy - szepnęłam.

Johnny mamrotał coś tak niewyraźnie, że nie wiedziałam, czy się modli ze szczęścia, czy raczej przeklina. Całował mnie zapalczywie. Dostłownie znęcał się nad moimi ustami, ale ja przyjmowałam to z radością. Ześlizgiwałam się z jego kolan. Próbował uchronić przed upadkiem i mnie, i stółek, na którym siedział. Było cudownie, nieokielznany żywiol, ale musiałam z niego zejść, bo inaczej znalazłabym się na podłodze, a on na mnie. A nie tak to sobie wyobrażałam.

Wspierając się stopami o podłogę i wpijając w niego usta, mocno przycisnęłam dłoń do wyrzuszenia w jego spodniach. Nigdy nie byłam w tych sprawach tak odważna. Tylko z nim. W

fantazjach i w rzeczywistości.

Od razu złapał moją dłoń i przerwał pocałunek.

- Cholera.

Opanowałam się trochę, ale nie cofnęłam ręki. Spojrzałam mu w oczy. Widziałam pożądanie w jego rozszerzonych źrenicach. Na pewno nie udawał. Polizałam usta, żeby poczuć jego smak i na zawsze go zapamiętać. Zadrzałam i świat zawirował wokół mnie, ale nie tak jak przed atakiem.

- Pragnę cię - powiedziałam łamiącym się ze wzruszenia głosem, ale teraz było mi już wszystko jedno. Miałam w nosie przyzwoitość i dumę.

Odsunęłam dłoń od jego krocza i złapałam go za rękę, którą mnie powstrzymywał. Wsunęłam ją sobie między nogi, żeby poczuł gorące, wilgotne ciało kobiety. Pogładziłam jego palcami cipkę, już nabrzmiałą, potem wsunęłam je głębiej. Drgnęłam. Cały czas patrzyłam mu prosto w oczy.

- Rozumiesz? - szepnęłam.

Johnny wsunął palce głębiej. Robił mi tak cholernie dobrze. Zgiął je odrobinę i dotykał

magicznego miejsca, o którym czytałam, chociaż nigdy przesadnie nie zawracałam sobie głowy anatomią. Poczułam mrowienie w każdej komórce swojego ciała. Złapałam go za ramię i mocno wbiłam w nie palce, żeby nie upaść. Dotykał kciukiem mojej łechtaczki właśnie tak, jak pragnęłam, właśnie tak, jak sobie wyobrażałam. Tak, jak to robił w mojej głowie.

Zsunął się z barowego stołka, żeby stanąć pewnie na nogach. Całował mnie i rznął ręką, a drugą trzymał mocno za biodro, żebym nie zmieniła pozycji. Oparłam się na jego udzie, nie przejmując się tym, że muszę dziwnie wykręcać głowę, żeby mógł jednocześnie mnie całować i pieścić palcami. W tej pozycji nie mogłam dotykać jego członka, więc po prostu zatraciłam się w rozkoszy.

Byłam już taka mokra, że jego palce wchodziły we mnie zupełnie swobodnie. Najpierw powoli wsuwał je do środka, zginał i wyciągał, a kciukiem pieścił łechtaczkę. Kołysałam biodrami pod dyktando jego pieszczot. Ssałam jego język, lizalam, wsłuchując się w jego pojękiwania. Nie byłam w stanie otworzyć oczu. Moje powieki były przyjemnie ciężkie. Nie byłam w stanie mówić. Mogłam się tylko poddać temu, co ze mną robił.

A robił mi dobrze. Ustami, palcami. Mamrotał do ucha moje imię, całował mnie po policzkach, po szyi. Czułam na skórze jego zęby.

Orgazm uderzył we mnie jak rozpędzony pociąg towarowy, mocno i bez litości. Osunęłam się pod jego siłą, ale Johnny mnie przytrzymał. Uniosłam powieki i spojrzałam mu w oczy. Nie było w nich cienia uśmiechu. Jego wzrok pociemniał, twarz poczerwieniała, usta miał wciąż rozchyłone i mokre od moich pocałunków.

Kiedy opadła pierwsza fala rozkoszy, zdałam sobie sprawę, że wciąż wbijam paznokcie w jego ramię. Puściłam je. Moje ciało drżało jeszcze, gdy wyciągał ze mnie rękę. Dopiero wtedy zauważyłam, że nadal stoję na palcach. Stałam mocno na całych stopach, ale kolana miałam jak z waty.

- Ooo... - Tyle udało mi się powiedzieć.

Przytuliłam się do niego, by znów go pocałować, ale odwrócił głowę i nawet gdybym wyciągnęła szyję, ledwie musnęłabym ustami jego policzek.

Powstrzymałam się. Przynajmniej zachowałam resztki rozumu.

- Przepraszam - powiedział Johnny i delikatnie mnie odepchnął. - Nie mogę.

Wstał i wyszedł.

Rozdział 16

- . . i chyba będzie mi potrzebna nowa walizka - powiedziała mama. Od dwudziestu minut ciągnęła rozmowę, na której w ogóle nie mogłam się skupić.

Zresztą żadnej z nas to nie przeszkadzało. Spacerowałyśmy właśnie wśród butików galerii handlowej i ona cieszyła się, że może do woli paplać o zbliżającym się rejsie statkiem, a ja się cieszyłam, że wystarczy jej, gdy od czasu do czasu wtrącę „aha” w odpowiedzi na pytania, w których udawała zainteresowanie moją opinią. Z drugiej strony powinnam wiedzieć, że jej nie da się oszukać. Czekala tylko na odpowiednią okazję, by stanąć do konfrontacji. Okazja nadarzyła się w części restauracyjnej, gdy raczyliśmy się mrożonym jogurtem.

- Mów - przeszła od razu do rzeczy, zanurzając łyżeczkę w waniliowej masie upstrzonej jagodami. - O co chodzi?

Zamówiłam jogurt z dodatkiem czekoladowego musu i kawałkami ciągnącej się krówki.

Normalnie już bym go miała na dnie żołądka, ale dziś nawet widok deseru nie sprawiał mi radości.

- Hm?

- Emmaline. - Matka upomniała mnie ostrzegawczym tonem. - Wiem, że coś się dzieje. Mów.

Już otwierałam usta, żeby wszystko z siebie wyrzucić. O napadach amnezji. O sprawie z Johnnym, oczywiście w mocno ocenzurowanej wersji. Już nabierałam powietrza do płuc, gdy nagle spojrzałam na górę torebek z zakupami u jej nóg i zmieniłam zdanie.

Mama wybierała się z tatą w rejs wielkim statkiem pasażerskim. To miały być wakacje tylko we dwoje, beze mnie. Po raz pierwszy w ciągu tylu lat małżeństwa. Znałam matkę na tyle, żeby podejrzewać, ba, nawet wiedzieć na pewno, że jeśli choćby słowem zająknę się o swojej chorobie, odwoła całą podróż. Dlatego nic jej nie powiedziałam. Rzuciłam tylko: - Zwykle problemy z chłopakami, mamo.

- Aha.

Zaśmiałam się, choć tak naprawdę śmiech sprawiał mi ból.

- Cholera, co za entuzjazm.

- Kłopoty z chłopakami oznaczają, że jest jakiś chłopak - zauważyła mama, oblizując łyżeczkę.

- Mówisz, jakbym nigdy nie miała chłopaka.

- Odkąd się wyprowadziłaś z domu, o nikim nie opowiadałaś - odparła.

Bezwiednie mieszałam łyżeczką mrożony jogurt, aż zrobiła się z niego zupa. Nie miałam ochoty jeść, ale musiałam, bo wiedziałam, że brak apetytu przestraszy ją bardziej niż cokolwiek innego.

Wzruszyłam ramionami.

- Opowiedz mi - nalegała.

- Przede wszystkim on nie jest chłopakiem.

Mama przez chwilę milczała, a gdy znów się odezwała, siłła się, by jej głos zabrzmiał naturalnie.

- Czy on jest... dziewczyną? Roześmiałam się szczerze.

- Och, nie.

- Ach! No dobrze. Pamiętasz Ginę Wentzel, prawda? Chodziłyście razem do szkoły. Była od ciebie o rok albo dwa lata wyżej. Jej matka pracuje w Weis Markets.

Wiedziałam, że jeśli cierpliwie poczekam, ta historia będzie miała swoją puentę.

- Tak, pamiętam ją. Była czirliderką.

- I do tego lesbijką!

Znów się zaśmiałam.

- Och, mam.

- Na serio. Jej matka mi powiedziała. I że jest z jakąś kobietą, którą poznała, gdy pojechała w delegację do Arkansas.

- Bo w Arkansas roi się od lesbijek? - zapytałam, próbując złożyć całą historię do kupy.

- Nie mam pojęcia - przyznała matka. - Mówię tylko, co powiedziała jej matka. Podobno chcą adoptować dziecko.

- Aha. To chyba dobrze?

Pamiętałam Ginę jako trochę zdirowatą blondynkę, która kiedyś pozwoliła sobie na niewybredny komentarz na temat mojego stylu, ale poza tym raczej nie wchodziłyśmy sobie w drogę.

- O tak, świetnie - zgodziła się matka, kiwając głową. - Tobie też by to dobrze zrobiło.

- Gdybym była lesbijką?

Matka wskazała na mnie łyżeczką.

- Chcę tylko powiedzieć, że ja i twój ojciec kochalibyśmy cię tak samo, nawet gdybyś była lesbijką.

Wyobraź sobie, jak muszą się czuć rodzice tej dziewczyny z radia?

Zasmuciło mnie, że nie jestem już w stanie nadążyć za jej tokiem rozumowania.

- Jakiej dziewczyny z radia?

- Tej z „Pocałować dziewczynę”. Wyobraź sobie, co jej rodzice musieli sobie pomyśleć.

- Jestem pewna, mam, że też są z niej dumni.

- Ja i twój ojciec jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Emmaline. Bez względu na to, czy jesteś lesbijką, czy nie. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Jesteś taką piękną kobietą. To znaczy, zawsze miałam nadzieję, ale nigdy nie myślałam... chodzi o to, że nie byliśmy z ojcem pewni...

- Nie jestem lesbijką - powtórzyłam. Jeszcze tylko brakowało, żebyśmy miały tu obie dostać spazmów. Już i tak byłam na granicy załamania nerwowego w stylu emo, mrocznej subkultury przewrażliwionych nastolatków, bo mój okres zbliżał się wielkimi krokami. Na pewno nie chciałam się rozkleić w galerii handlowej ani tym bardziej zachęcać do tego matki.

- Czyli problemy sercowe? Ale nie z chłopakiem. W takim razie z mężczyzną. - Wzruszyła ramionami, sugerując, że dzielę włos na czworo.

- No cóż.. Tak. On jest mężczyzną. Nie jest chłopcem. Na pewno. - Ściągnęłam brwi, gdy przypominałam sobie, że nazwał mnie dziewczęciem.

- To chyba dobrze. W końcu masz trzydzieści parę lat. Najwyższy czas umawiać się z mężczyznami. - Uśmiechnęła się. - Opowiedz mi o nim.

- Właściwie rzadko się spotykamy. Chodzi o to, że on mi się bardzo podoba... -

westchnęłam i szybko odchrząknęłam, żeby ukryć emocje. - A ja jemu nie, - W takim razie jest dupkiem.

- Mam, dzięki, ale wydaje mi się, że jesteś nieco stronnicza.

Uśmiechnęła się i wyskrobała ostatnią łyżeczkę jogurtu z pucharka.

- Nie szkodzi. Jestem twoją matką. Mam prawo twierdzić, że jakiś chłopiec, to znaczy mężczyzna, jest dupkiem, skoro nie podoba mu się moja córka. Jak ma na imię?

- Johnny.

- Przecież to nie jest imię dla mężczyzny - prychnęła.

- To taki jego. . Chyba w młodości to imię do niego przyłgnęło i tak już zostało. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek został Johnem. On jest po prostu. . Johnnym. Pasuje do niego.

- Jesteś pewna, że mu się nie podobasz?

Przypominałam sobie, jak mnie odepchnął i zostawił samą w zadartej za tyłek koszulce w kuchni, którą wypełniał zapach seksu.

- Tak. Jestem pewna.

- Dupek. Zapomnij o nim.

- Chyba nie umiem, mam. Ciężko o nim zapomnieć.

- Nie ma takiego faceta - tu zmarszczyła brwi - o którym nie da się zapomnieć.

- W takim razie stanowi wyjątek - westchnęłam.

- Och, Emm, kochanie. Nie mogę patrzeć na ciebie w takim stanie. Dlaczego zawsze tak się an-gażujesz?

Roześmiałam się, mimo że rozboleło mnie gardło.

- Do licha, mam, a może by tak odrobinę wsparcia?

- Przecież powiedziałam, że to dupek. Uśmiechnęłam się.

- Racja. To dupek.

- Ale go lubisz - powiedziała mama głosem pełnym współczucia. - Widzę to.

- Bo jest... wyjątkowy. - Znow westchnęłam. Po raz kolejny wymieszałam jogurt, ale nie byłam w stanie go jeść, nawet żeby oszczędzić jej zmartwień. - Jest inny niż wszyscy. Jest taki utalentowany, tyle w życiu widział. I żył tak intensywnie, mam, że czuję się przy nim jak zapyziały burak. Jak... jak jakieś dziewczę.

- Jesteś dziewczęciem - powiedziała.

- Jestem kobietą - odparłam.

Spojrzała na mnie czule.

- Wiem, kochanie. I nie ma chłopca na ziemi... ani faceta, który byłby na tyle wyjątkowy, żebyś się musiała przy nim tak czuć.

Tak bardzo kochałam moją mamę.

- Wiem. Nic na to nie poradzę. On jest taki... Kurczę! - Wbijalam łyżeczkę w zupełnie rozmrożony jogurt. - Głupi! Jest głupi! Głupi Johnny Dellasandro.

Mama zachichotała i szybko przerwała.

- Skąd ja znam to nazwisko?

- Jest artystą - wyjaśniłam szybko w nadziei, że dzięki temu go nie skojarzy. - Prowadzi w Harrisburgu własną galerię, którą nazwał Blaszyński Anioł.

- Nie, to nie to. - Wyciągnęła z torebki paczkę nawilżanych chusteczek i starannie wytarła każdy palec.

- Był kiedyś... aktorem - dodałam z wahaniem. Uniosła brew.

- Sławnym aktorem? Takim jak... Tom Cruise?

- Nie aż tak. Ale dość znanym, tak - przypominałam sobie wszystkie artykuły, strony i fora internetowe. - Tylko że to było dawno temu.

- Jak dawno? - Chyba zaczynała nabierać podejrzeń.

- Hm... - Zastanawiałam się, jak sprytnie wybrnąć z tej sytuacji. - W latach siedemdziesiątych.

Matka wyprostowała się na krześle i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Zakładam, że nie parał się aktorstwem w dzieciństwie?

- Nie.

- Och, Emmaline! - Urwała nagle i po raz kolejny zmarszczyła brwi. - Chyba nie masz na myśli tego faceta, którego pokazują w nocnych programach tylko dla dorosłych? Tych, gdzie obnosi się ze swoim... no wiesz?

- Hm...

- Emmaline Marie Moser! - krzyknęła osłupiała. Zawsze, bez względu na wiek, człowiek czuje się zawstydzony, gdy ktoś zwróci się do niego po nazwisku i do tego wymieni wszystkie jego imiona.

- Nie wierzę własnym uszom - syknęła, a potem nachyliła się nade mną i ściszyła głos, jakbyśmy mówiły o jakichś bezceństwach. - Przecież on musi być w wieku twojego ojca. Co najmniej!

- Nie - zaprzeczyłam kategorycznie. - Tatuś ma pięćdziesiąt dziewięć lat, a on tylko pięćdziesiąt siedem.

- O Boże! O mój Boże! - Przycisnęła rękę do serca, a potem złapała się za głowę. - Całe szczęście, że mu się nie podobasz. Nawet *nie powinnaś* mu się podobać! Gdybyś mu się podobała, to dopiero byłby dupkiem. Nawet gorzej... pedofilem!

- *Mamo!*

- On jest dla ciebie za stary, Emmaline!

- Mamo - dodałam ciszej. - Przecież ja mam trzydzieści dwa lata. Ciężko w takim wypadku mówić o pedofilii.

- Nieważne. I tak jest dla ciebie za stary - powtarzała uparcie.

- Nie przeszkadzałoby ci, gdybym się umawiała z dziewczyną, ale ze starszym mężczyzną już tak - powiedziałam z namysłem, teatralnie marszcząc czoło.

Tym zabiłam jej klina. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale wciąż patrzyła na mnie spode łba.

Przynajmniej mnie zrugala, a nie prawila kazania.

- Nie podobam mu się - powtórzyłam po raz kolejny.

- W takim razie jest dupkiem!

- Och, mamo! - Roześmiałam się i z niedowierzaniem potrząsnęłam głową. - Taa... jest dupkiem.

I dobrze, że mu się nie podobam.

Zastanawiałam się, jak bardzo musiałam mu się nie podobać, kiedy włożył we mnie palce i doprowadził mnie do orgazmu. Skupiłam wzrok na roztopionym jogurcie w pucharku. Są sprawy, o których nie mówi się własnej matce, nigdy, bez względu na to, jak bardzo się ją kocha. Zmusiłam się do przełknięcia łyżeczki śmietankowo-czekoladowej pychotki. Niemał stanęła mi w gardle.

- On ci się naprawdę podoba, co? - Znała mnie aż za dobrze. Co za koszmar!

- No cóż. Przecież ci mówiłam...

- Tak, wiem. Jest wyjątkowy. Na początku wszyscy tacy są.

Spojrzałam na nią. - I co? Potem się zmieniają? Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie rozmarzonym wzrokiem.

- Niektórzy tak, inni nie. Ja wciąż uważam, że twój ojciec jest całkiem pociągający.

Zmarszczyłam nos z obrzydzeniem.

- Hm, hm. *Hello*, nie jestem twoją psiapsiułą. Mówisz o moim ojcu.

Roześmiała się.

- Sama mnie zapytałaś.

Cieszyłam się, że mieli udane małżeństwo. Byłam szczęśliwą córką rodziców, którzy się kochali.

- Chodźmy. Jeżeli czekolada nie jest w stanie poprawić twojego samopoczucia, może zakupy pomogą.

Wstała, żeby wyrzucić resztki do śmieci, a ja poszłam w jej ślady.

- Co za pech, że akurat teraz jestem wrakiem człowieka.

- Emm, jeśli w ten nachalny sposób chcesz mnie naciągnąć na zakup kolejnej pary butów, przypominam, że ten trik nie działa co najmniej od czasu, kiedy skończyłaś podstawówkę.

- Wiem, wiem. - Uśmiechnęłam się i posłałam jej spojrzenie rozkosznego spaniela.

Pozbierałyśmy jej torby i ruszyłyśmy wolnym spacerkiem alejkami galerii.

- Tylko nie wspominaj o tym tacie. I tak już panikuje z powodu rejsu - napomknęła.

Tak naprawdę wcale nie chciałam, żeby kupowała mi buty ani nic innego, ale dobrze było wiedzieć, że można ją na to namówić.

- A o co konkretnie mu chodzi?

Zaczęła snuć swoją opowieść, ale moją uwagę przykuła nagle wystawa niewielkiego butiku.

Przechodziłam obok niego setki razy, nawet nie zerkając do środka, bo nigdy nie potrzebowałam bransoletki z marszczonej skóry ani góralskiego ręcznie zdobionego paska, ale dziś... właśnie dziś, tak jak to często bywało ostatnimi czasy, wszystko zdawało się inne.

- Zaczekaj - mruknęłam, lecz matka, nie przerywając wywodu, szła dalej w kierunku księgarni. - Mamo, zaczekaj.

- Cześć! - zawołał do mnie sprzedawca z butiku. Wyglądał superfajnie we fryzurze emo. Do tego podkreślił powieki czarną kredką. Jeszcze niedawno na jego widok zadrżałoby mi serce.

Teraz wyglądał dla mnie jak dzieciak.

- Cześć - powiedziałam. - Mogę obejrzeć?

Wskazałam na klamry do włosów ze skóry zdobione małymi ostrymi ćwiekami. W życiu bym czegoś takiego nie kupiła ani nie spięła tym włosów. Przynajmniej nie tutaj ani nie teraz. Jednak mój umysł uznał, że właśnie taka klamra do mnie pasuje, ponieważ dokładnie coś takiego wymyślił w halucynacjach podczas jednego z napadów.

- Jasne. - Podał mi klamrę. - Można nanieść własny wzór.

Zerknęłam na niego. Pożerał mnie wzrokiem. I dobrze się z tym czułam. Serio. Nikt na mnie w ten sposób nie patrzył od.. od ostatniego ataku. Zmarszczyłam brwi.

- Nie, nie trzeba. - Przez chwilę obracałam klamrę w palcach, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądała spinka z moich fantazji. Wtedy jej się nie przyjrzałam i nie pamiętałam, czy miała jakiś wzorek.

- Pasowałyby ci - powiedział zupełnie szczerze. - Masz fantastycznie gęste włosy.

- Dzięki - odparłam po chwili. Dotknęłam swoich włosów związanych w koński ogon.

Naprawdę miałam gęste włosy, czasami aż zbyt gęste i zwykle gumki często pękały. - Wezmę ją.

Zapłaciłam prawie dziesięć dolarów. Całkiem sporo jak za ozdobę do włosów. Ale znowu bez przesady. Ściągnęłam gumkę z włosów, które opadły mi na ramiona, i znów je zebrałam z tyłu głowy, spinając nową klamrą. Pokręciłam głową w lewo, w prawo, żeby sprawdzić, czy spinka nie spadnie, ale wyglądało na to, że trzyma mocno.

- Świetnie się prezentuje - przyznał. - Na pewno nie chcesz żadnego wzorku? Jakiegoś obrazka, inicjałów albo czegoś w tym stylu?

- Co kupujesz? - zapytała mama, wracając z księgarni. - O mój Boże, Emm, co to ma być?

- Klamra do włosów.

Roześmiała się.

- Nosила coś takiego, kiedy umawiałam się na randki z twoim ojcem. Dobry Panie.

Uśmiechnęłam się.

- Ozdobiłaś ją swoimi inicjałami?

Parsknęła.

- Nie. Chyba nie. Była bodajże z kwiatkiem. Chyba wszystkie mają kwiatki. A może z liściem marihuany. Nie pamiętam Sprzedawca z trudem powstrzymał uśmiech. Wiem, że moja reakcja była nieco przesadna, ale naprawdę byłam zaskoczona.

- Mamo!

- Co? - zapytała z miną niewiniątka. - Przecież nie mówię, że paliłam marihuanę. W tamtych czasach wiele rzeczy zdobiono liśćmi marihuany. I tyle. Daj spokój, Emm. Przecież mówimy o latach siedemdziesiątych.

- Na pewno nie chcę żadnego zielska na mojej spince. - Spojrzałam na niego. - Ile kosztują te wzorki?

- Nic - odpowiedział. - Dlatego właśnie warto je wziąć. Bo są w cenie.

- Może w takim razie niech będą moje inicjały - zdecydowałam. - E.M.M.

Wykonanie wzorku trwało zaledwie kilka minut, ale sprzedawca, wręczając mi klamrę, od razu zaczął przeproszać.

-Niestety maszyna się schrzaniła. Wstukalem twoje inicjały, ale musiałem wcisnąć zły kod, bo wyszło coś takiego.

Kwiaty i winorośl. Wyglądały przepięknie. I jakoś znajomo. Poczułam gorzki smak w ustach.

- Właściwie to mi się podoba.

- Na pewno? Bo mogę spróbować jeszcze raz. .

- Nie. - Potrząsnęłam głową. - Nie trzeba. Podał mi klamrę i coś jeszcze. Numer telefonu.

Dopiero za rogiem wrzuciłam go do śmieci.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała mama. - To był taki miły chłopiec.

- Owszem, bardzo miły chłopiec - przyznałam.

Tyle że ja nie chciałam chłopca. Pragnęłam mężczyzny. Pragnęłam Johnny'ego.

Rozdział 17

- Na pewno chcesz tam wejść? - zapytała Jen. -Przecież równie dobrze możemy pójść gdzie indziej. Kawa w Mokce nie jest *aż tak* dobra.

Zacisnęłam zęby, otuliłam się szczelnie płaszczem i postawiłam kołnierz, by osłonić się od wiatru.

Stałyśmy po drugiej stronie ulicy i patrzyłyśmy na drzwi Mokki. Czekaliśmy tak już od dziesięciu minut. W tym czasie Johnny ani nie wszedł, ani nie wyszedł.

- O nie. Nie pozwolę, żeby ten sukinsyn odebrał mi Mokkę. Pieprzyć to. Pieprzyć Johnny'ego Dellasandra! Co on sobie w ogóle wyobraża? - syknęłam. Niemal czułam na języku cierpki posmak tych słów, kwaśny jak zepsute mleko. Ohyda.

- Jasne, masz rację. -Jen dygotała z zimna, wpatrując się w okna kawiarni.

W ostatnich dniach wyraźnie się ochłodziło. Zapowiadali kolejne opady śniegu. Ciężkie chmury wiszące nad miastem idealnie oddawały mój nastrój. Od tego wieczoru, gdy Johnny ostentacyjnie zostawił mnie samą w kuchni, bezustannie albo ogarniała mnie czarna rozpacz, albo wręcz gotowało się we mnie ze złości.

- Tyle że... - Urwała nagle.

Spojrzałam na nią. Nie czułam własnego nosa. Ani palców u stóp. Kark miałam zupełnie zmarznięty, bo upięłam wysoko włosy nową klamrą, nonszalancko odstawiając szyję. Sterczałam na rogu ulicy jak tania dziwka. I to przez niego tak się czułam.

- Nie chcesz wejść?

- Nie chcę - wyjaśniła Jen - jeśli masz się zdenerwować.

Wolno cedziłam słowa, starając się opanować szczękanie zębami.

- Myślisz, że urządzę scenę? Mylisz się, Jen. Nie jestem histeryczką. To miejsce należało do nas, zanim w ogóle dowiedziałam się o istnieniu Johnny'ego Dellasandra. Prędzej dam sobie włożyć sztuczny członek owinięty drutem kolczastym, niż pozwolę, żeby odebrał nam naszą Mokkę.

- Au! - Skrzywiła się teatralnie, a potem roześmiała.

- I na dodatek w tyłek bez wazeliny - dorzuciłam i choć nie byłam w nastroju do żartów, zachichotałam. - Chodźmy, tu jest przeraźliwie zimno. Guzik mnie obchodzi, czy on jest w środku, czy nie. Chcę zjeść coś wysokokalorycznego.

- Racja - zgodziła się Jen. - Jeśli na pewno tego chcesz. To znaczy, mnie osobiście wizja wsadzenia w tyłek sztucznego członka owiniętego drutem kolczastym skutecznie odstrasza, ale wolę mieć pewność, że i ty jesteś do tego przekonana.

- Jestem - wymamrotałam, coraz głośniejsz szcękając zębami. - Naprawdę nie wiem, jaki koleś ma problem, ale niech się cmoknie.

- No pewnie. - Jen ryknęła śmiechem. - Chodźmy. - Klasnęła w dłonie.

W Mokce go nie było, więc nasza buńczuczna rozmowa stała się nieco jałowa. Złożyliśmy zamówienia i poszliśmy do stolika. Długo zdejmowaliśmy z siebie kolejne warstwy ubrań, a potem ogrzewaliśmy dłonie, przykładając je do kubków. Nadal nie byłam w nastroju do wygłupów, ale siedząc z Jen, nie sposób było zachować powagę.

- No i jak sprawy z tym gościem od pogrzebów? - zapytałam, racząc się cukrową pianką, która powoli roztopiała się w latte o smaku miętowej czekolady. Wciąż dodawali świąteczną łaskę cukrową, choć od Wigili minęło już kilka miesięcy. Kto by się nie skusił?

- Och, stara - powiedziała Jen. - Szaleję za nim.

- To dobrze, nie?

Wymieszała starannie kawę.

- Chyba tak. - Westchnęła. - Wiesz, jak to jest. Podoba ci się koleś. Nawet bardzo. Ty podobasz się jemu. Wszystko się dobrze układa. Pozostaje tylko czekać, aż wszystko się schrzani.

- Przesadzasz. Dlaczego miałyby się schrzanić? - zachnęłam się.

Wzruszyła ramionami.

- Bo zawsze tak jest.

- Nie zawsze - odrzekłam i szybko dodałam: -Przynajmniej tak słyszałam.

- Tak, też tak słyszałam. Miłość jest jak Wielka Stopa. Albo porwania przez obcych. Dużo się słyszy, że inni to przeżyli, ale nie ma na to dowodu. Stara, to jest piekielnie przerażające. - Jen wykrzywiła twarz.

- Tak to jest z miłością - westchnęłam ze smutkiem.

- Och, Emm. Przepraszam. Do dupy, że ten koleś okazał się ostatnim fiutem. - Przyjaciółka ścisnęła moją dłoń. - A przy okazji, ładne masz wdzianko.

- Dzięki za uprzejmą zmianę tematu. - Zerknęłam na bluzeczkę, którą kiedyś upolowałam w ciucholandzie. Miała bufiaste rękawy ciasno ściągnięte w nadgarstku gumką i dopasowaną kokardę zdobiacą dekolte. - Wygląda tak paskudnie, że przecenili ją o pięćdziesiąt procent.

- Kombinacja bluzki z kamizelką. Bardzo stylowe. Zaśmiałam się.

- Do tego kieszenie nie są prawdziwe. Nagle Jen spojrzała przez moje ramię.

- To tyle w kwestii zmiany tematu. Instynktownie wyprostowałam się na krześle i poczułam, jak napinają mi się mięśnie.

- To on, prawda?

Rozległ się dzwonek. Jeszcze nie poczułam, ale już sobie wyobraziłam, jak chłodne powietrze owiewa mój kark. Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Spodziewałam się, że jak zwykle mnie zignoruje. Tym razem nie zamierałam pozwolić, by mu to uszło na sucho, bez śladu poczucia winy.

Johnny zatrzymał się przy naszym stoliku. Kiwnął głową do Jen, a potem spojrzał mi w oczy.

- Emm, mogę z tobą porozmawiać?

Zignorowałam stłumione kwiknięcie Jen i kopniaka, którego wymierzyła mi pod stołem.

Otuliłam dłońmi kubek z kawą i podniosłam na niego wzrok.

- Mówisz do mnie, tak? - zapytałam bez cienia uśmiechu.

Niestety nie sprawiał wrażenia ani zaskoczonego, ani skrępowanego. Jakakolwiek tego rodzaju reakcja ogromnie by mnie ucieszyła, ale on tylko przechylił lekko głowę.

- Na osobności - dodał.

- Teraz spędzam czas z przyjaciółką.

- Właściwie - wtrąciła Jen przepaszająco, choć ani przez chwilę nie uwierzyłam, że jest jej przykro -ja już muszę lecieć. Obiecałam Jaredowi, że do niego zadzwonię.

Posłałam jej pełne złości spojrzenie. Nie było sposobu, by powstrzymać ją od wyjścia; szybko wstała i już wkładała płaszcz.

- Zdrajczyń - burknęłam pod nosem.

- Miło cię widzieć. - Jen pożegnała się z Johnnym. Uśmiechnął się do niej.

- Nie bywasz ostatnio w galerii. Zamurowało ją.

- Ja, hm... - Wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- Za miesiąc albo dwa organizuję wystawę młodych talentów. Przynieś coś swojego.

Jak na zawołanie obydwie pisnęłyśmy z radości. Nasza reakcja nie zaskoczyła Johnny'ego.

Cierpliwie czekał na odpowiedź Jen.

- Dobrze - odparła nieśmiało. Jej uśmiech stawał się coraz większy. - Tak, jasne. Bardzo chętnie!

- Przynieś do mnie prace jeszcze w tym tygodniu. Siedzę w galerii do siódmej.

- Świetnie. - Pokiwała głową i rzuciła w moją stronę podekscytowane spojrzenie. Nie chciałam psuć jej radości swoim wkurwieniem. - Na razie, Emm.

- Do zobaczenia. - Poczekalam, aż odejdzie, i od razu zapytałam: - Co to miało być?

- Co? - Zajął jej miejsce przy stoliku.

Odstawił na bok kubek Jen i oparł dłonie na stole, kierując złączone palce w górę. Nie zawracał sobie głowy zdejmowaniem płaszcza. Zapewne nie planował długo tu zabawić.

- Skąd ty w ogóle wiesz, że Jen jest artystką? - Nie miałam ochoty na więcej kawy i tylko obracałam na prawo i lewo w połowie rozpuszczoną laską cukrową.

Johnny uniósł brwi, a potem wykrzywił usta z lekkim rozbawieniem. Nie cierpiałam tego uśmieszku. Kusilo mnie, by odwzajemnić mu się tym samym, ale się powstrzymałam. Bez słowa wskazał na ścianę kawiarni, na której wisiały obrazy i zdjęcia wystawione na sprzedaż. Kilka z nich było autorstwa Jen.

- Nie sądziłam, że w ogóle zwracasz na to uwagę - rzuciłam oziębło. - A już na pewno nie na Jen.

- Myślisz, że nie znam ludzi, którzy tu przychodzą? - Johnny nie uśmiechał się jeszcze od ucha do ucha, ale było blisko. - Myślisz, że tu przychodzę, wypijam kawę i nie wiem, co się dzieje dokoła?

- Tak właśnie myślę. - Laska z cukru w moich palcach pękła na dwa kawałki, które wpadły do resztek czekoladowej kawy.

- No cóż - westchnął cicho Johnny. - Mylisz się.

Patrzył na mnie spokojnie, a na jego twarzy jaśniał coraz szerszy uśmiech. Przygryzłam mocno wargi, żeby nie ulec jego czarowi i nie odwzajemnić mu się tym samym.

Wtedy poczułam zapach pomarańczy.

Wbrew woli zaczęłam szybko mrugać powiekami. Instynktownie wciągnęłam głęboko powietrze.

Aromat stawał się coraz intensywniejszy. Wstałam od stolika, popychając głośno krzesło.

- Muszę już iść.

- Emm - powiedział Johnny, również wstając. -Zaczekaj.

Nie zaczęłam. Nagle pociemniało mi przed oczami. Gdy się ocknęłam, czułam się, jakbym wy-płynęła z głębin niezmaconego, cichego jeziora. Oddychałam ciężko i głośno.

Nie czułam chłodu. Byłam rozpalona. Stałam w łazience, kurczowo trzymając się porcelanowego zlewu. Pod palcami czułam jego przyjemny chłód.

Z kranu leciała woda. Spociałam się. Gdy dotknęłam językiem wargi, poczułam słone krople potu.

Złapałam w dłonie trochę wody i łapczywie ją wypiałam. Optukałam twarz, nie dbając o to, że zmoczę bluzkę czy spodnie. Spojrzałam na swoje odbicie. Dziś spojrzenie, mokra twarz.

Powoli rozejrzałam się dokoła. Nie było kalendarza, więc nie mogłam ustalić, który to rok, ale zasłona prysznicowa w czerwone, pomarańczowe i żółte figury geometryczne mówiła sama za siebie.

I jeszcze fakt, że zaledwie minutę wcześniej byłam w Mokce, gdzie w mojej głowie kołatała się jedna myśl: *Johnny Dellasandro to arogancki fiut. Pieprzyć go!*

Teraz też rozmyślałam o pieprzonym Johnnym, tyle że w inny sposób. Osuszyłam dłonie brudnym ręcznikiem. Silnym pchnięciem otworzyłam drzwi do sypialni. Johnny, zupełnie nagi, wylegiwał się w łóżku na wymiętej pościeli.

- Cześć, kociaku - powiedział i od razu na mój widok zmarszczył brwi. - Dlaczego się ubrałaś?

Spojrzałam na siebie. -Ja...

- O kurwa. - Roześmiał się. - Sandy się zdrowo wkurzy, że włożyłaś jej ciuchy. Ale kogo to obchodzi? Wyglądasz w tej bluzce lepiej niż ona. Sandy ma za małe cycki.

Nadal byłam wściekła. Oparłam rękę na biodrze. Nie obchodziło mnie, że mam atak i właściwie spieram się sama ze sobą.

- Skąd się wzięły ubrania Sandy w twojej łazience, co? Dlaczego, do cholery, ta suka tu wpada i wypada, jakby była u siebie? Jakbyś do niej należała? A mnie w ogóle nie zauważasz?

Johnny usiadł na łóżku, nie zadając sobie trudu, żeby się przykryć.

- O czym ty mówisz?

Oddychałam ciężko. Zakręciło mi się w głowie i musiałam mocno przytrzymać się drzwi.

- O niej. O Sandy. Twojej żonie. Chyba ją pamiętasz?

- Powiedziałem ci już, że się rozstaliśmy. - Johnny wstał z łóżka i powoli do mnie podszedł.

Ależ miał cudowne ciało. Jego włosy były jak jedwab. Odgarnął je z twarzy i przyciągnął mnie do siebie.

- Nie wściekaj się, kochanie - wyszeptał w moje rozchyłone usta. - Chodź do mnie. Rozbierz się.

Wracaj do łóżka.

Odepchnęłam go z całej siły, aż się lekko zatoczył.

- Nie.

Skrzywił się.

- Rany, co za baby. Który facet, do kurwy nędzy, to wytrzyma? Idzie do łazienki cała w skowronkach, a wychodzi z miną seryjnej zabójczynie.

- Kiedy? - zapytałam.

- Kiedy? Rozstaliśmy się jakiś rok temu.

- Nie. Kiedy poszłam do łazienki? - wydusiłam z siebie. Zaschło mi w gardle.

- Nie wiem. Pięć, dziesięć minut temu?

- Rany boskie! - Swobodnie poruszałam się między rzeczywistością a światem z moich marzeń, światem, który sama zbudowałam, buszując po internecie.

Potykaçąc się, doczłapałam do łazienki. Pochyliłam się nad umywalką. Konwulsyjnie zakasłałam.

Byłam przekonana, że zaraz zwrócę całą miętową latte. Zamknęłam oczy i nie widziałam, jak idzie, ale usłyszałam jego kroki na terakocie. Położył rękę na moim ramieniu. Wciąż nie otwierałam oczu.

Niezdarnie odkręciłam kran i zmoczyłam ręce. Ochlapałam czoło i policzki.

- Co ci jest? - zapytał, głaszcząc mnie po plecach. - Co się dzieje?

- Upał. To przez ten upał - zapewniłam go. Zastanawiałam się, po co go okłamuję.

- Pij, trzeba dużo pić. - Nie przestawał gładzić moich pleców.

Dotyk jego dłoni przyniósł mi ulgę. Mimo to trzymałam się umywalki, aż mdłości minęły. Znow obmyłam twarz i odwróciłam się do niego.

- Co tu się dzieje, Johnny?

- Ale gdzie? - Wyciągnął ręcznik z szuflady i delikatnie wytarł mi twarz. Złapał mnie za podbródek i spojrzał mi w oczy, a potem złożył na moim czole pocałunek. Przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił.

Nie przeszkadzał mi upał ani pot na jego ciele. Przycisnęłam usta do jego torsu. Delektowałam się smakiem soli i seksu.

- Tu. Z nami. Zaśmiał się.

- Nie wiem. A jak byś chciała, żeby było?

- Chcę mieć wszystko, Johnny. - Głos mi się łamał.

- Hej - powiedział czule. - Hej, ciii...

Nie rozplakałam się, ale drżałam ze zdenerwowania. Na pewno myślał, że szlocham. Czułam się rozkosznie w jego objęciach. Przypomniałam sobie podobny moment w jego galerii, ale tutaj wiedzia-

łam, że odwzajemni mój pocałunek.

- O co chodzi? - spytał po chwili.

Powietrze w sypialni stało z gorąca i wilgoci. Ciężko było oddychać, a co dopiero rozmawiać.

- To wszystko nie dzieje się naprawdę.

- Hej! - Odsunął mnie delikatnie od siebie, ale wciąż mocno trzymał za ramię. - Nie mów tak. To jest naprawdę. Ja stoję tu. A ty tu.

- Nie. - Potrząsnęłam głową. Musnęłam palcami jego nagi brzuch. - Ty nie istniejesz naprawdę.

Ani ja. To nie dzieje się naprawdę.

- Co w takim razie dzieje się naprawdę? - Pochylił głowę i uśmiechnął się do mnie niepewnie. - Mnie to się wydaje realne. - Przesunął rękę, by dotknąć moich piersi. - Chyba są prawdziwe. -

Chwycił moją dłoń i przesunął w dół. Poczułam, jak jego członek twardnieje. - To też się dzieje naprawdę.

Próbowałam go odepchnąć albo się od niego odsunąć, ale nie mogłam, bo przyciskał mnie do umywalki.

- Tobie to się może wydawać realne. Problem polega na tym, Johnny że to wszystko dzieje się w mojej głowie. Ja to układam w myślach. Nic tu nie jest prawdziwe. To tylko projekcja w moim mózgu.

Nie roześmiał się. Nie objął mnie ani też nie pozwolił mi odejść.

- Emm, spójrz na mnie.

Spojrzałam. Był taki piękny i młody. Idealnie gładka twarz, bez jednej zmarszczki. Czy to źle, że podziwiałam jego urodę w młodości, zwłaszcza gdy miałam w pamięci jego prawdziwą twarz?

Zmarszczki wokół oczu, siwizna na skroniach. Tak wyglądał prawdziwy Johnny i zachwycił mnie od pierwszego wejrzenia. Nie mogłam jednak zaprzeczyć, że stojący przede mną mężczyzna nadawał się do natychmiastowej konsumpcji.

- Nie rozumiem. Wiem, że nie znamy się długo, ale...

- Nie o to chodzi - potrząsnęłam głową. Włosy miałam spięte skórzaną klamrą, która zaczęła się ześlizgiwać. Zdjęłam ją. - To jest prawdziwe - pokazałam klamrę na dłoni. - Kupiłam ją naprawdę, bo kiedyś mi powiedziałeś, że jest moja, że ją tutaj zostawiłam.

- Tak było? Kiedy? - zapytał wyraźnie zdziwiony.

- Tak powiedziałeś - wyjaśniłam. - Ze należy do mnie i że ją tu zostawiłam. A ja widziałam tę klamrę po raz pierwszy w życiu. Potem zobaczyłam ją w galerii handlowej i od razu kupiłam, ponieważ przypominała mi ciebie. To szaleństwo, Johnny. Chyba zwariowałam.

- Wszyscy w jakimś stopniu jesteśmy wariatami. I tak jest dobrze. - Uśmiechnął się.

Wrzuciłam skórzaną spinę do umywalki. Skóra szybko namokła i pociemniała. Znowu na niego spojrzałam.

- To nie potrwa długo - szepnęłam bez śladu uśmiechu na twarzy.

- Kurwa - zirytował się. - Niektóre rzeczy trwają. Nie kończ czegoś, co się jeszcze nawet nie zaczęło.

- Ale tego wcale nie ma! - wykrzyczałam.

Cofnął się. Jego oczy zamieniły się w szparki; zacisnął pięści. Przygotował się na cios. W końcu był kiedyś mężem Sandy, a ona wyglądała na babkę, która bez wahania przywaliłaby facetowi po jajach. Ja jednak nie należałam do tego rodzaju kobiet.

- Wszystko skończzone - wyszeptalam. - Zresztą nic się nigdy nie zaczęło. Nie rozumiesz tego?

- Nie. Nie rozumiem.

- To się nie dzieje naprawdę. - Machnęłam ręką. - Nas nie ma. Trzęsiesz... trzęsiesz...

Moje ciało się trzęsło, ale nie ze zdenerwowania ani dlatego, że miałam atak, ale tak, jakby niewidzialna ręka popychała mnie w przód i w tył.

- Emm? - zawołał Johnny przestraszonym głosem.

- Trzęsiesz mną! - zawylał ochryple. - Zabierz mnie stąd.
 - Skąd?! - krzyknął Johnny. ~ Rany, Emm, zaraz się zesram ze strachu.
 - Zabierz mnie z tych ciemności. Już wracam. - Przepchnęłam się obok niego. - Odchodzę.
 - Dokąd?! - wrzasnęła za mną. Staralam się iść naprzód spokojnym krokiem. Nie miałam pojęcia dokąd. To nie miało żadnego znaczenia.
 - Kiedy wrócisz? - zawołał. - Emm! Powiedz mi, że wrócisz!
 - Nie wiem - rzuciłam przez ramię, otwierając drzwi sypialni. - Tego nigdy nie wiem.
- I wtedy zaczęłam szybko mrugać oczami. Przez chwilę krawędzie pola widzenia miałam rozmazane. Poczułam, jak ręka Johnny'ego łąduje na moim ramieniu.
- Emm - mówił cicho. - Musisz uwierzyć, że jest mi przykro.

Rozdział 18

- Z jakiego powodu? - zapytałam zupełnie zdezorientowana. Najwyraźniej umknęło mi coś ważnego. Posłałam mu lodowate spojrzenie i cofnęłam rękę.
 - Znowu... - zawahał się przez chwilę - odpłynęłaś, co?
 - To nic takiego. - Uniosłam wyżej podbródek.
 - Bynajmniej - zaproponował, ale zanim zdążył coś dodać, w kieszeni jego płaszcza rozdzwonił się telefon.
- Odebrał, a ja skorzystałam z okazji, by wstać. Gestem poprosił, żebym zaczekała. Chwyciłam płaszc i torebkę. Szybkim krokiem odeszłam od stolika, nie odnosząc nawet tacki z kawą. Niech on to zrobi. Ja musiałam natychmiast wyjść.
- Wracałam do domu. Chłodne powietrze niosło ulgę, choć było tak zimno, że gdy dotarłam do domu, nie czułam własnego nosa. Ani palców u stóp. Niebo pociemniało od ciężkich chmur.
- Nadciągała śnieżycy.
- Zaledwie przekroczyłam próg mieszkania, zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetlił się numer rozmówcy.
- Czego chcesz?
 - Zawsze w ten sposób zaczynasz rozmowę przez telefon? - zapytał Johnny.
 - Tylko kiedy ty dzwonisz - odparłam.
- Roześmiał się. Wkurzało mnie, że stroił sobie żarty z mojej złości!
- Nigdy wcześniej do ciebie nie dzwoniłem.

- Może tym razem również nie powinieneś.

- Emm, przepraszam. Musiałem z tobą porozmawiać.

Przełożyłam aparat z ręki do ręki i zaciskałam pięści, jedną po drugiej, by odzyskać w nich czucie.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego.

- Właściwie to nie wiem. - Włączyłam czajnik, żeby zaparzyć herbatę, ale pomyślałam, że lepsza będzie czekolada na gorąco. Potem, przypomniawszy sobie okoliczności, w jakich ją ostatnio piłam, znów wróciłam do pomysłu herbaty.

- Tamtej nocy wtedy. . postąpiłem źle.

- No jasne, że źle. - Włączyłam palnik, a gdy się wystarczająco rozgrzałam, rozpięłam płaszcz.

- Przepraszam - powiedział Johnny. - Niepotrzebnie pozwoliłem, by sprawy posunęły się tak daleko.

- Co? Powinno ci być przykro, że potraktowałeś mnie jak tanią dziwkę. - Zamilkłam, bo zdałam sobie sprawę, że podświadomie naśladuję jego akcent.

Johnny milczał przez kilka chwil.

-Nie chciałem, żebyś się tak czuła, Emmaline.

Pierwszy raz w życiu tak się do mnie zwrócił, choć już wcześniej słyszałam, jak wymawia moje imię. Uzmysłowiłam sobie, jakie odpały dzieją się w moim mózgu. Wyłączyłam palnik i zaparzyłam w kubku miętę, choć woda w czajniku nawet nie zaczęła się gotować.

-Ale tak właśnie się czułam - powiedziałam.

Westchnął. Jak rozkosznie zabrzmiało to w słuchawce.

- Przepraszam.

- Musisz to jakoś naprawić.

Czasem w rozmowie telefonicznej można odgadnąć wyraz twarzy rozmówcy. Tym razem jednak nie umiałam. Czy się uśmiechnął, a wtedy wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki? A może zmarszczył czoło i między jego brwiami wystąpiła niewielka bruzda, którą miałam ochotę wygładzić palcem? A może patrzył tym szorstkim przenikliwym spojrzeniem, którym nie raz mnie obdarował?

- Jak mogę to naprawić?

- Na początek mógłbyś mnie zaprosić na kolację - rzuciłam zuchwale i lekkomyślnie. Nagle wydało mi się, że wszystko dzieje się zgodnie z jakimś planem. - Lubię włoską kuchnię.

- Kolacja, na początek. A potem?

- Zacznijmy od kolacji. Zobaczymy, może mi przejdzie po dobrym posiłku - odparłam.

W słuchawce rozległ się śmiech tak wyraźny, jakby Johnny stał tuż przede mną.

- O której po ciebie przyjechać?

- O siódmej trzydzieści. Jutro.

- Bądź gotowa - powiedział Johnny.

- To ty bądź gotowy - poprawiłam go. - Gotowy, by mi udowodnić, że nie jesteś dupkiem.

Usłyszałam ciche parsknięcie.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Do zobaczenia jutro, Johnny - powiedziałam i rozłączyłam się, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Pojawił się w moich drzwiach z bukietem kwiatów. Tym właśnie różni się związek z mężczyzną od związku z chłopakiem. To miała być prawdziwa randka, a nie jednorazowy numer. Żadnych browarów ani grillowanych skrzydełek, ani oglądania meczu na wielkim ekranie w lokalnym barze.

Żadnych kumpi, którzy raz po raz zatrzymują się przy naszym stoliku, by poklepać mojego partnera po plecach, a mnie przy okazji pożreć wzrokiem. To miało być coś wyjątkowego.

- Ładnie wyglądasz. - Johnny wręczył mi wiązankę lili i stokrotek. Nigdy nie odważyłabym się zestawić tych kwiatów w jednym bukiecie.

Powąchałam je.

- Dziękuję. Są śliczne. Włóż je tylko do wody i już jestem gotowa do wyjścia.

Wszedł do holu. Gestem zaprosiłam go do kuchni. Zawahał się w progu, a ja powstrzymałam uśmiech. Nalałam wody do wazonu i uciąłem końcówki łądzynek. Gdy osuszałam dłonie papierowym ręcznikiem, spostrzegłam, że wpatruje się w stołek, na którym siedział ostatnim razem.

- Gotowy? - zapytałam.

Spojrzał na mnie i poczułam się, jakby wszystko przewróciło się do góry nogami.

- Nie sądzę - odpowiedział. - Ale mimo to chodźmy.

Zabrał mnie do oddalonej o dwadzieścia minut urokliwej knajpki, o której wiele słyszałam, ale w któ-

rej nigdy nie byłam. Otworzył przede mną drzwi samochodu, potem drzwi restauracji, i wysunął moje krzesło przy stoliku. Traktował mnie jak damę i dla mnie to był największy rarytas wieczoru, a nie przepyszne lasagne polecane przez kelnera.

Sądziłam, że rozmowa nie będzie się kleić. Do tej pory Johnny nie zwykł się chwalić swoją elo-kwencją - przynajmniej w teraźniejszości. Teraz okazało się, że ma dużo do powiedzenia na wiele tematów. Dałam się porwać czarowi jego zniewalającego głosu.

- Niewiele mówisz. - Przerwał, by skosztować wyśmienitego czerwonego wina, które i mnie polecił.

- Słucham ciebie. - Również wzięłam łyk wina, delektując się jego smakiem.

- Jak wino?

- Świetne. Nie przepadam za czerwonym, ale to jest wyborne. - Upiłam następny łyk, potem urwałam kawałek włoskiego chleba i zamoczyłam w przyprawionej oliwie. - Mów dalej.

Przyglądał mi się w milczeniu. Zapalone świece wyczarowały słodki nastrój. W jego włosach i oczach tańczyły złote ogniki. Przypomniały mi atak amnezji, w którym po raz pierwszy zobaczyłam go w blasku słońca.

- O co chodzi? - zapytał Johnny.

- Jesteś - powiedziałam. - Jesteś taki...

- Stary?

- Pst! Nie jesteś stary. Chciałam powiedzieć: przystojny.

Johnny rozsiadł się na krześle, przechylił głowę i lekko wykrzywił kąciaki ust. Dobrze znałam tę minę. Widziałam ją w filmach i na fotografiach. Widziałam ją w swoich fantazjach.

-Jestem stary - powtórzył. W kieszeni jego płaszcza zadzwonił telefon. - Przepraszam.

Zajęłam się jedzeniem. Maczałam kawałki chleba w resztkach oliwy i sosu z lasagne.

Przeżuwałam i przełykałam. Delektowałam się smakiem oliwy z czosnkiem, klnąc jednocześnie w duchu, że nie wzięłam miętowej gumy do żucia. Nie chciałam podsłuchiwać jego rozmowy, ale to było niemożliwe.

- Kochanie, posłuchaj... Nie. Tak, pewnie, że tam będę. Nie przepuściłbym tego. - Johnny zmarszczył brwi. - Już ci mówiłem, ostatnim razem nie dałem rady, ponieważ. . Wiem o tym.

Słuchaj, czy mały się skarżył? Bo rozmawiałem z nim kilka dni temu i zapytałem, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym go zabrał innym razem. Powiedział, że nie ma.. Tak, wiem, może myślał, że nie ma wyboru, aleja na pewno mu tego nie powiedziałem... Kochanie... Wiem... Tak. Przyjadę.

Obiecuję. Czy kiedykolwiek nie dotrzymałem słowa? - Zamilkł. Mocno ściągnął brwi. Starałam się wypłukać winem zapach czosnku, podczas gdy Johnny przecierał oczy rękami. - W ciągu ostatnich dwóch lat? - Cisza. - No, tak myślałem... Ty też nie przypieraj mnie do muru i już. . Tak. Mnie też jest przykro. . Wiem. Porozmawiamy później. -Szybko się rozłączył i schował telefon z powrotem do kieszeni płaszcza. Potem spojrzał na mnie i westchnął: - Przepraszam.

Przetarłam usta serwetką.

- Aha.

Johnny się roześmiał; uwielbiałam ten jego śmiech.

- Czemu tak dziwnie mi się przyglądasz?

- Nie wiesz, że to bardzo niekulturalnie odbierać podczas randki telefon od innej kobiety? -

Nie wiedziałam, skąd się wzięła moja impertynencja, ale gdy tylko otworzyłam usta, słowa same popłynęły.

- Od innej... Och! - Johnny wciąż się śmiał. -Ach, rozumiem. Widziałaś mnie z nią w Mokce.

Oblizalam usta i znów poczułam smak czosnku i oliwy. Oczy Johnny'ego błyszczały w świetle świecy. Patrzył na moje wargi.

- O? - zdziwiłam się. - Czyżbyś sądził, że po tej uwadze twoje maniery stały się lepsze?

- Lubisz mi dawać wycisk, co?

Uśmiechnęłam się i nic nie odpowiedziałam.

-Ona jest moją córką - wyjaśnił Johnny. - Ma na imię Kim.

Przed oczyma mignął mi obrazek niemowlęcia w pieluszcze, od którego czuć było kupą i wymiocinami. -Ale ona...

Jasne, nie była już niemowlęciem. Gdzieś czytałam o jego żonie i dziecku. To by tłumaczyło ich obecność w moich halucynacjach. Nigdy nie łączyłam tego maleństwa z kobietą, z którą spotykał się w kawiarni.

-Wiem - przytaknął Johnny, choć nie miał bladego pojęcia, o co mi chodzi. - Może teraz zrozumiesz, dlaczego zachowywałem się jak.. no cóż, jak skończony dupek.

Nie rozumiałam i chyba miałam to wypisane na twarzy.

- Chodzi o różnicę wieku - powiedział cicho, pochylając się do mnie.

- Znowu to? - Przemknęło mi przez głowę, że moja matka mówiła to samo. Zmarszczyłam brwi.

-Wielu mężczyzn spotyka się z młodszymi kobietami.

- Młodszymi od własnego dziecka? - Johnny ze smutkiem potrząsnął głową. - Kimmy jest od ciebie o kilka lat starsza. Jest jeszcze coś, Emm. Dopiero od niedawna na nowo zacząłem być częścią jej życia. Wścieknie się, jeśli przyprowadzę do domu dziewczynę, która mogłaby być jej młodszą siostrą.

To brzmiało całkiem sensownie, ale na pewno nie dla mnie. Uważałam, że nas ten problem nie dotyczy, chociaż nie miałam pewności dlaczego.

- Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy ona jest mężatką?

- Tak. Ma dzieciaka i wszystko co trzeba. Jestem dziadkiem. - Na jego twarzy zajaśniał szeroki uśmiech. - To fajny chłopak. Ma sześć lat.

- Czy mówiłeś jej, za kogo ma wyjść? Albo komentowałeś wiek jej męża?

Johnny spojrzał mi prosto w oczy.

- Myślisz, że jestem dupkiem. No więc moja córka też tak uważa. Zresztą obie macie powody, żeby tak myśleć.

Pożałowałam, że sprawiłam mu przykrość, choć nadal uważałam, że to, jak mnie potraktował w mojej kuchni, było z jego strony totalnym kurewstwem. Milczałam jednak, pozwalając mu mówić dalej.

- Jej matka i ja rozstaliśmy się, jeszcze zanim Kim przyszła na świat. Oboje byliśmy młodzi i wydawało nam się, że zabawnie będzie się chajtnąć. Kiedy się okazało, że Sandy jest w ciąży, byłem ca-

łym sercem za założeniem rodziny, ale... - wzruszył ramionami - z nią właściwie nie dało się żyć. A ja poznawałem wtedy sporo ludzi, zwłaszcza kobiet...

- Nie musisz wchodzić w szczegóły - powiedziałam. - Znam twoje filmy.

Nie wydawał się ani odrobinę zakłopotany. Przechylił lekko głowę, żeby jeszcze raz dokładnie mi się przyjrzeć.

- Tak. Znasz je.

- To było wieki temu - dodałam pospiesznie. -Myślisz, że ma to dla mnie jakieś znaczenie?

- Kobiety? Nie. Ale fakt, że nie zadbałem o własną córkę tak, jak na to zasługiwała? Albo że zgodziłem się, by jej matka ją zabrała, narażając na wszelkie brudy tego świata, chociaż dobrze wiedziałem, dokąd ją będzie ciągać? - Johnny znowu potrząsnął głową. - Nie, Emm, nic tego nie usprawiedliwia, ani czasy, ani młodość, ani głupota. Teraz próbuję jej to wynagrodzić.

- Właśnie dlatego nie jesteś dupkiem - powiedziałam.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- To nic nie zmienia. Ale właśnie dlatego w twojej kuchni zrobiłem to, co zrobiłem. I dlatego starałem się ciebie unikać.

Dotknęłam jego ręki, a on jej nie cofnął. Chwyciłam ją i spojrzałam na spód jego dłoni. Przesuwałam palcem po limach papilarnych, jakbym przepowiadała jego przyszłość, choć w tej rzeczywistości umiałam tylko patrzeć wstecz, a nie naprzód.

-W takim razie dlaczego tu teraz ze mną jesteś?

Johnny zamknął moją dłoń w swojej i mocno zacisnął.

- Dlatego że dokądkolwiek poszedłem, ty tam byłaś.

- To zabrzmiało, jakbym cię prześladowała jak jakiś niezrównoważony natręt - szepnęłam ochryple.

Jego oczy znów zabłyśły. Głaskał kciukiem wierzch mojej dłoni i poczułam, że wstrząsa mną dreszcz.

-Nie prześladowałaś mnie. Po prostu nie umiałem przed tobą uciec.

- Chciałeś przede mną uciec? - Nie zabolaly mnie te słowa, bo widziałam jego żarliwe spojrzenie. - No.

-Dlaczego, Johnny? Dlaczego chciałeś przede mną uciec?

- Bo mnie wystraszyłaś.

Złapałam go mocno za rękę.

- Nie jestem straszna. Naprawdę, przysięgam. Apodyktyczna, być może...

- Apodyktyczna zdecydowanie. - Odwzajemnił mój uścisk.

- Ja po prostu... Nie potrafię ci tego wytłumaczyć - szepnęłam.

Gwar toczących się wokół nas rozmów, brzęk sztućców - wszystko przypominało mi, że nie jesteśmy sami, lecz ja widziałam tylko twarzy Johnny'ego.

Trzymaliśmy się za ręce jak kochankowie, chociaż nimi nie byliśmy. Nie do końca.

- Masz coś w sobie. Wiem, że już wiele kobiet ci to mówiło...

- Setki, lekko licząc. Wbiłam paznokcie w jego dłoń.

- Ejże!

Roześmiał się i wyswobodził z mojego uścisku. Nasze palce się splotyły. Trochę dziwnie było tak rozciągać ramiona na stole, ale nie chciałam go puścić. Nie teraz, gdy już go miałam. Trzymałam go mocno.

- Nie ma i nie było takiej jak ty, Emm - powiedział Johnny.

Rozdział 19

Wolałam to uznać za komplement, chociaż nie byłam do końca przekonana, że o to mu właśnie chodziło. Przez całą kolację udało mi się nie narobić sobie obciachu, chociaż za każdym razem, gdy przecierał usta, marzyłam, by moja cipka zamieniła się w serwetkę. Chyba niczego się nie domyślał, a nawet jeśli, zupełnie nie dał tego po sobie poznać. Po prostu cały czas mówił.

A potem... zabrał mnie do domu.

Przystanąłam na chwilę w drzwiach w nadziei, że mnie pocałuje. I pocałował. Miętko i słodko, niby w policzek, ale niemal musnął moje wargi. Na języku czułam smak czosnku i oliwy. Mimo to rozchyliłam usta. O sekundę za późno, bo już się zdążył odsunąć.

W chłodnym nocnym powietrzu wyczułam zapach cytrusów.

Instynktownie się cofnęłam.

- Johnny - powiedziałam, ale odpowiedział mi Johnny z przeszłości.

- Tak dobrze, kociaku? - odezwał się swoim dźwięcznym głosem, niskim i aksamitnym.

Odwrociłam się i ujrzałam hol w moim mieszkaniu, a chwilę później leżałam w łóżku Johnny'ego.

- Johnny?

Leżałam zupełnie naga u jego boku. Moje ciało błyszczało od potu. Trzymał rękę między moimi udami i poruszał palcami. Drżałam. Przeszedł mnie rozkoszny dreszcz.

Nagle zamrugłam oczami i ni stąd, ni zowąd uniosłam głowę znad poduch leżących na mojej sofie. Wilgotny ręcznik zsunął mi się z czoła. Po twarzy ciekły mi strużki wody. Miałam mokre włosy.

- Co jest, do cholery?

Johnny chodził po salonie, gryząc kciuk. Kiedy usłyszał mój głos, rzucił się do mnie pędem.

- Jezu Chryste, Emm!

Uklęknął przede mną, chwycił moje ręce i głaskał je nerwowo. Próbowałam usiąść, ale zakazał

mi się ruszać.

- Co się stało? - Miałam wrażenie, że mój żołądek wywraca się na drugą stronę. Czułam mdłości.

Byłam pewna, że znam odpowiedź.

- Odjechałaś.

Dokładnie opisał, jak do tego doszło.

- Co? Na jak... na jak długo? - Dosłownie opadła mi szczęka.

- Piętnaście minut, kurwa mać. - Johnny wstał i po raz kolejny przemierzył pokój, przeczesując nerwowo włosy, które uparcie opadały mu na oczy. - Jeszcze pięć minut i dzwoniłbym po karetkę.

- O rany. - Usiadłam na sofie i ukryłam twarz w dłoniach. Zgięłam się wpół, próbując zwalczyć mdłości.

Usiadł obok mnie i objął mnie ramieniem.

- Cholernie mnie wystraszyłaś, Emm. Jezu.

Po chwili wstał i znów zaczął krążyć.

- Dzwonię po lekarza.

- Nie! - wykrzyknęłam. Johnny się zatrzymał. - Nie. Proszę, nie dzwoń.

Znów usiadł obok mnie i złapał mnie za ręce.

- Emm, muszę. Nagle zupełnie zgasłaś, jakby ktoś cię wyłączył. Potrząsałem tobą i nic. Wołałem cię. I nic. Przez piętnaście pieprzonych minut, Emm. Wystraszyłaś mnie.

Głos mu drżał. Spojrzałam głęboko w jego orzechowe oczy.

- Przepraszam. Ale proszę, Johnny. Nie dzwoń po lekarza.

- Ale jeśli można...

Potrząsnęłam głową.

- Już ci mówiłam. To się ciągnie od lat. Nie ma na to lekarstwa. A jeśli wezwiesz karetkę, zabiorą mnie do szpitala, zrobią badania i znów stracę prawo jazdy. Bez prawa jazdy nie mogę pracować. A jeśli nie będę pracować, nie będzie mnie stać na mieszkanie. Nie będę mogła dłużej tu mieszkać i nie pozostanie mi nic innego, jak wprowadzić się z powrotem do domu rodziców.

- Cii! - powiedział. - Nic takiego się nie stanie. Znowu potrząsnęłam głową, ledwie opanowując łzy.

- Właśnie że tak.

- Będę cię zawoził do pracy.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Nie jesteś nawet... Dlaczego miałbyś to robić?

- Żebyś była bezpieczna - wyjaśnił. - Żeby inni ludzie na drodze byli bezpieczni.

- Nie. Pytam, dlaczego miałbyś się tego podejmować? Dlaczego miałbyś mi pomagać? Byliśmy zaledwie na jednej randce - podkreśliłam. - Nie Uczęc tego, co stało się w kuchni. A wcześniej prawie ze mną nie rozmawiałeś. Właściwie już sobie wyjaśniliśmy dlaczego, ale to nie zmienia faktu, że nie masz żadnego powodu, żeby się ze mną w ten sposób wiązać. Albo cokolwiek mi obiecywać.

- Pytasz, dlaczego miałbym ci pomagać, Emm? - powiedział, po czym odgarnął mi włosy z twarzy. - A dlaczego nie?

- Chcesz mnie wozić do pracy? - prychnęłam i podniosłam się z sofy. - To nie jest pomoc. To opieka.

- A co w tym złego?

Odwrociłam się, żeby widzieć jego twarz.

- Prawie mnie nie znasz.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Jeśli nie pozwolisz mi się odwozić, zadzwonię na pogotowie i powiem im, że straciłaś przytomność. Możesz spróbować zbagatelizować problem, ale po krótkim wywiadzie medycznym wszystkiego się domyśla.

- Nie zrobiłbyś tego. - Łzy ścisnęły mi gardło, Johnny spojrzał na mnie poważnie.

- Zrobiłbym.

- Co za świństwo! - krzyknęłam, jednak zdawałam sobie sprawę, że ma rację. Sprawy zaszły za daleko i nie mogłam dłużej narażać na niebezpieczeństwo siebie, a zwłaszcza innych.

-Wiem. - Chwyił mnie za nadgarstki i przyciągnął do siebie. - Wiem. Przepraszam. Ale nie mam wyboru.

Pozwoliłam, by mnie przytulił, i mimo usilnych starań rozplakałam się. Głaskał mnie po włosach, a na skroni czułam jego oddech. Zamknęłam oczy i wtuliłam się w jego ramiona.

- Ale ty nawet nie... - Dłużej nie oponowałam. Przecież tego pragnęłam. Dlaczego więc tak zaciekle walczyłam?

- Chcę tego.

Wbrew woli przytaknęłam. Policzkami dotykałam jego koszuli. W skórę wbijały mi się guziki.

Odchyliłam głowę, by na niego spojrzeć.

- Johnny?

- Tak, kociaku.

Zmrużyłam oczy, wsłuchując się w to pieszczotliwe i tak dobrze mi znane słowo.

- Dzięki.

Uśmiechnął się i przesunął opuszkami palców po moich brwiach. Otulił moją twarz dłońmi i złożył na moim czole pocałunek.

- Nie ma za co. I tak siedzę w domu, więc co lepszego miałbym do roboty niż zabawa w szofera ładnej dziewczyny?

Znowu nazwał mnie „dziewczyną”, a to, że dodał „ładna”, bynajmniej nie pomogło. Spojrzałam na niego.

- Jestem dla ciebie dziewczyną? Znowu pogłaskał mnie po włosach.

- A tak nie jest?

- Jestem kobietą. Roześmiał się łagodnie.

- Jest jakaś różnica?

Oblizalam usta i poczułam smak łez.

- Chodź na górę, to ci pokażę.

Ujrzałam w jego oczach błysk, który szybko zgasł, zastąpiony sztucznym uśmiechem. Ale nie powiedział nie. Chwyciłam jego rękę i położyłam na swoim biodrze. Przesunęłam na uda, zanim jednak zdążyłam wsunąć ją sobie między nogi, Johnny błyskawicznie cofnął dłoń.

- Emm. Nie rób tego.

Skrzywiłam się.

- Dlaczego? Odniosłam wrażenie, że wtedy w kuchni nie miałeś nic przeciwko.

- Wtedy było. . inaczej.

- Czyli jak? - prowokowałam, - Wprosiłeś się do mnie, wmaszerowałeś do mojej kuchni i zaspokoileś mnie ręką. Jedyne różnica polega na tym, że teraz jesteśmy na randce.

- Należysz do dziewczyn, przepraszam.. kobiet, które pieprzą się na pierwszej randce? - Kiedy był podniecony, jego akcent stawał się silniejszy.

Zaiskrzyło między nami zakurwiście mocno. To nie mogło długo trwać.

- Tylko z tobą.

Jego oczy znów zabłyśły. Przesunął językiem po dolnej wardze. Dosłownie posuwał mnie wzrokiem. Zrobiło się tak gorąco, że niemal czułam na własnym udzie, jak mu stanął. Lecz on potrząsnął głową.

- Może jestem staroświecki.

- Gównie prawda - wymamrotałam, nawet na chwilę nie uciekając przed jego wzrokiem. -

Rznąłeś laski, nie znając nawet ich imion.

- Dawno temu. Wtedy było inaczej. Zresztą to nie jest usprawiedliwienie.

- Mam cię błagać? - dopytywałam się.

- Rany, Emm. Nie.

Zwariowałam na jego punkcie. Byłam roztrzęsiona. Niezaspokojona. Nigdy jeszcze nie błagałam o nic faceta. Nigdy nie chciałam tego robić. Nigdy nie musiałam.

Uklęłam przed nim, policzki przycisnęłam do jego kolan. Położyłam rękę na moich włosach.

Wtuliłam w niego twarz, czułam szorstki materiał jego spodni, - Zrobię to - powiedziałam cicho. - Będę błagać, żebyś pozwolił mi wziąć go do buzi.

Johnny wydał z siebie jęk. Cichy, ale przejmujący, jakby się właśnie pieprzył.

- Będę błagać, żebyś mnie wyruchał - wyszeptalam. Wiedziałam jednak, że mnie słyszy.

Zamknęłam oczy. Nie widziałam go. Nie musiałam. Zaciśnął pięści na moich włosach. - Proszę, Johnny. Zerznij mnie.

Pociągnął mnie do góry. Jedną ręką wciąż ścisnął moje włosy, drugą chwycił mnie za ramię tak mocno, że je posiniaczył. Nie czułam bólu. Rozkoszowałam się jego siłą. Chciałam, żeby zostawił po sobie ślad. Chciałam mieć dowód.

Jego oczy patrzyły dziko, usta zwilgotniały.

- Tego właśnie chcesz?

- Tak! - Pochyliłam się w jego stronę, ale zatrzymał mnie na odległość ramienia. - Pragnę tego.

Pragnęłam od chwili, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy.

Znów stłumił jęk. Wbił we mnie wzrok. Nie uśmiechał się. Przyciągnął mnie bliżej. Wsunął rękę między moje nogi i pocierał cipkę.

Jęczałam z rozkoszy.

Johnny cofnął rękę, ale wciąż stał blisko mnie.

- Idź do łóżka.

- Właśnie próbuję cię tam zaciągnąć. Potrząsnął lekko głową.

- Połóż się do łóżka. Spać. Przed chwilą... Miałaś właśnie...

Wiedziałam, o co mu chodzi, ale nie ruszyłam się.

- Seks nie powoduje ataków. Rozładowanie napięcia wręcz pomaga je powstrzymać.

- Pieprzysz - powiedział Johnny.

- Chciałabym.

Patrzył na mnie zdumiony, po chwili posłał mi karcące spojrzenie.

- Nie zrobię nic, dopóki się porządnie nie wyśpisz i nie pójdziesz do lekarza.

Zatrzepotałam rzęsami.

- Zamierzasz mnie szantażować własnym penisem?

Roześmiał się, trochę zaskoczony własną reakcją.

- Masz idealne usta do obciągania, wiesz? Uśmiechnęłam się.

- Ale tylko tobie.

Przechylił głowę, jakby właśnie coś sobie przypomniał.

- Aha.

- Zabierz mnie do łóżka - wyszeptalam. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Rozboleła mnie głowa, choć nie wyczułam ani śladu pomarańczy. Może byłam po prostu śpiąca, jak zawsze po jedenastej. -

Chodź ze mną. Wystarczy, że ze mną będziesz, dobrze?

Oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na hol.

- Muszę iść.

- A jeśli będę cię potrzebować w nocy? - rzuciłam wyzywająco.

Spojrzał znowu na mnie.

- Myślisz, że będę ci potrzebny?

Pokiwałam głową. Johnny westchnął, spojrzał znów na hol, a potem na mnie. Chwycił mnie za podbródek i mocno przytrzymał. Wbijał we mnie wzrok, a ja zastygłam w oczekiwaniu na pocałunek.

- Przecież chcesz zostać - wyszeptalam. - Pragniesz tego tak samo jak ja. Nieważne, co jeszcze wymyślisz, ale chcesz tu zostać, prawda?

Johnny westchnął.

- Żeby się upewnić, że nic ci nie jest. I nic poza tym.

Złapałam go za ręce i obsypałam je pocałunkami, a potem splotłam nasze palce i ruszyłam wraz z nim w kierunku schodów. Zaprowadziłam go na górę, a potem korytarzem prosto do sypialni, w której jak zwykle panował bałagan, ale w końcu nie spodziewałam się gości. Wyswobodziłam go z uścisku i wtedy zatrzymał się w drzwiach.

- Idę do łazienki - powiedziałam. - Czuj się jak u siebie w domu.

W łazience stanęłam przed lustrem i odetchnęłam z ulgą, widząc, że nie wyglądam najgorzej.

Wprawdzie włosy miałam w nieładzie, a oczy nieco zaczerwienione od łez, ale mój atak nie zostawił

wyraźnych śladów. Kręciłam głową w prawo i w lewo, usiłując ocenić swoją urodę jego oczami, ale potrafiłam dostrzec tylko to co zawsze.

Umyłam się błyskawicznie, wrzuciłam ubrania do brudów i włożyłam luźną koszulkę. Pod gołymi stopami czułam chłód posadzki. W podskokach pokonałam przedpokój i stanęłam w drzwiach sypialni. Johnny spojrzął na mnie, jedną rękę opierał na otwartym numerze „Kinematografii Amerykańskiej”. Tuż obok leżał gruby folder ze zdjęciami, które wydrukowałam z internetu. Głównie fotki z czasów, gdy zajmował się modelingiem, oraz kilka reprodukcji jego obrazów. No i DVD z filmem *Sto księżyców w pełni*, - No tak... - zaczęłam niepewnie - Przysięgam, że ani cię nie prześladowuję, ani nie jestem szurniętą fanką. Naprawdę.

Z trzaskiem zamknął książkę.

- Wiesz, że to wszystko było dawno, dawno temu.

- Wiem. - Podeszłam do łóżka i ściągnęłam narzutę. Potem wślizgnęłam się pod koldrę, krzywiąc się z zimna. Łóżko szybko się ogrzało, ale przeszył mnie dreszcz, gdy coś sobie uświadomiłam. - Nie mam dla ciebie nic do ubrania. Wybacz.

Już zaczynał rozpinąć guziki koszuli, ale się zawahał. - Mogę spać w bokserkach. Nie ma problemu.

Czułam się dziwnie, patrząc, jak się rozbiera. Trochę jakbym oglądała film, a jednak zupełnie inaczej. Obserwowałam jego ruchy, takie same jak w filmach i w marnej jakości klipach w internecie. Takie same jak w moich fantazjach podczas ataków. Wiedziałam, że rozpinając guziki, wykręci nadgarstek.

Johnny zdjął koszulę, rozejrzał się dokoła i rozwiesił ją starannie na oparciu krzesła stojącego przy biurku. Miał gładki tors, niemal pozbawiony włosów. Wciąż wspaniale wyrzeźbiony. Nie był już tak muskularny jak w wieku dwudziestu lat, ale i tak na jego widok ślina ciekła mi z ust. Rozpiął

pasek. Guzik, potem rozporek. Nagle zdałam sobie sprawę, że pochyliłam się w jego stronę i zastygłam w oczekiwaniu, gapiąc się na niego z otwartymi ustami. Ocknęłam się dopiero, gdy przerwał zdejmowanie ciemnych spodni od garnituru.

Zamknęłam usta. Oparłam głowę z powrotem na poduszce. Ukradkiem przetarłam usta, bo byłam niemal pewna, że pociekła mi ślina.

Johnny się nie poruszył.

- Zgaś lampę.

- Co? - Zerknęłam na lampkę na nocnej szafce. - Dlaczego?

- Po co ci tutaj tyle światła?

Sypialnię oświetlała tylko mała nocna lampka, bo gdy byłam w łazience, wyłączył górne światło.

Przyjrzałam mu się badawczo.

- Wiesz co, jak na faceta, który większość zawodowego życia spędził nago, jesteś przeuroczo skromny.

- Aha - odparł. - Byłem młodszy. W pizdu młodszy. Wtedy było inaczej.

Przyzwyczałam się, że to ja wstydę się własnego ciała i martwię dodatkowymi fałdkami tłuszczu i cellulitisem. Mężczyźni, z którymi szłam do łóżka, nigdy się nie przejmowali pryszczami na plecach, owłosionymi dupami ani piwnymi oponkami. Oczarowało mnie jego wahanie, jeśli w ogóle mogłam być jeszcze bardziej oczarowana.

- Zimno tu. Chodź do łóżka. - Głośno poklepałam ręką koldrę.

Marszcząc brwi, zdjął spodnie, a potem skarpety. Być może martwił się upływającym czasem, ale ten niezdarzy taniec wykonał z gracją. Miał na sobie tylko ciemne bokserki. Nie miał ciała dwudziestolatka. Nawet nie trzydziestolatka. Ale nie miało to dla mnie znaczenia, bo to nadal był

Johnny. Wyciągnęłam rękę.

- Chodź.

Wślizgnął się pod koldrę i usiadł, opierając się plecami o poduszki. Nawet na mnie nie spojrzął. Ja jednak na niego patrzyłam. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała w przyspieszonym tempie. Na policzku pojawił się tik.

- Johnny, serio...

- To przez te pieprzone zdjęcia - powiedział porytowany.

Rany, jak ja uwielbiałam ten jego akcent, kiedy się denerwował.

- Co z nimi?

Spojrzął na mnie. W słabym świetle zniknęły zmarszczki w kącikach jego oczu, srebrne nitki we włosach. Wyglądał inaczej. To prawda. Starzej. Ale dla mnie równie dobrze mógłby być Johnnym z przeszłości. Znowu poczułam się dziwnie.

- Byłem zakurwiście młody - szepnął.

Położyłam dłoń na jego ramieniu, a potem zsunęłam ją niżej, by wziąć go za rękę.

-Jesteś piękny. Jesteś jednym z najpiękniejszych mężczyzn na kuli ziemskiej.

Na te słowa skrzywił się lekko.

- Według kolorowych magazynów z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku.

-Wielu ludzi nadal tak uważa - zapewniłam, myśląc o stronach internetowych fanów i blogach.

- Nie obchodzi mnie, co myślą ludzie.

Zakreśliłam opuszką palca kółko na jego nadgarstku i wyczułam pulsowanie tętna.

- Ja tak myślę.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Potem obróciłam się, by zgasić nocną lampkę. Zrobiło się ciemno. Srebrzyste światło księżycy powoli wypełniło sypialnię, tworząc dziwaczne cienie. Johnny przysunął się i objął mnie. Leżeliśmy wtuleni w siebie jak łyżeczki i choć wyobrażałam sobie, że kiedy wreszcie wylądujemy w łóżku, wybierzemy zgoła inną pozycję, przylgnęłam do niego plecami i zapadłam w sen.

A może to wcale nie był sen.

Rozdział 20

Obudziłam się w cudzej pościeli. Usłyszałam szum wody spuszczonej w toalecie, potem kroki bosych stóp i do łóżka, w którym leżałam, wsunął się Johnny. Zupełnie nagi. Tak samo jak ja.

- Nie śpisz? ~ Johnny pogłaskał moje ciało.

Przesunęłam się bliżej niego.

- Nie.

- Znowu myślisz?

- Znowu? - Zaśmiałam się cicho, wtulając się w jego ramiona. - Zawsze myślę.

- O czym ty tak myślisz?

- O tobie - odpowiedziałam. - O mnie. O nas. O wszystkim.

Jego ręka spoczęła na moim brzuchu.

- I co myślisz o nas? O wszystkim?

- Ja tylko... - Westchnęłam. Wsunęłam udo między jego nogi, żeby być bliżej niego. - Nie jestem pewna, jak długo to potrwa.

- Nigdy niczego nie można być pewnym.

- Takie rzeczy się mówi, kiedy chce się komuś pościemniać - powiedziałam.

Johnny się roześmiał.

- To prawda. A co? Chcesz, żeby to się skończyło? My. Wszystko.

- Nie chcę. Ale tak się stanie. To się skończy.

- W talom razie trzeba jak najlepiej wykorzystać ten czas.

Poczułam na udach jego twardniejącego kutasa i mój śmiech zamienił się w westchnienie.

- Chyba nie mamy wyjścia.

Pocałował mnie, a ja zmruryłam oczy. Przesuwałam rękami po jego ciele, po szerokich ramionach, gładkim torsie. Po pośladkach przykrytych miękkim prześcieradłem.

- Johnny?

- Tak, kociaku - usłyszałam głos Johnny'ego z teraźniejszości, który rozpoznałam po bardziej szorstkim brzmieniu.

- Myślałam, że... - Nie chciałam płakać. Nie byłam smutna, ale zabrakło mi tchu w piersiach. - Myślałam, że nie chcesz...

- Emm... - Jego ręce gładziły moje ciało, wślizgnęły się pod luźną koszulkę, by pieścić nagą skórę. - Jak mogłaś pomyśleć, że ja tego nie chcę?

Przesunął się zwinnie, tak że znalazł się nade mną. Ciężar jego ciała wciskał mnie w materac. Chwytał mnie za nadgarstki i zmusił, bym ułożyła ręce nad głową. Nasze palce się spłotły.

Nie mogłam się ruszyć, ale i tak mi się podobało.

Długo się całowaliśmy. Najpierw delikatnie i powoli. Potem mocniej i szybciej, ale nie było jak. Johnny nie całował na odwal się. Pieścił ustami moją twarz, szyję. Puścił moje nadgarstki i zdjął

mi przez głowę koszulkę. Całował moje piersi, ssał delikatnie sutki, aż zabrakło mi tchu. Potem lizał mój brzuch i wreszcie poczułam jego szorstki, kilkudniowy zarost między udami.

Pocałował mnie tam z taką czułością, że aż zaparło mi dech. Położyłam rękę na jego głowie.

Przerwał na chwilę. Łóżko zakołysało się pod nami.

- A więc tak lubisz - mruknął, nie odrywając ust od mojego ciała.

Miał rację.

Kochał się ze mną. Robił to ustami. Językiem i wargami dotykał mojej cipki. Wypinałam biodra, żeby ułatwić mu do niej dostęp. Głaskałam ją czule, raz po raz wsuwając w nią palce.

Wtedy napłynęła pierwsza fala orgazmu. Potem całował mnie w usta i czułam swój własny smak. Przyciągnęłam go do siebie. Dotknęłam przez bokserki jego fiuta, grubego i twardego. Mój rozum otępiał z rozkoszy, mimo to szepnęłam:

- Prezerwatywy w szufladzie.

Zawahał się, potem wsparł się na łokciach i spojrzał mi w twarz. Zaniepokoiłam się, że będzie miał coś przeciw użyciu gumki. Byłabym głęboko rozczarowana, gdybyśmy nie mogli się teraz kochać tylko dlatego, że on odmówi założenia prezerwatywy. Johnny potrząsnął lekko głową i sięgnął do nocnej szafki po pudełko kondomów. Miałam nadzieję, że nie sparciwały ze starości.

Zdjął bokserki i nałożył kondom. Już miał we mnie wejść, ale położyłam dłoń na jego piersi.

- Jesteś pewny? - zapytałam. Johnny mnie pocałował.

- Jestem pewny.

Wtedy we mnie wszedł, cały. Poruszaliśmy się we wspólnym rytmie tak długo, aż doszłam po raz drugi. Tym razem krzyczałam i stękałam z rozkoszy. On szczytował tuż po mnie, powtarzając bez końca moje imię.

Zamknęłam oczy i nie otwierałam ich aż do rana.

- Dzień dobry - powiedział Johnny, stając w drzwiach sypialni, wykąpany i ubrany. Włosy zaczesał do tyłu. Wyglądał świetnie, mimo że się nie ogolił. Był ubrany inaczej niż wczoraj. - O

której musisz wyjść do pracy?

Usiadłam na łóżku, przecierając twarz.

- Muszę tam być na dziewiątą, czyli wychodzę stąd przed ósmą trzydzieści. Ale co ty zrobiłeś?

Byłeś w domu?

- W takim razie czas na śniadanie.

Spojrzałam na niego i roześmiałam się.

- Aha. Czyli wymknąłeś się ode mnie chyłkiem i wróciłeś jak gdyby nigdy nic?

- Niby skąd miałem wziąć ubranie?

- W każdym razie wcześniej wstałeś. Było jeszcze ciemno, gdy zbiegłeś z miejsca zbrodni? -

Znów się roześmiałam i wstałam z łóżka. Nie cofnął się, gdy stanęłam na palcach, by go pocałować. -

Wstydziliście się.

- Zawsze tak wcześniej wstaję.

- Dawniej tak nie było - stwierdziłam. Byłam zaskoczona. Skąd ja właściwie wytrzasnęłam taką odpowiedź?

- Dawniej chodziłem spać dużo później. - Oparł dłonie na moich nagich biodrach. - Chyba powinnaś się ubrać?

- Zrobisz mi śniadanie?

- Nie chcesz tego - roześmiał się. - Zajebicie słaby ze mnie kucharz.

- W takim razie zabierz mnie do Mokki - powiedziałam.

To był test. Byłam pewna, że go obleje. Ale Johnny przytaknął i znów zlustrował mnie wzrokiem.

- No to lepiej się pospiesz. Żebyś się nie spóźniła do pracy.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i umalowałam. Chciałam spać włosy skórzaną kłamrą, którą ostatnio kupiłam, ale nie mogłam jej nigdzie znaleźć. Przeszukałam całą szufladę gumek, spinek i wsuwek. Na próżno.

- Emm! Chodź!

- Idę!

Zaplotłam szybko warkocz i wybiegłam za nim.

Kiedy wchodziliśmy razem do Mokki, czułam się, jakby król i królowa balu maturalnego wchodzili na aulę. Wszyscy na nas patrzyli. Gapili się. Johnny trzymał mnie za rękę. Nasze osłonięte rękawiczkami palce były ciasno splecione.

- Cześć - przywitał się z Carlosem, który nie zdążył jeszcze otworzyć laptopa. - Jak leci?

- Dzień dobry, Carlos - powiedziałam rozpromieniona. Patrzyłam na niego tryumfalnie, nawet trochę złośliwie.

Carlos skinął nam głową.

- Do menu dodali dziś latte z syropem dyniowo-korzennym. Pycha.

- To już wiem, co biorę - odparłam.

Johnny mnie przytulił.

- Ja też.

Potem odwiózł mnie do banku. Na parkingu mnie pocałował i kazał do siebie zadzwonić pół godziny przed wyjściem.

I tak się wszystko zaczęło.

On i ja. My.

Było fajnie. Naprawdę fajnie. Johnny był mężczyzną, a nie chłopakiem, tak jak powiedziałam matce. Robił to, co obiecał. Jeśli powiedział, że przyjedzie odebrać mnie z pracy, nie spóźniał się. Jeśli powiedział, że zabierze mnie gdzieś na obiad, nie musiałam mu o tym przypominać. Ponieważ pracował

w wybranych przez siebie godzinach, był bardziej elastyczny niż ja. Nalegał, żebym albo poszła do lekarza, albo dobrowolnie zrezygnowała z prawa jazdy. Dlatego ulżyło mi, gdy zaproponował, że zostanie moim szoferem.

Cieszyłam się, że nie rozmawiamy o moich napadach amnezji. Czasem łapałam go na tym, że spogląda na mnie z ciekawością, ale nie zwracałam na to uwagi. Mój związek był prawdziwy i było mi w nim dobrze.

Inaczej miały się sprawy z jego córką, Kimmy. Uprzedził mnie, że nie potraktuje mnie zbyt ser-decznie. Była nieodrodną córeczką swojej matki, choć oczywiście tylko sobie wyobrażałam, jaką kobietą była Sandy.

W dniu, kiedy się poznałyśmy, Johnny miał się opiekować wnukiem, Charliem. Chłopiec wparował

do mieszkania prosto w ramiona Johnny'ego, potem wykręcił piruet i równie błyskawicznie pobiegł do salonu z ogromnym telewizorem, żeby pograć na konsoli. Kimmy stała w drzwiach, jakby czekała na zaproszenie. Wiedziałam, że się zgrywa.

- Emm, chcę, żebyś poznała moją córkę, Kimmy. Kimmy; to jest Emm. Opowiadałem ci o niej.

Kimmy zmierzyła mnie wzrokiem. Potem prychnęła i zwróciła się do ojca, kompletnie mnie ignorując: - One są coraz młodsze, tato.

- Może po prostu ty się starzejesz.

To nie była najlepsza riposta, na jaką było mnie stać, ale Kimmy, zamiast od razu dać mi w zęby, uśmiechnęła się.

- Ona umie mówić. Co za niespodzianka.

- Kimmy... - Johnny westchnął, ale nie przeprosił za córkę. - Rany, nie możesz trochę odpuścić?

Cieszyłam się, że nie próbował zrobić z nas najlepszych przyjaciółek. Nie miałam nic przeciw przyjaźni z córką Johnny'ego, którą wciąż widziałam w zarzyganych śpioszkach i śmierdzącej pieluszcze, ale nie zamierzałam włożyć jej w dupę, żeby zbudować sobie pozycję.

- Mój ojciec - wyjaśniła Kimmy - lubi się spotykać z głupimi blondynkami. Naprawdę głupimi.

Głupimi jak but.

- Ja nie jestem blondynką - zauważyłam, powstrzymując się od dodania, że to ona nią jest.

- Ani idiotką - stwierdziła Kimmy niechętnie i znów otaksowała mnie wzrokiem. - Dzieci masz?

- Na litość boską, Kimmy - mruknął Johnny.

- Jeszcze nie - odpowiedziałam. - Martwisz się, że będziesz musiała rywalizować o względy ojczulka?

- Nie - odparta, powstrzymując uśmiech. - Chyba ci nie wspomniał, że już po zawodach w tej kwestii.

Johnny zakrył ręką oczy i jęknął:

- Kurwa mać.

Nigdy nie rozmawialiśmy na tak odległe tematy jak małżeństwo czy dzieci, co nie znaczyło, że o tym nie myślałam.

- Nie wiedziałam, że nie może mieć dzieci.

Kimmy się roześmiała.

- Tato, na Boga, mogłeś ją uprzedzić, że masz już wystarczająco dużo bachorów. Prawda? Czy nie tak powiedziałeś? Na pewno wiesz, że on ma więcej dzieci. Ja jestem najstarsza. Potem jest Mitchell i... jak ma na imię ten ostatni?

- Logan - odpowiedział Johnny.

- Ten przynajmniej jest od ciebie młodszy - zadrwiła Kimmy.

- Wiem, że Johnny ma dzieci.

Z internetu, oczywiście.

Spojrzał na mnie odrobinę zaskoczony, a potem powiedział: - Daj spokój, Kimmy. Już wystarczy.

- Dziadku! - Charlie wbiegł do przedpokoju, wymachując pilotem od konsoli. - To nie działa.

Baterie się wyczerpały.

Johnny spoglądał to na mnie, to na nią i wreszcie uniosł ręce w obronnym geście. - Muszę zająć się małym. Emm, wyrzuć ją na zbity pysk, jeśli będzie za bardzo podskakiwać.

Obaj z Charliem zniknęli w salonie. Uniosłam brwi i spojrzałam Kimmy w oczy.

- Wiesz, Johnny nie jest kością, o którą musimy walczyć. Nie będę stawać między wami ani nic w tym stylu. Mam własnego tatusia, więc naprawdę możesz sobie odpuścić. Wyluzuj.

Ku mojemu zdziwieniu nagle spuściła z tonu. Nawet się zaśmiała.

- Muszę cię ostrzec, w co się pakujesz. Jesteś młoda, Emm. A on jest stary. Ot, cała historia.

- To moja sprawa. Czy tak samo przestrzegałaś jego poprzednie dziewczyny?

Kimmy potrząsnęła głową. - Nie musiałam. Żaden z tych związków nie trwał dłużej niż kilka miesięcy.

- Aha. - Przyglądałam się jej badawczo. - My się spotykamy dopiero od kilku tygodni. Ciekawe, dlaczego traktujesz mnie wyjątkowo.

Spojrzała na mnie surowo.

- Jesteś pierwszą dziewczyną, którą widzi Charlie. Dawno temu zabroniłam mu się obnosić przed dzieckiem ze swoimi kurwami. I nigdy tego nie robił.

Przez chwilę przygryzałam policzki, próbując znaleźć w sobie jakieś resztki współczucia dla tej kobiety. Nie znałam jej matki, ale czytałam o tym, jak wychowywała córkę. Johnny również wspominał o jej dzieciństwie.

- Nie mam zamiaru stawać między Johnnym a Charliem.

- Wiem. W przeszłości mój tata zachowywał się jak dupek, ale ufam mu, jeśli chodzi o moje dziecko. Skoro chce, żebyś poznała Charliego, to znaczy, że jesteś dla niego ważna. - Tu znów mi się przyjrzała. - Naprawdę jesteś inna niż tamte.

Roześmiałam się.

- Potraktuję to jak komplement. Kimmy uśmiechnęła się krótko.

- Powinnaś.

- Nie zamierzam bawić się w twoją macochę. Przewróciła oczami.

- Jeszcze czego. I na miłość boską, mów do mnie Kim.

Roześmiałyśmy się. Z salonu dobiegły nas okrzyki radości. Spojrzała w tę stronę, potem znów na mnie.

- Dobrze się dogaduje z Charliem. Naprawdę. Czasem zazdroszczę swojemu synkowi, że ma taki kontakt z moim tatą, jakiego mnie zabrakło.

- Rozumiem.

Wzruszyła ramionami.

- Jestem dojrzałą kobietą i muszę sobie z tym poradzić. Poza tym mam chwilę spokoju, kiedy tata zajmuje się Charliem.

- To też rozumiem. Pokiwała powoli głową.

- Bylebyś tylko wiedziała, w co się pakujesz.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedziałam, przewracając ostentacyjnie oczami, jak ona chwilę wcześniej. -Ja też jestem dojrzałą kobietą i też sobie radzę.

- Tak. Wiem - zgodziła się.

Spotkanie z Kimmy miałam już z głowy. Następnym problemem byli moi rodzice. Oczywiście musiałam powiedzieć matce, że spotykam się z Johnnym. Mimo że teraz już nie dzwoniła do mnie codziennie, nie było sposobu, by ukryć przed nią mój nowy związek. Ani powodu. Wiedziałam, że martwi ją różnica wieku, ale podejrzewałam, że to raczej ojciec nie zaakceptuje Johnnynego w roli mojego chłopaka. W końcu mogliby być braćmi.

Proszony obiad wydawał mi się fantastycznym pomysłem. Pochwaliłabym się rodzicom nowym mieszkaniem, pokazałabym im, jak świetnie sobie radzę bez nich. No i poznaliby mojego nowego chłopaka. Oraz jego córkę i jej syna. Wszystko za jednym zamachem. Zaprosiłam też Jen i jej chłopaka, Jare-da - byli już oficjalną parą!

- Po jaką cholere wymyśliłam ten obiad? - zawodziłam umazana po łokcie w mące i czekoladzie. Lasagne nie chciało się ściąć, a ciasto czekoladowe opadło od razu po wyjęciu z piekarnika. - Co za koszmar!

- Prawdziwy Sajgon - przedrzeźniał mnie Johnny. Siedział przy wyspie kuchennej i nakładał

na chipsy guacamole domowej roboty.

- Bardzo śmieszne. Przecież Kimmy od razu się zorientuje, że ze mnie beznadziejna kucharka.

Johnny się roześmiał.

- A co cię obchodzi zdanie Kimmy na temat twojego gotowania? Ciesz się, że przychodzi. Gdyby cię nie lubiła, odpowiedziałaby na twoje zaproszenie: pierdol się. To bardziej w jej stylu.

- Prawda. To raczej bezpośrednia dziewczyna, nie? - Wstawiłam półpłynne lasagne z powrotem do pieca i umyłam ręce.

Johnny podszedł do mnie, stanął za moimi plecami i objął mnie, splatając ręce na moim brzuchu.

- Niech ci się nie wydaje, że ja się nie denerwuję przed spotkaniem z twoimi rodzicami.

Wtuliłam się w niego.

- Myślisz, że mój tata będzie chciał skopać ci tyłek?

- Chyba będę musiał mu na to pozwolić, jeśli będzie próbował, prawda? - Johnny pocałował mnie w szyję, wywołując lawinę dreszczy, która przeszła przez moje ciało. - Dla świętego spokoju.

Obróciłam się, by spojrzeć mu w twarz, a potem zarzuciłam mu ramiona na szyję.

- Tata nie będzie zachwycony, ale rodzice na pewno cię polubią.

- Tak myślisz?

Stanęłam na palcach i pocałowałam go w usta.

- Oczywiście. Są dobrymi rodzicami i chcą, żebym była szczęśliwa. To dla nich ważne.

Johnny spojrzał mi w oczy. -A jesteś?

- Szczęśliwa? - Zastanawiałam się, jak mógł pomyśleć inaczej. - Ogromnie.

Już mieliśmy się całować, gdy nagle rozległ się dzwonek. Wyślizgnęłam się z jego objęć, a gdy się odwróciłam, by pójść w stronę drzwi, Johnny klepnął mnie w tyłek. Spojrzałam na niego przez ramię.

Stał w mojej kuchni, swobodny i naturalny, jakby należał do tego miejsca od zawsze. Przez chwilę przyglądałam mu się zdumiona własnym szczęściem, a potem znów zadzwonił dzwonek.

Jen i Jared przybyli pierwsi, zaopatrzeni w bochenek chrupkiego włoskiego pieczywa i butelkę wina. Kimmy i Charlie dojechali kilka minut później. Przynieśli deser i rysunek wykonany osobiście przez Charliego specjalnie na moją lodówkę. Od razu przyczepiłam go na honorowym miejscu magnesem reklamującym miejscową pizzerię. Dostrzegłam błysk zadowolenia w oczach Kimmy.

Charlie nie odstępował dziadka na krok, bez przerwy trajkocząc z niewiarygodną prędkością. Rodzice przyszli ostatni, obciążeni prezentami. Wycalowali mnie i wyściskali. Wstrzymałam oddech, gdy Johnny, wyswobodziwszy się z objęć Charliego, uścisnął dłoń mojego ojca.

- Miło cię poznać - powiedział Johnny bez śladu zdenerwowania, do którego się wcześniej przyznawał.

-Ciebie również - odpowiedział ojciec i zaraz dodał: - No i co z Orłami?

- Oszukali ich - odparł Johnny tonem wskazującym, że wie, o czym mówi. Ucieszyłam się z tego, bo ja nie miałam bladego pojęcia. - Bez dwóch

zdań oszukali.

Reszta potoczyła się sama.

Charlie owinął sobie moją matkę wokół palca, a Kimmy z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów polubiła Jen i Jareda. Po kieliszku wina również i do mnie zapałała sympatią. Tata i Johnny rozmawiali o sporcie i polityce, czyli o sprawach, które łatwo prowadzą do kłótni, jednak oni zdawali się we wszystkim zgadzać.

Lasagne nie wyglądała dobrze, ale smakowała fantastycznie. Siedziałam przy jednym stole z bliskimi mi ludźmi i cieszyłam się w duchu, że zdecydowałam się na ten proszony obiad. Johnny od czasu do czasu obejmował mnie i łapał za rękę. Te sporadyczne, nienachalne gesty czułości dobitnie świadczyły o tym, że jesteśmy parą. I miałam wrażenie, że nikomu to nie przeszkadzało.

- Bardzo miły człowiek - stwierdziła mama, gdy w kuchni wkładałam resztki lasagne do plastikowych pojemników. - Bardzo miły.

- Wiem, mamó. Johnny jest. . wspaniały. - Spojrzałam na nią, słysząc, jak chichocze. - Co?

- Jeszcze nie widziałam cię w talom stanie, Emm.

Wzruszyłam ramionami i zabrałam się do mycia patelni.

- On jest inny.

- Właśnie widzę. Posłuchaj, przyniosłam ci parę rzeczy. Gdzie ojciec położył nasze torby? O, tu są -matka sama odpowiadała na własne pytania. - Proszek do prania, środki do czyszczenia...

- Mamó. Wiesz, że ja umiem pójść do sklepu?

- Wiem, wiem, ale twój ojciec lubi robić zakupy w hurtowni. Dla nas jest tego za dużo, odkąd z nami nie mieszkasz. Spójrz, przyniosłam ci ściereczki nasączone środkiem antybakteryjnym. -

Machnęła nimi w powietrzu.

Z rękoma w pianie odwróciłam się do niej, by popatrzeć na prezent.

- Świetnie. Dzięki.

Ściereczki antybakteryjne o zapachu cytrusów. Tego właśnie było mi trzeba. Cytrusy.

Pomarańcze. Ciemność.

Rozdział 21

- Nie. Nie, nie, nie. - Potknęłam się i zatoczyłam kilka kroków do przodu. Na rękach wciąż miałam pianę. - Do cholery jasnej, tylko nie to!

Ciemność. Zamrugałam nerwowo. Zmrużyłam oczy, dostosowując wzrok do otoczenia. Zapach pomarańczy się ulotnił. W gorącym powietrzu czuć było znajomą mieszkankę chloru i spalin.

Wróciłam do świata, który stworzył dla mnie mój umysł, żebym mogła być bliżej Johnny'ego.

Teraz jednak nie potrzebowałam już tego świata. Bo miałam Johnny'ego naprawdę. W

prawdziwym życiu. Zaciśnęłam zęby, dłonie złożyłam w pięści i ze wszystkich sił skoncentrowałam się na jednym zadaniu: wrócić do prawdziwego świata.

Na próżno.

Stałam przed domem Johnny'ego. Zza rogu dobiegły mnie śmiechy i plusk wody. Imprezka trwała w najlepsze. Pewnie kręcili nowy film. Nie obchodziło mnie to. Chciałam się stąd za wszelką cenę wydostać. Chciałam odzyskać świadomość. W moich czasach.

Ruszyłam w kierunku kuchni. Szukałam tam Johnny'ego, ale zastałam tylko Eda. Siedział roz-party na stole i palił papierosa. Przed nim stała popielniczka pełna petów. I butelka wódki, prawie pusta. A obok niewielka wymięta sakiewka i strzykawka.

- Emm. Emma. Emmaline. Emm - powiedział.

Miał mocno przekrwione oczy, ale jego głos zabrzmiał zaskakująco trzeźwo.

Śmierdziało od niego na kilometr. Skrzywiłam się.

- Ed, gdzie są wszyscy?

- Albo moczą się na golasa w basenie, albo ruchają. - Wzdrygnęłam się, słysząc jego śmiech. -

Albo są na hajku. A gdzie mają być? Tam, gdzie zawsze. Co porabiają? To, co zawsze. Szukasz Johnny'ego, co? Czeka na ciebie.

- Jako to czeka na mnie?

- Mówił, że niedługo przyjdiesz. - Ed machnął papierosem w moją stronę. Dym wgrzyzał się w moje nozdrza. - Johnny mówił, że na ciebie czeka. Że w końcu przyjdiesz. Że zawsze w końcu przychodzisz. Zdaży! się trochę upić, trochę naćpać, ale jeszcze się nie pieprzył. Dlaczego się jeszcze nie pieprzył, Emm? Bo czeka na ciebie.

Otuliłam się ramionami, choć w kuchni było potwornie gorąco, jak zawsze gdy przenosiłam się w to miejsce podczas halucynacji.

- Dzięki za informacje. Gdzie on jest? Na górze?

- Przy basenie. Paul go fotografuje. Gołego - dodał Ed i znów zaniósł się tym rechotem, od którego przechodziły mnie ciarki. - Znowu pokazuje gołą dupę. Tak jak mówiłem. Piją i ćpają.

- Ale się nie pieprzą. Rozumiem. - Odkręciłam zimną wodę w zlewie, wypiłam łączywie kilka łyków i oplukałam twarz.

Wyglądało na to, że będę musiała jakoś przejść przez te omamy. Nawet nie zależało mi na odnalezieniu Johnny'ego. Gdzieś tam w innej rzeczywistości matka opowiadała mi o ściereczkach nasączanych środkiem antybakteryjnym. W takiej sytuacji nie mogłam przecież robić tego, co zwykle robiłam w tym świecie. Zdawałam sobie sprawę, że ona stoi obok mnie i czeka, aż jej odpowiem. Może nawet się niepokoi, woła mnie, potrząsa za ramię. Nie mogłam się pieprzyć z Johnnym przy matce, nawet jeśli jej tu tak naprawdę nie było, zresztą mnie też nie.

-Chcesz wiedzieć, co Johnny o tobie mówi, Emmaline?

Spojrzałam na Eda. Dopiera teraz zauważyłam, że miał przy sobie pióro i oprawiony w skórę notes. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Od natłoku detali mieszało mi się w głowie.

- Co?

- Mówi, że tak naprawdę cię nie ma. Że nie jesteś prawdziwą dziewczyną, tylko wymyśloną.

Może wszyscy tylko wyobraziliśmy sobie twoje istnienie. Jakbyś pochodziła z innego świata. Czy to prawda, Emmaline? Nie jesteś z tego świata?

- Tak, tak, Ed. Jestem z tamtego świata - zapewniłam. Męczyła mnie ta rozmowa. - I bardzo chciałabym do niego wrócić.

Zaniósł się śmiechem, a po chwili jego śmiech zamienił się w kaszel.

-Powodzenia. Wszyscy pragniemy się przenieść na tamten świat. - Jeszcze raz zaciągnął się papierosem.

Oparłam się o kuchenny blat. Z ogrodu dobiegały śmiechy. Najwyraźniej imprezka się rozkręciła. Niezła zabawa. Na pewno lepsza niż ta dziwna i nużąca rozmowa z gościem, który podciął sobie żyły, a potem utopił się w basenie. Tutaj, w tym właśnie domu.

- Twierdzi, że przychodzisz z przyszłości.

- Że co? - Zerwałam się. Poczulałam, jak serce bije mi mocniej. - Johnny tak powiedział?

- Podobno ty mu tak powiedziałaś.

Przetarłam nerwowo oczy.

- To jakieś szaleństwo - szepnęłam. Chodziłam tam i z powrotem, wbijając pięty w podłogę z linoleum.

- Owszem. Johnny też tak mówi. Że nieźle mu odpierdoliło. Że wszystkim odpierdoliło. Że wszyscy wyładujemy w jakimś zasranym wariatkowie.

Wszyscy. Jeśli wierzyć Johnny'emu, twierdzisz, że nas wszystkich wymyśliłaś. Dlatego chciałem cię o coś zapytać, Emmaline. Skoro to ty mnie wymyśliłaś, może mi wyjaśnisz, dlaczego taki ze mnie świr?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Czy skłamałabym, przyznając mu rację? Co by się stało, gdyby postacie z halucynacji dowiedziały się, że są tylko wytworem wyobraźni?

- Chcę wiedzieć, czy to się dzieje naprawdę? - Ed pociągnął łyk wódki z butelki i przez chwilę obracał w palcach strzykawkę, ale dzięki Bogu nie zdecydował się jej użyć. - Powiedz mi tylko, czy ja istnieję naprawdę. Czy nie istnieję?

- Ty... istniejesz naprawdę - zawahałam się. - To znaczy, ty jesteś prawdziwym człowiekiem, Ed, ale to nie dzieje się naprawdę. To wszystko dzieje się w mojej głowie. W rzeczywistości rozmowa między nami nie ma miejsca.

- To dziś jest ta noc. - Ed wysunął podbródek i mętłym wzrokiem wpatrywał się w kalendarz.

- Jaka znów noc?

- Zacznę istnieć naprawdę. - Kiwał głową, jakby dokładnie rozumiał te słowa, choć dla mnie nie miały najmniejszego sensu. Znów napił się wódki, ale tym razem opróżnił butelkę do dna. -

Kogo zatem mam winić za to gówno?

-Nie wiem. Mnie? - Przcisnęłam dłonie do piersi. - Możesz zwalić winę na mnie.

Popatrzył na mnie rozkojarzonym wzrokiem i wykrzywił usta w uśmiechu.

-Dobry pomysł. Ale nie zrobię tego. Wiesz, że napisałem o tobie wiersz?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie. Nie wiem.

- Poważnie. - Otworzył notes, odchrząknął i odczytał na głos.

Pośród nocy stąpa

Piękność.

Drobne kroki bosych stóp, pantofle rzucone

gdzieś w tyle. Mistrzyni ceremonii, Lolita, przychodzi i odchodzi. Marionetki w teatrze, stworzyła nas i obróci wpył.

W pogoni za marzeniami taką się staje.

Zamienia się w to, co zechce.

Emmaline.

Na poezji znalazłam się chyba jeszcze mniej niż na sztuce, ale na moje ucho ten tekst nie brzmiał

przekonująco. Był pretensjonalny i przesadnie natchniony. Pasowałby raczej do przewrażliwionego chłopca z subkultury gotyckiej, który poprawiając demoniczny makijaż, rozwodziłby się nad ukrytym znaczeniem poezji. Jego współbracia rozpisywali się na jej temat na blogach, cytowali ją, nie mając pojęcia, o co tak naprawdę w niej chodzi.

- Co to za bełkot? - Skrzywiłam się.

- Bełkot? - Ed zdziwił się i jeszcze raz rzucił okiem na notes. - Masz rację. Co za pierdoły.

Przecież nie on to napisał. Ten wiersz powstał w mojej głowie. A ja nie byłam poetką, dlatego wiersz był do dupy. To było sedno sprawy. Byłam mistrzynią ceremonii. A oni marionetkami w moim teatrze. Tworzyłam i obracałam w pył wszystko w tym świecie. I miałam już tego dość.

Pragnęłam wszystko obrócić w pył.

I obróciłam.

Jasne światło. Ściszone głosy. Mrugnęłam. Wykrzywiłam twarz. Coś miękkiego pod głową i coś ostrego, co kłuło mnie w rękę. W drugiej dłoni jakiś ciężar, mocno ściśnięte palce.

- Cześć. - Johnny siedział przy moim łóżku. -Wreszcie się ocknęłaś.

- Co? - Usiłowałam usiąść. Mdliło mnie od zapachu szpitala.

W wierzch dłoni miałam wbity wenflon, stąd klucie. Johnny mnie uciszył. Natychmiast zamilk-

łam i opadłam na poduszkę. Wciąż miałam na sobie sukienkę, którą włożyłam na swój proszony obiad.

Zrozumiałam, że przynajmniej nie byłam tu tak długo, by zdążyli mnie przebrać w szpitalny kitel. Zaschło mi w gardle. Zanim zdążyłam poprosić, Johnny podał mi plastikowy kubek z wodą i słomkę.

Pociągnęłam mały ryk.

- Co się stało? Gdzie są moi rodzice? Gdzie reszta?

- Mama i tata czekają w poczekalni. Inni poszli do domu. Jen chciała zostać w szpitalu, ale przekonałam jej chłopaka, żeby zabrał ją do domu. Zaraz do niej zadzwonię i powiem, że masz się dobrze.

- Cholera - wymamrotałam. - Miałam odjazd, prawda?

- Tak, kochanie.

- Jak długo?

- Jakieś trzy godziny. Ale twoja mama nie czekała tyle, co ja ostatnim razem - zaśmiał się Johnny. -

Już po dziesięciu minutach ambulans był w drodze.

- O Boże - westchnęłam i zasłoniłam twarz ręką z wenflonem. To nie był najlepszy pomysł. Od razu poczułam rozdzierający ból. - Cholera jasna.

- Po prostu odpłynęłaś.

Spojrzałam na niego przez palce.

- Po prostu? Co to za pocieszenie? A może chciałeś w ten sposób podkreślić, że to zawsze lepiej niż paść na ziemię, toczyć pianę z pyska i zsiąść się pod siebie. W takim razie rzeczywiście, po prostu odpłynęłam.

Głos mi się łamał. Johnny pochylił się, żeby mnie pocałować, ale ja odwróciłam twarz w drugą stronę. Pochylił się nade mną mocniej i pocałował mnie w usta, potem w policzek.

- Zrobią ci badania. Zostaniesz tu na noc. - Głaskał moją dłoń.

- O nie - powiedziałam twardo. - Nie ma mowy.

- Emm. - Pogroził mi palcem.

- Nie zostanę tu. Nie pomogą mi tutaj. Dobrze o tym wiesz.

Absolutnie nic nie mógł o tym wiedzieć, bo prawie nie rozmawialiśmy o moich napadach amnezji, ale skwapliwie przytaknął.

- Stracę prawo jazdy - zawodziłam. - Stracę.. do cholery, wszystko!

- Nie wszystko - zapewnił ze spokojem. - Na pewno nie mnie.

I wtedy zupełnie się rozkleiłam. On siedział przy moim boku, cały czas trzymał mnie za rękę i tylko podawał chusteczki. Nie trwało to długo. W takich chwilach starałam się nie trwonić łez.

Kiedy mi przeszło, znów mnie pocałował.

- Jakim cudem pozwolili ci tu wejść? - dotarło do mnie nagle. - A nie mamie i tacie?

- Twoja matka zdecydowała, że to ja powinienem przy tobie czuwać.

W oczach stanęły mi łzy.

- Chrzań się. Robisz sobie ze mnie żarty?

- Nie. - Johnny się uśmiechnął.

- Musiała cię naprawdę polubić - szepnęłam i znów zapłakałam.

Tym razem trwało to trochę dłużej i znów musiał podawać mi chusteczki. Dolał więcej wody do kubka i przystawił mi go do ust, chociaż nie byłam niepełnosprawna. Potem przyniósł z łazienki wilgotny ręcznik i przetarł nim moją twarz.

Zrobili mi serię badań, które przeciągnęły się do późnego wieczora. Pobrali mi sporo krwi.

Zaproponowali tomografię, na którą nie wyraziłam zgody, choć lekarz dyżurny namolnie starał się mnie przekonać do zmiany zdania. Miałam spore doświadczenie w kontaktach z lekarzami.

Wiedziałam, jak działają szpitale. Nie byłam upierdliwą pacjentką, ale raczej nie brakowało mi impertynencji. Aż za dobrze wiedziałam, że badania niczego nie wykażą, lekarze przepiszą mi lekarstwa, przetrzymają dłużej w szpitalu. A z ubezpieczenia pociągną mi tysiące dolarów, które i tak w większości będę musiała zwrócić.

- Chcę wrócić do domu - oświadczyłam lekarzom. - Przeczytajcie sobie moją kartę. To się już zdarzało wcześniej. I na pewno znów się zdarzy.

Jak ja nie cierpiałam przyznawać się do tego publicznie.

- Mam kogoś, kto się mną zaopiekuje - dodałam, wskazując na Johnny'ego, który szybko przytaknął. - Nie będę prowadziła samochodu. I wypiszę się na własne żądanie, jeśli o to wam chodzi.

Lekarz dyżurny, na oko niewiele starszy ode mnie, namyślał się, skubiąc brodę. Potem ze zmęczeniem przetarł oczy i ciężko westchnął.

- Dobrze już, dobrze. Przygotuję wypis. - I oskarżycielsko wymierzył we mnie palec. - Ale jak umrzesz, to cię zabiję.

Parsknęłam śmiechem, choć jeszcze przed chwilą sądziłam, że to niemożliwe.

- Umowa stoi.

Rodzice czekali na nas w korytarzu. Byli zupełnie wyczerpani. Matka była biała jak kreda.

Spodziewałam się, że najpierw mnie ochrzani, potem będzie się upierać, że pojedzie ze mną do domu, albo jeszcze gorzej, każe mi iść do nich. Ona jednak przytuliła mnie mocno. Szybko wypuściła mnie z objęć i spojrzała na Johnny'ego, - Opiekuj się nią - powiedziała.

- Tak, proszę pani. Zaopiekuję się. -1 otulił mnie ramieniem.

Nie mogłam tego tak zostawić. Szczerze mówiąc, nie mogłam uwierzyć w to, co się działo.

Odprowadziłam rodziców do samochodu, który stał niedaleko auta Johnny'ego. Tata usiadł za kierownicą, a John-ny poszedł włączyć silnik, by rozgrzać swój wóz. Zostałyśmy same z mamą.

- Mamo ~ zaczęłam.

- Emmaline - przerwała mi. - Ten mężczyzna. . Twój Johnny...

- Nie mogę uwierzyć, że pozwalasz mi z nim jechać do mojego domu - wypaliłam.

Przytuliła mnie mocno. Bardzo mocno. Ja też objęłam ją ze wszystkich sił.

- Nie mam wyjścia - szepnęła mi do ucha. Potem chwyciła w dłonie moją twarz i długo patrzyła mi w oczy.

- Jak to? - zapytałam.

Potrząsnęła głową, a potem zerknęła na Johnny'ego, który siedział już w samochodzie. Znowu potrząsnęła głową, ściągnęła brwi i spojrzała mi w oczy. Dławił ją szloch, ale próbowała zapanować nad emocjami. Patrzyłam na nią i poczułam, że zbiera mi się na płacz. Powstrzymałam się resztką sił.

Mama mocno ścisnęła rękami moją twarz.

- To dobry człowiek. I chociaż martwię się o ciebie tak bardzo, że odchodzę od zmysłów, jestem pewna, że to on powinien być u twego boku, nie ja. Dlatego zgadzam się, by nam ciebie odebrał. Ale zadzwoń do mnie jutro. Z samego rana! - Pogroziła mi palcem, a potem znowu mnie uścisnęła. - Och, moja mała dziewczynka, to mnie dobija, ale...

- Dzięki, mamo - szepnęłam i przytuliłam się do niej. - Dziękuję ci.

- Zadzwoń do mnie - wypuściła mnie z objęć. - Jutro!

- Zadzwonię.

Pokiwała głową i jeszcze raz mnie przytuliła. Potem wsiadła do samochodu i zatrasnęła drzwi.

Widziałam, że rozmawia z ojcem, ale nie słyszałam, o czym.

Johnny wysiadł z samochodu i szybko go obszedł, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

- Jaki szarmancki - powiedziałam, kiedy usiadł za kierownicą.

Spojrzał na mnie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zostać w szpitalu?

Potrząsnęłam \$ową.

- To w niczym nie pomoże. Zresztą czuję się dobrze. Chcę iść do domu i wreszcie położyć się we własnym łóżku. Wypaść się. Jutro jest sobota. Możemy spać do późna.

Johnny pochylił się, pocałował mnie i czule zmierzwił mi włosy.

Jechaliśmy do domu w milczeniu. Patrzyłam na zasypane śniegiem ulice. Szyby zaparowały od naszych oddechów. Złożyłam ręce na udach i rozmyślałam o napadach amnezji, o Johnnym, tym z przeszłości i tym, który siedział obok mnie. Zastanawiałam się, jak to wszystko się ułoży. Wkurzało mnie, że jestem od niego tak bardzo zależna. Miałam nadzieję, że nie zniszczę tego, co się właśnie między nami zaczęło.

Rozdział 22

W domu Johnny nie odstępował mnie na krok. Nawet gdy brałam prysznic. Nie musiał mi tłumaczyć swoich obaw - że dostanę ataku w kąpielni i się utopię albo że przydarzy mi się coś jeszcze gorszego. Rozumiałam go, dlatego nawet nie próbowałam podjąć erotycznej gry, mimo że staliśmy obok siebie pod jednym strumieniem wody i korzystaliśmy z tej samej gąbki. Potem osuszylałam ciało ręcznikiem, włożyłam na siebie piżamę z grubej flaneli, a on zaprowadził mnie do łóżka, szczerze otulił koldrą i położył się obok.

Leżałam na swojej połówce łóżka, zwrócona do niego plecami, i gapiłam się w mrok wypełniający sypialnię. Nie byłam zmęczona. Już po chwili słyszałam miarowy oddech Johnniego.

Poczułam ciężar jego bezwładnego ciała, gdy pograżył się w głębokim śnie. Wpatrywałam się w światło sączące się przez rolety. Zamrugałam. Temperatura wzrosła. Materac zakolał się pod mną.

Johnny przysunął się do mnie i wtulił w moje plecy. Położył rękę na moim brzuchu. Miałam ochotę się odwrócić i spojrzeć na niego. Chciałam się przekonać, czy to obecny Johnny, czy ten z przeszłości. Czy to był sen, czy kolejny napad amnezji? Czy tylko ze zmęczenia miałam wrażenie, że łóżko się poruszało? Nie odwróciłam się. Nie powiedziałam nic. Johnny leżący obok mnie naprawdę się we mnie wtulał. Czy to była prawda, czy kłamstwo zmyślane przez mój mózg - nieważne. On naprawdę się do mnie tulił.

W poniedziałek jak zwykle poszłam do pracy. Johnny podrzucił mnie do biura. Na parkingu nachylił się nade mną, żeby mnie pocałować, ale ja ledwie musnęłam jego usta. Nie przeciągałam tego pocałunku, jak to robiłam jeszcze w zeszłym tygodniu. Nie chciałam zrzędzić ani się kłócić, ale świadomość, że jestem od niego zależna, doprowadzała mnie do szału. Przecież dopiero co uniezależniłam się od rodziców, a już ktoś musi się mną opiekować.

W banku wykonywałam swoje obowiązki starannie, lecz bez entuzjazmu. Johnny przyjechał po mnie po pracy i gdy wsiadałam do jego wozu, modliłam się w duchu, by nie zauważyli mnie moi współpracownicy. Oczywiście musiałam zgłosić w kadrach, co się wydarzyło, nie dlatego, że takie miałam widzimisię, ale żeby ludzie wiedzieli, co robić, gdyby doszło do podobnego incydentu w pracy. Zapięłam szybko pas bezpieczeństwa, unikając wzroku Johnniego. Przez resztę drogi patrzyłam przez szybę.

Zaparkowaliśmy pod domem i Johnny wszedł ze mną do środka. Odwiesiłam płaszcz na wieszaku.

- Emm... -Johnny nie zdjął nawet płaszcza.

Spojrzałam na niego.

- Tak?

- Chcesz, żebym został? Czy mam iść do siebie?

- Nie. Możesz tu zostać.

- Pomyślałem, że może zjemy kolację gdzieś w mieście. Miałabyś ochotę? Zabiorę cię, gdzie tylko zapragniesz.

Normalnie skakałabym z radości, słysząc taką propozycję, ale teraz tylko zwiesiłam głowę.

- Wolałabym posiedzieć w domu. Pooglądać telewizję.

Johnny włożył ręce do kieszeni.

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, po prostu to powiedz.

- Możesz tu zostać - powtórzyłam.

- Ale czy *chcesz*, żebym został? - zapytał. Wyśmiałabym każdego, kto kiedykolwiek ośmieliłby się powiedzieć albo napisać, że Johnny Dellasandro to ciemniak. Był mądrym człowiekiem. Nie umiałam mu spojrzeć w oczy.

-Możesz tu zostać, jeśli tego chcesz - powiedziałam raz jeszcze. Nic więcej nie mogłam z siebie wydusić. Nie chciałam go okłamywać, ale nie chciałam też ranić jego uczuć.

- Nieee... Pójdę do domu. Muszę załatwić parę spraw - odparł.

Pocałował mnie przed wyjściem. Przynajmniej tyle. Przytulił mnie do siebie i trzymał tak długo, aż wreszcie i ja się do niego przytuliłam, choć zajęło mi to dobrych kilka sekund. Ucałował

mnie w skroń, mocno uściśnął i wyszedł.

Patrzyłam, jak zamyka za sobą drzwi.

Nie byłam zła na Johnniego. Byłam wściekła na siebie. Wreszcie dostałam to, czego chciałam, a teraz ostentacyjnie odpychałam to od siebie. Ale nie umiałam inaczej. Przecież Johnny nie był

wszystkim, czego pragnęłam na tym świecie. Chciałam mieć normalnie funkcjonujący mózg, do jasnej cholery, a nie taki, który bez przerwy się zawieszał, zmieniając mnie w bezbronne dziecko wymagające nieustającej opieki.

Zgodnie z planem umościłam się w łóżku i próbowałam oglądać telewizję. Nie znalazłam nic cie-kawego, co by choć na chwilę przykuło moją uwagę. Wysłałam SMS-a do Jen. Odpowiedziała, że nudzą się w domu z Jaredem, i spytała, czy mam ochotę przyjść i ponudzić się razem z nimi.

Nie miałam ochoty.

Zgasiłam światło i starałam się zasnąć. Samotna i wściekła. Winić za to mogłam tylko siebie.

Johnny nie wycofał się z wrzaskiem, gdy potraktowałam go po chamsku. Ja tak właśnie zareagowałam w podobnej sytuacji, która miała miejsce u niego w domu. Miał w sobie przeogromne pokłady cierpliwości. Odwoził mnie do pracy, przywoził do domu, w milczeniu siedział u mego boku, gdy oglądaliśmy głupie filmy w telewizji. Nawet spał tuż przy mnie w moim łóżku, jakby w ogóle mu nie przeszkadzało, że daję mu w przelocie buziaka i odsuwam się od niego na drugi koniec łóżka.

Zamieniałam się w chodzące nieszczęście, aseksualne i żalodne. Wkurzało mnie to, ale prawda była taka, że nie umiałam sobie z tym poradzić.

Nawet wypadki z Jen niewiele pomogły. Była zupełnie zakręcona na punkcie Jareda, który również wydawał się bardzo zakochany. Oczywiście cieszyłam się jej szczęściem, ale podczas sobotnich poranków w Mokce, gdy nasz dotychczasowy duet zamienił się w kwartet, w ogóle nie dało się rozmawiać o moich problemach.

Carlos od razu coś zwęszył. Pewnego razu zagadnął mnie w Mokce przy barze, gdy Johnny czekał na zewnątrz w samochodzie, a ja wpadłam po dwie kawy na wynos.

- Czyżby czarne chmury spowiły raj?

- O co ci chodzi?

- Twoja skwaszona mina mówi wszystko. Zdobyłaś go i znudził ci się?

Zamurowało mnie. W rękach trzymałam dwa kubki z kawą tak gorącą, że parzyła mnie nawet przez rękawiczki.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą - prychnął.

- To nie ma nic wspólnego z Johnnym - odparłam.

- Doprawdy? Gdybym był na twoim miejscu, dopilnowałbym, żeby on się o tym dowiedział. -

Carlos posłał znaczące spojrzenie w kierunku czekającego w wozie Johnny'ego. - Chodzi o to, że taki gość jak on wcale nie musi znosić takiego gówna, rozumiesz?

Rozumiałam. Kiedy wślizgnęłam się z powrotem do auta i podawałam Johnny'emu kubek z kawą, pocałowałam go mocno. Spojrzał na mnie zaskoczony.

- A to za co?

- Przepraszam - powiedziałam. - Zachowywałam się jak ostatnia sucz.

Roześmiał się.

- Myślę, że miałaś prawo. Zresztą wiedziałem, że ci przejdzie.

Trzeba przyznać, że odpuszczenie grzechów błyskawicznie podnosi winowajcę na duchu, zwłaszcza gdy jest w pełni świadomy swych win.

- Naprawdę? Wiedziałeś?

- Wiedziałem - przytaknął. Zasygnalizował kierunkowskazem, że włącza się do ruchu.

- Skąd? A gdyby się okazało, że na zawsze zostanę supermegasuczą?

Potrząsnął głową i rzucił mi krótkie spojrzenie, odrywając na chwilę wzrok od jezdni.

- Nie było takiej opcji. Mówiłem ci.

Odwrociłam się do niego całym ciałem. Pas mocno wpijał się w moje ramię.

- Ale skąd wiedziałeś? Westchnął.

- Sama mi o tym powiedziałaś, Emmaline.

- Ja? - Zmarszczyłam czoło. - Kiedy?

Johnny zawahał się przez chwilę i zanim odpowiedział, chwycił moją dłoń.

- Pewnego razu, gdy...

- Czy ja mówię w czasie halucynacji? - zapytałam, choć wiedziałam, że czasem to się zdarza.

- Tak - przytaknął po chwili wahania.

- Co jeszcze powiedziałam?

- Nic takiego. Nie martw się, kochanie. Najważniejsze, że czujesz się lepiej.

Nie zasługiwałam na to, by mnie tak łatwo splawić.

- To nie jest dobre usprawiedliwienie, Johnny.

Wjeżdżaliśmy na parking banku spółdzielczego.

Johnny zaciągnął ręczny hamulec i spojrzał na mnie.

- Masz rację. Ale nie ma problemu. Uwierz mi, że nie raz w życiu zachowałem się jak dupek.

Teraz czas na rewanż.

- Kocham cię - wyszeptalam i szybko przykleiłam usta do jego warg, żeby zatuszować zakłopotanie. - To znaczy...

- Ja też cię kocham, Emm - powiedział Johnny.

Tym razem całowałam go długo i namiętnie.

Wsunęłam mu język w usta. Niecierpliwe dłonie zawędrowały pod jego koszulę. Już po chwili zaparowaliśmy szyby.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Nigdy nie chciałam być laską, która się uparczywie dopytuje: „Kochasz mnie? Naprawdę mnie kochasz? Ale tak naprawdę?”. Zabawne, że przy Johnnym w ogóle się tak nie czułam. Choć nasze wzajemne wyznanie odrobinę mnie rozczarowało.

- Naprawdę? - zapytałam w końcu.

- Jeszcze jak. - Złożył pocałunek na moim czole.

Roześmiałam się i pocałowałam go w usta.

- Kocham cię. Kocham, kocham, kocham!

- Zmiataj stąd, zanim się spóźnisz do pracy, rany boskie.

- O! Wreszcie wrócił zrzędlawy dupek, którego poznałam - zażartowałam. - To mi się podoba.

- Lubisz, jak zachowuję się jak zrzędlawy dupek?

- Aha. Coś w stylu pana Darcy'ego. Chmurny i gburny. - Połaskotałam go. Roześmiał się i odsunął ode mnie instynktownie, ale ja szybko złapałam jego szalik i szarpnęłam w swoją stronę, by obsypać Johnny'ego pocałunkami. - Powtórz to.

- Kocham cię - powiedział Johnny.

- Kocham cię - odpowiedziałam i wysiadłam z wozu.

Tej nocy, gdy leżeliśmy w łóżku, już się od niego nie odsuwałam. - Nie przeszkadza ci to, że tak rzadko śpisz u siebie?

Johnny odłożył na bok książkę, zdjął okulary, których nienawidził, a które ja w skrytości traktowałam jak fetysz.

- Nie. Wolałabyś mieszkać u mnie?

- Nie. Nie o to chodzi. - Poglaskałam go po włosach, a potem zmierzwiłam je lekko, próbując sobie przypomnieć, czy były w dotyku takie same jak podczas halucynacji. Jak gruby jedwab. -

Chciałam się tylko upewnić, że ci to nie przeszkadza.

-Wiesz... - Złożył okulary i położył na nocnym stoliku wraz z książką. - Podoba mi się u ciebie.

Całe dni, kiedy jesteś w pracy, spędzam u siebie albo w galerii. Tak jest w porządku.

Dotknęłam jego warg palcami. Gdy je przygryzł, nie cofnęłam ręki.

- Chcę, żeby wszystko się dobrze układało.

- Emm. - Johnny całował moje dłonie. - Mnie jest wszystko jedno. Dopóki jestem w jednym łóżku z tobą, pierdolę, czy jest twoje, czy moje.

- Masz zajebiste usta - mruknęłam pod nosem.

Uśmiechnął się. Pocałowaliśmy się. Potem objęliśmy się mocno, potem jeszcze mocniej. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego przepuściłam tyle cudownych nocy. Dobrze, niech będzie, może tylko siedem, nie więcej, ale to w dalszym ciągu zbyt wiele. Kiedy poczułam jego twardniejącego fiuta między moimi udami, byłam już pewna, że nigdy więcej nie pozwolę sobie na taką niefrasobliwość.

- O, tak przyjemnie - powiedział, gdy złapałam jego członek w dłonie i delikatnie pociągnęłam. -

Jeszcze tak rób.

- Tak? - Uniosłam brew. Ciągnęłam go dalej w tym samym rytmie, aż powieki Johnny'ego stały się ciężkie. - Podoba ci się?

- Jak cholera - powiedział Johnny.

- To przygotuj się na coś więcej.

Uśmiechnęłam się i wsunęłam pod koldrę.

W ciemności szybko odnalazłam jego fiuta ustami. Wzięłam go głęboko do buzi. Ledwie powstrzymałam jęk.

Pod koldrą trochę brakowało mi powietrza, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Czułam, jak moje ciało przechodzi jego zapachem. Cholernie seksownym. Jego członek coraz bardziej twardniał mi w ustach. Smakował seksem. Zaczęłam go zapamiętane ssać, lizać, delikatnie skubać ustami, uważając, żeby nie przygryźć za mocno.

Poruszał miarowo biodrami, wypychając członek głębiej w moje gardło, ale nie za głęboko, żebym się nie zadławiła. Pieściłam dłońmi jego jądra, a potem je wylizyłam. Znowu stłumił przekleństwo, a ja uśmiechnęłam się, nie odrywając warg od jego ciała ani na milimetr. Zsunął ręce, złapał mnie za włosy i znów miałam go w ustach. Przyciągnął mnie lekko do siebie, nadając odpowiedni rytm.

Pozwoliłam mu na to. Lubiałam mieć świadomość, że robię mu dobrze. Sprawiało mi to przyjemność.

Chwilę później poczułam jeszcze większą przyjemność. Wsunęłam rękę między uda i zaczęłam się pieścić. Nasze zapachy zmieszały się w kokonie z pościeli. Niespiesznie głośkałam łechtaczkę długimi, kolistymi ruchami, poddając się rozkoszy, która wypełniała moje ciało.

Zrobiło się gorąco. Ja stałam się gorąca. Bez przerwy przesuwalam wargi wzdłuż jego kutasa, ssa-

łam trochę mocniej żołądz, a potem on wpychał go głębiej w moje usta. Drugą ręką złapałam go za fiuta i przesuwalam nią w tym samym rytmie co ustami. On nadawał tempo, ale trochę się z nim droczyłam, od czasu do czasu zwalniając rytm, mocniej zaciskając palce albo wylizując kutasa językiem. Chciałam mu obciągnąć w nieziemskim stylu. W końcu nie mogłam już dłużej znieść gorąca i przerwałam, żeby odrzucić koldrę.

Poczułam powiew świeżego, ciepłego powietrza. Wtuliłam twarz w jego podbrzusze. Złapał mnie za włosy i pociągnął, żeby uniosła głowę. Spojrzałam na niego z uśmiechem.

Johnny z przeszłości podniósł mnie i wpił się wargami w moje usta. Złapał mnie za piersi i pociągnął lekko za sutki, potem zaczął je lizać i wsunął rękę między moje nogi. Poczułam, że odpływam.

Nie byłam w stanie się ruszyć. Tak bez żadnego ostrzeżenia? Nic? Moje ciało poddało się rozkoszemu atakowi amnezji,

- Johnny...

- Ciii... - szepnęła, nie odrywając ust od moich piersi. Jego palce bawiły się moją łechtaczka, doprowadzając mnie do szaleństwa. Znów wpił się w moje w usta. Całowałałam go bez opamiętania.

Absolutnie nie chciałam tego przerywać, ale coś mi mówiło, że powinnam. Mimo to, gdy mnie pociągnął, bez słowa sprzeciwu usiadłam na nim okrakiem. Przytrzymał mnie mocno za biodra. Gdy włożył we mnie kutasa, nie protestowałam. A kiedy mnie pocałował, z radością oddałam pocałunek.

Johnny z przeszłości.

Johnny z teraźniejszości.

A co za różnica? Żadna, gdy się kochaliśmy. Przeszłość czy teraźniejszość? I tam, i tu smakował, pachniał i brzmiał tak samo.

Wepchnął go jeszcze głębiej. Dotykał palcami mojej łechtaczki i pocierał ją z każdym ruchem, z każdym pchnięciem. Wiedziałam, że jestem bliska orgazmu. Podniecenie zupełnie mnie otępiło. Nie obchodziło mnie już nic oprócz tego, co się ze mną działo.

Przeszłość.

Teraźniejszość.

Odrzuciłam głowę do tyłu. Końcówki włosów muskały plecy. Teraz ja go dosiadałam i dyktowa-

łam tempo. Kołysaliśmy się rytmicznie. Jęczał tak, że wstrząsały mną dreszcze. I wtedy doszłam, drżąc i pojękując z rozkoszy.

Opadłam bez sił. Schowałam twarz w jego ramionach. Czułam jego smak i zapach. Z zamknię-

tymi oczami nie umiałam rozróżnić, czy utknęłam w świecie wyobraźni, czy wróciłam do prawdziwego życia. Gładził mnie ręką po włosach i naciągnął na nas prześcieradło. Wciąż miałam zamknięte oczy i mocno przyciskałam do niego twarz.

- Było wykurwiśeie - odezwał się Johnny.

- Jak zwykle.

- Jak zwykle. - Roześmiał się.

- Posłuchaj, Johnny. - Zlizalam sól z jego skóry, a on drgnął pod wpływem mojego dotyku. -

Dziękuję ci.

- Za co?

- Za to, że mnie kochasz, nawet gdy zachowuję się jak sucz.

Milczał. Oddychaliśmy w tym samym tempie. Klatki piersiowe wznosiły się i opadały we wspólnym rytmie. Johnny bawił się kosmykiem moich włosów.

- Nie jesteś suczą, Emm.

- Po prostu byłam wściekła... Nie na ciebie. Na wszystko. To może się powtórzyć, Johnny.

Ciężko jest żyć, wiedząc, że ma się nierówno pod kopułą.

Zapadła krótka cisza, zanim powiedział:

- Każdy miewa gorsze dni.

- Czy to usprawiedliwia moje fochy? - Zaśmiałam się gorzko.

- Co właściwie chcesz mi powiedzieć? - Pocałował mnie w czoło.

- Chyba chciałabym, żebyś mi wybaczył, gdy znów zachowam się wobec ciebie jak rozwydrzona blondzia.

- Co ty gadasz? Przecież nawet nie jesteś blondynką. - Zaśmiał się i znów pocałował mnie w czoło. - No jasne, Emm. Wybaczę ci.

Jeszcze nie otworzyłam oczu. Czulałam, że odpływam, zasypiam. Czy da się zasnąć w czasie halucynacji? Czy to jest jak sen we śnie?

- Wybaczę ci - powtórzył.

Rozdział 23

Z kimkolwiek się rznąłam poprzedniej nocy, obudziłam się u boku obecnego Johnny'ego.

Znów się kochaliśmy, więc minęło trochę czasu, zanim wreszcie udało mi się wejść pod prysznic, a potem zjeść śniadanie. Tego ranka nie zdążyliśmy do Mokki. Tylko bajgle i kawa przy mojej wyspie kuchennej. Domowa sielanka. Słodka codzienność.

Tego dnia Johnny pracował w galerii do późna, dlatego namówiłam Jen na spotkanie po pracy. Od dawna nie robiłyśmy dziewczynskiego wieczoru. Najpierw wpadliśmy do Arooga's Sports Bar, gdzie kupiliśmy potworne ilości hot wingsów i sześciopak piwa. Gdy dotarliśmy do mnie, zrzuciliśmy buty i przebrałyśmy się w dresy.

-Oto kolejny powód, dla którego zostałyśmy przyjaciółkami. - Wskazałam na jej spodnie w ka-czuszki. - Zawsze jesteś odpowiednio przygotowana.

Jen parsknęła śmiechem.

- Stara, wiesz, jak dawno nie wałęsałam się po domu w ponaciąganych gaciach? Strasznie dawno.

- No coś ty? Ty i Jared nie paradujecie po domu w identycznych gatkach?

- Jeszcze nie ten etap. A ty i Johnny w ogóle wkładacie czasem gatki?

Roześmiałam się głośno. Otworzyłam kubek ze skrzydełkami i postawiłam na stoliku do kawy.

- Czasami tak, ale bardzo rzadko.

- Dobra, dobra. - Jen uśmiechnęła się. - No, dawaj. Wiem, że to trochę obciach, ale chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała. Ze szczegółami!

- Pod warunkiem, że ty zrobisz to samo. - Otworzyłam guinnessa i z przyjemnością przyglądałam się lecącym w górę bąbelkom. - Sprawiedliwość musi być.

- Stara, jestem więcej niż pewna, że szczegóły mojego pożycia nie będą tak ekscytujące.

Wybrałam skrzydełko o smaku wasabi. Już po chwili zlizywałam z palców resztki sosu i patrzyłam na nią znacząco.

- Daj spokój. Jared to superciacho.

- Tak, wiem. Ale daleko mu do Johnny'ego Jebaki Dellasandra. - Jen skubnęła skrzydełko w przyprawie Old Bay.

Przełknęłam i odłożyłam kurczaka na talerz.

- Naprawdę nie jesteś na mnie wkurzona? Wiem, mówiłaś, że nie. Ale... naprawdę?

W jej oczach ujrzałam szczere zdziwienie.

- Do cholery, mówiłam przecież, że nie! Zresztą, Emm, szczerze mówiąc... Dla mnie on był tylko fantazją. Nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Z tobą jest inaczej.

Pomyślałam o moich halucynacjach.

- Dla mnie też jest fantazją.

- Taa...? - W jej głosie pobrzmiwało niedowierzenie. Nic dziwnego. - Może w jakimś sensie tak.

Zaprzagnęłam jej wszystko powiedzieć. Musiałam to komuś wreszcie powiedzieć. Nie chciałam mówić Johnny'emu, że szaleję za jego młodzieńczym wcieleniem. Nie chciałam, żeby pomyślał, że chodzi tylko o jego filmy i fotografie. Musiał wiedzieć, że tu chodzi przede wszystkim o niego, nawet jeśli... jeśli sama nie byłam tego pewna.

- Co jest? - Jen zlizywała sos z palców. - Nie jest... aż tak dobrze? To znaczy... Czy rzeczywistość nie dorównuje fantazjom? Powiedz mi. Złamiesz mi serce, ale powiedz prawdę.

- Nie. Nic z tych rzeczy. Jeśli już, jest lepiej niż w najwspanialszych snach. - Pociągnęłam łyk piwa.

Jen się zaśmiała.

- To chyba dobrze, nie? Ze mną i z Jaredem czasami bywa tak, że nie jestem pewna, czy w ogóle coś z tego wyjdzie, rozumiesz?

- Serio? Dlaczego nie? To znaczy, chyba wiem dlaczego. Na początku człowiek nigdy nie wie na pewno... ale dlaczego nie jesteś pewna?

-Odezwała się mistrzyni trafnej analizy - zauważyła Jen. - Dobra, mów. Co się dzieje? Poważnie.

- Muszę z tobą porozmawiać o tym, co się stało podczas obiadu u mnie w domu - odparłam.

Milczała przez kilka chwil. Pociągnęła spory łyk piwa i oblizała palce do czysta, zanim sięgnęła po kolejny kawałek kurczaka.

- Twoja mama opowiedziała mi o wypadku. I o atakach.

- Właściwie to nie są klasyczne ataki. Raczej zaniki pamięci, Rodzaj amnezji. Wygląda to tak, jakbym na chwilę odpłynęła gdzieś myślami, i zazwyczaj trwa kilka sekund. Najwyżej minutę. Nigdy nie miałam tak długiego napadu.

Kiwała głową, starannie odrywając kawałek mięsa od kostki.

- Twoja mama mówiła, że od kilku lat był spokój. I że ten incydent podczas obiadu wszystkich zaskoczył. Przykro mi, Emm. Nieżył syf.

- No. Syf. Wydają mi prawo jazdy pod warunkiem, że w ciągu roku nie przydarzy mi się ani jeden atak. Teraz Johnny zawozi mnie i odbiera z pracy. -Skrzywiłam się. - Szczerze mówiąc, wkurza mnie to. Ucieszyłam się, że wreszcie mogę się wyprowadzić z domu, znaleźć lepszą pracę. .

To koszmar, Jen. Totalny koszmar.

- Jak się teraz czujesz? - dopytywała się z troską.

-Dobrze. - Nie było to kłamstwo. Atak, który przytrafił mi się ostatniej nocy, kiedy robiłam Johnny'emu laskę, nie pozostawił żadnych efektów ubocznych. - Zapisalam się na dodatkowe zabiegi akupunktury. I znów wzięłam się za medytację. To pomaga. Ach, i jeszcze cukier i kofeina.

Też pomagają. Dlatego zjadam tyle czekoladowych ciasteczek i non stop piję kawę.

- Fuksiara. - Jen się uśmiechnęła.

- Mam recepty na leki, ale nie lubię ich łykać, bo po nich czuję się jak na haju. Zresztą i tak prawie na mnie nie działają.

- Nie zasłużyłaś na to. - Obgryzła kolejne skrzydełko i tym razem wytarła palce chusteczką. -

Przykro mi, że musisz przez to przechodzić. Jeśli w czymś mogę pomóc, daj znać. Mogłabym czasem w ciągu tygodnia odbierać cię z pracy.

Nie chciałam płakać, ale słysząc jej propozycję, poczułam, jak w oczach stanęły mi łzy.

- Dzięki serdeczne. Naprawdę nie masz pojęcia, jak nie cierpię o nic prosić.

- Stara, nie ma sprawy - zapewniła i uścisnęła lekko moje ramię.

- Chodzi jeszcze o... Johnny'ego.

- Przeszkadza mu to? - Spojrzała na mnie ze współczuciem. - Chyba nie okazał się ostatnim złamasem?

- Nie. Wręcz przeciwnie. Pod tym względem jest zajebiście fantastyczny. Nawet do przesady. Skoro ciężko mi było prosić ciebie, wyobraź sobie, jak się czuję, kiedy muszę na nim polegać w kwestii dojazdów do pracy, choć on sam to zaproponował. Nawet jeszcze przed tym feralnym obiadem.

Nalegał. - Upiłam łyk piwa. - Wiedział o moich atakach.

Już wcześniej opowiedziałam jej historię z ciasteczkami, ale pominęłam wtedy część, w której ni stąd, ni zowąd wylądowałam nago w holu mojego mieszkania, oraz tę, gdy Johnny przyniósł moje za-gubione ubranie. Teraz szybko dopowiedziałam resztę. Wspomniałam jeszcze o tym, jak pocałowałam go w galerii i jak mnie zapewniał, że nic złego się nie wydarzyło.

Zapadła cisza.

- Niesamowite - powiedziała wreszcie. - Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Wstydziłam się - wydusiłam. - Niektóre sprawy wydawały mi się zbyt intymne. Przepraszam.

Machnęła ręką.

- Nie ma sprawy, stara. Ile razy mam ci to powtarzać? Wprawdzie te wszystkie dykteryjki byłyby dużo pikantniejsze, gdybyś je opowiadała na bieżąco, ale rozumiem, że nie chciałaś tego robić. Czyli on wie dużo na twój temat i wciąż z tobą jest.

- Tak. - Zaczerpnęłam głęboki oddech. - Ale jest jeszcze coś. Coś, o czym nie ma pojęcia.

Uniosła wysoko brwi i pochyliła się do mnie.

- Naprawdę? Co?

Pokiwałam znacząco głową.

- Podczas ataków miewam halucynacje. Bardzo plastyczne. Bardzo prawdziwe.

- Och, stara. - Jen chwyciła kolejne skrzydełko i wbiła we mnie ciekawskie spojrzenie. - Opo-wiadaj.

- Zaraz po wypadku, gdy byłam jeszcze w śpiączce, miałam bardzo intensywne sny. Większość pamiętam do tej pory, mimo że były zupełnie pokręcone. Przypadkowe. Urywane. Śniłam często o Doktorze...

- Zupełnie logiczne. W końcu byłaś w szpitalu. Zaśmiałam się.

- Nie. Nie o lekarzu. O Doktorze Who.

- Who? Od chińskiej medycyny ludowej? - Namyslała się, mocno ścigając brwi.

Znów parsknęłam.

- Doktor Who. Serial science fiction. Puszczał go w telewizji dawno temu. Teraz powstała nowa wersja. On nosił taki długi szalik w prążki. Daleko-wie? TARDIS?

- Och, już wiem, już wiem. Nie oglądałam tego. Czyli śniłaś o Doktorze Who.

- I jego długim prążkowanym szaliku - dodałam. - Nosił czarny długi płaszcz i szalik w paski.

- Ejże! Przecież Johnny chodzi w długim czarnym płaszczu i prążkowanym szaliku! -

wykrzyknęła Jen.

- Tak. Wiem o tym. - Wzniosłam oczy do nieba.

- Uważasz, że zakochałaś się w nim przez te dziecięce sny.

- Nie - potrząsnęłam Sową. - To tylko zbieg okoliczności. Po prostu zapamiętałam te szczegóły z okresu, gdy leżałam w szpitalu. Kiedy mnie wreszcie stamtąd wypuścili, miałam bardzo częste napady amnezji, czasami nawet kilka dziennie. Potem kilka w tygodniu, potem w miesiącu. Często opuszczałam lekcje, dlatego musiałam nadrabiać w czasie wakacji, bo moja mama uparła się, że nie będę powtarzać klasy. Zrobiono mi setki badań, które nic nie wykazały. Przepisano mi lekarstwa, które miały zapobiegać atakom. W końcu nauczyłam się je w pewnym stopniu kontrolować. Umiałam się świetnie kamuflować. Opanowałam sztuczki, które pomagały mi brać udział w konwersacji, nawet gdy jej fragmenty mi umykały.

- Rany, ale syf. - Skrzywiła się.

- No cóż. Mogło być gorzej. Mogłam doznać trwałego uszkodzenia mózgu i jeździć na wózku.

Choć i tak jestem niepełnosprawna. - W moim głosie słychać było nutę gorczy. - Ten wypadek kurewsko skomplikował mi życie.

Wzięła mnie za rękę i mocno trzymała.

-Dzięki. Ale zmierzając do sedna, w miarę upływu lat napadom amnezji zaczęły towarzyszyć halucynacje. Nie sny, bo na ogół były bardzo spójne. Prawie zawsze miałam świadomość, że tak naprawdę wcale nie robię tych rzeczy, które wmawia mi mój mózg. To było bardzo przydatne, bo gdy stałam na środku klasy i nagle przenosiłam się na łąkę pełną kwiatów, gdzie ganiałam za motylami, w rzeczywistości zdawałam sobie sprawę, że mam atak, i mogłam próbować go zwalczyć.

- Umiesz to robić? Wrócić do rzeczywistości?

- Czasami tak. W pewnym sensie. A czasami... -wzruszyłam ramionami, przypomniawszy sobie, jak obudziłam się w szpitalu, a Johnny siedział przy mnie i trzymał mnie za rękę - ...nie.

- Uff. - Jen westchnęła głośno. Patrzyła na mnie ze współczuciem, ale bez przesadnej litości.

- Gdy się tutaj sprowadziłam, już od ponad roku nie miałam ani jednego napadu, a od kilku lat - ani jednego poważnego. A halucynacji nie miałam jeszcze dłużej.

- A teraz?

- Mam halucynacje, w których zawsze jestem z Johnnym.

Czujnie uniosła brwi.

- Czyli co na przykład robicie?

- Pierwsze halucynacje to był totalny chaos. Jechałam pociągiem z *Pociągu potępionych* i byłam księżną czy coś w tym stylu. No i my... wiesz.

- Och, stara, przeleciałaś go w pociągu? Nie pogardziłabym takim snem.

- No! - Uśmiechnęłam się szeroko. - Było super. Nie licząc tego, że miałam atak, było naprawdę świetnie. Ten atak był całkiem znośny. Potem miałam następne. Zupełnie nie przypominały tych, które miewałam w przeszłości. Ale wszystkie były do siebie podobne. Zawsze przenoszę się w lata siedemdziesiąte do domu Johnny'ego. Zazwyczaj jest jakaś imprezka. I zdaje się, że czasem nawet ta sama. Po prostu pojawia się i znikam w różnych momentach, zazwyczaj w odstępie kilku dni albo kilku godzin. I są też inni ludzie. Paul Smiths, Candy Applegate.

- Ożeż kurwa. Ci wszyscy artyści z Enklawy?

- Aha. I Ed D'Onofrio też.

- Ten pisarz? Ten, który umarł?

- Tak. Właśnie ten. - Przypomniałam sobie, że podczas ostatniego ataku, gdy znalazłam się w kuchni młodego Johnny'ego, był tam też Ed, który nie skrywał swoich skłonności do autodestrukcji. -

No i Sandy.

- Jego pierwsza żona?

Skrzywiłam się, jakbym poczuła na języku smak ohydnej potrawy.

- Tak. Ona.

- Występowała z nim w *Stu księżkach wypełni*, nie? To ona? Matka Kimmy?

- Tak. A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że poznałam tych ludzi i fantazjowałam o tym filmie, zanim go w ogóle obejrzałam. Chyba musiałam go jakoś poskładać z urywków artykułów i zdjęć, które widziałam w internecie.

- Może po prostu kiedyś widziałas ten film w telewizji. Tak jak *Pociąg potępionych*. Mogłaś go widzieć dawno temu, ale przypomniałaś sobie o nim dopiero wtedy, kiedy obejrzałyśmy go u mnie.

- Pewnie tak - zgodziłam się, choć to wyjaśnienie nie do końca mnie przekonało. - Chociaż chyba raczej sama poskładałam świat, w którym żył Johnny. Facet, którego znałam z filmów i sesji fotograficznych. Sam seks w najczystszej postaci. No więc podczas halucynacji przenoszę się w tamte czasy, odwiedzam go i... rżniemy się do nieprzytomności.

- I to niby źle? - zarechotała Jen. - To znaczy, nie licząc tego, że masz atak - szybko dodała z poważną miną.

- Te wszystkie fantastyczne erotyczne zabawy dzieją się w mojej głowie. Totalna wolność. Seks, narkotyki i rock and roli. Zupełnie inny świat. I do tego nieprawdziwy. Jeśli już mam być świrem z defektem mózgu, to wybieram zabawy z Johnnym Jebaką Dellasandrem.

- Rozumiem - przytaknęła. Znów w jej głosie dało się słyszeć empatię, lecz nie litość. - Na czym wobec tego polega problem? Domyślam się, że wolałabyś wcale nie mieć tych ataków.

Westchnęłam.

- Być może. W tamtym świecie wszystko jest łatwiejsze. O nic nie muszę się martwić, i jeszcze mam Johnny'ego.

- Ale masz go też w prawdziwym świecie - zauważyła.

- Nie wspominałam mu o tych halucynacjach. Nie chcę, żeby sobie pomyślał, że chodzi o jego filmy, sesje zdjęciowe czy cokolwiek, co po sobie zostawił, rozumiesz? Kocham obecnego Johnny'ego - powiedziałam twardo. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czy to tak bardzo źle, że lecisz na niego między innymi za to, kim był? - zapytała Jen. - Podziw dla jego dokonań to w końcu nic złego. Przecież on się nie wstydzi tego, co robił. Po prostu poszedł do przodu.

- Chyba masz rację. - Nie umiałam wyjaśnić, dlaczego to wszystko zdawało mi się takie zagmatwane. - Może właśnie powinnam mu powiedzieć, że w czasie każdego ataku przenoszę się w czasy, gdy nosił pekaesy i długie pióra, i pieprzę się z nim do utraty tchu. I przy okazji, że to mnie podnieca.

Cholemie podnieca.

Zachichotała.

- No właśnie. Jeśli tylko tak samo podniecasz się w rzeczywistości.

- Jasne. Podniecenie jest tak samo silne. Tylko trochę inne. Jakby nierzeczywiste. Czyli, twoim zdaniem, nie powinnam mu nic mówić?

- Nie wiem, czy powinnaś to przed nim ukrywać, ale z drugiej strony nie jestem przekonana, że należy mu o tym powiedzieć. Powiedziałaabyś mu, gdyby fantazje dotyczyły czegoś innego?

- Może. Może nie. Na pewno nie, gdyby były równie wyuzdane jak te z nim.

- Myślisz, że... co? Stałby się zazdrosny o samego siebie?

Parsknęłam.

- Może. Albo czułby się z tym dziwnie. Ale nie zawsze dochodzi do seksu. Podczas ostatniego ataku odbyłam dziwaczną rozmowę z Edem D'Onofrio i powiem ci, że to było cholernie gówniane, a nie erotyczne doświadczenie. Wiem, że to geniusz swoich czasów i tak dalej, ale od jego poezji można sfiksować. A na dodatek napisał wiersz o mnie.

- Straszne!

- Mówię ci. Sama rozumiesz, że nie chcę opowiadać Johnny'emu takich rzeczy. To jest obciach i ohyda w jednym. Wystarczy, że musi znosić moje ataki i wozić mnie po całym mieście. Wolę mu nie mówić, że mój mózg wymyśla gówniane historie o nim i jego starych przyjaciółach. To mi się wydaje pochranione. To jest pochranione - dodałam łamiącym się głosem. - Czuję się jak natręt, jak stuknięty prześladowca.

- Którym przecież nie jesteś. Ani trochę! - Jen wzniosła oczy do nieba.

- I to wszystko twoja wina.

Roześmiała się. Potem wlała resztki piwa do gardła i odstawiła butelkę.

- Tak. Tak. Zaraziłam cię johnnytyzmem. Chcesz lekarstwo, zdiro? Założę się, że nie.

Wybuchnęliśmy gromkim śmiechem. Spadł mi ciężar z serca, gdy wreszcie wyrzuciłam to z siebie.

- Nie sądzisz, że to wszystko jest chore? Te moje fantazje? One wcale nie świadczą o tym, że nie jestem z nim szczęśliwa tu i teraz. Z prawdziwym Johnnym. To jest po prostu najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek udało mi się wymyślić.

- Gdybyś próbowała spędzić w tym świecie każdą wolną chwilę, wtedy bym się o ciebie martwiła.

Ale ty tego nie chcesz. Nie wymuszasz tych ataków, one się po prostu zdarzają?

- Aha. Powstrzymałabym je, gdybym tylko wiedziała jak. Nawet kosztem tej sprośnej pornografii rodem z lat siedemdziesiątych.

- Mówiłaś, że potrafisz odróżnić zwykły sen od ataku, tak?

Zlizalam sos ze skrzydełka, przełknęłam i odparłam: - Aha.

- Próbowалаś kiedykolwiek sterować swoimi halucynacjami? Tak jak snem? Niektórzy ludzie potrafią to robić.

Myślałam już o tym.

- Nie. Zazwyczaj wiem, że mam atak, ale nie próbuję sprowokować zdarzeń. Co by to mogło dobrego przynieść?

Jen spojrzała na mnie z powagą i pochyliła się do mnie.

- Gdybyś się nauczyła kontrolować to, co się dzieje podczas ataku, może mogłabyś opanować sztukę wybudzania się na własne życzenie. Gdybyś umiała kontrolować zdarzenia, może mogłabyś je zmienić albo zakończyć, kiedy zechcesz, zamiast czekać, aż atak minie.

- Tak myślisz? - Ja również lekko się nachyliłam. - Skąd wytrasnęłaś ten pomysł? Choruję przez większość życia i nigdy na to nie wpadłam.

Jen rozczapierzyła dłonie i zahukała złowieszczo.

- Drzemią we mnie mroczne siły. Rzuciłam w nią poduszką.

- To się może udać. Jak myślisz, uda się?

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać - oznajmiła.

Rozdział 24

- Czuję się idiotycznie.

Siedziałam na łóżku podparta miękkimi poduchami i okryta ręcznie dzierganą narzutą.

Zapaliliśmy świece i włączyliśmy relaksującą muzykę. Zachowywałyśmy się tak, jakbyśmy chciały rzucić urok, z czarować mój mózg.

- Ciii! Nigdy się nie dowiesz, dopóki nie spróbujesz.

- W życiu nie wywołałam żadnego ataku. Raczej usiłuję je zwalczyć niż sprowokować.

Jen siedziała na krześle przy moim łóżku.

- Może to działa jak hipnoza. Siła sugestii i takie tam sprawy. Wspominałaś o medytacji. Wypróbuj ją teraz. Tylko pamiętaj, że kiedy już będziesz miała halucynacje, musisz się skoncentrować na wprowadzaniu zmian, żeby następnym razem wiedzieć, jak się wybudzić na zawołanie. Co ja się, kurwa, tak mądrzę?

- To jakaś paranoja - podsumowałam, ziewając ostentacyjnie.

- Rusz tyłek i bierz się do roboty – ponaglała Jen. - Mogłabym teraz wysłać lubieżne wiadomości do swojego chłopaka. A ja co? Siedzę tutaj i namawiam cię do pogrążenia się w onanistycznej nirwanie.

- Dobra już, dobra.

Mijały minuty. Zachciało mi się spać. Kilka razy ziewnęłam, ale nie zapadłam w drzemkę.

Miałam takie miękkie i wygodne łóżko. Z przyjemnością wyciągnęłam się wśród poduch, by w ciszy i skupieniu wypróbować techniki medytacyjne.

I nagle zerwałam się i usiadłam.

Łóżko Johnny'ego. Z przeszłości. Wymięte prześcieradła. Zapach seksu. Szum wody dobiegający z łazienki.

Wstałam i głośno szepnęłam:

- Jen!

Nie odezwała się. Rozejrzałam się dokoła, by sprawdzić, czy mój mózg także i ją wykreował w mojej fantazji. Nie, nie było jej tutaj. Jeszcze raz wyszeptalam jej imię, ale odpowiedziała mi tylko głucha cisza.

Z łazienki wyszedł Johnny z owiniętym wokół bioder ręcznikiem. Jego naga skóra błyszczała od wody. Gęste lśniące włosy zaczesał do tyłu. Po plecach spływały mu wąskie strużki wody.

- Emm? Mówiłaś coś?

- Nie. Tylko... ile godzin spałam?

- Kilka... - Uśmiechnął się. - Myślałem już, że ominie cię przyjęcie.

- To niemożliwe. W tym domu bez przerwy trwa przyjęcie.

Johnny podszedł do okna, odsunął firankę i zerknął do ogrodu.

- Ale nie takie jak dziś. Zeszło się sporo ludzi. Sami celebryci.

- Powinnam się przejąć?

Spojrzał na mnie pytająco, a potem ściągnął ręcznik i zarzucił na głowę, żeby wytrzeć włosy. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Był taki piękny. Tylko takie dzieła sztuki umiałam docenić.

- Bo ja wiem? - Wzruszył ramionami. - Chyba nie. Mnie to nie obchodzi. Przychodzą wypić moje alko, wypalić moje ziolo. No i ruchać się w moim basenie.

- Po co robisz tyle imprez, jeśli tak naprawdę wcale nie lubisz tych ludzi?

Johnny rzucił na ziemię ręcznik i podszedł do mnie. Przyciągnął mnie pewnym ruchem, spojrzał

na moją koszulkę z filmu *Tańczący z diabłem* i luźne spodnie od dresu. Przez chwilę pocierał kciukiem mój sutek, a potem przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

- A kto powiedział, że ich nie lubię?

Pocałował mnie, a ja rozchyliłam usta. Poczułam jego język na moim. Pamiętałam, że Jen mnie obserwuje, dlatego położyłam palec na jego wargach, by przerwać pieszczoty, zanim mnie na dobre rozpalą.

- Johnny?

- Tak, kochanie?

- Johnny, wiesz, że stać cię na więcej niż te filmy i sesje zdjęciowe, prawda?

Patrzył na mnie zdziwiony.

- Znowu będziesz mnie przekonywać, że powinienem zostać artystą?

- Nie, że powinieneś zostać, ale że jesteś artystą. - Spojrzałam na stos rysunków leżący na nocnym stoliku. - Jesteś naprawdę dobry. Serio.

Wzruszył ramionami i złapał mnie za pośladki. Jego nabrzmiąły członek ocierał się o moje uda.

Nie umiałam nie zwracać na to uwagi.

- Dzięki.

- Mówię poważnie - zapewniłam.

Przysunął się tak blisko, że nasze czoła się stykały. Spojrzał mi głęboko w oczy.

- Emm, Emm, Emmaline.

Uśmiechnęłam się. Przypomniałam sobie, że miałam przecież sterować sytuacją, ale nie bardzo mi to wychodziło. Zarzuciłam mu ręce na szyję.

- Tak, tak, tak.

Wpatrywał się intensywnie w moje oczy.

- Kiedy tak mówisz, to nawet jestem skłonny

uwierzyć.

- To prawda. Masz talent.

Lekko zmrużył oczy.

- Rysowanie nie jest tak łatwe jak aktorstwo. Albo pozowanie do zdjęć.

- Właśnie dlatego warto to robić, prawda?

Zaśmiał się. Nasze ciała poruszały się w takt muzyki dobiegającej z ogrodu. Słyszałam gwar i plusk wody. Balanga nabierała tempa.

- Czy ja wiem? - powiedział Johnny. - Warto robić wiele rzeczy.

- Doprawdy? Na przykład co?

- Być z tobą.

Przytuliłam dłonie do jego twarzy.

- Johnny. Wiesz... że to nie dzieje się naprawdę. Wiesz o tym, prawda? My razem, tutaj. To nie jest prawda.

Potrząsnął głową przecząco.

- Mylisz się. To jest prawda. Ty i ja, Emm. My jesteśmy naprawdę.

Westchnęłam.

- Nie. Nie jesteśmy. To się nie uda. Nie wytrzymam tak dłużej.

- Dlaczego?

To było proste pytanie, ale nie miałam siły, by wykrzesać z siebie sensowną odpowiedź.

Próbowałam, naprawdę próbowałam coś wymyślić, ale Johnny przerwał moje starania długim i namiętym pocałunkiem. Rozumiałam oczywiście, że nie powinnam do tego dopuścić, że powinnam mieć wszystko pod kontrolą. Nie byłam się w stanie skupić.

Zresztą komu zaszkodzi jeden pocałunek? Było tak przyjemnie. Niesamowicie. Nikomu nie wyrządziliśmy tym krzywdy. Bo to nie działo się naprawdę. Przecież w każdej chwili mogłam wrócić.

Prawda?

- Chodź, zejdziemy do ogrodu - wyszeptał, przyciskając usta do moich ust i wciąż pieszcząc moje pośladki. - Będzie fajnie. Sandy nie przyjdzie.

- Lepiej, żeby to była prawda - powiedziałam. Przynajmniej tego dopilnuję. Roześmiał się.

- Nie zwracaj nią sobie głowy. Ona nic dla mnie nie znaczy. Przecież wiesz.

- Tak. Jest tylko jeden drobny szczegół: była twoją żoną i jest matką twojego dziecka. -

Skrzywiłam się.

- Każdy popełnia błędy.

- Ucz się więc na własnych błędach. - Trzepnęłam go w klatkę piersiową. Przycisnęłam dłoń do jego serca. Poczułam, jak bije. Poczułam jego ciepło. Wsłuchałam się w jego oddech. Czułam jego zapach. Zamknęłam oczy. Moje powieki zatrzepotały. Wszystko zdawało się takie prawdziwe. I takie nierealne.

- Muszę już iść - oznajmiłam. Zniknięcie bez pożegnania wydawało mi się wyjątkowo niegrzeczne. Nawet w halucynacjach.

- Nie rób tego.

- Muszę. - Śmiałam się i udawałam, że próbuję się wydostać z jego objęć.

- Nie musisz. Możesz tu ze mną zostać na zawsze.

Trzymał mnie mocno za pośladki. Nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Nagle przeszył mnie lęk.

Johnny patrzył na mnie twardo, zacisnął usta. Nie uśmiechał się ani nie żartował.

- Johnny, przestań. Naprawdę muszę iść.

Potrząsnął głową. - Dlaczego? Dlaczego zawsze musisz gdzieś iść?

Pocałował mnie brutalnie. Nie było w tym śladu czułości, tylko złość. Cofnęłam się.

- Przestań. - Odepchnęłam go.

Tym razem mnie puścił. Przetarł usta wierzchem dłoni. Chwytał dżinsy leżące na krześle i naciągnął je na nagie ciało. Włożył biały podkoszulek, przecesał włosy palcami i związał je z tyłu nad karkiem.

Złożyłam ramiona na piersi i przyglądałam mu się. Byłam na siebie wściekła, bo zachowałam się jak idiotka. Wprosiłam się do tego świata z konkretnym zamiarem, ale nie umiałam nad niczym zapanować. No cóż. Skoro nie byłam w stanie sterować jego zachowaniem, może przynajmniej uda mi się zakończyć tę farsę.

Tyle że... nawet to mi nie wyszło.

Zamknęłam oczy. Po sekundzie je otworzyłam. Johnny wciąż stał przede mną. Spróbowałam jeszcze raz. I... nic.

- Co za gówno - westchnęłam ciężko.

- Tak, niezłe gówno - przyznał Johnny.

- Nie. To nie to... - Potrząsnęłam głową. Nawet jeśli ta scena nie działa się naprawdę, nie chciałam, żeby wiedział, że uważam to wszystko za jedno wielkie gówno.

Co za bzdury.

Johnny znów wyrzął przez okno.

- To przez to gówno na dole?

Mówił tak cicho, że prawie go nie słyszałam. Podeszłam do niego. Pod bosymi stopami czułam drewnianą podłogę. Słyszałam śmiechy i muzykę.

Johnny spojrzał na mnie.

- Czy to dlatego, że banalny ze mnie gość?

- Coś ty? Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć? Jak ja mogłam?

Przecież jeżeli on to powiedział, to znaczyło, że ja tak właśnie myślałam. Przecież ja to wszystko wymyśliłam. Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem.

- Bo się boję, może dlatego?

- Nie wiem, co ci powiedzieć - poruszałam wargami i słowa same się ze mnie wydobywały.

Zamrugalam, potem znów, ale nic się nie zmieniło. Serce waliło mi jak młotem. Tętno przyspieszone i grube krople potu na czole.

- Bo się boję spróbować być kimś więcej niż tylko kolesiem z fotografii? Kolesiem, którego wszyscy chcą wyruchać, ale nikt nie chce pokochać. Piękne oblicze, za którym nic się nie kryje. To dlatego nie jestem dla ciebie prawdziwy?

- Wcale nie miałam tego na myśli. Nie uważam tak. A ja wiem lepiej, Johnny. Znam cię i wiem, kim zostaniesz. Kim jesteś. Kim możesz być. To wszystko... - Emocje ścisnęły mi gardło; emocje, których nawet nie potrafiłam nazwać.

Musiałam natychmiast usiąść, Poczułam się lepiej, gdy przytrzymałam się oparcia krzesła.

Dotknęłam Johnny'ego. Miałam wrażenie, że moja ręka lada moment zacznie się wić wokół jego ciała jak zjawa. Jak duch. Jak fantazja, którą przecież to on był.

Odwrócił się do mnie.

- W takim razie nie odchodź. Zostań na imprezie. Zostań tu ze mną na całą noc. Obudź się przy mnie rano.

- Nie należę do tego świata, Johnny - westchnęłam. - Przepraszam. Ja po prostu... nie mogę.

- Ale przecież coś cię tu trzyma - upierał się. - Coś ci każe tu wracać.

- Tylko zjawy. Tylko sny. To nie dzieje się naprawdę.

- Dla mnie to prawda - wrzasnęła Johnny z taką furią, że cofnęłam się o krok. - Dla mnie to pierdolona prawda, rozumiesz, Emm? To prawda od samego początku. Od dnia, kiedy stanęłaś w drzwiach mojego domu. I za każdym razem, kiedy przychodziłaś, dla mnie to była pierdolona prawda.

I gównu mnie obchodzi, czy jesteś stuknięta. Mam gdzieś, o co w tym chodzi. Po prostu ze mną zostań... proszę.

Wyciągnęłam ręce i pozwoliłam, by chwycił mnie za dłonie i przyciągnął do siebie. Zgodziłam się, by mnie pocałował, czułe i miękko. I poczułam, że świat zakotłosał się pod moimi stopami. Poddałam się temu uczuciu, ale zamiast obudzić się w swoim świecie, poczułam, że grzęznę w tej fantazji coraz głębiej.

- Zrobię, co tylko zechcesz. Skończę z filmami. Skończę z imprezkami. Znajdę normalną pracę, jeśli tylko zechcesz. Włożę gówniany garnitur i krawat, kupię samochód i będę płacił rachunki na czas.

Będę, kimkolwiek zechcesz, Emm. Tylko przestań wciąż znikać z mojego życia, bo to mnie doprowadza do szaleństwa.

- Chcę, żebyś został artystą - odparłam. - Chcę, żebyś został tym, kim ty chcesz być. Tylko tyle chcę. I pragnę być z tobą, Johnny. Ale tutaj to niemożliwe.

- Dlaczego? - zapytał błagalnym tonem.

- Boja nie należę do tego świata. To nie jest mój świat.

Złapał moje piersi i przyszczypnął palcami sutki.

- Dla mnie jesteś prawdziwa. Tu jest twoje miejsce.

Położyłam dłonie na jego rękach.

- Nie. To nie moje miejsce. I cokolwiek jest między nami, źle robię, że wciąż się tu zjawiam.

- Cokolwiek jest między nami? - powtórzył Johnny oschle. - A co, według ciebie, między nami jest?

- Nie wiem.

- A ja wiem. Kocham cię, Emm. I chcę z tobą być.

- Jesteś ze mną. - Łzy popłynęły mi po policzkach i poczułam sól na ustach. - Jesteśmy razem.

Ale nie tutaj. Nie teraz.

- W takim razie kiedy?

- W przyszłości - mówiłam jak obłąkana, ale to go nie zniechęciło. - Jestem z przyszłości. Ja chyba oszalałam. To wszystko powstało w mojej głowie. I ty, i ten świat. Ja was wszystkich wymyśliłam.

- Nieważne. Zostań - nalegał.

Podjęłam kolejną próbę, by wrócić do swojego świata. Bezskutecznie. Staralam się wywołać jakieś zdarzenie. Próbowałam coś zmienić w pokoju. Zamienić grymas na jego twarzy w uśmiech. Ale na to był tylko jeden sposób.

- Zostanę troszkę dłużej - zgodziłam się. - Zejdę na chwilę na dół.

Czy kiedykolwiek wcześniej udało mi się kogoś tak bardzo uszczęśliwić? Johnny mnie przytulił i pocałował. Uśmiechnął się, co z kolei uszczęśliwiło mnie. Wziął mnie za rękę, zesłaliśmy na dół i wyszliśmy do ogrodu. Cały czas mnie przytulał. Nawet kiedy przedstawiał mnie znanym ludziom.

Całował mnie w ich obecności. Podawał mi drinki, które chętnie wypijałam. Po chwili byłam już lekko wstawiona.

Mijały godziny. Zapadła głęboka noc. Impreza stawała się coraz głośniejsza. Widziałam, jak jakaś para pieprzyła się w basenie. Widziałam, jak jacyś ludzie jarali trawę. Widziałam, jak inni dawali sobie w żyłę. Szybko odwróciłam głowę, bo ten widok przerażał mnie i obrzydzał. Wiele widziałam na tej imprezie. Ale przede wszystkim wszędzie widziałam Johnny'ego.

Chyba nigdy wcześniej nie spędziłam tu tylu godzin? Może coś się schrzało. Jeśli tak, to wyłącznie z mojej winy. To ja wymusiłam ten atak. A teraz miałam poważne obawy, że nigdy nie uda mi się stąd wydostać.

Ludzie coś do mnie mówili, a ja im odpowiadałam. Może myśleli, że jestem pijana, bo trochę bełkotałam, trochę się zataczałam. Po drugiej stronie basenu spostrzegam Johnny'ego. Patrzył na mnie z niepokojem. Jakaś młoda dziewczyna o piersiach wielkich jak arbuzy ukrytych w skąpym frotowym topie bez skutku próbowała zwrócić na siebie jego uwagę.

Kształty wokół mnie stały się niewyraźne, rozmyte, jakby lada moment miały zawirować, ale coś im przeszkadzało. Nie umiałam się wybudzić. Jednym haustem wychyliłam kieliszek wódki. W

prawdziwym życiu nigdy tak nie robiłam. Alkohol palił mi przełyk.

Wtoczyłam się tylnymi drzwiami do kuchni. Był tam Ed. Podniósł wzrok.

- Kurwa jego mać! Skąd ty się tutaj wzięłaś? -Wybałuszał oczy ze zdziwienia.

- Przyszłam z ogrodu. - Spojrzałam na stojącą na stole butelkę. Papierosy. Narkotyki. Notes.

Wszystko tak samo jak w czasie poprzedniego ataku. Z tą drobną różnicą, że teraz butelka była pusta, z popielniczki wysypywały się pety, a narkotyki zniknęły. Została tylko pusta strzykawka z igłą.

Zamrugałam i podeszłam do zlewu, żeby opłukać twarz.

- Kurwa jego mać! - zawołał Ed. - Byłaś tam. Potem cię nie było. Co jest, kurwa?

- Może za bardzo odjechałeś - rzuciłam beztrosko. - Może sfiksowałeś.

- Sfiksowałem - przyznał Ed.

Patrzyliśmy na siebie z przeciwnych stron kuchni. Powietrze drgało z gorąca. Tak mi się wydawa-

ło. A może nie chodziło o upał? Czułam, że ciągnie mnie jakaś niewidzialna ręka. Coś szarpie mnie za brzuch, jakby ktoś przywiązał mi sznurek do jelit. Zaczęłam się trząść.

- Kompletnie mi odjechało - ciągnął Ed. - Byłaś tam, potem cię nie było. Wiesz, że napisałem o tobie wiersz, Emmaline.

- Tak. Wspominałeś.

- Nie podobał ci się. Nie zrobił na tobie wrażenia.

Szarpanie stawało się coraz mocniejsze. Padłam na kolana. Uderzyłam boleśnie o pokrytą linoleum podłogę. Podparłam się rękami i zastanawiałam się, czy teraz zasłabnę, zrzygam się, czy zemdleję. Jak mogę zemdleć, skoro i tak już straciłam świadomość?

- Cholera - zawołał Ed.

Zamknęłam oczy.

Świat zawirował.

Okazało się, że to nie świat się trzęsie, tylko moje łóżko. Tylko ja. Otworzyłam oczy, zamrugałam i ujrzałam twarz Johnny'ego. Trzymał mnie za ramię i mocno potrząsał.

- Emm! - wykrzyknął, kiedy na niego spojrzałam. - Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Ona tylko chciała... - zaczęła Jen, przecierając oczy.

Johnny popatrzył na nią z wściekłością i wziął mnie w ramiona.

- Co za pojebany pomysł!

Jen wpatrywała się we mnie z przerażeniem.

- Nic jej nie będzie?

- Wszystko w porządku, Johnny. Wszystko w porządku. - Odepchnęłam go lekko, żeby złapać głębszy oddech. - Daj spokój.

Chwycił mnie za podbródek i spojrzał mi w oczy. Potem zwrócił się do Jen.

- Powinnaś już iść.

Nie zbeształ jej, ale trudno też było doszukać się w jego głosie życzliwości. Jen złapała mnie za ramię.

- Zadzwoń do ciebie.

- Dobra - wymamrotałam. Byłam zbyt zmęczona, żeby wstać i odprowadzić ją do drzwi. Zresztą najpierw musiałabym stawić czoło Johnny'emu. Pragnęłam tylko zwinąć się w kłębek i zasnąć u jego boku i liczyłam na zrozumienie u przyjaciółki.

Kiedy wyszła, Johnny pocałował mnie i znów spojrzał mi w oczy.

- Co ty wyprawiasz?

- Próbowałam się przekonać, czy jestem w stanie kontrolować ataki - szepnęłam, przeklinając w duchu, że naraziłam się na taki wstyd.

Wziął długi, głęboki oddech. Na jego twarzy malowały się emocje, których w ogóle nie umiałam rozszyfrować.

- No i co?

- Wychodzi na to, że nie umiem - powiedziałam gorzko.

- Nie rób tego więcej.

Odwrociłam się od niego ze złością.

- Tego właśnie chcesz? Żeby robiła tylko to, co mi każesz?

- Nie, Emm. - Johnny delikatnie złapał mnie za podbródek, zmuszając, bym spojrzała mu w twarz. - Ja po prostu nie chcę cię tak ciągle tracić.

Rozdział 25

Czułam, że wewnątrz mnie zaszła jakaś zmiana, i to wcale niekoniecznie na gorsze. Miałam wrażenie, że schrzanił się mój płat mózgu odpowiedzialny za nieustanne zmiany świadomości.

Oczywiście nie byłam na tyle głupia, żeby tak myśleć na poważnie. Niby popsuty, a efekt końcowy lepszy.

Przez cały następny tydzień ataki się nie powtórzyły. Johnny nie okazał mi ani krztyny litości i nie odstępował mnie na krok. Miałam ochotę go zabić. Minął kolejny tydzień wolny od napadów amnezji. I jeszcze jeden. Przed końcem miesiąca czuć już było w powietrzu wiosnę, a mnie ani razu nie przyśnił się Johnny z przeszłości.

Umówiłam się z doktor Gordon na kontrolną wizytę ginekologiczną, ale przy okazji poprosiłam o inne badania. Nawet nie zaprotestowałam, kiedy zasugerowała tomografię komputerową.

Rozmawialiśmy na temat mojego ostatniego pobytu w szpitalu i możliwości dalszego leczenia.

Kategorycznie odmówiłam przyjmowania jakichkolwiek leków.

- I tak już mam problem, żeby codziennie pamiętać o pigułkach antykoncepcyjnych. Obowiązkowe łykanie kolejnych tabletek będzie dla mnie jak wrzód na tyłku - skarżyłam się.

Doktor Gordon potrząsnęła głową.

- Jesteś pewna, że nie chcesz przejść na jakąś łatwiejszą metodę antykoncepcji, Emm?

Nie umiałam powstrzymać śmiechu. Widok roześmianej kobiety na fotelu ginekologicznym zawsze budzi konsternację.

-Nie, dziękuję. Poradzę sobie. Teraz jestem w stałym związku. Nie sypiam z przypadkowymi partnerami, używamy prezerwatywy i tak dalej. Chyba niedługo czeka nas rozmowa na temat chorób przenoszonych drogą płciową i wtedy zrezygnujemy z tego zabezpieczenia. Zresztą on jest po wazektomii.

Uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że zachowujecie czujność na każdym froncie.

- Nie chcę wracać do lekarstw, jeśli to tylko możliwe.

Położyła rękę na moim ramieniu.

- Wiem, że tego nie chcesz. Wiem. Ale jako twój lekarz muszę zaproponować najskuteczniejsze, moim zdaniem, leczenie, nawet jeśli tobie się ono nie spodoba.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Doktor Gordon znała mnie od dawna.

- Po prostu uważam, że to nie będzie miało wpływu na ilość ani nawet na siłę ataków. One pojawiają się i znikają. Taka ich uroda - tłumaczyłam.

- Owszem, pojawiają się i znikają - przyznała -ale wolalabym je mieć pod kontrolą.

Jasne, że by wołała. Ja też bym wołała. Moi rodzice też. I przyjaciele. I Johnny. Ale nikt z nas nie był w stanie nic wymyślić, dlatego musiałam zaakceptować obecny stan rzeczy.

Na wizytę przywiozła mnie mama. Nie dlatego, że Johnny był zajęty, ale dlatego, że postanowiliśmy spędzić ten dzień wspólnie celem wzmocnienia relacji matka-córka. Po południu zjadliśmy razem obiad, poszliśmy do łana, a po kinie wróciliśmy do mnie. Matka zamierzała przejrzeć moją garderobę. Miała nadzieję, że będą na nią pasować ciuchy, w których ja nie chodziłam.

Swoją drogą, nietrudno popaść w depresję, gdy własna matka z łatwością dopina dżinsy, w których ty się już nie mieścisz, a ona owszem, tak... bo właśnie schudła.

Cieszyłam się razem z nią, gdy obracała się przed lustrem w długiej inianej spódnicy, którą znalazłam kiedyś na wyprzedaży, a której nigdy nie włożyłam i -szczerze mówiąc - nigdy nie włożę.

Bynajmniej nie dlatego, że w nią nie wchodziłam. Kupiłam tę kieckę pod wpływem impulsu, nie przejmując się, że to nie mój kolor ani materiał. Ale ona wyglądała w niej świetnie. Powiedziałam jej to.

- Och, naprawdę tak uważasz? - Wyglądziła spódnicę rękami i jeszcze raz się okręciła. - Mnie też się podoba, chociaż sama nigdy bym czegoś takiego nie wybrała.

- Wiem. Może to było przeznaczenie, że znalazłam ją wtedy w Marshalls.

Spojrzała na metkę. Wiedziała, że to robi.

- Zwrócę ci pieniądze.

- Nie. Nie zwracaj. - Potrząsnęłam energicznie głową i pogroziłam jej palcem. - Nie ma mowy.

- Emmaline - westchnęła.

- Mamo, proszę. - Wyciągnęłam z szuflady bluzkę i podałam jej. - Włóż. Pasuje do tej spódnicy.

Rozłożyła bluzkę w powietrzu i spojrzała na mnie.

- Zanim zapomnę. W bagażniku mam kilka pudeł z twoimi rzeczami. Ojciec znalazł je na strychu, kiedy robiliśmy porządki. Jest w nich sporo twoich szpargałów.

- Pójdę po nie. - Rzuciłam resztę ubrań na łóżko i wzięłam kluczyki.

To były stare, porządne pudła z pokrywami i specjalnymi uchwytami po bokach. Łatwo się je nosiło, choć były dosyć ciężkie. Wstawiłam je do salonu i na chwilę zostawiłam drzwi wejściowe otwarte, żeby przewietrzyć mieszkanie. Mama zdążyła się przebrać i zeszła na dół.

- Co to ma być? - zapytałam, zdjawszy pokrywkę z jednego z pudeł. W środku był stos papierzysek, książki, zabawki.

- Szpargały, które zostawiłaś w domu.

Spojrzałam na nią.

- A nie przyszło ci do głowy, że je zostawiłam, bo ich nie potrzebuję?

- To je wyrzucić. - Skarciła mnie wzrokiem. - Myślisz, że mnie są potrzebne twoje śmieci?

Wiedziała, że nie miała nic złego na myśli, ale jej słowa mnie zraniły. Wykrzywiłam usta, jakbym lada moment miała się rozplakać. Mama zauważyła ten grymas. Usiadła przy mnie i wyjęła mi pudło z rąk.

- Emm, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Nie ma sprawy.

-Spójrz na mnie.

Nie mogłam, bo wiedziałam, że wtedy na pewno wybuchnę płaczem. Jest taki rodzaj emocji, który łączy tylko córki i matki. Ha! markowe klimaty nie mają z tym nic wspólnego.

- Och, skarbie. - Mama przytuliła mnie i pogłaskała po głowie. - Co się dzieje? Źle się czujesz?

Chodzi o tego mężczyznę?

Zabawne, bo przez ostatnie tygodnie nazywała go Johnnym. Jednak gdy tylko pojawiła się wątpliwość, czy nie sprawił mi przykrości, zaczęła o nim mówić „ten mężczyzna”.

- Nie. Nie chodzi o Johnny'ego. Jest wspaniały. Wiem, że ty i tata nie jesteście do niego przekonani, ale to nie o niego chodzi.

- To nie tak, że nie jestem do niego przekonana -wyjaśniła. - Po prostu próbuję sobie wyobrazić, jak to jest mieć zięcia, który ma tyle lat, że równie dobrze mógłby być moim mężem.

Zaśmiałam się przez łzy.

-Nie martw się, mamo. Nie rozmawialiśmy o małżeństwie.

Prychnęła w charakterystyczny dla siebie sposób. Miało to oznaczać, że ona wiele lepiej.

- Jeszcze zobaczymy.

- Nie chodzi o niego. Nie mam ostatnio żadnych problemów. Właściwie czuję się świetnie.

Doktor Gordon zleciła kontrolną tomografię, ale nie spodziewa się niepokojących wyników.

- To o co chodzi, skarbie? O twoje szpargały?

- Ja tylko... - Westchnęłam, skubiąc wytarte dzinsy. - Nie chcę się wprowadzać z powrotem do domu. Ale jeśli mam być szczerą, to niezbyt miłe, kiedy się cieszysz, że już mnie tam nie ma. Nie zrozum mnie źle. Wiem, dlaczego...

- Emm! - wykrzyknęła. - Jak mogłaś tak w ogóle pomyśleć? Cieszę się, że cię nie ma? Powinnaś dostać klapsa.

Skuliłam się w sobie, choć wiedziałam, że nie zamierza mnie bić.

- Mamo, taka jest prawda.

Objęła mnie i zajrzała mi głęboko w oczy.

- Emmaline. Cieszę się, że możesz sama mieszkać i wieść życie, na jakie zasługujesz. Cieszę się, że wyrosłaś na śliczną, niezależną kobietę, która umie żyć własnym życiem. Ale nigdy nie będę się cieszyć, że się od nas wyprowadziłaś. I jeśli kiedykolwiek będziesz musiała znów się wprowadzić, będziesz cierpieć bardziej niż ja.

Zaśmiałyśmy się razem, ale nasz szloch szybko zamienił się w śmiech.

- Jeśli nie chcesz tych pudeł, wyrzuć je na śmieci - odezwała się po chwili. - Większości tych rzeczy pewnie nawet nie pamiętasz. Nie chciałam się ich pozbywać bez twojej zgody. Tylko tyle.

Pokiwałam głową i przejrzałam papierzyska. Stare świadectwa, kartki walentynkowe i tego typu rzeczy. Mnóstwo zabawek z fast foodów. Nie chciało mi się wierzyć, że trzymała je przez tyle lat. Na dnie pierwszego pudła znalazłam książkę. Wyjęłam ją.

- Ojej! - wykrzyknęła matka. - Od wieków tego nie widziałam.

Obejrzałam dokładnie wolumin. Kartki mocno pożółkły, ale żadna z nich nie wypadła. Ktoś pozaginał rogi, by zaznaczyć ulubione strony. Pod palcami czułam szorstki papier.

- To było... moje?

- Nie. Moje. W tamtych czasach chyba każdy miał ten tomik. Czytałam go na okrągło, gdy byłam w ciąży - rzekła i wyraźnie wzruszona wyjęła książkę z moich rąk. - Poezja Eda D'Onofrio cieszyła się wtedy popularnością, choć mnie podobało się tylko kilka jego wierszy. Zwłaszcza jeden, ma się rozumieć.

- Ma się rozumieć? Który?

Mama uśmiechnęła się.

- *Pośród nocy stąpa*, głuptasie. Znasz ten wiersz? Na pewno go kiedyś czytałaś, Emm.

Potrząsnęłam głową.

- Nie przerabialiśmy tego w szkole.

Roześmiała się i otworzyła książkę na najbardziej wyświechtanej stronie.

- Ależ skarbie. Spójrz. *Pośród nocy stąpa*. Dlatego wybrałam dla ciebie imię Emmaline. Natknęłam się na nie po raz pierwszy właśnie w tym wierszu.

Poczułam, jak mój żołądek wywraca się na drugą stronę. Paliło mnie w gardle. Zerwałam się na równe nogi i tomik upadł na podłogę. Nie podniosłam go. Matka spojrzała na mnie z niepokojem i również od razu wstała.

- Emm, co się stało?

- Nic.

Zmusiłam się, by z powrotem usiąść. Podniosłam książkę i spojrzałam na wyświechtaną stronę.

To nie był ten sam wiersz, który Ed odczytał mi w mojej fantazji. Ale na tyle podobny, że to nie mógł być zwykły zbieg okoliczności.

- Nie wiedziałam. Zaskoczyłaś mnie - wydukałam.

- Myślałam, że wiesz - zdziwiła się. - Byłam pewna, że ci o tym mówiłam, Ale to było tak dawno, że pewnie nie pamiętasz. Bez przerwy czytałam ten wiersz na \$os, gdy w ciąży przesiadywałam w starym bujanym fotelu, który dostałam od babci. Tobie też go czytałam, kiedy leżałaś w szpitalu. Ale chyba rzeczywiście potem już do niego nie wracałam. Może nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- To dość nietypowe czytać taki wiersz dziecku, prawda? - Dotknęłam palcami drukowanych wersów i spojrzałam na nią. ~ To nie jest *Kubuś Puchatek*.

- Skarbie, dobrze się czujesz? - Matka przyglądała mi się, lekko przekrzywiwszy głowę.

- Tak. Dobrze. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Naprawdę. - Naprawdę. Może jestem odrobinę zmęczona.

Ekstra sprawa z tym wierszem. Dzięki, mamo.

- Był bardzo popularnym poetą w czasach mojej młodości - rozmarzyła się. - Ciekawe, co się z nim stało? Musisz go sprawdzić w internecie. Ciekawe, czy wydał jeszcze inne tomiki?

Owszem, ale po śmierci. Jeśli się nie mylę, nie żył już, kiedy wydano tę książkę. Nie wspominałam jej o tym. Ani o halucynacjach, ani o tym dziwnym „zbiegu okoliczności”, że Ed D'Onofrio był dobrym kumpłem Johnny'ego.

- Twój ojciec nigdy nie lubił jego poezji – wyznała nagle. - Tylko ten jeden wiersz. Właściwie to był

jego pomysł, żeby nazwać cię Emmaline. Nie mogliśmy się dogadać co do imienia. Bez przerwy się o to kłóciliśmy. Ojciec wolał jakieś wymyślne i modne imię, a ja tradycyjne. Wreszcie doszliśmy do porozumienia. Zawsze byłaś jedyną Emmaline w szkole i na studiach.

- Wciąż jestem jedyną Emmaline, jaką znam.

- Po prostu jesteś jedyna - powiedziała i przytuliła mnie mocno.

Potem, gdy się żegnałyśmy, zmusiła mnie do obietnicy, że nazajutrz do niej zadzwonię. Wysła i wkrótce zjawił się Johnny Przyniósł tajskie jedzenie, aromatyczne i gorące. Ustawił pudełka na mojej wyspie kuchennej, a ja wyciągnęłam pałeczki i talerze. Zaparzyłam herbatę. Ścisnęłam kubek w rękach, żeby je nieco rozgrzać, i patrzyłam, jak Johnny otwiera pudełka z jedzeniem.

- Co jest? - zapytał, gdy przechylił moje spojrzenie.

- Po prostu patrzę.

Uśmiechnął się. Obszedł wyspę, by mnie objąć i pocałować. -1 co widzisz?

- Och, sporo widzę. - Złapałam go za pośladek. - I czuję też.

Spojrzał przez ramię na stygnące jedzenie, potem na mnie.

- Bardzo zgłodniałaś?

- Zależy, czym chcesz mnie karmić.

Johnny złapał mnie za rękę i przesunął ją na swoje krocze.

- Może tym?

- Cieszę się, że po tylu miesiącach pieprzenia się ze mną wciąż jesteś taki romantyczny.

Przycisnęła mocniej moją dłoń. Nasze usta stały się mokre od pocałunków. Śmialiśmy się do siebie, a nasze spojrzenia iskrzyły. Potem przytuliłam się do niego mocno. To był dziwny dzień. Teraz, gdy byłam razem z nim, poczułam się lepiej.

- Co się dzieje?

Przytuliłam go, a potem odepchnęłam lekko, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Czy ja jestem za młoda? Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Kimmy nie daje ci spokoju?

- Nie. Nie o to chodzi. Chcę poznać twoje zdanie. Johnny westchnął i wypuścił mnie z objęć.

Obszedł wyspę i usiadł dokładnie naprzeciwko mnie.

- Jesteś młoda. Owszem. A może po prostu to ja jestem stary.

- Przeszkadza ci to? Spojrzał na mnie z powagą.

- A tobie? -Nie.

Sama nie wiedziałam, co mi właściwie przeszkadza. Miałam ochotę go pocałować, może rozpiąć jego rozporek tu i teraz, wziąć go do buzi i sprawić, byśmy natychmiast oboje zapomnieli o tym temacie.

- Emm. No mów.

Podobało mi się, że upiera się przy rozmowie, bez względu na to, w którą stronę miałyby się potoczyć. Nie lubił zamykać przykrych spraw pod dywan utkany ze wzajemnych pretensji i niedomówień.

Kochałam go z mnóstwa różnych powodów, które przeplatały się ze sobą tak mocno, że nie dało się ich rozdzielić.

- Nie przeszkadza ci, że tyle o tobie wiedziałam, zanim poznaliśmy się naprawdę?

- Chodzi ci o to, czy nie przeszkadza mi, że widziałas mój goły tyłek, zanim zdążyłaś zobaczyć go w realu? - Roześmiał się.

- To też.

Wiedział, że oglądałam jego filmy, że czytałam o nim w internecie, ale wcześniej o tym nie rozmawialiśmy. - Nigdy się nie obawiałeś, że sprytnie wkręcałam się w twoje życie, bo wiedziałam, kim jesteś?

Johnny wybuchnął śmiechem i pochylił się, żeby mnie pocałować.

- Emm, ja *chcę*, żebyś była ze mną właśnie za to, kim jestem.

- Ale nie za to, kim byłeś - burknęłam.

- Wciąż jestem tym samym człowiekiem - odpowiedział, dotykając ustami moich ust, potem włosów. Spojrzał mi w oczy. - Chcesz wiedzieć, ile chorych z miłości dziewczyn... i chłopaków próbowało się dobrać do moich majtek, bo wiedzieli, co robiłem trzydzieści lat temu?

- Nie za bardzo - odpowiedziałam, marszcząc brwi.

- Dużo. Jesteś taka jak oni?

- Skądże!

Wzruszył ramionami, przetań kciukiem moje usta, a potem złożył na nich długi pocałunek. Przyjemnie smakował. Przyjemnie było czuć jego ciało napierające na moje. Zamknęłam oczy i usilnie próbowałam skupić uwagę na jego pieszczotach.

- Kocham cię - powiedziałam. - Ale... szczerze mówiąc, wszystkie te rzeczy: filmy, zdjęcia, wywiady...

- Tak?

- Nie za to cię teraz kocham.

- I nie za to kochałaś mnie wtedy.

Drgnęłam. Spojrzałam na niego. Bezskutecznie usiłowałam odczytać z jego twarzy jakikolwiek sygnał, że ze mnie żartował.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy, wtedy w kawiarni - powiedział - nic o mnie nie wiedziałaś, prawda? Dlatego powiedzmy sobie szczerze. Chodziło o mój boski tyłek, co?

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Nie żebym w ogóle wiedziała, czego się spodziewałam.

Wybuchnęłam śmiechem.

- To prawda. O to chodziło. O twój boski tyłek.

Tym razem jego pocałunki zupełnie mnie pochłonęły. Dopiero później zastanowiłam się nad jego odpowiedzią. Nie wyglądał na człowieka, który się waha albo coś ukrywa.

Dlaczego w takim razie odniosłam zupełnie inne wrażenie?

Rozdział 26

- Daj spokój. Przecież wiesz, że nie mam pojęcia o sztuce. - Próbowałam odsunąć się od Johnny'ego, który wyciągał do mnie ręce, ale zrobiłam to tak niezgrabnie, że niewiele brakowało, a zrzuciłabym rzeźbę wystawioną na cokole. Na szczęście zdążyłam ją w porę złapać. - Widzisz? Lepiej, żebym trzymała się od tych spraw z daleka.

- Masz do tego oko. Potrzebuję twojej rady - powiedział z powagą. - Chodzi o prace twojej przyjaciółki, więc chyba możesz mi pomóc, nie?

- Wspaniale! - Wskazałam na białą, pustą ścianę, na której wisiały trzy prace autorstwa Jen. -

Zmieszczą się jeszcze co najmniej cztery.

- Tak. Ale które? - zapytał nieco poirytowany.

- Skąd mam wiedzieć? Ty wybieraj.

Popatrzyłam z bezpiecznej odległości na oprawione fotografie rozłożone na podłodze galerii.

Wolałam się do nich nie zbliżać, bojąc się, że niechcący na nie nadepnę.

Johnny wskazał na portret Jareda, zachwycający miękkim światłem.

- Może to?

- Fajne. To znaczy dobre.

- A co myślisz o tym? - Wskazał na inne zdjęcie.

- Też dobre! Wszystkie są dobre!

- Rany. Ty naprawdę nie znasz się na sztuce, co? - Zrezygnowany pokiwał głową. - Przecież mówiłam - burknęłam, udając gniew.

- Tak ci się tylko wydaje. Gdybyś miała do siebie odrobinę zaufania, odkryłabyś w sobie prawdziwy instynkt. No dobrze. Niech będzie. Zrobię to sam. Nie zwracaj sobie tym swojej ślicznej główki.

- Palant! - syknęłam i pokazałam mu język. Johnny uniósł ręce w obronnym geście.

- Dobrze, już dobrze. To boli - drwił sobie. Pochylił się nad zdjęciami i zmienił ich układ.

Obserwowałam, jak pracuje. Minęło kilka dni od naszej rozmowy w kuchni, ale ta sprawa wciąż nie dawała mi spokoju.

- Johnny.

- Tak, kochanie? - zapytał, nie odrywając wzroku od zdjęć.

- Dlaczego postanowiłeś zostać artystą?

Dłonie, które jeszcze przed chwilą szybko i sprawnie przesuwają się po odbitkach, nagle znieruchomiały. Przykucnął i wbił wzrok w podłogę. Wreszcie spojrzał na mnie, starając się zachować obojętność.

- O co właściwie chcesz zapytać?

- Zacząłeś karierę od filmu, ale wiem, że... miałeś przerwę, zanim zabrałeś się za sztukę.

- Zawsze zajmowałem się sztuką - powiedział cicho. - Prace chowałem do szuflady. Nikogo nie próbowałem przekonać, że jestem artystą. Istnieje różnica między podjęciem decyzji o byciu artystą a zaakceptowaniem tego, kim się jest.

- Wiem. - Przygryzłam na chwilę dolną wargę. - Czyli... kiedy?

Johnny wstał i otrzepał ręce.

- Potrzebuję drinka. Ty też chcesz?

Nie czekając na mnie, ruszył w kierunku gabinetu. Nie wspominałam tego miejsca zbyt dobrze.

Wciąż pamiętałam wstyd, gdy próbowałam go pocałować, a on mnie odepchnął.

Johnny otworzył szafkę pod biurkiem i wyciągnął butelkę glenlivet. Napelił dwie szklaneczki i jedną podał mnie. Upiłam łyżeczkę, skrzywiłam się i zakrzywiłam.

- Boże - wydusiłam.

- To tylko whisky.

Wychylił szklaneczkę jednym haustem i głośno wciągnął powietrze. Przez chwilę patrzył na butelkę, jakby zastanawiał się, czy dolać sobie drugą kolejkę. W końcu odstawił szklankę i spojrzał na mnie.

- Co tak naprawdę chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, co się z tobą działo. Dlaczego w końcu zaakceptowałeś to, kim jesteś. Jeśli tak wolisz to nazwać. Dlaczego w końcu pokazałeś światu swoje prace, zamiast dalej trzymać szkicownik w szufladzie.

- Wiesz nawet o szkicowniku. - Przechylił lekko głowę.

Teraz już wiedziałam, że tego nie zmyśliłam. Przynajmniej nie wyszłam na wariatkę.

- Jasne. Chyba każdy to wie.

Johnny dolał whisky do szklanki.

- Chciałabym usłyszeć tę historię od ciebie. Tylko tyle. Nie chcę między nami żadnych niedomówień.

Nie chcę sytuacji, w której znam takie detale z twojego życia, o których mi nie opowiedziałeś, w której znam twoje sekrety, a ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie chcę sytuacji, w której zrezygnujesz z opowiedzenia mi jakiejś historii, bo będziesz myślał, że na pewno już ją znam, nawet jeśli naprawdę będą ją znała. - Od tej przydługiej przemowy zabrakło mi tchu. Wzięłam łyk whisky, bo wolałam się powstrzymać od dalszego mielenia jęzorem.

- Co chcesz wiedzieć? Imprezki, narkotyki, seks, filmy? - Johnny poruszył szklaneczką, mieszając bursztynowy płyn. - To było dawno temu, Emm. Więcej dowiesz się z książek albo filmów dokumentalnych niż ode mnie.

- Nie tylko o to mi chodzi. - Przebiegłam palcami po guzikach jego koszuli, ale nie było w tym erotycznego podtekstu. - Opowiedz mi, co się stało po siedemdziesiątym ósmym roku.

- Podobno nastąpił rok siedemdziesiąty dziewięć.

Podniosłam wzrok do nieba i trzepnęłam go w ramię.

- Co za dupek.

- Ale za to boski dupek, nie?

Nie lubiłam, gdy ktoś mi się odgryzał, cytując moje własne słowa, nawet jeśli to miała być tylko zgrywa.

- Co się działo po samobójstwie Eda D'Onofrio, do którego doszło w twoim domu.

Johnny głęboko westchnął. Jego głos drżał.

- Naprawdę chcesz tego wszystkiego słuchać, Emm?

- Tak... chyba że ty nie chcesz opowiadać. Ale wiem o tym. Wiem tyle, ile piszą na blogach, ile pokazali w filmach. Ale to są tylko spekulacje - odłożyłam szklankę i oparłam ręce na jego biodrach.

Patrzyłam w jego twarz, piękną i ukochaną, którą tak dobrze znałam. ~ Ludzie mówią, że zwariowałeś. Johnny cicho parsknął.

- Tak. Można tak powiedzieć.

- Poważnie? - Szybko położyłam palec na jego ustach. - Zanim odpowiesz, musisz wiedzieć, że to mi nie przeszkadza.

Pocałował moje dłonie, potem przygryzł je lekko i złapał mnie za nadgarstek. Odsunął moją rękę od swoich ust i przyłożył do swojego serca.

- Nie przeszkadza ci, że zwariowałem i że mnie zamknęli?

- Nie. - Potrząsnęłam głową.

Johnny westchnął cicho.

- Emm, to było w pizdu dawno temu, wiesz? Dlaczego nie zapytasz mnie o kobiety, które pieprzyłem? Dlaczego nie zapytasz, czy to prawda, że pozwoliłem, żeby Elton John mi obciągnął w garderobie podczas koncertu? Na takie tematy można spekulować.

- A to prawda?

Pocałował mnie w usta. Smakował whisky.

- Może.

- Johnny - westchnęłam.

Zaśmiał się krótko i zapadła cisza.

- Jeśli powiem, że tak, będziesz chciała wysłuchać całej reszty? - zapytał.

Przytaknęłam. A potem zaraz potrząsnęłam głową.

- Jeśli nie chcesz mówić, zrozumiem. To przecież nie moje sprawy. To znaczy... miałeś własne życie, zanim mnie poznałeś...

- I ty też - wtrącił. - Całe życie. Moje było tylko dłuższe.

- Ale różnica jest taka, że wszystko, co wiesz na mój temat, wiesz ode mnie! - wykrzyknęłam o wiele głośniejszym i gwałtowniejszym głosem, niż zamierzałam. Oboje drgnęliśmy. - Przepraszam. - Pomasażowałam jego serce, które zabiło mocniej.

- Nie przepraszaj. To ja przepraszam, że przysparzam ci tytułu zmartwień. Pytaj, o co zechcesz.

Odpowiem, jeśli naprawdę musisz to wiedzieć.

Zawahałam się. Czy rzeczywiście tego chciałam? Miałam w głowie tyle plotek, strzępów historii, które mieszały się z tym, co wykreowała moja wyobraźnia.

- Ja tylko chcę cię poznać - szepnęłam. - Tak naprawdę.

- Emm. Sądzisz, że mnie nie znasz?

Powoli przesunął ramię po moich plecach i objął mnie. Zanurzył palce w moich włosach i rozmasował mi kark. Patrzył na mnie z powagą.

- Nie wiem - westchnęłam ze smutkiem. - To takie niesprawiedliwe.

- Niesprawiedliwe?

- Tak.

Przyciągnął mnie do siebie. Przycisnęłam policzek do jego koszuli. Ukoił mnie spokojny rytm jego serca. I jego zapach i dotyk.

- Kocham cię - powiedział cicho. Zarzuciłam mu ręce na szyję.

- Ja też cię kocham.

- Powiem ci wszystko, co tylko zechcesz. Po prostu pytaj.

- Co się stało w siedemdziesiątym ósmym?

Westchnął. Jego serce znów zabiło mocniej. A może to było moje. Pocałował mnie w skroń.

- To były szalone czasy. Mieszkaliśmy wszyscy w jednym domu. To był mój dom, ale wszyscy tu przychodzili. Candy, Bellina, Ed. Paul wpadał co kilka tygodni, żeby kręcić te swoje pieprzone filmy.

- Wiem.

- Miał być drugim Warholem albo kimś w tym rodzaju. W każdym razie kimś wielkim.

Robiliśmy zdjęcia. To była prawdziwa sztuka, wiesz? - ciągnął. - Zresztą tak jest postrzegana do dziś.

Nie wstydzę się tego, co wtedy robiliśmy, Emm.

- Nie powinieneś.

- Rozstaliśmy się z Sandy. Wciągnęła się w narkotyki i całe to gówno. Wszędzie zabierała ze sobą Kimmy. W końcu musiałem jej powiedzieć, że albo odda dzieciaka mnie, albo swojej matce.

Odsunęłam się od niego, żeby mu się przyjrzeć.

- Zrobisz to? Przecież mówiłeś, że za mało dbałeś o Kimmy.

- Bo to prawda. Powiedziałem Sandy, że chcę dzieciaka, ale tak naprawdę nie chciałem, rozumiesz? Sam byłem dzieciakiem. Durnym, nabuzowanym dzieciakiem, który dbał tylko o własny tyłek.

Świat kręcił się wokół mnie. Wszyscy powtarzali, jaki to jestem wykurwisty. Zapraszali na scenę, żeby się ze mną ruchać. Na litość boską, co miałem zrobić z małym dzieckiem?

Nie rozumiałam tego świata. Widziałam go w halucynacjach i wydawał mi się taki nierzeczywisty. Ale dla niego był prawdziwy.

- I co ona w końcu zrobiła?

- Oddała Kimmy matce, dzięki Bogu. Wyjechała na rok do Indii za jakimś maharadzą albo innym guru. Wróciła chuda jak patyk, ale za to z imponującą kolekcją pasożytów. Ale to było później.

Może...Cholera - westchnął. - Chyba też trochę sfiksowała. Chyba wszyscy sfiksowaliśmy. Tak mi się wydaje. Ed po prostu sfiksował najszybciej.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, gdy wspomniał jego imię.

- Ten pisarz - wtrąciłam.

- Tak. Wykurwiście utalentowany gość. Przerastał nas wszystkich. My robiliśmy nasze gówniane filmiki, rysunki...

- Nie były gówniane - przerwałam mu. Johnny patrzył na mnie znacząco.

- Kochanie, przecież ty nie masz pojęcia o sztuce. Nagle do mnie dotarło, że nigdy nie widziałam jego pierwszych rysunków. Ja je tylko wymyśliłam, opierając się na tym, co widziałam w internecie i jego galerii.

- Ale wiem jedno. Nic, co robisz, nie ma prawa być gówniane.

Uśmiechnął się blado.

- Gdybym się nie rozwijał, marny byłby ze mnie artysta.

Nie chciałam na niego naciskać. Wolałam, żeby opowiadał mi o sobie na swoich warunkach i w swoim tempie. Nawet jeśli nie miałabym poznać całej prawdy od razu, natychmiast. Wystarczyło mi, że zaczęliśmy tę rozmowę. Od razu poczułam się lepiej.

- To było kurewsko gorące lato - opowiadał dalej. - Byliśmy tacy pełni... Nie wiem, jak to ująć.

Brzemienni sztuką. Była w nas potrzeba kreacji. Candy realizował się w kuchni, Bellina w teatrze, Paul w kinie.

- A Ed w poezji.

- Pisał też prozę. Wiedziałaś?

- Tak. Ale nic nie czytałam.

- Nie był J.D. Salingerem, ale pisał dobre książki. Trochę dziwaczne, ale dobre. Ale jego wiersze... to była sztuka przez duże S.

- Wiem, aleja przecież nie umiem jej docenić - mruknęłam.

Przypomniałam sobie twarz Eda w czasie naszego ostatniego spotkania w kuchni. Przypomnia-

łam sobie, jak czytał na głos swój wiersz. Na pewno brzmiał piękniej w ustach mojej matki. Szkoda, że nie zapamiętałam jej interpretacji, zamiast tej z moich halucynacji.

- Mów tak dalej - zachnął się Johnny.

- Wiesz, że matka wybrała dla mnie imię, inspirując się jego wierszem?

- Naprawdę? - Johnny nagle się wyprostował.

- *Pośród nocy stąpa*. - Przyglądałam mu się badawczo. Opróżnił już drugą szklankę whisky. - Podobno non stop czytała ten wiersz na głos, kiedy była w ciąży. I po moim wypadku w szpitalu. Ja tego jednak nie pamiętam.

- Uwielbiam twoje imię - powiedział Johnny.

- Nie przepadam za tym wierszem. - Zmarszczyłam brwi.

- Mogło być gorzej. Gdyby była zagorzałą fanką E.E. Cummingsa, strach pomyśleć, jak by cię nazwała.

- Byłeś z nim blisko?

- Z Edem? On z nikim nie był blisko. Chodził swoimi ścieżkami. Często z nami przesiadywał.

Ale czy ktoś był z nim blisko? Nie wydaje mi się.

- Mimo to po jego śmierci nie mogliście się pozbierać, prawda?

Johnny patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jakby przypominał sobie tamte dni. Poczułam od niego zapach whisky.

- Tak. To było piekło. Tego właśnie chciałaś się dowiedzieć?

- Co się wtedy stało?

- Ed po prostu... taki już był. Robił swoje i już. Wszyscy robiliśmy swoje. On wpadł w narkotyki.

Ciężkie narkotyki. Prawie nie spał. Za dużo pił. Pomieszało mu się od tego we łbie, Emm. I przegrał.

Nie dawał sobie z tym rady. Z życiem - Johnny przez chwilę pocierał oczy. - Za dużo pił. Za dużo ćpał.

Podciął sobie żyły i wskoczył do basenu, kiedy nikogo nie było. Może myślał, że ktoś go znajdzie.

Prawie zawsze ktoś się tam kręcił. Ale nie tej nocy.

- I umarł.

- Tak, kurwa, umarł. - Johnny wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Nerwowo przeczesał palcami włosy i założył obie dłonie za kark. - Zrobił niezłą bardachę w moim basenie.

Zamiłkł. Cierpliwie czekałam, ściskając w dłoniach szklankę z prawie nietkniętym alkoholem.

- Naprawdę chcesz, żebym opowiadał dalej? - zapytał cicho, odwracając ode mnie wzrok.

- Tylko jeśli ty tego chcesz.

Spojrzał na mnie.

- Ed kompletnie oszalał. Nasza paczka się rozpadła. Ja też trochę zwariowałam. Patrzyłem na siebie tak, jaki inni mnie postrzegali. Nie walczyłem, by zostać tym, kim zawsze chciałem zostać.

Dlatego uciekłem na jakiś czas, żeby przewietrzyć umysł.

Pomyślałam o Johnnym, którego wykreowała moja wyobraźnia. Czy to możliwe, żeby taki facet mógł wszystko stracić? Poddać się? Uciec? Być może.

- Na odwyk?

Potrząsnął głową,

- Nie. Do psychiatrika. Do zwykłego szpitala, a nie wypasionej prywatnej kliniki. Zabrało mnie pogotowie. Nie stać mnie było na nic lepszego. W tym czasie nie miałem już kasy. Wciągnąłem ją nosem, przepaliłem, przepiłem. Cokolwiek. Matka za mnie zapłaciła. Niech Bóg ją błogosławi.

Inaczej na pewno bym umarł.

Wzruszyły mnie jego słowa, choć mówił spokojnie, bez emocji. Pragnęłam go przytulić.

Całować. Nie żałowałam jednak, że zaczęłam ten temat. Musiałam sobie to wszystko poukładać w głowie. Oddzielić prawdę od fantazji.

- Jak długo tam byłeś? - zapytałam.

- Rok. Wyszedłem w siedemdziesiątym dziewiątym. Czysty. Trzeźwy. Może wciąż trochę stuknięty. - Uśmiechnął się.

- Zacznijmy od tego, że nigdy nie byłeś stuknięty.

W jego oczach dostrzegłam smutek.

- Wiem. Ale pobyt w tym miejscu dobrze mi zrobił. Było ciężko. „Kochaj grzesznika, nienawidź

grzechu”, to była dewiza tamtejszych lekarzy. Byli wspaniali. Pomogli mi wyjść na prostą. Dużo myślałem o tym, co się wydarzyło tamtego lata. Właśnie dzięki nim wiele rozumiałem.

- O Edzie?

- Nie, kociaku. O...

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się i ujrzałam jego asystentkę, Glynnis.

- Johnny, ten facet z... Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

Patrzyła z zaciekawieniem to na niego, to na mnie. Na szczęście się nie dotykaliśmy a wręcz siedzieliśmy po przeciwnych stronach biurka, więc nikt nie musiał się czuć niezręcznie.

- Nie szkodzi - powiedział Johnny. - Co za facet?

- Ten bloger.

- Ach! - Johnny westchnął i zasłonił ręką twarz. - Obiecałem, że udzielę mu wywiadu w związku z nową wystawą. Glynnis, czy mogłabyś. . kurwa, sam nie wiem, zabawić go przez kilka minut? Może oprowadź go po galerii? - Jasne, Johnny. - Posłała mi nieśmiały uśmiech i wyszła. -

Wybacz - zwrócił się do mnie. - Muszę wracać do pracy. - Nie ma sprawy. Cieszę się, że pogadaliśmy i wyjaśniliśmy kilka spraw.

Spojrzał na mnie badawczo.

- Było aż tak źle, Emm? Naprawdę tak bardzo cię to męczyło? Opowiedziałbym ci o tym wcześniej, nie sądziłem jednak, że chcesz się w tym babrać. To stara historia.

- Chciałam tylko usłyszeć ją od ciebie.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły nas głosy. Johnny wyszedł zza biurka i czule mnie pocałował.

- Wszystko w porządku?

- W porządku - przytaknęłam.

- To dobrze.

Pocałował mnie jeszcze raz. Dłużej.

W jednej chwili zapomniałam, gdzie jesteśmy. Czy to znowu moje fantazje, czy czysta żądza?

Zaśmiałam się, kiedy przycisnął do mnie fiuta w pełnym wzwodzie.

- Lepiej coś z tym zrób, zanim stąd wyjdiesz, bo pan Bloggerstein napisze o tobie więcej, niż się spodziewałam.

- Nie pierwszy raz ktoś się skupi wyłącznie na moim kutasie - odparł Johnny, wycofując się w kierunku drzwi. Nasze ręce wciąż były splecione. Nasze palce się stykały, a potem wypuścił moją dłoń i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 27

Dziwnie było oglądać zdjęcia Johnny'ego w jego obecności, zamiast chichotać nad nimi z Jen albo wzdychać w samotności, buszując w internecie. Miał gruby album pełen fotografii. Niektóre z nich wciąż były równo przyklejone, inne się odlepiły albo zupełnie powypadały ze stron. Część z nich była podpisana, nie tylko przez niego, ale też przez inne uwiecznione na nich postaci. Na wielu widniały z tyłu imiona i daty. Niektóre ujęcia były ustawiane, inne spontaniczne. Kolory mocno wyblakły, ale w porównaniu z fotografiami, które oglądałam w albumie rodziców, były dobrze zachowane.

- Kopę lat tego nie oglądałem - powiedział Johnny. Spomiędzy kartek wypadł na miękki dywan stos zdjęć.

Podniosłam je i starannie ułożyłam.

- Dlaczego?

- Często oglądasz swoje nagie zdjęcia?

- U mojej matki w domu wisi kilka na ścianie. - Uśmiechnęłam się kwaśno. - Dzisiaj w kąpieli.

Kompletna żenada. Każdy może je obejrzeć.

- Będę się musiał dobrze przyjrzeć, kiedy tam wreszcie zawitam.

- Przecież to zupełnie co innego. - Westchnęłam, przewracając oczyma.

Johnny popatrzył na zdjęcie, które trzymałam w ręce. To była jedna ze słynnych fotografii, na której wyglądał jak rzymski posąg. Widziałam je w Internecie, a także w swoich pokręconych fantazjach.

- Dla mnie nie ma różnicy - odparł i pochylił się, żeby przyjrzeć się lepiej innym fotografiom. - Co widzisz, kiedy na to patrzysz?

- Pięknego mężczyznę - szepnęłam.

- Taa... - prychnął.

- Naprawdę, Johnny.

- A co widzisz, kiedy patrzysz na mnie teraz? Pocałowałam go.

- Pięknego mężczyznę. Tylko dojrzałego.

Od razu odpowiedział na mój pocałunek. Przyciągnął mnie do siebie bliżej. Przesunął rękami po moich plecach i złapał mnie za pośladki.

- A co ty widzisz? - zapytałam. Zerknął na album, potem na mnie.

- Widzę dzieciaka, który dba tylko o własny tyłek i który nie ma pojęcia, o co tak naprawdę chodzi w życiu. Widzę skończonego palanta gotowego pokazać kutasa za parę dolarów.

- Taki właśnie byłeś? - Stałam na palcach, żeby dosięgnąć jego ust. Spojrzałam mu w oczy.

Pomyślałam o Johnnym z przeszłości. Owszem, był młody, arogancki, ale na pewno nie był

skończonym palantem.

Johnny patrzył tępo przed siebie. Po chwili się uśmiechnął. -No jasne.

- Nie sądzę.

Przyglądał mi się badawczo. Nie umiałam odczytać, co czai się w jego orzechowych oczach.

- Przecież... nie znałaś mnie.

Pociągnęłam go za rękę, żebyśmy razem usiedli i wtulili się w siebie.

- Wiesz, co myślę? Nieważne, co ludzie mówią sami o sobie. liczy się to, co inni o nich mówią. A nikt nie twierdzi, że byłeś skończonym palantem. Że dbałeś tylko o własny tyłek.

- Ludzie - powiedział z przekąsem - nie zawsze mają rację.

Sięgnęłam do pudła, które przyniósł, i wyciągnęłam plakat filmowy. Widziałam kiedyś taki na eBayu. Sprzedano go za setki dolarów, a na tym widniały w dodatku autografy innych aktorów.

- Dla ukochanego Johnny'ego, Marguerite.

Johnny'emu, który zawsze był gotów do żartów, Bud. ohnny, dzięki za wszystko, sam zresztą wiesz, Dee.

Popatrzyłam na niego.

- Ludzie cię lubili. Ciągnęło ich do ciebie. I byłeś szczodrym kumplem.

- Chyba zbyt szczodrym - odpowiedział po chwili.

Zastanawiałam się, czy miał na myśli Eda, ale nie zapytałam o to.

- Masz z nimi kontakt?

- Z niektórymi tak. Od czasu do czasu.

- Rozeszliście się każdy w swoją stronę. Robiliście swoje. Odnieśliście sukces.

- Niektórzy większy niż inni - przyznał.

Znów zachodziłam w głowę, czy miał na myśli Eda, czy Bellinę, czy może Candy'ego i jego wielomilionowe imperium kulinarne. Czy siebie.

- Muszę się przyznać do swojego internetowego śledztwa. Wiele o tobie czytałam. -

Roześmiałam się, gdy ostentacyjnie wzniosł oczy do nieba. Położyłam mu palec na ustach, by powstrzymać jego komentarze. - Naprawdę sporo. Od poważnych wywiadów po jałowe dyskusje na forach. Wniosek jest jeden, kochanie. Jesteś nie tylko szczodry, lecz także inteligentny i utalentowany.

- Musiałaś omijać złe recenzje - zauważył. -A każdy, kto bezmyślnie chwali to gówno, które wtedy robiłem, najzwyczajniej chrzani.

- To prawda, że miewałeś słabsze momenty. Zresztą kto ich nie miewa. Ale to się nie liczy.

Liczy się twój talent. Twoja sztuka.

- To mnie uratowało.

- Naprawdę? - zdziwiłam się, bo nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

Zamiast odpowiedzieć, złożył na moich ustach pocałunek. Niespieszny i czuły. Rozchyliłam wargi, gdy poczułam, jak mocno się w nie wpija. Rozpalił mnie dotyk jego języka. Uwielbiałam go całować.

Całym sercem. Czuć jego zęby na moich, jego język na moim. Usiadłam na nim okrakiem, wciskając kolana w sofę. Zaczęłam się o niego ocierać kroczeniem.

Złapał moje pośladki w dłonie i wolno nimi poruszał, przyciskając mocno do siebie. Całował

mnie gorączkowo. Czułam, jak szybko twardnieje jego kutas. Przeszedł mnie dreszcz, gdy przypominałam sobie, jak smakuje w moich ustach i jak wypełnia mnie w środku, między nogami.

Głęboko.

Rozpięłam bluzkę. Od dotyku jego chłodnego ciała miałam gęsią skórę. Było tak przyjemnie.

Moje sutki od razu stwardniały, jakby pieściła je jakaś niewidzialna dłoń. Zrzuciłam bluzkę, odpięłam stanik. Ramiączka ześlizgnęły się z moich ramion. Chwyciłam piersi, wciąż zasłonięte delikatną satyną, przycisnęłam jedną do drugiej, żeby nabrzmiały jeszcze bardziej, i wypięłam je przed jego twarzą.

Szybko przesunął usta wzdłuż mojej szyi i dekoltu. Polizał mocno zaokrąglone wzniesienia moich piersi. Bluzka zupełnie mi się zsunęła, odsłaniając sterczące sutki. Johnny lizał je i ssał tak długo, aż zaczęłam jęczeć. Każdą z jego pieścizn odczuwałam w łechtaczce. Zawsze uwielbiałam, gdy kochankowie bawili się moimi sstkami, ale wielu z nich nie poświęcało im uwagi, od razu nurkując między moje uda.

Johnny się nie spieszył.

Odchyliłam głowę. Włosy łaskotały skórę na moich plecach. Kołysałam się rytmicznie, napierając na jego krocze, choć dzielące nas warstwy dżinsu, bawełny i jedwabiu osłabiały doznania. Johnny wciąż obejmował ustami moje sutki, ssał je łagodnie jeden po drugim. Przygryzał

delikatnie, zostawiając ledwie widoczny ślad zębów, a ja próbowałam mu się opierać.

Śmiał się, nie odrywając ust od mojego ciała. Ja też miałam ochotę się śmiać, ale ledwo mogłam złapać oddech. Dyszałam oszalała od pożądania. Johnny ocierał się twarzą o mój biust, jakby chciał wygładzić drobne ślady po ugryzieniach.

Wygięłam plecy, oddając mu swoje ciało, a on je wziął. Położył płasko dłoń na moich plecach, między łopatkami, a drugą wsunął pod moje pośladki. Zanim zorientowałam się, co zamierza zrobić, wstał.

Instynktownie mocno oplótłam go nogami i wbiłam paznokcie w jego ramiona.

- Johnny - wymamrotałam.

- Ciii - powiedział. - Od łóżka dzieli nas kilka kroków.

Wczepiłam się w niego, a on zaniósł mnie do sypialni. Opadliśmy razem na łóżko. A on przeturlał się na mnie. Szorstki materiał jego koszuli drapał moje nagie piersi. Nasze ciała ocierały się namiętnie. Całowaliśmy się. Nie rozłączaliśmy warg, gdy walczyliśmy z guzikami u jego koszuli.

Potem rozpiął dżinsy, a ja wyślizgnęłam się z moich. Położyłam się przed nim na łóżku. Miałam na sobie tylko jedwabne majtki.

Oczy mu błyszczały. Uklęknął i spojrzał na mnie z góry. Bezwstydnie rozłożyłam nogi. Moje piersi zaróżowiły się od podniecenia, które rozpalało mnie od środka i które teraz czułam każdą komórką ciała. Patrzyłam na jego nagie biodra, ciemnoziółte włosy na jego łonie, rozkoszne podbrzusze, które pragnęłam całować.

Nagle mocno wciągnęłam w płuca powietrze. Nie miałam się zakrztusiłam, bo zdawało mi się, że to nie dzieje się naprawdę.

- Emm?

Przeciągnęłam rękami po swoim ciele, z wszystkich sił rejestrując dotyk. To działa się naprawdę. Naprawdę tu byłam. Łóżko poruszyło się wraz z ciałem Johnny'ego. To też się działo naprawdę.

- Pieść mnie - szepnęłam.

Moje powieki opadały z rozkoszy, ale przez cały czas starałam się patrzeć na niego. Mieć go przed oczyma. W centrum pola widzenia.

Johnny oblizwał usta i odgarnął opadające na twarz włosy.

- Popieszczę cię.

Na dźwięk akcentu, który tak uwielbiałam, przeszedł mnie dreszcz. Miałam do niego słabość.

W innych okolicznościach ten męski, lekko arogancki ton wywołałby u mnie tylko ostentacyjne prychnięcie.

Rozłożyłam szerzej nogi. Wypięłam biodra. Miałam już mokre majtki i śliską cipkę. Z każdym moim ruchem łechtaczka ocierała się o jedwab majtek.

Johnny przesunął palcem po moim brzuchu, przez koronkowy rąbek majtek aż do mojej szparki. Przez chwilę pocierał ją okrężnymi ruchami. Przygryzłam usta, starając się stłumić jęki.

Cieniutki jedwab oddzielający jego rękę od mojej łechtaczki potęgował rozkosz.

- Jak mam cię popieścić, Emm? Tak jak teraz?

Z łatwością odczytałam uczucia malujące się na jego twarzy. Nic nie był w stanie przede mną ukryć.

- Tak, Johnny.

Pocierał odrobinę szybciej.

- Czuję, jaka jesteś gorąca. I mokra.

- Tak - wydyszałam.

- To dla mnie tak zwilgotniałaś?

- Tak, Johnny. Dla ciebie.

Wsunął palec pod moje majtki i wepchnął go do środka. Potem drugi. Zanim zdążyłam się tym nacieszyć, wyciągnął je i znów dotykał majtek, które teraz były zupełnie mokre.

- Zdejmij majtki - polecił.

Zsunęłam je z bioder i ud, a on odchylił się lekko, żebym mogła je ściągnąć do końca. Kiedy znów się przed nim położyłam, tym razem zupełnie naga, a on lustrował każdy centymetr mojego ciała, zawahałam się.

Zauważył moją reakcję.

- O co chodzi?

- O nic.

Nie chciałam się teraz zastanawiać, ile miał w życiu ślicznych kobiet o płaskich brzuchach, zgrabnych tyłeczkach i wielkich cyckach. Zwłaszcza nie chciałam, żeby się dowiedział, że w ogóle zaprzęłam sobie tym głowę.

Przestał się rozbierać.

- Emm, no powiedz. Przeciągnęłam rękami po udach.

- Nic się nie stało. Pieść mnie.

Zdjął wreszcie dżinsy i zamiast wejść we mnie tak, jak tego pragnęłam, albo zsunąć się między moje uda i pieścić mnie ustami, co również uwielbiałam, Johnny położył się obok mnie i wsparł na ramieniu. Dotykał kutasem mojego uda. Spojrzał mi w oczy, a drugą rękę położył na moim brzuchu. Jak na mój gust stanowczo za daleko od łechtaczki.

- Wiesz, że jesteś piękna - powiedział cicho.

Miałam ochotę mu odpowiedzieć, że takie komplementy nie padają z ust faceta, który dba tylko o własny tyłek. Może zmienił się przez lata, może wydorósł. Tak jak wszyscy. Mnie też to pewnie czeka.

- Cieszę się, że tak myślisz. - Położyłam się na boku, żeby być bliżej niego. - Ty też jesteś piękny.

Ręka Johnny'ego ześlizgnęła się niżej, aż po meszek moich włosów łonowych. Niestety tym razem również nie dotarła tam, gdzie pragnęłam.

- Mówię poważnie, Emm. Nie chodzi tylko o ładną buzię i ciało. Nie chcę, żebyś myślała, że tylko o to chodzi.

- Hm, hm... - Zmarszczyłam brwi. - Chcesz powiedzieć, że chodzi o moje piękno wewnętrzne? Bo to brzmi tak, jakbyś chciał mnie zapewnić, że co jak co, ale osobowość to mam wspaniałą.

Parsknął śmiechem i pocałował mnie, kreśląc ręką powolne kółka na moim podbrzuszu i z każdym ruchem przesuwając palce coraz bliżej celu.

- Chcę powiedzieć, że nie pieprzę się z tobą tylko dlatego, że masz fajne cycki i tyłek.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Powinam się zirytować, może nawet wściec. Znam kobiety, które w takiej chwili na pewno tak właśnie by zareagowały. - W takim razie o co chodzi? -

zapytałam.

Johnny tylko się uśmiechnął. Wreszcie przesunął niżej rękę i pogłaskał tę wrażliwą część mojego ciała, która tak bardzo pragnęła jego dotyku.

- Mam wymieniać? Zrobić listę?

- Hm - jęknęłam cicho. - Coś w tym rodzaju. Poruszał palcami w idealnym rytmie. Dawno się nie kochaliśmy, ale dobrze znał moje ciało. Wiedział, kiedy je dotykać i kiedy przerwać pieszczoty.

Kiedy mocniej nacisnąć. Kiedy delikatnie głaskać.

Zamknęłam oczy. Wsluchiłam się w słodki tembr jego głosu i poddałam słodkim pieszczotom.

- Nie dajesz sobie wciskać kitu - zaczął. - Nikomu na to nie pozwalasz. Zwłaszcza mnie.

Czułam, że powoli dochodzę. Upajał mnie jego słodki głos. Johnny mówił cichym i monotonnym tonem, który podniecał mnie tak samo jak jego dotyk.

- Nie pozwalasz, by cokolwiek przeszkodziło ci w osiągnięciu celu. Jesteś uparta, Emm. I to mi się podoba. Jesteś dobrą przyjaciółką. Kochasz rodziców. Podoba mi się to, że wciąż lubisz z nimi być.

Roześmiałam się.

- Nie rozmawiajmy o moich rodzicach... akurat teraz.

Johnny się uśmiechnął. Poruszał palcami wolniej, a po chwili znów szybciej. Doprowadzał mnie do szaleństwa.

- Lubię sposób, w jaki poprawiasz włosy.

- Już lepiej.

- Lubię, jak przygryzasz usta, gdy intensywnie się nad czymś zastanawiasz albo gdy nie jesteś pewna, co powiedzieć.

Jęknęłam z rozkoszy. Odruchowo wygięłam plecy.

- Pamiętam, jak przyszedłaś do mojego gabinetu i płakałaś, bo martwiłaś się, że stało się coś złego.

Otworzyłam jedno oko. Już prawie dochodziłam, ale wybił mnie tą uwagą z rytmu.

- Hej! Mów o seksie.

Wprawdzie w tej chwili mógłby równie dobrze mówić o cenie herbaty w Chinach, a i tak miałabym orgazm. On jednak pochylił się nade mną i pocałował mnie. Ssał mój język powoli, w tym samym rytmie, w którym pieścił moją cipkę. Miałam ochotę unieść biodra i wcisnąć mocno pizdę w jego rękę, ale powstrzymałam się ostatkiem sił.

- Lubię, jak stają ci sutki, kiedy ściągasz koszulkę przed wejściem pod prysznic. Lepiej?

- Zdecydowanie...

- Lubię czuć na języku twój smak. Kiedy sobie przypomnę, jak smakujesz, od razu mi staje. Robi się taki twardy, jakby zaraz miał eksplodować.

Wymamrotałam jego imię. Nie byłam w stanie się poruszyć, nie byłam w stanie mówić. Mogłam go tylko słuchać. I czuć.

- Po raz pierwszy zobaczyłem cię w tej kawiarni - Johnny szeptał do mojego ucha i jednocześnie nie przestawał doprowadzać mnie ręką do ekstazy – ale już wtedy cię znałem, Emmaline. Musiałem wciąż obok ciebie przechodzić, bo nie umiałem znaleźć słów, żeby wyrazić to, co już wiedziałem. Ze skończymy w ten sposób. Razem. Nie miałem wyboru i to mnie wkurzało.

Otworzyłam oczy. Moje napięte do granic możliwości ciało lada moment miała zalać fala rozkoszy.

- Poważnie?

Johnny przesunął dłoń jeszcze niżej, włożył we mnie palce i pieprzył mnie w tym samym powolnym rytmie. Poczułam inny rodzaj przyjemności. Obezwładniający i jednocześnie pobudzający.

- Aha. A jak myślisz, dlaczego na początku byłem takim wrednym złamasem?

Zabrakło mi tchu. Jęknęłam cicho i poczułam, że już jestem u szczytu. Ale nie dochodziłam.

- Kochanie, jesteś tak cholernie seksowna, w taki wyjątkowy sposób...

Podobało mi się to. Tak samo jak on mi się podobał. Uwielbiałam w nim wszystko. Nawet to, że wkurzyłam go podczas pierwszego spotkania, choć wtedy nie zamieniliśmy ani słowa.

- Jesteś taka pociągająca. I mokra. Zaraz dojdiesz. Dla mnie, Emm.

- Tak.

Wtulał twarz w moją szyję, laskocząc językiem skórę. Moim ciałem wstrząsnęły dreszcze rozkoszy.

Nie byłam już w stanie mówić. Tylko poruszałam biodrami w takt gry jego palców. Byłam coraz bliżej.

Nic nie mogło mnie powstrzymać.

- Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, miałem wrażenie, jakbym się zderzył z rozpędzoną ciężarówką - szeptał Johnny. - Przeszedłem obok ciebie, udając, że cię nie widzę, i prawie potknąłem się o własne nogi. To przez ciebie, Emm. Bo na mnie popatrzyłaś.

Jakimś sposobem odzyskałam mowę.

- Zobaczyłam cię. Nie znałam cię, ale czułam jak... O Boże, Johnny, czułam się tak jak teraz.

Jeszcze odrobinę.

Tylko odrobinę. Odrobinę. I poczułam, jak zalewa mnie fala, jak z niej spadam i latam.

- Też mnie wtedy powaliłeś - wydusiłam. Nie byłam pewna, czy te słowa mają sens, bo płynęły z mojego serca, a nie z umysłu. - To było jak kraksa. Właśnie wtedy. Ty i ja, zbliżaliśmy się do siebie... we właściwym czasie...

- W końcu we właściwym czasie - wyszeptał mi Johnny do ucha. Czułam, jak jego kutas pulsuje na moim udzie, chociaż wcale go nie dotykałam.

I wtedy doszłam. Z impetem. Usłyszałam jego jęk. Poczułam, jak się o mnie ociera i jak zalewa mnie jego żar. Miałam mokre udo. Poczułam jego zapach i wstrząsnęły mną dreszcze, aż zabrakło mi tchu.

Opadłam bez sił na łóżko. Johnny wciąż trzymał rękę na moim brzuchu. Nasze ciała kleiły się do siebie. Pomyślałam, że powinnam wstać i iść pod prysznic, ale się nie ruszyłam. Chciałam tak leżeć u jego boku przez wieczność.

- To nie była kraksa - odezwał się po chwili już mocno zaspanym głosem.

- A co? - Oplotłam go rękami i nogami.

- Jak to się mówi, kiedy dwa poruszające się ciała. . kurwa - wymamrotał. - Trzeba od tego ubezpieczać samochód.

Wiedziałałam, o co mu chodzi, choć najwyraźniej był kompletnie otumaniony seksem i właśnie zapadał w sen. Roześmiałam się cicho i wtuliłam twarz w jego ramiona. Poczułam się jak w szkole na lekcji fizyki.

- Zetknięcie się poruszających się ciał to zderzenie, Johnny. Kolidują.

- O, właśnie - wyszeptał. - To była kolizja.

Rozdział 28

Było cudownie.

Nasz związek rozkwitał, choć nie byłam aż tak zaślepiona, żeby poza nim światła nie widzieć.

Kochałam Johnny'ego, ale to wcale nie znaczyło, że nasze życie sprowadzało się do miłości.

Właściwie wszystko układało się wspaniale. Nie miałam ataków ani halucynacji. Stałam mocno na nogach w terażniejszości i choć nie próbowałam przed sobą udawać, że nie brakuje mi tego dreszczyku emocji, tej dzikiej wolności zmyślonych dni, które spędziłam z tamtym Johnny'ym, zdecydowanie bardziej ceniłam to, co miałam tu i teraz.

Dużo myślałam o jego słowach. O tym, co się stało między nami tego dnia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Mokce, kiedy przeszedł obok mnie obojętnie, jakby w ogóle mnie nie zauważył. Myślałam o tym, co nam się przytrafiło.

O naszej kolizji.

Myślałam też o tym, co powiedział później, kiedy rozkosz i seks pomieszały nam w głowach. *We właściwym czasie*. Tak wtedy powiedział. *Wreszcie we właściwym czasie*.

- Kto wie, o co mu chodziło? - zwierzyłam się Jen, gdy siedziałyśmy w ulubionej kawiarni, zajadając się ciastkami.

Mokka jak zwykle była zatłoczona, ale dziś wydawała mi się jakaś inna. Wciąż uwielbiałam to miejsce, ale już nie patrzyłam z nadzieją w stronę drzwi za każdym razem, kiedy rozlegał się dźwięk dzwonka. Carlos skończył pisać powieść i nie przesiadywał już tutaj tyle co kiedyś. Jak wyjaśnił, postanowił sobie zrobić przerwę, zanim zabierze się do pisania nowej książki. Spostrzegłam kilka nowych twarzy, brakowało mi kilku starych bywalców. Zrozumiałam wreszcie, że to nie Mokka się zmieniła, lecz ja.

- Nie wiem. Może to były tylko brednie wykrzywane podczas orgazmu. Ludzie mówią dziwne rzeczy, kiedy szczytują. - Jen upiła łyk kawy i pochyliła się do mnie. - Wiesz, Jared zawołał „O, święty Piotrze na drążku pogo”, kiedy robiłam mu laskę i uderzyłam w tylne dzwonki, kumasz, nie?

Wybuchnęłam śmiechem.

- Co zrobiłaś?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Nie udawaj.

- Nie mam pojęcia - zapewniłam z miną niewiniątka.

Jen rozejrzała się dokoła, a potem otworzyła usta, symulując obciążanie, i palcem wykonała gest, jakby... uderzyła w dzwonek.

- Stara, tak go ruszyło, że myślałam, że mi przebiję potylicę.

Roześmiałam się jeszcze głośniejsze i ukryłam twarz w dłoniach, skupiając się na tym, by nie wyobrazić sobie tej sceny.

- O rany.

- Spodobało mu się. - Z satysfakcją pokiwała głową. - Nie zrozum mnie źle. Nie jestem wielką fanką podobnych akcji, sama rozumiesz.

- Rozumiem - przytaknęłam.

Jen wzruszyła ramionami. W jej oczach dostrzegłam szczęście.

- Kiedy kogoś kochasz... i chcesz, żeby ten ktoś był szczęśliwy... To znaczy, nie mówię, że Jareda trzeba uszczęśliwić.

- No jasne.

- Ale to mu się cholernie spodobało. - Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Zachichotałyśmy.

- Wierzę ci na słowo. Johnny chyba się z tego nie ucieszył.

- Nigdy nie wiadomo. - Machnęła ręką. Potrząsnęłam \$ową i upiłam trochę kawy.

- Stara, to trochę perwersyjne.

- Wiem. - Poruszyła brwiami. - Kto by się spodziewał, nie?

Obok naszego stolika przecisnęła się starsza kobieta, mocno przy kości, z siwymi, ciasno upiętymi puklami i w perfekcyjnie dopasowanym wdzianku. Posłała nam surowe spojrzenie. Jen odczekała, aż przejdzie.

- Pozmieniało się tutaj - westchnęła, ostentacyjnie przewracając oczyma. - Staruchy się złażą. Bez obrazy dla twojego ukochanego.

- No coś ty. On się nie liczy.

- Pewnie, że nie. - Zlizwała czekoladę z palców. - Johnny Jebaka Dellasandro nigdy się nie starzeje. Kiedy zamierzacie się pobrać? Zmienisz nazwisko?

Roześmiałam się.

- Nie wiem, czy się pobierzemy. Rany boskie, ty i moja matka! Pozwólcie nam po prostu ze sobą pobyc.

- Pobyć ze sobą? Stara, wpadłaś po uszy.

- Nie znam się na małżeństwie. On już był żonaty - ile razy? Trzy, cztery? Może wcale nie ma ochoty znowu w to się pakować. A skoro nie możemy mieć dzieci, to właściwie po co? Nawet razem nie mieszkamy.

- No coś ty! Myślisz, że się wypalił, tylko dlatego, że już przez to przechodził? Coś ci powiem.

Jeśli facet żeni się cztery razy, to znaczy, że po prostu to lubi.

- Głęboka myśl - naigrawałam się. - Można rzec, filozoficzna.

Rzuciła we mnie chusteczką.

- Zamknij się. Taka jest prawda. Mogę się założyć, że wyjdiesz za mąż wcześniej niż ja.

- Zamierzacie z Jaredem się pobrać?

Co za wieści! Ostatnio niepokoiłam się, że sprawy między nimi nie mają się tak dobrze. Jen wzruszyła ramionami.

- Nie wykluczam. Co prawda on twierdzi, że żona dyrektora domu pogrzebowego ma gówniane życie. A ja pytam, czy jest dużo gorsze od życia dziewczyny dyrektora domu pogrzebowego. Bo na mój gust różnica polega na tym, że w pierwszym przypadku będę mieszkać z trupami w piwnicy, a w drugim tylko je odwiedzać.

- Nie musisz tam przecież mieszkać. - Skrzywiłam się.

- Niby nie, ale tak jest łatwiej. - Znow wzruszyła ramionami, bawiąc się okruciami brownie. - Sama nie wiem, czy on mnie próbuje przekonać do małżeństwa, czy zniechęcić. Czasami świruje na moim punkcie. Namawia mnie wtedy, żebym uciekła z nim do Vegas.

- A ty chcesz za niego wyjść?

Zamyśliła się.

- Nie wiem. Nie wiem też, czy moja niepewność bierze się z tego, że naprawdę nie wiem, czy z tego, że nie chcę być tego pewna na wypadek, gdyby miało nam się nie udać.

- Skomplikowane - westchnęłam i spojrzałam na nią ze współczuciem.

- Owszem - odparła wesoło. - Ale wracając do ciebie. Zmienisz nazwisko czy nie?

- A jakie to ma znaczenie, jeśli nawet nie jestem pewna, czy wyjdę za mąż?

- Pomyśl tylko - powiedziała Jen, podczas gdy siwowłosa matrona torowała sobie drogę między stolikami, wracając od baru. - Gdybyś za niego wyszła, byłabyś Emm Jebakowa Dellasandro!

Znow wybuchnęłam głośnym śmiechem, ściągając na siebie karcące spojrzenie matrony.

-I w banku odbierałabym telefon, mówiąc: dzień dobry, tu Emm Jebakowa Dellasandro, w czym mogę pomóc?

Jen zachichotała.

- Chyba powinnaś przestać go w ten sposób nazywać, skoro jesteście razem.

- Nie. Nie przestanę. Wciąż jest dla mnie Johnnym Jebaką Dellasandrem.

Spojrzała na mnie z powagą.

-Naprawdę?

- Tak.

- Fajnie. Fajny z niego gość - dodała. - Szkoda tylko, że nie mogę już oglądać jego filmów, bo widzę w nim tylko faceta mojej najlepszej przyjaciółki.

- A ja niby jak mam spojrzeć Jaredowi w oczy, po tym jak opowiedziałas mi o uderzeniu w tylne dzwonki?

Śmiałyśmy się w głos. Ludzie na nas patrzyli, ale mało nas to obchodziło.

W końcu od tego są przyjaciele: żeby się z siebie beczelnie i szorstko ponabijać. Jen ugryzła kawałek brownie, a ja dokończyłam szarlotkę.

- Denerwuję się tą wystawą - przyznała Jen.

- Nie panikuj. Johnny ceni twoje prace. Sam mi tak powiedział i bynajmniej nie dlatego, że jesteś moją przyjaciółką. Pieprzmy się, ale w sprawach sztuki jest bardzo zasadniczy. Nie pogrywałby z tobą, Jen. Wszystko będzie dobrze.

- To moja pierwsza prawdziwa wystawa. Nie to, co tu. - Wskazała na puste miejsca, gdzie jeszcze niedawno wisały jej zdjęcia. - To się nie liczy. Galeria jest ważna. I nie chcę nawalić, rozumiesz?

- Rozumiem - pokiwałam głową.

- Nie obiecuję sobie, że po tej wystawie czeka mnie wspaniała kariera - zapewniła szybko. - Na pewno nie rzucę roboty. Chciałabym tylko, żeby ludzie poznali i polubili moje prace. Tu nie chodzi o kasę.

-Zazdroszczę ci. I Johnny'emu też. Ja nie mam talentu... - Zastanawiałam się przez chwilę nad niesamowitymi historiami, które powstały w mojej głowie. - Przynajmniej nie takiego, który mogłabym wykorzystać.

- No cóż. Ja bez kalkulatora nie umiem wykonać najprostszego działania matematycznego.

- Świat byłby smutny bez ludzi, którzy potrafią tworzyć piękno - stwierdziłam. - Twoje fotografie zrobią furorę. Już się nie mogę doczekać.

Jen się skrzywiła, ale po chwili grymas zamienił się w uśmiech.

- Ja też!

Gawędziłyśmy jeszcze przez chwilę, dopijając kawę. Obserwowałyśmy ludzi, którzy przewijali się przez Mokkę, i komentowałyśmy ich ubiór. Wreszcie zerknęłam na zegarek i westchnęłam.

- Muszę się zbierać. Obiecałam Johnny'emu, że ugotuję coś na kolację. Idiotka ze mnie.

- Ale wpadłaś! Pantoflara - rzuciła Jen.

- Bynajmniej - zaprotestowałam bez przekonania.

- Wyjdiesz za niego, zobaczysz - droczyła się ze mną. - Już niedługo będziesz mu otwierać drzwi w szpilkach, fartuszk i ze sznurem pereł na szyi. I będziesz dla niego pichciła klopsiki w kształcie serduszek.

To nawet nie był taki zły pomysł. Nie szpilki ani perły, nawet nie klopsiki, choć ten obrazek wydał mi się przesłodki. Chodziło mi raczej o wizję domowego ogniska.

- Nigdy nie myślałam. . - Urwałam, bo nagle ze zdziwieniem odkryłam, że jestem bliska łez.

Jen, jak przystało na prawdziwą przyjaciółkę, natychmiast przestała ze mnie drwić.

- Czego nie myślałaś? - dopytywała się.

- Że coś takiego mnie spotka w życiu. Byłam przekonana, że do końca swoich dni będę mieszkać z rodzicami. - Wciągnęłam głęboko powietrze, próbując powstrzymać łzy. -

Przepraszam.

- Cholera jasna. Nie waż się przepraszać, stara. Jak się ostatnio czujesz? - Tu zakręciła palcem spiralkę w okolicach skroni.

- Chodzi ci o moją szajbę? - nazwałam rzeczy po imieniu, by się odgryźć, choć wiem, że nie miała nic złego na myśli. - Cisza od dnia, kiedy sprowokowałyśmy atak. Teraz czekam na kolejny.

Zresztą jak zawsze.

- Pewnie już tak zostanie - spostrzega tramie.

- Tak. Chyba tak. Choć przez lata poprzedzające moją przeprowadzkę, kiedy czułam się świetnie, miałam nadzieję, że... A może też na nie czekałam, tylko robiłam sobie po prostu większą nadzieję.

Jen pokiwała głową ze współczuciem.

- Może teraz na jakiś czas ucichną.

- Może - zgodziłam się z nią, choć tak naprawdę nie miałam pojęcia.

- Zrób mi przysługę.

- O co chodzi?

Jen popatrzyła na mnie poważnie.

- Nie wymuszaj już więcej ataków, dobrze? Myślałam wtedy, że Johnny mnie zabije.

- Przesadzasz. Po prostu się o mnie martwił. Nie ma do ciebie pretensji.

- Stara, żałuj, że nie widziałas jego miny. Był kurewsko przerażony. Nie tak jak wtedy u ciebie na obiedzie, kiedy raczej zaniepokoił się twoim stanem. Tak bym to ujęła. Był wtedy taki słodki. Ale tego dnia, kiedy sprowokowałaś atak, myślałam, że ze złości w coś przywali. Najpewniej prosto w moją głębę.

- Nie zachowałam się zbyt mądrze. - Zaśmiałam się, żeby pokryć zakłopotanie.

- Tak myślisz? - Przyglądała mi się z zaciekawieniem. - Sama nie wiem. Nie sądzisz, że gdybyś się nauczyła wywoływać ataki, umiałabyś też. . Nieważne. Johnny ma rację. To było niebezpieczne. I jestem beznadziejną przyjaciółką, że w ogóle ci to podsunęłam.

- Nie zgadzam się. Miałaś trochę racji. Po prostu obiecałam mu, że już nigdy więcej nie zrobię tego specjalnie, i...

Prawda była taka, że bałam się podobnych eksperymentów.

- Rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem - zapewniła Jen i po chwili jęknęła: - Stara, ja nie jestem lekarzem ani nikim takim. Rany boskie, przecież ja nawet nie oglądam tych medycznych programów w telewizji. Niepotrzebnie sugerowałam ci takie rzeczy. Johnny miał rację.

- Problem w tym, że ataków amnezji nie da się kontrolować. Gdyby się dało, ludzie nie potrzebowaliby lekarstw. Zawsze pomagała mi medytacja, akupunktura i medycyna alternatywna.

Na pewno dużo bardziej niż tradycyjna. A mnie nawet nie da się zdiagnozować. Każdy lekarz mówi coś innego. W tomografii komputerowej wychodzi cień, ale nie powiększa się ani nie znika -

westchnęłam. - Kiepska sprawa.

- Owszem - przyznała Jen. - Coś ty sobie, kurwa, wyobrażała, że co? Spadniesz na łeb i co dalej?

Roześmiałam się. Fajnie było z nią pożartować w sytuacji, którą każdy inny traktowałby śmiertelnie poważnie.

- Nie mam pojęcia. Dzieciaki są durne.

- Mowa. Ja kiedyś zeskoczyłam z półpiętra, owinąwszy się peleryną Spidermana. Byłam przekonana, że umiem latać.

- A kiedy się zorientowałaś, że jednak nie umiesz?

- Kiedy tylko wylądowałam. - Parsknęła śmiechem.

Pośmiałyśmy się jeszcze chwilę z naszej szczenięcej głupoty. Znow spojrzałam na zegarek.

- No dobra. Muszę lecieć. Trzeba jeszcze kupić mieloną wołowinę na te klopsiki.

- Tylko nie zapomnij o fartuszkach i perłach - przypomniała Jen, gdy obie wstałyśmy od stolika. -

I do tego koniecznie szpilki.

Rozmyślałam o naszej rozmowie, gdy krążyłam wśród alejek sklepowych, popychając przed sobą wózek. Kupowałam jedzenie nie tylko dla siebie, ale też dla Johnny'ego. Włożyłam do wózka jego ulubioną oliwę i ulubiony papier toaletowy, chociaż był droższy od innych. I chipsy, które najbardziej mu smakowały.

Wcale mi nie przeszkadzało, że wybieram inne produkty niż te, które sama bym kupiła. Nie czułam, że ktoś na mnie naciska albo zmusza mnie do kompromisu. Ten zwyczajny wypadek do sklepu stał się dla mnie częścią czegoś ważnego. I nie chodziło wcale o to, jakie masło wybiorę ani ile kupię pudełek ryżu.

Chodziło o nasze wspólne życie.

Ta myśl w pełni do mnie dotarła w alejce ze słodyczami. Stałam jak zamurowana. Zaciśnęłam mocno palce na wózku. Ziemia zakołysała się przede mną w znany sposób. Zdawało mi się, że wyczuwam delikatny zapach pomarańczy. Przygotowałam się na atak, ale szybko zdałam sobie sprawę, że nic takiego się nie zdarzy. Świat zawirował wokół mnie z powodu silnych emocji, a nie za sprawą kaprysu mojego umysłu.

Nie byłam pewna, czy zdołałam zwalczyć ten atak, czy może emocje zwiastowały jego nadejście. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak silnego

uczucia bez napadu amnezji. Lecz świat nie zmienił się ani na jotę. Nie wylądowałam na łące usłanej kwiatami ani w kajaku nad wodospadem Niagara.

- Przepraszam - usłyszałam głos młodej kobiety, która próbowała dosięgnąć do półki z batonikami. W siedzisku załadowanego zakupami wózka siedziało uśmiechnięte niemowlę.

Przesunęłam się i popchnęłam swój wózek dalej. Potem przy kasie znów ogarnęło mnie to uczucie. Kasjerka ważyła ekologiczne pomidory, a ja gawędziłam z chłopcem, który pakował zakupy.

Zapłaciłam, zarzuciłam plecak na ramię i ruszyłam w kierunku domu. Świat kręcił się i wirował, jakby ktoś szarpał kurtyną na scenie. Jakby ktoś dobijał się do moich drzwi.

Zastanawiałam się, czy w końcu otworzę.

Rozdział 29

Mój umysł działał bez zarzutu. Spędzałam dnie z Johnnym. Nie miałam napadów amnezji.

Wieczorami kładłam się do łóżka, przytulałam pod kołdrą do ukochanego i zasypiałam. I śniłam.

O Johnnym.

Te sny były inne niż moje fantazje o rozpalonych żądzą ciałach pokrytych potem w sierpniowym upale. Wciąż śniłam o tamtym Johnnym, o tamtym domu. O tamtym lecie. W tych snach było jednak inaczej.

We śnie czas nie ma znaczenia, jednak w miarę możliwości starałam się patrzeć na kalendarz.

Wszystko działo się na kilka tygodni przed feralną nocą, która doprowadziła do rozbicia Enklawy.

Cieszyłam się, że mój umysł wysłał mnie tam właśnie wtedy. Wszyscy byli szczęśliwi. Upalali się, kochali, dyskutowali o polityce i sztuce. Jedli pyszności, które gotował dla nich Candy.

A w centrum tego świata był Johnny. Trzymał mnie za rękę. Całował. Odgarniał moje włosy znad karku, żeby chłodziła mnie świeża bryza. Częstował mnie piwem ze swojej butelki, jadłam z jego widelca. Gdy odpoczywaliśmy na trawie w ogrodzie, opierałam mu głowę na kolanach, a on dokładnie studiował moją twarz. Potem razem patrzyliśmy w błękit letniego nieba.

- Chciałbym, żebyś tu została - powiedział Johnny. Zaciągnął się mocno i podał mi skręta.

Odmówiłam. Włożył z powrotem papierosa do ust.

- Nie mogę. Wiesz przecież - przypomniłam mu.

- Wiem, że tak powtarzasz.

Byłam szczęśliwa. We śnie było tak sielsko. Śmiałam się, bo sprawiało mi to przyjemność. Wyciągnęłam się na zielonej trawie, patrzyłam na błękitne niebo. Patrzyłam na twarz mężczyzny, którego kochałam.

- Z czego się śmiesz? - zapytał.

- Po prostu jestem... szczęśliwa.

Pochylił się nade mną i pocałował mnie. Poczułam lekki zapach marihuany.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Emm. -A ty nie jesteś?

- Czasami. - Teatralnie zmarszczył brwi. Usiadłam na trawie.

- Och, biedny Johnny. Co się dzieje? - wyglupiałam się.

- Już mówiłem. Chciałbym, żebyś została.

- Nie spodobałoby ci się - westchnęłam upojona radością i wolnością, którą czułam we śnie.

- Spodobałoby.

- Nie. Miałbys mnie dość. Tak samo jak masz dość wszystkich swoich kobiet.

Johnny roześmiał się.

- Nigdy nie mam dość moich kobiet, kociaku. Mój problem polega na tym, że za bardzo je Kocham.

- Widzisz? Nie chcę być po prostu jedną z twoich kobiet!

Powoli potrząsnął głową i spojrzał mi w oczy.

- Nie jesteś, Emm. Ani trochę.

Oparłam głowę na jego torsie. Czułam na policzku nagie ciało. Miał na sobie przeokropne czerwone spodenki gimnastyczne zdobione białą lamówką. Całe szczęście, że to był tylko sen. Mój Johnny za żadne skarby nie włożyłby czegoś tak paskudnego. Przynajmniej nie dziś. W 1978 taki ciuch był

pewnie hitem sezonu.

- Uwierz mi. Powinieneś się cieszyć, że nie przesiaduję tu z wami przez cały czas - zapewniłam.

- Nie uwierzę.

Odłożył skrzeta i splótł ręce za głową. Patrzył w niebo.

- Pokłócilibyśmy się - zauważyłam.

- O co? - zapytał takim tonem, jakby niewiele go to obchodziło.

- O coś. Nie wiem. Ludzie zawsze się w końcu kłócą. Czasami zachowuję się jak wredna suka.

- Myślisz, że sobie z tym nie poradzę? - Roześmiał się.

-Nie powinieneś mieć takich zmartwień. Nie tutaj. Nie we śnie.

-A może ja właśnie tego chcę - powiedział znów tym nonszalanckim tonem. Nie wierzyłam mu ani przez sekundę. - Przyszło ci to w ogóle do głowy?

Miałam wrażenie, że cały świat stanął na głowie. Wszystkie wspomnienia się zlewały. Pamiętałam ataki, rozmowy, seks, ale nie umiałam powiedzieć, czy pasowały do czasu, w którym byłam, do tego snu. Jakby ktoś pociął ten świat na drobne skrawki. Usiadłam i spojrzałam na niego.

- Kocham cię, wiesz o tym.

- Fajnie. - Patrzył na mnie z bezczelnym uśmiechem.

Trzepnęłam go w pierś. Nie licząc spodenek, był nagi.

- Miałaś odpowiedzieć, że też mnie kochasz, dupku.

Johnny mnie pocałował.

- Kocham cię, Emm.

Od strony basenu dobiegł nas głośny plusk i po chwili na powierzchnię wypłynął Ed, wypluwając z ust wodę. Poza nim nikogo w pobliżu nie było. Żałowałam, że już nie byliśmy sami.

- Ale moje sucze zachowania nie trwają długo -zapewniłam.

- Nie? - Znów mnie pocałował i czule głaskał po szyi.

- Nie - odparłam głośnie, choć wciąż przyciskał wargi do moich ust.

- Dobrze wiedzieć.

Ktoś go zawołał. Zniecierpliwiony spojrzał w kierunku domu, W drzwiach stała Bellina.

Trzymała w dłoni słuchawkę telefonu na maksymalnie rozciągniętym długim kablu. Wymieniła jakieś imię.

- To mój agent - wyjaśnił Johnny i spojrzał na mnie przepaszająco. - Muszę odebrać, kociaku.

- Idź.

Rozłożyłam się leniwie na trawie, ciesząc się ciepłem słonecznych promieni.

Johnny wstał i popatrzył na mnie. W słońcu widziałam tylko ciemny zarys jego sylwetki.

- Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę? - zapytał.

- Mam nadzieję, że tak. Choć szczerze w to wątpiłam.

Następnego dnia wróciłam. W to samo miejsce, lecz o innej porze. Johnny właśnie wychodził

z kuchni i natknął się na mnie w korytarzu. Zmierzył mnie wzrokiem.

- To był Freddy. Mówił, że załatwił mi rolę w horrorze. Zdjęcia będą we Włoszech - wziął mnie w ramiona. - Chcesz ze mną jechać do Włoch?

Dlaczego nie?

- Jasne - odparłam.

Uśmiechnął się i pocałował mnie. Potem jeszcze raz, ale trochę gwałtowniej.

- Pójdziemy na górę?

- Jasne - odpowiedziałam, łapiąc go za tyłek.

Usłyszeliśmy za plecami łoskot. Odwróciliśmy się. To był Ed. Ze złością zmarszczyłam brwi. Śledził nas, czy co?

- Przepraszam - wymamrotał Ed, zataczając się lekko. - Myślałem, że sobie poszłaś, Emm. Bo byłaś tam, a potem zdawało mi się, że... Nieważne.

- Jestem tutaj - syknęłam.

Johnny się roześmiał.

- Idź się prześpij, człowieku. Ten gość powinien przystopować z wodą - dodał, gdy Ed zniknął za drzwiami salonu.

Na górze, w sypialni, Johnny pozbył się okropnych spodenek. Stał przede mną zupełnie nagi i podniecony. Jego kutas już nabrzmiał, jakby dopraszał się, żebym ukłękła i wzięła go do buzi.

Zrobiłam to z przyjemnością. Niechcący przycisnęłam kolanami rąbek zwiewnej koszulki nocnej.

Przesunął palce wzdłuż cieniutkich ramiączek i nagle zsunął je z moich ramion, by wyswobodzić nagie piersi.

Głaskałam dłonią jego fiuta, a ustami objęłam żołądź. Zaczęłam go ssać. Potem lizać i delikatnie przygryzać. Johnny jęczał słodko i coraz mocniej wypychał kutasa do mojej buzi. Złapał mnie za włosy i pociągnął, żebym na niego spojrzała.

- Wstań - poleci. - Odwróć się do mnie tyłem.

Odwróciłam się. Oparłam dłonie na biurku z polerowanego drewna. Johnny stał tuż za mną. Zdjął ze mnie koszulkę. Stałam zupełnie naga. Pieścił moje pośladki, potem włożył między nie palce i przesunął je niżej, dosięgając cipki. Wstrząsnął mną dreszcz. Pochyliłam niżej głowę i szeroko rozstawiłam nogi. Byłam zupełnie mokra.

- Zawsze łazisz bez majtek? - wymamrotał, ale nie czekał na odpowiedź.

Owszem, spałam w tej koszulce bez majtek. Przecież tylko we śnie wyszłabym do ludzi ubrana w ten sposób. Ale nie zawracałam sobie głowy przydługim wyjaśnieniem, tylko szepnęłam: - Tylko dla ciebie.

Mruknął zadowolony. Wepchnął we mnie palce i zaraz wyjął. Złapał w dwa palce moją łechtaczkę i lekko pociągnął. Z mojego gardła wydobył się jęk.

- Mam cię zerznąć, Emm?

- Tak.

- W takiej pozycji?

- Tak.

Za biurkiem wisiasto lustro. Wszedł we mnie. Owinął moje włosy wokół pięści i mocno pociągnął, zmuszając, bym podniosła wzrok. Patrzyłam na nasze odbicie uwięzione w ozdobnej ramie. Tworzyli-

śmy obraz. Prawdziwe dzieło sztuki.

Rytmicznie poruszała biodrami. Pełna koncentracja. Jego twarz wykrzywił grymas. Zmarszczone brwi, zaciśnięte usta. Patrzyłam coraz bardziej otępiąłym wzrokiem, w miarę jak wzbierała we mnie rozkosz. Trzymał mnie tak mocno, że mogłam patrzeć tylko przed siebie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się w lustrze.

Pocierał palcami moją łechtaczkę w rytmie ruchów bioder. Próbowałam mocniej przytrzymać się biurka, ale palce mi się ześlizgiwały. Poruszaliśmy się razem. Biurko się chwiało, uderzało o ścianę, skrzypiała podłoga. Lustro się trzęsło razem z naszym odbiciem.

Trzęsła się cała sypialnia.

Szybko zbliżałam się do orgazmu. Johnny zamknął oczy, odchylił głowę. Wciąż tak mocno trzymał mnie za włosy, że nie mogłam się ruszyć, nie narażając się na ból. Widziałam ekstazę na jego twarzy. Chciałam odwrócić wzrok od swoich zniekształconych rozkoszą rysów. Wtedy go spostrzegłam, ponad ramieniem Johnnynego. Stał w drzwiach.

To był Ed. Patrzył na nas. To było dużo gorsze od incydentu z Sandy, która wpadła na nas w sypialni. Wtedy przynajmniej jej pokazałam, że na dobre straciła Johnnynego, że teraz należy do mnie.

Ale wojeryzm w wykonaniu Eda w ogóle mnie nie kręcił.

Nie umiałam pohamować jęku. Przez moje ciało przelewała się fala orgazmu. Johnny głośno stękał. Wykrzyknęłam jego imię i otworzyłam oczy. Mrugnął kilka razy, patrzył zamglonym wzrokiem, zwolnił rytm pchnięć.

Potem odwrócił głowę, puścił moje włosy, ale wciąż we mnie był.

- Co jest, do cholery?

Ed potrząsnął \$ową, podniósł ręce do góry i wybełkotał przeprosiny. Wycofał się z pokoju. Johnny wyszedł ze mnie. Z mojej piersi wydobył się jęk zawodu. Po chwili poczułam, jak na udach rozlewa mi się ciepła wilgoć. Odwróciłam się za Johnnym, który ruszył w kierunku drzwi.

- Hej, ty! Ed!

-Johnny, daj spokój! - zawołałam, wkładając koszulkę. - Nie warto. Chyba nie miał nic złego na myśli.

- Kurwa mać! - ryknął Johnny. - Pijany skurwysyn.

Ed nie był aż tak pijany czy upalony, żeby nie wiedział, co robi. Nie rozumiałam, dlaczego właściwie stanęłam w jego obronie. Może dlatego, że wiedziałam, jak skończy. W końcu to był tylko sen.

- Nie przejmuj się. Widział tylko twój tyłek, który i tak wszyscy już znają.

Johnny nawet się nie uśmiechnął. Zatrzasnął z hukiem drzwi. Odwrócił się do mnie i oparł ręce na biodrach. Jego członek zwisał, gruby, lśniący od seksu i na wpół twardy.

- Od kilku tygodni zachowuje się jak kompletny świr.

Zastanawiałam się, jakim cudem był w stanie stwierdzić, że Ed świrował bardziej niż zwykle? Ale w końcu on znał go lepiej.

- Nie przejmuj się - powtórzyłam.

- Ja się nie przejmuję. Jestem wkurwiony. - Uderzył pięścią w stół. - Dajesz człowiekowi dach nad głową, a on wycina taki numer?

- Może... może powinieneś z tym skończyć.

Nie miałam pojęcia, dlaczego to powiedziałam. Wiedziałam, że Enklawa rozpadła się po samobójstwie Eda, ale przecież jeszcze do niego nie doszło.

To znaczy doszło. Ale nie tutaj. Nie teraz. Nie w tym czasie.

Zakręciło mi się w głowie.

Spojrzałam na swoją koszulkę. Na ręce, które wciąż bolały mnie od kurczowego trzymania biurka. Johnny coś mówił, ale jego słowa do mnie nie docierały.

Śniłam. A może miałam atak? Halucynacje? Nie wiedziałam. Patrzyłam na niego, na jego twarz, ciało, usta. Patrzyłam, jak się porusza. Wciąż czułam go w sobie. Wciąż czułam dreszcze orgazmu, który przed chwilą miałam.

Osunęłam się na podłogę. Natychmiast znalazł się przy mnie.

- Emm, wszystko w porządku?

- Tak - wydusiłam. - Trochę zakręciło mi się w głowie. Za gorącu tu.

- Przyniosę ci wody.

Zaprowadził mnie do łóżka. Usiadłam i pochyliłam głowę. Poczułam zapach seksu. Johnny przyniósł

wilgotny ręcznik i położył go na moim karku. Podał mi szklankę wody. Wypiłam łyk i poczułam, jak skręca mi żołądek. Oddałam mu szklankę i potrząsnęłam \$ową. Oddychałam powoli i głęboko, jak podczas medytacji. Przycisnęłam dwa palce do nadgarstka. Sztuczka, której nauczyłam się na zabiegach akupresury.

- Źle się czujesz? - Johnny głąskał mnie po plecach. - Zdenerwowałaś się?

- Trochę kręci mi się w głowie.

Wdychałam powietrze przez nos, wydychałam przez usta. Nudności nie przechodziły. Zerknęłam na podłogę. Wciąż się ruszała.

Johnny głąskał mnie po plecach. Przełożył mokry ręcznik na moim karku na drugą stronę.

Oddychałam. I oddychałam.

I oddychałam.

- Pójdę już - powiedziałam wreszcie.

- Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tutaj.

- Nie. Muszę iść.

Wstałam. Stąpałam mocno po podłodze. Nie upadłam.

Johnny westchnął.

- Jak chcesz. No dalej. Idź już.

Nie chciałam, żeby był na mnie zły, ale czy to miało jakieś znaczenie? Tak naprawdę? Znowu zakręciło mi się w głowie. To wszystko było takie zagmatwane. Nie mogłam tego dłużej znieść. Nie mogłam tego objąć umysłem.

- Dokąd ja właściwie chodzę? - Zdjęłam ręcznik z karku i przyłożyłam do twarzy.

- Cholera wie. Nigdy nie wspominałaś - westchnął zrezygowany. - Nie masz telefonu. Ani adresu.

Pojawiasz się i znikasz.

- Ale zawsze wracam, prawda?

- Jak dotąd tak - powiedział powątpiewająco. Odłożyłam ręcznik.

- Nigdy nie widziałeś, jak przychodzę ani odchodzę?

- Wiele razy widziałem, jak przychodzisz. - Posłał mi uśmiech, na który od razu bym odpowiedziała, gdyby mój żołądek wciąż nie wywijał koziółków.

W głowie miałam już prawie pełny obraz tej układanki. Brakowało mi jeszcze kilku puzzli. Wiedzia-

łam nawet jakich. Po prostu nie mogłam ich znaleźć. A może nie chciałam. Nagle ogarnęło mnie potworne zmęczenie.

Jeśli to był sen, mogłam go przerwać. Mogłam to zrobić. Nawet jeśli to był atak. Tak po prostu...

Nie wychodząc z pokoju, nie zostawiając Johnny'ego. Zniknę jak zaczarowany dżin. Przynajmniej powinnam.

Mimo to podeszłam do drzwi, nie spuszczać wzroku z Johnny'ego. Nie chciałam zniknąć w ten sposób. Nie chciałam się zamienić w ducha czy zjawę. Nie na jego oczach.

- Wróć, Johnny. Obiecuję.

Pochylił się i sięgnął po leżące na podłodze spodenki. Włożył je. Odwrócił się i nawet na mnie nie spojrzął. Słowem się nie odezwał, tylko wzruszył ramionami.

- Wróć - powtórzyłam głośniejsz.

Pokiwał głową.

Wyszłam.

Rozdział 30

Ze snu wyrwał mnie bolesny skurcz żołądka. Leżałam we własnym łóżku, ale byłam tak zdezorientowana, że zanim to do mnie dotarło, minęło dobre pół minuty. Johnny spał obok z ręką nad głową i cicho pochrapywał.

Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Zrzuciłam szybko koldrę i zatoczyłam się w stronę łazienki. Padłam na kolana przed sedesem i zwymiotowałam wszystko, co zjadłam przez ostatnie półtora roku. Przynajmniej takie miałam wrażenie. Zamknęłam oczy. Pod nogami czułam chłód terakoty. Na czoło wystąpiły mi krople potu.

Wiedziałam.

Staralam się o tym nie myśleć. Dżinsy stały się trochę ciaśniejsze, ale tłumaczyłam to sobie kolejnym brownie pochłoniętym w Mokce. Wrażliwe piersi traktowałam jako typową oznakę napięcia przedmiesiączkowego. Spóźniający się okres i plamienie -jako wynik stresu.

Ale to nie było to. Wylałam buzię garścią jednorazowych chusteczek. Nachyliłam się nad umywalką, ochlapałam twarz wodą i przepłukałam usta. Splunęłam, potem splunęłam jeszcze raz.

Zamknęłam oczy. Zacisnęłam palce na chłodnej porcelanie umywalki prawie tak samo jak zeszłej nocy na biurku, w moim śnie. Tylko że to nie był sen.

- Emm, wszystko w porządku?

To było to samo pytanie, które zadał mi tamtej nocy. Bałam się otworzyć oczy. Bałam się, że znów zobaczę Johnny'ego z przeszłości. Przepłukałam usta i splunęłam. Jeszcze raz obmyłam twarz.

Usłyszałam jego kroki w łazience.

- Przynieść ci coś?

- Nie, wszystko w porządku.

Naprawdę poczułam się lepiej. Byłam nawet głodna, pomimo nieustającego skrętu kiszek. Spojrzałam w lustro. Błada twarz, worki pod oczami. Zdarzało mi się lepiej wyglądać.

Odgarnęłam włosy z czoła.

- Pewnie zjadłam coś, co mi zaszkodziło.

- Aha. Wybierasz się do pracy? Skinęłam głową.

- Tak, już mi lepiej. Muszę tylko coś zjeść. Może krakersy pomogą na żołądek.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - Nie wyglądał na przekonanego. Ależ on był piękny! Nawet z zaspanymi oczami, potarganymi włosami i w opadających spodniach od piżamy.

- Tak - odparłam. Wzięłam szczoteczkę i wycisnęłam na nią pastę. Wyszorowałam zęby. Wypłułam.

Potem jeszcze raz, żeby pozbyć się cierpkiego smaku z języka.

Johnny cały czas mi się przyglądał. Czułam na sobie jego wzrok. Żadne z nas się nie odezwało.

Odkręciłam wodę pod prysznicem i zrzuciłam koszulkę nocną. Johnny schylił się i podniósł ją z podłogi.

Byłam mu za to wdzięczna. Miałam wrażenie, że gdybym tylko zgięła się wpół, znów wyładowałabym na kolanach, obejmując sedes. Spozstrzegłam, że Johnny głaszcząc palcami delikatny materiał. Po chwili odwiesił koszulkę na haczyk.

- Podoba mi się ta koszulka - powiedział. - Zawsze mi się podobała.

Zadrżałam. Jedną rękę trzymałam pod ciągle zimną wodą. Czasami rozgrzewała się całe wieki.

Stały mi sutki. Oczywiście od chłodu, nie z podniecenia. Ukryłam piersi w ramionach. Złapałam lewą pierś, potem rozprostowałam dłoń, by wyczuć bicie serca.

- Sam mija kupiłeś - przypomniałam.

Pamiętałam, że przyniósł ją do domu i zaprezentował z takim rozmachem, jakby ofiarowywał mi klejnot koronny. Mnie też się podobała. Była z cieniutkiej tkaniny, trochę w stylu retro. Spałam w niej.

Nosiłam ją także w swoich snach.

- Dlaczego ją wybrałeś?

Johnny spojrzał na mnie.

- Przypominała mi coś, co kiedyś na sobie miałaś. Po prostu przypominała mi ciebie.

Wzięłam kilka płytkich oddechów, żeby uspokoić żołądek. I rozkołysany pod nogami świat.

Weszłam pod prysznic. Syknęłam z bólu, bo woda zrobiła się za gorąca. Pokręciłam kurkami.

Zanurzyłam głowę pod wodę. Miałam nadzieję, że nie płaczę.

- Może jednak mogę coś dla ciebie zrobić? - Johnny odsłonił zasłonkę prysznicową i spojrzał na mnie z troską.

- Tosty - odparłam. - Zwykle tosty będą idealne. I miętowa herbata. Dziękuję, kochanie.

- Jasne. - W jego głosie pobrzmiwała wątpliwość, ale o nic więcej nie pytał.

Poczekalam, aż usłyszę trzask zamykanych drzwi, i osunęłam się na kolana. Nie chciało mi się już wymiotować. Nie było mi nawet słabo. Drżałam na całym ciele. Skuliłam się, starając się znaleźć w tej pozycji ukojenie. Ukryłam twarz w dłoniach, które oparłam na śliskiej powierzchni brodzika. Woda spadała silnym strumieniem na moje plecy.

Oglądałam kiedyś film *Zakłęci w czasie*. Główna bohaterka bardzo pragnie dziecka. Jej mąż potrafi podróżować w czasie, więc spotyka się z nim, zanim poddał się zabiegowi wazektomii.

Namawia go, żeby się z nią kochał, bo chce zająć w ciążę, choć w teraźniejszości jej mąż tego nie chce.

Krótko mówiąc, pieprzy się z własnym mężem, tym z przeszłości, żeby mieć z nim dziecko, ale w teraźniejszości.

Ani razu w czasie ataku ani we śnie nie kazałam Johnny'emu wkładać gumki. Cholera jasna, w 1978

roku ludzie już chyba znali prezerwatywy? Nawet jeśli przed epoką AIDS rzadko ich używali. A ja brałam pigułki, choć w trochę przypadkowym trybie. Zachowywaliśmy przecież ostrożność, ale nawet gdyby tak nie było, Johnny z teraźniejszości nie mógł mnie trafić.

- O kurwa - wymamrotałam. - O cholera. O kurwa.

Dziecko. Będę mieć z Johnnym dziecko. Zsunęłam mokre ręce na brzuch.

Jak mu to powiedzieć?

Robiło mi się słabo na myśl, że miałabym przed nim stanąć, spojrzeć mu w twarz i oznajmić, że jakimś cudem, w wyniku zupełnie niewiarygodnego, nierealnego i fantastycznego zbiegu okoliczności zostaniemy rodzicami. On miał ponownie zostać ojcem, a przecież był dziadkiem. Już sobie wyobrażam minę Kimmy.

Zesłałam do kuchni. Na stole czekały na mnie chrupiące tosty i ciepła herbata. Johnny przeglądał

plik faktur albo innych papierów z galerii, ale na mój widok ściągnął okulary i wstał z krzesła.

Przeglądał misie.

- Lepiej się czujesz? Na pewno nie wolisz zostać w domu?

-Nie. - Potrząsnęłam głową i usiadłam. Tosty pachniały tak ładnie, że nagle dopadł mnie potworny śód. - Wszystko w porządku. Poważnie.

Posłałam mu sztuczny, ale za to szeroki uśmiech i zmiotłam tosty z talerza, obficie popijając je herbatą. Na stole zostały tylko okruszki. Stałam je dłonią.

Johnny pochylił się nade mną i skradł mi z ust całusa.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Starałam się podtrzymać pogawędkę, gdy podwoził mnie do pracy. Jeśli zauważył, że jestem cichsza niż zwykle, nie skomentował tego. W pracy siedziałam przy biurku jak zombi, bezwiednie wypełniając formularze i odbierając telefony.

Najgorsze wcale nie wydawało mi się to, że kompletnie oszalałam. To mnie nawet tak bardzo nie dziwiło, wzięwszy pod uwagę mój skomplikowany przypadek medyczny. Nie przerażało mnie też, że mój umysł uparcie uczeplił się koncepcji, że nie tylko śniłam o roku 1978. Ja w nim po prostu byłam.

Nie odgrywałam już roli Alicji, która przeszła na drugą stronę lustra. Teraz wcieliłam się w Białą Królową, która wierzyła w niemożliwe.

Najgorsze było dla mnie to, że chociaż przez całe życie starałam się ustrzec przed niechcianą ciążą, przez całe życie świadomie brałam odpowiedzialność za własne ciało, teraz zaliczyłam klasyczną wpadkę.

Ukryłam twarz w dłoniach i wydałam z siebie cichy, niemal bezgłośny jęk. Cięża. Dziecko. Jak mogłabym mieć dziecko?

Już wiele lat temu porzuciłam ten pomysł. Jakim sposobem miałabym przetrwać te dziewięć miesięcy, podczas których rosłoby we mnie nowe życie, jeśli nigdy nie byłam zupełnie pewna, gdzie jestem ani co robię? Jak miałam być matką, jak miałam odpowiadać za inne życie, skoro przez cały czas ciążyło na mnie ryzyko utraty świadomości?

A potem jeszcze trzeba ją umieć odzyskać. Poczułam cierpki smak na języku. Jak zgniłe pomarańcze.

Teraz jednak nie czułam ich zapachu, lecz smak.

Otworzyłam oczy, spodziewając się, że znów znajdę się w letnim upale, że znów zobaczę basen, a młody Johnny będzie mnie pożerał wzrokiem. Widziałam jednak tylko ekran monitora, w którym moja twarz odbijała się niczym upiór.

Położyłam dłonie na brzuchu, nieco bardziej zaokrąglonym, niżbym sobie życzyła. Cóż to za życie we mnie kiełkowało? Córka? Syn? Czy będzie mieć oczy po ojcu? Uśmiech po mnie?

Kliknęłam na przeglądarkę internetową i wpisałam hasło „podróże w czasie”. Niewiele się dowiedziałam. Pojawiło się mnóstwo stron z efektownymi nazwami typu tachiony czy cząstki elementarne, których w ogóle nie rozumiałam. Znalazłam wiele recenzji książek i filmów; niektóre z nich były mi dobrze znane. Sporo przeczytałam, ale niewiele się dowiedziałam poza tym, co wiedziałam już wcześniej.

Podróże w czasie nie istniały.

A już na pewno nie wywoływał ich upadek z drabinki na placu zabaw. To nie miało sensu - przez lata nie miałam innej odpowiedzi. Traciłam świadomość, potem ją odzyskiwałam. Ataki doskwierały mi od dawna, ale nigdy tak silne jak po tym, kiedy pierwszy raz spotkałam Johnny'ego w Mokce.

Oparłam głowę na rękach. To nie miało sensu i jednocześnie układało się w całość.

Wystarczyło tylko wyzbyć się braku wiary.

W porze lunchu poszłam do apteki i kupiłam cztery testy ciążowe. Nie czekałam do rana, jak zalecała instrukcja. Wróciłam do banku i poszłam prosto do łazienki. Nasikałam na patyczek i czekałam, aż pojawią się linie. Jedna albo dwie.

Dwie.

Powtórzyłam test.

Dwie.

Wróciłam do biurka i wypilałam butelkę wody, choć miałam ochotę na dietetyczną colę.

Zmusiłam się do zjedzenia sałatki zamiast burgera z podwójnym serem i bekonem, za którym nagle zatęskniłam. Ale pozwoliłam sobie na ciastko w ramach deseru. W końcu może teraz jem za dwóch.

Równie o trzeciej wybuchnęłam rzewnymi łzami. Siedziałam przy biurku, chowając twarz w pudeł-

ku jednorazowych chusteczek. Łzy przeszły nagle w śmiech, na wpół histeryczny, ale szczerzy. Roze-

śmiałam się jeszcze raz. A potem znów zapłakałam. Poszłam do łazienki, bo wydawało mi się, że zwymiotuję, ale okazało się, że to fałszywy alarm.

O trzeciej czterdzieści pięć Johnny podjechał na parking. Widziałam przez okno, jak parkuje.

Wychodziłam dziś wcześniej ze względu na wystawę w galerii. Przycisnęłam twarz do zimnej szyby i po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna pomodliłam się.

W moim odczuciu było to mniej więcej tak samo skuteczne jak wypowiedanie życzenia, kiedy spadała gwiazda. Ale skoro uwierzyłam, że udało mi się odbyć podróż w czasie, równie dobrze mogłabym uwierzyć w jakiś byt wyższy, który mnie wysłucha i pomoże.

Nigdy nie chciałam dziecka. Nigdy nie sądziłam, że zostanę matką. Gdy trzymałam na rękach dziecko przyjaciółki, nie tęskniłam za tym, by mieć własne. Nie byłam do tego stworzona. Lubiłam dzieci, ale z daleka; na tyle, żeby pogruchać do nich czule, gdy siedziały spokojnie w wózek.

Zawsze z radością oddawałam je rozpromienionym rodzicom. Dzieci śmierzą i się drą. Są małutkie i drogie. Są jak niegojący się wrzód na dupie.

Patrzyłam na zaparkowany samochód Johnny'ego i jeszcze raz dotknęłam własnego brzucha.

Było za wcześnie, żeby wyczuć różnicę. Próbowałam sobie wyobrazić, co będzie za kilka miesięcy.

Będę chodziła z brzuchem wielkim jak piłka do koszykówki. Jeśli będę miała szczęście. Albo jak arbuza, jeśli mi go zabraknie.

Dziecko będzie we mnie rosnąć jak pasożyt, wysysając każdy składnik odżywczy, który dostarczę swojemu organizmowi. I będę miała ochotę jednocześnie na makaron i żelki. Spuchną mi stopy. Pojawią się rozstępy. Będę rzygać przez kilka miesięcy, a potem tak się roztyję, że moje ciało nigdy nie wróci do normalnego stanu. Na koniec spędzę długie godziny poddana torturom wypychania ludzkiej istoty wielkości kuli do kręgli przez zdecydowanie węższy otwór. Będę krwawić. Przez wiele tygodni nie będę mogła uprawiać seksu. A mleko będzie tryskać z moich piersi w najmniej odpowiednim momencie.

Potem przyjdzie czas na pieluchy, płacz i histeryczne przemeblowanie mieszkania. Foteliki samochodowe i kołyski. Śliniaczki i plucie jedzeniem. Nigdy nie trzymałam w domu żadnego zwierzątka, bo przerastał mnie problem sprzątnięcia odchodów. Jak wobec tego miałam sobie poradzić z dzieckiem?

Ciąża, poród, macierzyństwo. Sama się na to skazałam. Do końca życia będę stawiać na pierwszym miejscu innego człowieka i upewniać się, że ten człowiek, którego tak lekkomyślnie splodziłam, jest bezpieczny, szczęśliwy i kochany.

- Proszę - wyszeptalam, wciąż przyciskając twarz do szyby. Patrzyłam, jak Johnny wychodzi z samochodu i krąży w kółko. Wiedziałam, że ma ochotę na papierosa, choć rzucił palenie. Wiedziałam, że zastanawia się, dlaczego się spóźniłam.

- Proszę - powtórzyłam.

Proszę. Błagam. Ktokolwiek mnie słyszy, cokolwiek mnie słyszy, proszę, och, proszę, proszę.

Przycisnęłam dłonie do brzucha.

- Proszę - powiedziałam. - Proszę, niech to będzie prawda.

Rozdział 31

Wystrój galerii został zupełnie odmieniony. Oczywiście zawsze było tu pięknie, bez względu na to, jakie dzieła zdobiły ściany. Dziś z podwieszanych pod sufitem belek zwisały sznurki jasnych światełek i powiewające wokół kolumn przezroczyste zasłony, z których wychylały się lśniące lampiony. Drewniana podłoga błyszczała od wosku. Wbiłam paznokcie w ramię Johnny'ego w obawie, że w pantoflach na wysokim obcasie niechybnie poślizgnę się i wywinę koziołka. I zrobię z siebie idiotkę.

Albo gorzej. Znów zrobię sobie krzywdę, znając moje szczęście.

Na wszelki wypadek zrobiłam sobie w domu jeszcze dwa testy ciążowe, w odstępie godziny.

Ukryłam je pieczołowicie w koszu na śmieci w łazience, starannie maskując zwitkiem papierowych ręczników. Choć oczywiście nie miałam powodu podejrzewać, że Johnny będzie tu zaglądał.

Obydwa wyszły pozytywnie, bez cienia wątpliwości. Dwie wyraźne niebieskie linie, które mówiły, że jestem w ciąży. Zgodnie z tym, co przeczytałam w instrukcji, w przypadku negatywnego wyniku istniała szansa, że był fałszywy. Wynik pozytywny nie dawał takiej nadziei.

Strzegłam swojego sekretu jak oka w głowie. Jak źrenicy oka. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Byłam tak rozkojarzona i tak niezdarna, że nie dało się zrzucić wina na śliski, wypolerowany parkiet. Johnny złapał mnie w porę, zanim udało mi się zmieść stół z przekąskami.

- Uważaj, Emm.

- Przepraszam.

Potrząsnął głową i złapał mnie w tali, opierając rękę na moim biodrze.

- Nie przejmuj się. Chcesz drinka?

- Poproszę trochę wody. Spojrzał na mnie z troską.

- Nie chcesz kieliszka wina? Może piwo? Na pewno mamy to ciemne, które tak lubisz.

- Może później. O! Ser!

Umierałam z głodu. W mig zapomniałam o wcześniejszych mdłościach.

- Muszę dopilnować paru spraw. Weź sobie trochę sera. Zaraz wracam.

Johnny mówił z odrobinę silniejszym akcentem niż zwykle. Złapałam go za rękę, zanim zdążył odejść.

- Hej.

Nie próbował wyswobodzić dłoni. Pozwolił się przyciągnąć bliżej. Na oczach wszystkich gości odgarnął mi z twarzy niesforny kosmyk i pocałował mnie.

- Hej - odpowiedział czule. - Co jest?

- Kocham cię - szepnęłam. - Nie zapomnij o tym.

- W życiu. - Musnął moje usta wargami, a potem złożył pocałunek na moim czole. Spojrzał mi prosto w oczy. - Coś ci przynieść?

Potrząsnęłam głową.

- Idź, a ja wezmę sobie coś do jedzenia. Poszukam Jen. Na pewno się denerwuje.

- Wszystko będzie dobrze. Wystawia swoje najlepsze prace. Ludziom się spodobają.

- To przecież nie znaczy, że się nie denerwuje - powiedziałam.

- Wiem. - Znów mnie pocałował, klepnął w tyłek i ruszył do swoich spraw.

Przy bufecie natknęłam się na Kimmy. Wyglądała bardzo ładnie. Włożyła małą czarną, a włosy upięła wysoko. Uderzyło mnie jej podobieństwo do matki, ale dostrzegłam też sporo cech ojca. Na powitanie wyciągnęła w moją stronę kieliszek czerwonego wina.

- Cześć, Kimberly - powiedziałam tak słodko, że od razy wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Miło cię widzieć.

- Tatuś mnie zaprosił - odparła. - Serwuje wyśmienite wino.

- Owszem. - Podniosłam do ust talerzyk pełen krakersów, sera i jakiejś musztardowej mazi.

- Zauważyłam, że nie pijesz.

Akurat przeżuwałam jedzenie, więc w odpowiedzi tylko wzruszyłam ramionami. Kimmy przyjrzała mi się badawczo. Pociągnęła łyk wina.

- Podobają mi się twoje buty - powiedziała wreszcie. To był prawie przyjacielski gest, jakiego zresztą nigdy bym się po niej nie spodziewała, zwłaszcza w chwili, w której zorientowała się, że urodzę jej kolejnego braciszka albo siostrzyczkę.

Po drugiej stronie sali spostrzegłam Jen. Przyszła razem z Jaredem. Obejmował ją mocno w pasie.

Uśmiechała się, ale była wyraźnie spięta.

- Hej, laska! - zawołałam. - Cześć, Jared.

- Cześć, Emm - skinął.

- Stara - jęknęła Jen. - Czy ty to widzisz? Tych wszystkich ludzi? O mój Boże, chyba zaraz puszcze pawia!

- Tylko nie to! Bo zrobię to samo.

Jared się roześmiał, a potem przytulił Jen i pocałował ją w usta.

-Wszystko będzie dobrze. Ile razy mam ci to powtarzać?

Nie wyglądała na szczególnie pocieszoną, ale odprężyła się w jego objęciach.

- Łatwo ci mówić.

- Może, ale taka właśnie jest prawda.

Rozmawialiśmy o wystawie. Prace Jen znajdowały się w sali położonej na tyłach galerii. Dlatego właśnie Jen wolała czekać tu, w sali głównej. Nie chciała widzieć, jak zwiedzający oglądają jej dzieła.

- Chcesz, żebym tam zajrzała?

- Nie! - wykrzyknęła. - No dobra, tak!

- Proponowałem jej, że tam pójde - odezwał się Jared - ale mi nie pozwoliła.

- Ty masz zostać ze mną - powiedziała Jen. - Emm, proszę cię, pójdz tam. Tylko nie chcę wiedzieć, jeśli będą o mnie mówić podłe rzeczy.

- W życiu bym ci tego nie powtórzyła - zapewniłam.

Próbowałam odszukać Johnny'ego. Przedzierałam się przez tłum w kierunku niewielkiej Sali w głębi galerii, ale nigdzie go nie widziałam. Po drodze wyrzuciłam pusty papierowy talerzyk i chwyciłam z baru butelkę napoju imbirowego, tak na wszelki wypadek, gdyby zrobiło mi się słabo.

Sącząc gazowany napój, powoli przeszłam do następnej sali.

Od razu zauważyłam prace Jen zawieszane na białych ścianach i podświetlone małymi reflektorami. Po kilku tygodniach udręki wybrała najlepsze zdjęcia, a ja zgodziłam się z jej wyborem, choć dobrze wiedziałam, że moje zdanie niewiele znaczyło. Tyle co opinia przyjaciółki. Zaintrygowało mnie jej ujęcie lokalnych pejzaży, ręczna i komputerowa obróbka, która wydobywała ich głębię, a nawet zupełnie zmieniała ich klimat. Ku swojemu zdziwieniu na jednej fotografii rozpoznałam siebie.

Zaskoczyło mnie to. Ukryła przede mną ten pomysł. Doskonale pamiętałam moment, w którym zrobiła to zdjęcie, zwykłym telefonem komórkowym, ale nie miałam pojęcia, że włączy je do swojej ekspozycji. Fotografia przedstawiała zbliżenie mojej twarzy, wzrok skierowany gdzieś poza obiektyw, usta zaciśnięte. Jen wycięła tło i umieściła moją twarz na tle okna kamienicy z elewacją z czerwonego piaskowca, jednej z tych nieodnowionych, które stały przy mojej ulicy. Na to naniosła inne zdjęcie, przedstawiające mnie i Johnny'ego przed moim domem.

-Nieźle - usłyszałam zachrypnięty kobiecy głos. - Dziwię się jednak, że Johnny zdecydował

się to wystawić. To on, nieprawdaż? Rany, pomyślałby kto, że zgodnę.

Popatrzyłam na kobietę, która przystanąła obok mnie. Miała na sobie czarną sukienkę, stanowczo zbyt obcisłą, i czerwone szpilki, które byłyby całkiem w porządku, gdyby nie otarte noski. Długie tlenione blond włosy związała wysoko w koński ogon, mocno naciągając skórę twarzy.

Albo po prostu jakiś chirurg schrzanił swoją robotę. Spojrzała na mnie.

-O, cholera - zawołała.

Zamrugalam oczami i cofnęłam się z wrażenia. To była Sandy. Starsza, oczywiście. I mocno zużyta. Ale od razu ją rozpoznałam. Miałam wrażenie, że ona mnie też.

- O, cholera - powtórzyła bez entuzjazmu w głosie. I dalej wpatrywała się w zdjęcia. W ręce trzymała niezapalonego papierosa. Włożyła go do ust.

- Musisz być mamą Kim. - Głos mi zadrżał, więc odchrząknęłam. - Sandy, prawda?

- A ty jesteś, jak się domyślam, nastoletnią dziewczyną Johnny'ego?

- Już od lat nie jestem nastolatką - odparłam, mając nadzieję, że ta konwersacja nie zamieni się w kłótnię. Choć jakaś część mnie pragnęła z nią pozadzierać.

- Ale niewielu - zauważyła drwiąco.

- Co cię to obchodzi? Od dawna nie jesteście razem.

Uśmiechnęła się szorstko.

-Owszem. Ale to nie znaczy...

Urwała. Jej oczy zamieniły się w szparki. Zmierzyła mnie wzrokiem z góry do dołu. A potem podeszła do mnie bliżej, wpatrując się w moje oczy.

- Czy myśmy się już kiedyś spotkały? - zapytała.

- Nie.

Czułam się, jakbym skłamała. Choć to śmieszne, bo przecież opierałam się na mojej szalonej i wyszanej z palca teorii z gatunku „po drugiej strony lustra”.

- Jesteś pewna? - Sandy przyglądała mi się badawczo.

- Jestem pewna.

- Wyglądasz znajomo.

Przypomniałam sobie jej szkliste spojrzenie, gdy stała w holu na piętrze w domu Johnny'ego z przeszłości. Jak nakryła nas w sypialni, gdy się pieprzyliśmy. Jak domagała się pieniędzy. Dla niej to były zamierzchłe czasy.

- Ty też - odparłam.

Moja odpowiedź chyba ją zadowoliła. Wygładziła włosy, potem sukienkę. W jednej ręce trzymała papierosa, drugą podparła łokieć tej pierwszej.

- Po prostu jeszcze jedna buźka - powiedziała. - Mówię o tobie. Ty zapewne znasz mnie ze zdjęć. Ze zdjęć z Johnnym.

Sandy nie miała już tego charakterystycznego akcentu, z jakim mówiła w moich halucynacjach. Albo się go pozbyła dzięki ciężkiej pracy, albo po

prostu miałam szalone zwidy i w rzeczywistości nigdy jej nie spotkałam. Była natomiast wyraźnie z siebie zadowolona. I to się nie zmieniło.

- Och, to ty jesteś z nim na tych zdjęciach? - Zatrzepotałam rękami, udając zdziwienie.

Oczywiście dobrze wiedziałam, że to ona. Było kilka znanych zdjęć tej pary baraszkującej na golasa wśród polnych kwiatów. Po prostu próbowałam być choć odrobinę wredna.

Z uśmiechu Sandy wywnioskowałam, że ona też to wie. Może nawet jej zaimponowała moja bezczelność.

- To było dawno, dawno temu - odpowiedziała.

- Rzeczywiście - zgodziłam się. - Dawno temu. Bez słowa odwróciła się na pięcie i wyszła.

Nie przeszkadzało mi to. Im mniej musiałam na nią patrzeć, tym lepiej.

Przyglądałam się pracom innych artystów wywieszonym w tej sali. Nie musiałam znać się na sztuce, żeby tym bardziej docenić dzieła Jen. Inne też były niezłe, ale zdjęcia Jen miały w sobie to coś.

Wyróżniały się. Patrzyłam na nie z podziwem, dyskretnie łowiąc komentarze zwiedzających.

Wszystkie były pochlebne. Wiedziałam, że Jen odetchnie z ulgą.

Już miałam wrócić do sali głównej, by ją pocieszyć, kiedy coś przykuło moją uwagę. W tyle, z dala od pozostałych prac, dostrzegłam rysunki. Nie widziałam ich wcześniej, ale wydały mi się dziwnie znajome. Gdy tłum się przерzedził, ruszyłam w ich kierunku.

Puste przestrzenie.

Dzieło, które przyniosło Johnny'emu rozgłos i uczyniło z niego prawdziwego artystę. To nie był jeden obraz, ale cała seria rysunków tej samej postaci w niewiele różniących się pozach.

Najbardziej znane szkice znajdowały się w środku ekspozycji. Doskonale pamiętałam je z internetu.

Przedstawiała kobietę w letniej żółtej sukience. Przechylała głowę tak, że włosy zasłaniały jej twarz i ramiona. Stała w soczyscie zielonej trawie, wyciągała przed siebie rękę. W tle widać było pas wody. Zawsze myślałam, że to rzeka lub jezioro, a może ocean, ale teraz przekonałam się, że to basen.

Pozostałe rysunki były mniejsze, niektóre zaledwie naszkicowane, ale w ramach robiły imponujące wrażenie. Widać było, jak ewoluowały, począwszy od pierwszych pojedynczych pociągnięć ołówka aż po wieńczącą dzieło kaskadę kresek i łuków. Przyglądałam im się dokładnie, zupełnie zafascynowana, i po raz pierwszy w życiu poczułam, że rozumiem różnicę między zwykłym malowidłem a dziełem sztuki.

Na każdym portrecie kobieta wyglądała trochę inaczej. Czasem stała tyłem, czasem odwracała głowę. Czasem wiatr rozrzucał jej włosy i unosił rąbek sukienki.

Nie poczułam pomarańczy. Świat się nie zachwiał. Nawet nie mrugnęłam. W jednej chwili patrzyłam na najsłynniejszy obraz Johnny'ego, a w następnej stałam w pograżonej w mroku kuchni śmierdzącej alkoholem i marihuaną. Gapiłam się na puste krzesło i popielniczkę pełną zgniecionych petów.

- Nie - szepnęłam.

Kalendarz wskazywał sierpień 1978 roku. W powietrzu wciąż wisiał jego zapach, mieszanka potu i wódki. Notes Eda leżał na stole, ale jego tu nie było. Z zewnątrz dobiegały odgłosy imprezy, coraz głośniejsze i dziksze.

Wyszłam z kuchni do ogrodu. Zaczepiali mnie jacyś ludzie, ale ich ignorowałam. Dobrze wiedziałam, jaki jest dzień. Znałam to miejsce i wiedziałam, co tu się zdarzy.

Znalazłam go po drugiej stronie basenu. Leżał na trawie.

- Tu jesteś - powiedział Johnny. - Szukałem cię.

- Johnny.

- Tak? - Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Chciałam mu tyle powiedzieć, ale zabrakło mi słów. Wiedziałam tak wiele i jednocześnie nic. Pogładził mnie ręką po brzuchu. Pocałowałam go w usta i spojrzałam mu w oczy.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Dotknął mnie i dostrzegłam błysk w jego spojrzeniu. Nie musiałam nic mówić. Uśmiechnął się. -

Tak?

- Tak. - Pokiwałam głową.

- Naprawdę? - Johnny patrzył na mój brzuch. Nie przestawał go gładzić. - Emm, naprawdę? -

Znów na mnie spojrzał.

- Tak - odpowiedziałam.

Niespodziewanie mnie pocałował. Wpił się w moje usta. Roześmiał się, nie odrywając warg od mojej twarzy, i położył obie ręce na moim brzuchu.

- Zaopiekuję się tobą, Emm - zapewnił. - Musisz to wiedzieć, rozumiesz?

Wiedziała, że tak będzie. Widziała to w jego oczach, słyszała w jego głosie. Pękało mi serce, bo wiedziała, że łamię też jego.

Nagle zerwał się wiatr. Rozwiązał moje włosy i uniósł w górę sukienkę.

- Muszę ci coś powiedzieć, Johnny.

Za kilka godzin Ed odbierze sobie życie. Podetnie sobie żyły i utopi się w basenie. Jego samobójstwo rozbije Enklawę i popchnie Johnny'ego w wir narkotyków, alkoholu i seksu. Skończy w szpitalu psychiatrycznym i tym samym nie wykorzysta w pełni daru, jaki otrzymał od życia. To odmieni jego los. Nie chciałam na to pozwolić. Mogłam uprzedzić Johnny'ego o zamiarach Eda. Może choć dzisiejszego wieczoru udałoby się ocalić jego życie. To by wszystko zmieniło.

Czułam się tak, jakbym lada moment miała zdeptać stopą motyla i wgnieść go w błoto.

Patrzyłam na idealne rysy Johnny'ego. Młodą twarz i młode ciało. Patrzyłam na Johnny'ego z tamtego świata i rozumiałam, że trzymam w rękach jego przyszłość. Zrobiłabym to dla niego.

Podarowałabym mu życie, które z pewnością by miał, gdyby nie dzisiejsza noc. Życie beze mnie.

Nagle stało się to dla mnie oczywiste. Jeśli Johnny będzie sprzedawał twarz i ciało dla sławy i pieniędzy, nigdy nie zostanie artystą. Sam wiele razy to powtarzał. Tą jedną decyzją zmienię całą jego przyszłość. Do tego stopnia, że gdy za trzydzieści parę lat wejdem do Mokki, nie zastanę go tam. Nie mogłabym tego zrobić.

- Emm? - Johnny chwycił mnie za rękę.

Znów zerwał się wiatr. Włosy zasłoniły mi twarz.

Odgarnęłam je niecierpliwie, bo za wszelką cenę chciałam na niego patrzeć. Kochałam go, tego młodego chłopaka, którym kiedyś był, i co ważniejsze, tego dojrzałego mężczyznę, którym był teraz.

Pragnęłam jego i naszego dziecka, które cudem poczęliśmy.

- Jestem szalona - powiedziałam dobitnie.

- Mówiłem, że to mnie nie obchodzi. Zaopiekuję się tobą, Emm. To też ci mówiłem. Nic więcej mnie nie obchodzi, rozumiesz?

- Kocham cię - odpowiedziałam. - Cokolwiek się stanie, obiecaj mi, że będziesz o tym pamiętał

i że mi wybaczysz.

- Co mam wybaczyć? - zapytał.

W powietrzu unosił się intensywny zapach pomarańczy. Próbowałam go zwalczyć. Odwróciłam się. Jeszcze nigdy nie odeszłam na jego oczach. Nie chciałam, żeby to widział. Ale odchodziłam i nie mogłam tego zmienić. Tym razem wszystko było inaczej.

Tym razem czułam, że to ostatni raz.

- Będziesz miał więcej niż tylko piękną twarz i boski tyłek - powiedziałam. - I kocham cię.

Pamiętaj o tym. Zobaczymy się jeszcze, tylko o tym pamiętaj.

Rozdział 32

- Wreszcie jesteś - powiedział Johnny.

Usiadłam i przetarłam oczy. Wilgotny ręcznik zsunął mi się z czoła prosto na kolana i zmoczył

mi sukienkę. Siedziałam na sofie w jego gabinecie.

- Och, nie.

- Cii... Nie martw się. Nikt nie zauważył. Potrząsnęłam głową.

- Johnny...

- Ciii. . Mówiłem, Emm, wszystko w porządku. - Johnny głaskał moje dłonie. - Zaopiekuję się tobą.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Ścisnęłam jego rękę.

- Tak. Wiem. - Uśmiechnął się.

Czekałam, aż świat się zakołysze, ale wszystko pozostawało na swoim miejscu.

- Ale skąd?

- Powiedziałaś mi.

- W czasie ataku? Teraz?

- Nie teraz. - Johnny potrząsnął głową. - Wtedy.

Potańczałam rękami czoło.

- Nie wierzę - jęknęłam. - Przecież to niemożliwe.

- Nie wiem, kociaku, ale tak właśnie się stało.

Pocałował moje dłonie i wsunął w nie szklankę wody z lodem.

Opróżniłam ją jednym haustem, a potem wyciągnęłam nogi na sofie.

- Jakim cudem?

- Tego też nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- Czyja oszalałam? - Roześmiałam się. Moja reakcja mnie zaskoczyła.

- Nie. Ani ja. Choć przez długi czas tak myślałam.

- Próbowałam ci powiedzieć. O Edzie. Chciałam cię ostrzec. - Ogarnęło mnie poczucie winy. -

Żebyś go powstrzymał albo przygotował się na. .

- Emm, Emm, ciii. Posłuchaj. To nie przez Eda. . to nie dlatego tak mi odjechało.

- Nie? Przecież mówiłeś. .

- Nie mówiłem - powiedział Johnny. - Prawda jest taka, że razem z tobą straciłem wszystko.

Byłem w tobie szaleńczo zakochany a ty ciągle odchodziłaś. Potem odeszłaś na dobre, na moich oczach, i zrozumiałem, że nie wrócisz. Wykombinowałam sobie, że musiałaś umrzeć czy coś. Ze jesteś duchem. Kurwa, sam nie wiem, ale że straciłem cię na zawsze. Dlatego sfiksowałam, kociaku. Nie przez Eda, tego starego kutasa, świeć Panie nad jego duszą.

- Nic z tego nie rozumiem. - Kręciłam głową. -Przez te wszystkie lata męczyły mnie ataki amnezji. I dopiero gdy cię spotkałam, coś się zmieniło. To jest jak...

- Przeznaczenie - podpowiedział Johnny. - Karma. Kismet. Jakkolwiek to nazwać, I kropka.

Pomyślałam o tym, co kiedyś powiedział. O dwóch ciałach, które zderzają się z dużą siłą.

- Kolizja. To była kolizja.

- Spektakularna kolizja.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosiłam. Byłam gotowa uwierzyć we wszystko.

- Właściwie już wiesz. Zniknęłaś na moich oczach. Trochę świrowałam. Ale w końcu okazało się, że to najlepsze, co mogło mnie spotkać. Wciąż myślałam o tym, co mi powiedziałaś. Kim mogę się stać. Uwierzyłam ci, Emm. Nikt wcześniej nie mówił mi takich rzeczy. Oczywiście otaczali mnie ludzie, którzy tak głęboko włożyli mi w dupę, że zdążyliby mi sprzątnąć sprzed nosa śniadanie. Ale to nie to samo. Nikt tak naprawdę we mnie nie wierzył, oprócz ciebie. Miałem w głowie twoje słowa.

Lekarze twierdzili, że rysowanie dobrze mi zrobi. I tak się zaczęło. Na początku gówniane wycpiny.

Wiesz, talent i zero umiejętności.

- Nie wierzę - odparłam.

- Pokazałbym ci, ale przecież nie jesteś w stanie tego ocenić.

Roześmialiśmy się oboje, choć śmiech w tej sytuacji był dość kuriozalną reakcją.

- A potem wyszedłem na prostą. Wypuścili mnie ze szpitala, wytrzeźwiałem, podreperowałem mózgownicę. Trochę grałem w gównianych produkcjach, ale przynajmniej ktoś mi za to płacił. Wtedy już wiedziałem, że to mnie donikąd nie zaprowadzi. Ale dzięki temu mogłem rysować.

- I wtedy narysowałeś *Puste przestrzenie*.

- Tak. To był przełom. - Pokiwał głową. - Nie powiem, żeby od tej chwili moje życie było usłane różami, ale przynajmniej nie musiałem zebrać. Wreszcie robiłem coś, z czego byłem dumny, rozumiesz?

Coś, w czym byłem dobry.

Spojrzałam na jego dłonie i uściśniłam je. Widać było na nich jego wiek. Tak samo jak wokół

kąćków oczu. Przyłożyłam jego ręce do ust i mocno pocałowałam. Potem przycisnęłam je do policzków.

- To dzięki tobie - powiedział. - Gdyby nie ty, nigdy bym tego nie osiągnął.

- Nieprawda. - Nie chciałam sobie przypisywać takiej zasługi. Wina za wpędzenie go w szaleństwo wydawała mi się lżejsza do zniesienia.

- Emm. - Uśmiechną się. - To jest prawda. Nie rozumiesz? Chyba nie. Tego nie da się zrozumieć.

Wstał i podszedł do szafki pod ścianą. Otworzył ją i wyciągnął gruby szkicownik związany gumkami. Były stare i zniszczone, jakby lada moment miały się rozerwać. Jedna z nich pękła.

Johnny ją wyrzucił.

Otworzył szkicownik i strona po stronie pokazywał mi rysunki.

- Widzisz?

Mocna, surowa kreska w niektórych miejscach rozdarła papier, a mimo to wyczarowała subtelny i misterny grafitowy obraz kobiety. Tej z *Pustych przestrzeni*. Podobna poza. Tyle że tutaj stała prosto, nie odwracała głowy ani włosy nie zasłaniały jej twarzy. Dokładnie widziałam jej rysy.

To byłam ja.

Zaparło mi dech w piersiach, a jednak... nie byłam zaskoczona. Czyż nie domyślałam się tego od dawna? Czyż jakaś część mnie nie odgadła tego w chwili, gdy poślizgnęłam się na lodzie i wpadłam w jego ramiona i w jego życie z przeszłości?

Jest kilka rzeczy na świecie, w których próżno by doszukiwać się sensu. Jedną z nich jest miłość.

Miłość jest jak skok na główkę w otchłań. Człowiek ma nadzieję, że ten, kto go kocha, w porę go złapie. Miłość to sprzężenie.

Coś nas połączyło, mnie i Johnny'ego. Nie musieliśmy tego zrozumieć. Wystarczyło to zaakceptować.

Spojrzałam jeszcze raz na rysunek w miejscu, gdzie Johnny nabazgrał datę i podpis.

Dotknęłam liter i nawet teraz, po tylu latach, grafit ołówka ubrudził moje palce.

- Ten był pierwszy - wyjaśnił Johnny. - Pewnego dnia usiadłem, zacząłem rysować i nie mogłem przestać.

- To było właśnie tego dnia?

- Tak.

Jeszcze raz podkreśliłam datę palcem i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Wiem dlaczego.

- Dlaczego?

- Tego dnia miałam wypadek. Zapadłam w śpiączkę.

Oboje patrzyliśmy na rysunek, który powstał wiele lat temu. Na kreski i łuki składające się na moją twarz. Wszystko zaczęło się i skończyło tego dnia. Nigdy się nie dowiemy dlaczego. Zresztą czy to ważne? Bynajmniej.

Johnny zamknął szkicownik i odłożył na bok. Pocałował mnie. Położył rękę na moim brzuchu, gdzie rozwijał się nasz mały cud. Nie bałam się, że ziemia znów zakolysze się pod moimi stopami.

Nieważne, co nas przywiodło do tego miejsca ani co stanie się w przyszłości. Tak właśnie miało być.

W jednej chwili pojęłam, jak dobrze go znam. Nie bałam się już, że to sen. Zrozumiałam, że to wszystko dzieje się po prostu naprawdę.